



HARRY HARRISON I LEON STOVER

Stonehenge

Zagłada Atlantydy

(Przełożył: Radosław Kot)

SCAN-dal



KSIĘGA PIERWSZA



1.

Brytania, rok 1480 p.n.e.

Wiatr gnał tumany śniegu zza porośniętych lasem wzgórz na północy. Szamotał nagimi gałęziami wysokich, mrocznych drzew, wyginał wierzchołki sosen. Jeśli napotykał ludzką ręką uczynione w bezkresnej puszczy polany, unosił wątle pióropusze dymu sączące się spod dachów niskich, jakby przykucniętych, domów. Przeczesał zamarznięte rżyska, przemykał nad granią, by spaść w otwartą z jednej strony i pozbawioną drzew dolinę. Pędząc tuż nad ziemią, pojękiwał wokół oblepionych darnią chat i zrywał kawałki strzechy.

Owinięty ciasno białym, wełnianym płaszczem Lycos z Myken maszerował z nisko pochyloną głową, byle tylko osłonić twarz przed śniegiem. Spiczasty hełm wioślarza chronił świetnie przed ciosem wrażego miecza, jednak wobec kaprysów pogody nie zdawał się na nic. Mężczyzna przystanął pod niskim okapem ostatniego budynku i pchnął drzwi. Powietrze wewnątrz było równie zimne i wilgotne jak na dworze, na dodatek cuchnęło.

- Co się stało? - spytał Lycos.

- Nie wiemy - powiedział Koza, siwowłosy i oszpecony bliznami wojownik w zużyтым półpancerzu z brązu i takim samym hełmie jak Lycosa. Skrzywił się, spoglądając w mdłym świetle na leżącego i jęczącego na klepisku mężczyznę z zakrwawionymi ustami. - Jeden z chłopców zauważył go na skraju puszczy. Był nieprzytomny. Zaciągnąłem go tutaj.

Obcy był niski, w poplamionej, brunatnej odzieży. Umierał.

A ci tu go nie znają? - spytał Lycos od progu. Nie miał ochoty wchodzić do wypełnionej odorem chaty.

- Nie jest od nich, to Albi - powiedział Koza. - Tyle tylko wiedzą. Jednemu się zdaje, że chyba już go kiedyś widział, ale nie pamięta, jak się nazywa. Są ciężko wystraszeni, jeden głupszy od drugiego.

Mali chłopcy spoglądali spomiędzy skłębionych futer wypełniających legowisko. Pełne lęku, okrągłe oczy wyzierały z brudnych twarzyczek. Pojawszy, że o nich mowa, skulili się jeszcze bardziej.

Kozie nijak się to nie podobało. Szturchnął stopą mężczyznę w żebra, ale bez efektu. Ranny nie otworzył oczu. Zmieszana z krwią ślina kapłała mu z ust. Świeży opatrunek z mchu nie mógł zatamować całkowicie krwi płynącej z wielkiej rany w boku. Koza brał udział w niejednej bitwie i wielokrotnie widział już śmierć, zatem to nie obecność konającego napełniała go niepokojem.



- Zostawić go - rozkazał Lycos i obrócił się, by odejść, ale przystanął jeszcze i wskazał na chłopców, którzy aż się skurczyli. - A oni czemu nie pracują?

- Woda zalała jedno z wyrobisk cyny. - Koza przesunął się w lewo, stając prawie za Lycosem. - Nie możemy kopać, dopóki nie spłynie.

- No to niech pomogą wypalać węgiel drzewny albo kruszyć rudę. Jest masa roboty.

Koza obojętnie skinął głową. To były tylko dzieciaki, przez własnych rodziców tanio sprzedane w niewolę. Wiatr wciąż niósł płatki śniegu, zimna tarcza słońca opadała z wolna za horyzont. Wiosna spóźniła się tego roku. Po na wpół zamrożonym błocie przeszli w zarzuconą białym popiołem okolicę. Wokół usypanego w zagłębieniu ziemi pieca panowało miłe ciepło. Wymieszany z rudą płonący węgiel drzewny potrzebował powietrza, które dostarczano do stosu za pomocą dwóch miechów zrobionych ze świńskiej skóry. Przyprawieni przez Lycosa chłopcy wzięli się do roboty, aż iskry sypnęły wkoło. Miechy pisnęły, nogi z dawna martwych świń poruszyły się, jakby nagle ożyły.

- Już niewiele mu trzeba - powiedział Lycos, fachowym okiem oceniając stan rozżarzonego stosu węgla.

- Nie podoba mi się to wszystko. Żeby Albi dotarł aż tutaj, ranny... Oni mieszkają dość daleko. Czemu...

- Czasem walczą ze sobą i giną. To nie nasza sprawa.

Temat należało uznać za zamknięty. Koza niechętnie opuścił ciepły zakątek i wrócił do swojej kwatery po okutą brązem tarczę i miecz. Sztylet i półpancerz wystarczały, gdy pozostawało się w osadzie, ale wychodząc poza nią, pieszy winien zawsze uzbroić się należycie i zachowywać ostrożność. Można było napotkać niezadowolonego z przerwania drzemki niedźwiedzia, były też wilki, często krążące stadami i uznające ludzi za wspaniałe mięsne danie, szczególnie pod koniec długiej zimy. W gęstych krzakach buszowały dziki. No i byli jeszcze ludzie, najgroźniejsi drapieżcy tego świata. Każdy obcy mógł być mordercą, a poza kręgiem wioski obcymi (i tym samym wrogami) byli wszyscy napotkani.

Mirisati siedział w kucki tuż poniżej szczytu obwałowań, które usypano dla zamknięcia wejścia do doliny. Oparty na ciężkiej tarczy rysował czubkiem miecza kółka na ziemi.

- Mógłbym cię zabić - warknął Koza. - Kucasz, jakbyś chciał się wysrać.

- Niezupełnie - odparł Mirisati obojętnym tonem młodzika ignorującego uwagi starszych. Usiadł i przeciągnął się, po czym wstał. - Słyszałem cię, gdy byłeś jeszcze sto kroków stąd. Stawy w kolanach ci skrzypiały, a zbroja grzechotała.

- Widziałeś coś?



Koza spojrział wymownie na gęstą zasłonę padającego wciąż śniegu. Dolina przed nim była naga i pusta, porośła martwą teraz trawą. Dalej sterczały badyłe wrzosowiska i majaczyła czarna ściana lasu, który porastał wyspę Yern od wschodu do zachodu, od plaż południa po mgliste mokradła północy. W dolinie zalegała cisza przerywana jedynie krakaniem wron, które zerwały się do lotu i szybko zniknęły w oddali.

- Cały czas to samo. Nic. I nikogo. Już bym wołał, żeby ktoś przyszedł. Zabiłbym dla rozrywki kilku barbarzyńców.

- Nic? A ten z dziurą w piersi, co go chłopak znalazł? - Obecność konającego nie dawała Kozie spokoju.

- A bo to wiadomo? Co więcej, kogo to obchodzi? Może lubią wyżywać się wzajemnie. To mogę zrozumieć. No bo i co innego można robić na tym odludziu?

- Albi nie walczą.

- Powiedz to temu, co rzeźbi w chacie. Jeśli już chcesz ze mną gadać, to opowiedz lepiej o nagranych słońcem kamieniach Myken. Jakże daleko jesteśmy od domu! Ręce bolą na samo wspomnienie wiosł, ale gdybym jutro miał wsiąść do łodzi i popłynąć z powrotem, to proszę bardzo, mogę znów wiosłować. Pięćdziesiąt dni wśród zielonych fal zimnego oceanu do Słupów Heraklesa. Potem trzydzieści dni po błękitnym morzu do Argos. Oliwki byłyby akurat gotowe do tłoczenia.

- Odplyniemy, kiedy dostaniemy taki rozkaz - mruknął Koza. Też nie darzył wyspy Yern ciepłym uczuciem. Wiatr zmienił na chwilę kierunek, przesuając śnieżną zasłonę tak, iż można było dostrzec ciemne sylwetki ptaków sadowiących się na gałęziach. Szukały legowisk na noc, ale czemu w takim zamieszaniu? Co je zaniepokoiło?

- Póki co wracaj i zapędź chłopaków do pracy. Rozkaz Lycosa. A gdy go zobaczysz, powiedz, że krzaki już tu podrosły i znów trzeba będzie je przyciąć.

- Zawsze znajdziesz coś do roboty... - Mirisati nie spieszył się z powrotem do obozu.

- Już nas atakowali. Na razie Yerni trzymają się z daleka, bo wszyscy, którzy próbowali na nas napadać, zginęli. Ale pewnego dnia znów spróbują. Krzaki poszycia dają dobrą ochronę, by podpełznąć.

- Chyba zmora cię dręczy, staruszk. Ja marzę o gorącym słońcu, oliwnych gajach i chłodnym winie. Dobrym epidauryjskim winie, które jest tak gęste, że musisz dolai aż dwadzieścia części wody. A potem o dziewczynie, ni takiej jak tutejsze wieśniaczki, które trzeba najpierw wytrzasnąć z łachmanów, by niechęć nie dobrać się do chłopaka czy dziadka, ale takiej o skórze jak miód, co pachnie kadzidłem.

- Takich tu nie znajdziesz - powiedział Koza, wskazując na mroczniejącą puszcę.



- Tyle to sam wiem. Czy cała wyspa jest taka?

- Te regiony, które widzieliśmy, to i owszem. Dwa lata temu zapuściliśmy się nieco dalej, Lycos handlował trochę z różnymi szczepami. Wszędzie puszcza, i to tak gęsta, że przejść przez nią nie sposób, tylko wyższe góry wolne były od drzew. Pięć dni marszu stąd żyją szczepy, które niczym wielkie krety sypią kurhany, stawiają kamienne kręgi. Szkaradzieństwo.

- A po co to robią?

- Ich spytaj. Jedno plemię, zwą się Uala, dotarliśmy do nich swego czasu, ma duży podwójny krąg. Niebieskie głązy z wierzchołkami pomalowanymi na czerwono. Zupełnie jak wetknięte pionowo w ziemię gigantyczne kozie kutasy. Sprośni są ci tubylcy...

- Co to było? - Mirisati wskazał mieczem kępę wrzosów na skraju lasu.

- Niczego nie widziałem. - Koza wpatrzył się w to samo miejsce, ale zapadający mrok zacierał kształty.

- A ja owszem. Lis, a może i jelen. Przydałoby się trochę świeżego mięsa. - Wspiął się na szczyt wału, aby się lepiej przyjrzeć.

- Wracaj! To mogło być wszystko.

- Nie ma się co bać cieni, staruszku. Nie zrobią krzywdy.

Mirisati roześmiał się i już miał zeskoczyć, gdy nagle coś świsnęło w powietrzu. Oszczep wbił się głęboko w szyję wojownika, strącając go z hałasem na sam dół. Legł z rozrzuconymi nogami i zdumieniem zastygł w szklistych oczach. Objął jeszcze dłonią drzewce i zmarł.

- Alarm! - krzyknął Koza. - Alarm! - powtarzał raz za razem, uderzając mieczem o tarczę.

Następne włócznie nie nadleciały, ale kiedy Koza wychylił się ostrożnie ponad obwałowanie, ujrzał biegnących od strony lasu ludzi. Poruszali się szybko i cicho jak wilki. Pomimo zimy byli nadzy, mieli tylko krótkie skórzane spodniczki. Jeden, który biegł na przedzie, usiłował trafić w Kozę oszczepem, ale wojownik bez trudu wykonał unik. Widocznie tej broni napastnicy używali głównie do polowań, pozostali bowiem nieśli tylko okrągłe tarcze i kamienne topory bojowe. Kilku miało zawieszona na szyi noże. Wszyscy byli białowłosi, z bujnymi, równie białymi wąsami. Nadciągali w wielkiej liczbie.

- Abuabu! - krzyknęli przenikliwie, docierając pod wał. Wrzask ten miał napełnić serce wroga strachem i skłonić go do ucieczki. Koza ani drgnął.

- Yerni! - zawył i usłyszał, jak w obozowisku podniosła się wrzawa. Nie dali się zaskoczyć, będą walczyć. Serce zabiło mu gwałtownie, gdy ujrzał, jak z lasu wysypują się kolejne grupy nagusów. Śnieg przestał padać. Koza zobaczył wyraźnie tłum wypełniający całą szerokość doliny. Nigdy jeszcze nie spotkał ich tylu naraz. To chyba cały szczep, może nawet nie jeden.

Z tyłu rozległy się szybkie, ciężkie kroki. Nie był już sam. Zatem czeka ich bitwa.



Gdy pierwsi napastnicy zaczęli się wspinać na wały, Koza skoczył na szczyt i potrząsnął mieczem.

- Chodźcie, kozi synowie! Zobaczcie, jak biją się Mykeńczycy.

Uniósł tarczę, odbijając cios topora, i zatopił miecz w trzewiach wroga. Nie za głęboko, był doświadczonym wojownikiem. Lekko przekręcić i wyciągnąć ostrze. Zanim jeszcze pierwszy Yerni padł, Koza ciął następnego w kark, tarczą osłaniając się z boku przed toporem. I kolejnego, i jeszcze jednego, aż krew pociekła mu po mieczu i po dłoni. Coś boleśnie podcięło mu nogi, omal nie upadł. Krawędzią tarczy odepchnął napastnika, innych miał już za plecami. Wielu, zbyt wielu jak na jednego Mykeńczyka. Przemykali bokami, wyjąc przy tym jak wilki.

Poranione nogi poddały się. Koza upadł, ale zaraz uniósł broń, by ranić przynajmniej co bliższych wrogów. Znieruchomiał dopiero wtedy, gdy zdarto mu hełm i topór zmiażdżył kości czaszki. Ostry nóż zagłębił się w szyję, oddzielając głowę od tułowia.

Obok przebiegało coraz więcej wyjących tubylców. Zdeptany śnieg utracił dziewiczą świeżość, rychło okrywając się czerwienią.



2.

Mykeny

W szarym przedświcie miasto ostro odcinało się na tle nieba i mgielki spowijającej odległe góry. Nadawało ton całej dolinie, to do niego biegły wszystkie wijące się między drzewami i polami drogi. Wzgórze, na którym znajdowały się skupiska domów, było u podstawy łagodnie zaokrąglone, potem jednak zbocza nabierały stromizny. U szczytu urwiska widniały grube mury niezdobytego grodu. Gdy tylko pierwsze promyki słońca wydobyły z szarego kamienia jasne barwy, niewidzialne dłonie otworzyły wielką bramę pod posągami stojących na zadnich łapach lwów. Nitki dymu i niezliczonych palenisk wspinały się z wolna w nieruchomym powietrzu prosto ku niebu. Pastuszek prowadził niespiesznie stadko kóz ścieżką między polami. Na drogach pojawili się mężczyźni i kobiety z pełnymi różnych dóbr koszykami w rękach. Zatrzymywali się, słysząc tętent kopyt, ze zdumieniem patrzyli na dwukonny rydwan naddciągający z grzechotem ku miastu.

Strażnicy z kordegardy też zerknęli z zaciekawieniem, gdy kopyta zastukały na kamiennym podejździe. Woźnica wyraźnie się spieszył; jeden z koni pośliznął się i bliski był upadku, trzeba było dodatkowo go pogonić. Skoro gość zjawił się świtem, to znaczy, że jechał przez noc, co nie było bezpieczne. Nie uczyniłby tego bez wyraźnego powodu. Dziwne. W Mykenach nikt nigdy się nie spieszył, pory roku zmieniały się leniwie, deszcz zraszał ziemię, zboże wschodziło, młody inwentarz dorastał, stary szedł na rzeź. Po co się spieszyć, szczególnie po nocy, po co ryzykować okalawienie czy nawet stratę cennego konia.

- Teraz go poznaję! - zawołał strażnik, wskazując włócznią z brązowym ostrzem. - To Phoros, kuzyn króla.

Odsunęli się i unieśli broń w pozdrowieniu. Biały płaszcz Phorosa nosił ślady pryskających spod końskich kopyt grud ziemi. Rumaki były wyczerpane, powożący nie był w lepszym stanie. Nie oglądając się na boki, przybysz wprowadził pojazd przez bramę i mijając królewskie grobowce, ruszył na szczyt, ku sercu Myken. Niewolnicy podbiegli, by przytrzymać konie. Phoros z trudem zeskoczył na ziemię. Zachwiał się i musiał przystanąć oparty o kamienny mur. Upiorna podróż. Nie powoził zbyt dobrze, na dodatek w głębi ducha bał się tych szlachetnych zwierząt. Mimo to przemógł strach i wyruszył w drogę. Tak jak poprzedniego dnia, kiedy to podczas rejsu wzdłuż wybrzeża wyciskał resztki sił z wyczerpanych wioślarzy. Król musi wiedzieć. Przystanął przy poidle dla koni, kilkakrotnie nabrał wody w złożone dłonie, obmył twarz i ramiona. Woda była jeszcze zimna po nocy, usuwała kurz, miłosiernie łagodziła zmęczenie. Otarł ociekające włosy i brodę połą płaszcz i zaczął się wspinać stronią ścieżką ku mieszkalnej części pałacu. Ledwo



powłócząc nogami, mijał ogrody, warsztaty i domy, w których ludzie dopiero się budzili. Stawali w progach domów i ze zdumieniem patrzyli na przybysza. W końcu Phoros stanął przed samym pałacem. Kute w brązie drzwi u szczytu kamiennych schodów były otwarte, w progu czekał najstarszy niewolnik domostwa, Avull. Skłonił się i splótł pokrzywione, trzęsące się dłonie. Chwilę wcześniej wysłał posłańca, by oznajmić królowi o przybyciu gościa.

Perimedes, król i wódz Argolidy i głowa rodu Perseusza z Myken, nie był w najlepszym humorze. Spał źle, może za sprawą wina, może przez tępy ból promieniujący ze starych ran, a może, co najbardziej prawdopodobne, gnębiony sprawą Atlantydy.

- Och, to dranie - mruknął do siebie, rozparł się w wielkim fotelu i sięgnął do stojącego przed nim koszyka po figę. Przeżuł owoc, ale nawet jego słodycz nie złagodziła zgorzknienia. Atlantyda. Już sama nazwa stawała kością w gardle, kłuła niczym żądło skorpiona.

Megaron (w pałacach mykeńskich reprezentacyjny budynek) budził się do życia. Wstanie króla znaczyło koniec snu wszystkich domowników. Chwilami dobiegały go przytłumione głosy, nikt nie miał odwagi mówić zbyt głośno o tej porze. W okrągłym palenisku pośrodku pomieszczenia podsycano płomienie, by przyrządzić mięso. Kiedyś, gdy zbudowano i pałac, i megaron, król sam rozniecił tu po raz pierwszy ogień. Nawet ten obraz z przeszłości nie rozgrzewał go dzisiaj, podobnie figi smakowały nijako. Pod pobliskim baldachimem jego dwie córki i kilka niewolnic czesały wełnę i przedły nici. Ledwo spojrzał na nie, zwiesiły głowy nad warsztatami i umilkły. Nawet z twarzą wykrzywioną gniewem, Perimedes był wciąż przystojnym mężczyzną. Ciężkie brwi, wąski nos, szerokie usta, czupryna i broda wciąż ciemne, jak w młodości, mimo upływu lat niezmiennie wąska talia. Na opalonych ramionach białały blizny po wielu ranach, przy prawej dłoni, którą sięgał właśnie po następną figę, brakowało dwóch palców. Królowanie w Argolidzie nigdy nie przychodziło łatwo.

Niewolnik Avull wszedł do megaronu przez odleglejsze drzwi, pospieszył ku władcy i skłonił się nisko.

- Co jest?

- Twój kuzyn, panie, szlachetny Phoros, syn...

- Dawaj go tu, synu kozła z syfem. Czekałem na niego. - Perimedes omal się uśmiechnął, gdy niewolnik poszedł po kapitana statku.

- Potrzebujemy cię, Phorosie. Siadaj obok, zaraz przyniosą nam wina. Jak podróż?

Phoros przysiadł na skraju ławy i wbił spojrzenie w gładki marmur stołowego blatu.



- Stryj Posejdon w swej potędze szybko przeprowadził nas przez odmęty.
- To mi nie nowina, ale nie o żeglugę chciałbym cię wypytać. Wróciłeś z gęsiami cyny?
- Tak, ale nie mam ich wiele. Niecała jedna dziesiąta ładowni.
- Czemu tak mało? - spytał Perimedes, tknięty złym przeczuciem. - Czemu tylko tyle?

Phoros nie odrywał oczu od stołu. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na postawiony przed nim złoty puchar z winem.

- Gdy przyплыliśmy mgła zalegała - rzekł - wkoło wyspy Yern zawsze jest wiele mgły. Jak się rozeszła, wplynęliśmy w ujście znanej nam rzeki. Oporządziliśmy statek, potem wystawiłem przy nim strażę i ruszyłem zarośniętą ścieżką do kopalni. Znaleźliśmy skład gęsi, ale cyny tam nie było. Przeszukaliśmy okolicę, odzyskując to i owo, ale większość zginęła. Gęsi trzyma się zawsze blisko kopalni. - Phoros uniósł głowę i spojrział z ukosa na króla. - Kopalnia została zniszczona, nikt nie ocalał.

W komnacie rozległy się szepty, to bliżej siedzący przekazywali nowinę dalej. Po chwili znów zaległa cisza. Perimedes także milczał, zacisnął tylko mocno pięści, żyły nabrzmiały mu na czole.

- A mój brat Lycos, co z nim?

- Nie wiem. Trudno orzec cokolwiek. Wszystkie ciała pozostawiono bez zbroi i ubrań i leżały tak przez wiele miesięcy, dzikie zwierzęta i ptaki dokonały reszty. Musieli stoczyć prawdziwą bitwę z tamtejszymi plemionami. Wszystkie głowy zniknęły, nie znaleźliśmy ani jednej czaszki. Yerni mają zwyczaj obcinać głowy zabitym.

- Znaczy to, że Lycos nie żyje. Nigdy by się nie poddał takim dzikusom, nie dałby się porwać.

Gniew rozpalił na nowo ból w królewskiej piersi. Perimedes przycisnął dłoń do przepony. Śmierć brata, utrata cyny i wielu ludzi, i jeszcze statki Atlantydów, wszystko naraz w ciągu kilku mrocznych dni. Chciał wykrzyczeć swój ból, złapać za miecz, zabić kogoś, wyładować się. Gdyby był młodszy, uczyniłby to bez wahania, jednak lata dodały mu rozumu. Musi stłumić gniew i zapanować nad sobą. Musi zacisnąć pięści i zastanowić się, co teraz uczynić.

- To prawda? Mój krewniak Mirisati nie żyje?

Perimedes spojrział na wzburzonego mężczyznę. To Qurra, najznakomitszy spośród kowali. Musiał przybiec od pieca, kiedy usłyszał wieści, miał bowiem na sobie i wciąż popalony niezliczonymi iskrami skórzany fartuch, pot perlił mu się na ramionach, czoło pokrywały sadze. W prawej dłoni ścisnął bezwiednie krótkie szczypce.

- Niestety - odparł Phoros. - Wszyscy w kopalni musieli zginąć. Mykeńcy nie idą w niewolę.



- Zguba! - krzyknął porywcy Qurra. - Kopalnia przepadła, ludzie zabici, nasi bracia polegli... - Potrząsnął gniewnie szczypcami. - Mirisati nie żyje, a przecież to jemu obiecałeś swą najmłodszą córkę, gdy dorośnie... - reszta słów zginęła w kaszlu, częstej przypadłości kowali wdychających opary różnych metali. Wielu umierało od tego.

- Ja go nie zabiłem - powiedział Perimedes. - Nie zrobił tego też mój brat, Lycos. Ale dopilnuję, by zostali pomszczeni. Wracaj do warsztatu, Qurra, tam służysz mi najlepiej.

Qurra ruszył do wyjścia.

- Powiedz mi jeszcze, szlachetny Perimedesie - zawołał przez ramię - jak długo czynny jeszcze będzie mój warsztat, skoro straciliśmy kopalnię?!

Jak długo? To właśnie najbardziej niepokoiło Perimedesę. Czyżby nazbyt pofolgował ambicjom? Nie, nie miał innego wyjścia. Władca myślał. Dopóki greckie miasta Argolidy wojowały ze sobą, pozostawały słabe. Lerna walczyła z Epidauros, Nemea topiła statki Koryntu, zaś w tym samym czasie jednostki Atlantydy żeglowały swobodnie, gdzie chciały, a ich kapitanowie nic, tylko się bogacili. Dopiero zjednoczone siły miast Argolidy mogły stawić czoło pradawnej potędze. Kamieniste równiny ojczyzny dawały plony, ale plonów tych było zawsze za mało. Zamorskie bogactwa kusily, na dodatek lud Argolidy zasmakował już w tych bogactwach. Odziani w brąz wojownicy z brązowym orężem mogli je zdobyć. To właśnie brąz czynił ich potężnymi. Miękka, złocista miedź była wszędzie, ale to za mało. Znanymi sobie jedynie sposobami kowale potrafili tak mieszać miedź z szarą cyną, by uzyskać szlachetny brąz. Z niego to Mykeńczycy wykuwali broń, którą w prezencie przesyłali również i innym miastom Argolidy, by związać je pod wspólnym dowództwem.

Bez brązu ten luźny wciąż związek musiał się rychło rozpaść, owocując kolejnymi wojnami, jak dawniej, jak zwykle. Mocarstwo Atlantydy znów będzie rządzić, jak zawsze. Atlantyda miała własną cynę, jej kopalnie ciągnęły się wzdłuż rzeki Danube. Mykeńczycy też ją mieli, niewiele, ale jednak. Musieli żeglować po nią przez ciepłe morze do zimnego oceanu, a nim jeszcze dalej, na pewną wyspę. Potem pozostawało pokonać całą tę drogę z powrotem, ale w ten sposób Mykeny miały brąz.

Do teraz.

- Musimy na nowo uruchomić kopalnię.

Perimedes wypowiedział te słowa głośno, nie zauważywszy, że w komnacie pojawiła się jeszcze jedna osoba. Niski i ogorzały Inteb, Egipcjanin w szacie z cienkiego, białego lnu (miast zwykłego stroju roboczego). Brzeg tuniki zdobiła złota nitka, kołnierz mienił się drogimi kamieniami. Czarne włosy lśniły od oliwy. Perimedes przypomniał sobie natychmiast, w czym rzecz.



- Wyjeżdżasz.

- Niebawem. Już skończyłem.

- Dobrze się spisałeś, nie kryj tego przed swym faraonem. Siadaj, zjedz coś z nami, nim odjedziesz.

Kobiety przyniosły szybko talerze z małymi rybkami smażonymi na oliwce, ciasteczkami z miodem i bielutkim solonym kozim serem. Inteb dobył z sakwy złoty widelec i sięgnął nim ostrożnie po rybę. Dziwny człek, za młody na swój fach, chociaż biegły w rzemiośle. Pochodził ze znakomitej rodziny, był zatem poniekąd nie tylko budowniczym, ale i ambasadorem Tutmozisa III. Znał się też na gwiazdach, potrafił czytać i pisać. Doglądał budowy nowych, masywnych zewnętrznych murów miasta, a jakby tego jeszcze było mało, jakby nie dość się wykazał mistrzostwem, to wznosił jeszcze wielką bramę. Ponad nią ustawił królewskie lwy Myken. Dobra robota, na dodatek wcale nie taka kosztowna, wynik porozumienia zawartego przez obu królów. Zajęty wojnami na południu Tutmozis III dość miał waśni z żeglarzami Argolidy, dość miał tracenia własnych jednostek i najazdów na nadmorskie miasta.

- Wyglądasz na zaniepokojonego - stwierdził Inteb tonem pytania. Jego twarz pozostała nieruchoma, nie zwykł okazywać emocji. Wyciągnął spomiędzy zębów szkielet ryby i cisnął go na podłogę.

Perimedes upił wina. Ciekawe, czy Egipcjanin słyszał już o kopalni? Ile wiedział? Lepiej, aby nie zaniósł faraonowi wieści o osłabieniu Myken.

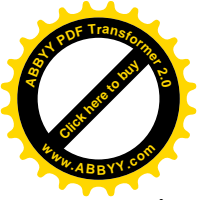
- Król zawsze ma kłopoty, tak jak życie faraona nigdy nie jest wolne od trosk. Los władców.

Jeśli nawet porównanie pana jednego miasta z boskim królem całego Egiptu uraziło Inteba, nie pokazał tego po sobie. Koniuszkami palców sięgnął po ciasteczko.

- Martwi mnie to atlantydzkie robactwo, od którego wszędzie się roi - powiedział Perimedes. - Nie dość im własnych wybrzeży, kręcą się aż tutaj, sieją zamęt między nami. Ich statki przybijają gdzie popadnie, oferują broń na sprzedaż, a nasze książątka kupują, aż furczy. Nie wiedzą, co to lojalność. Zapominają, że to Mykeny są zbrojownią Argolidy. Dopiero co statek z Atlantydy pojawił się w Asine na południu, cały pływający sklep płatnerski. Handlują sobie na naszych wodach, ale już niedługo. Ci akurat nie wrócą na Atlantyde. Mój syn, Ason, zebrał ludzi i ruszył na obcych ledwo o nich usłyszał. Możesz opowiedzieć o tym faraonowi. Czy masz moje dary?

- Są już na pokładzie statku. Pewien jestem, że faraon będzie kontent.

W tej ostatniej kwestii Perimedes żywił uzasadnione wątpliwości. Głosił wprawdzie, że król równy jest królowi, ale w głębi duszy wiedział dobrze, jak się sprawy mają. Widział Egipt, miasta



żywych i umarłych, roje ludzi i żołnierzy. Gdyby ta potęga zwróciła się kiedykolwiek przeciwko Mykenom, miasto zniknęłoby z powierzchni ziemi. Jednakże z wysokości tronu faraona małość Myken nie była zbyt dobrze widoczna. Ostatecznie uchodziły one za pierwsze i najsilniejsze miasto Argolidy. Był to dostateczny powód do dumy.

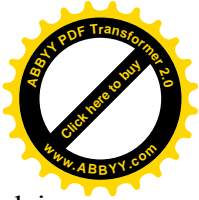
- Przejdźmy się jeszcze - zaproponował Perimedes, wstając i przypinając królewski sztylet. Na długim i wąskim ostrzu widniał wizerunek polującego lwa, ozdobiony złotem, srebrem i czarną emalią. Kanciasta rękojeść była ze złota, wieńczyła ją złota kula, jeszcze jeden znak nadwierzężonej królewskiej godności.

Szli obok siebie poprzedzani przez otwierających brązowe drzwi niewolników. Niezupełnie przypadkiem droga wypadła im przez krytą pieczarkarnię. Perimedes przystanął i spojrzał krytycznie na ogrodników przygotowujących świeży podkład z krowiego nawozu obrzucanego gałązkami. Gdy ruszali, król schylił się i zerwał pieczarkę. Obracał ją palcami, biały grzyb z jasnym trzonem i postrzępionymi brzegami. Odłamał kawałek i spróbował, podając też kęs Intebowi. Egipcjanin zjadł, chociaż nie przepadał za posmakiem pleśni. Wiedział jednak, że wśród tubylców grzyby uchodzą za przysmak.

- To historia - powiedział Perimedes, wskazując na nawóz i pieczarki, a Inteb, jako że naprawdę był dyplomata, nawet się nie uśmiechnął. Wiedział przecież, że to właśnie Mykeńczycy nadali nazwy grzybom, że ciągle jeszcze zdobili w ich kształty jelce mieczy i sztyletów. Nawet miasto swe nazwali od nich: Mycenae. Chociaż czemu, tego Egipcjanin nie pojmował, gotów uznać, że to za sprawą prostych skojarzeń. Jakkolwiek by spojrzeć, kształt grzyba kojarzył się z męskością, a ta była wśród tubylców w wielkiej cenie.

- Królewskie grzyby - powiedział Perimedes. - Perseusz znalazł je tutaj i nazwał od nich miasto. Nasza historia jest równie długa, jak historia Egiptu. Jak w Egipcie, tak i u nas żyją ludzie piśmienni, którzy zapisują dzieje.

Perimedes przystanął przed drewnianymi drzwiami i kołatał w nie, aż otworzyły się z piskiem. Stary niewolnik stanął w progu i zmrużył oczy od słońca. W dłoni trzymał tabliczkę z miękkiej gliny. Na pierwszy rzut oka poznać można było w nim mieszkańca Atlantydy, bez wątpienia porwanego niegdyś. To by było na tyle, jeśli chodzi o kulturę mykeńską, pomyślał Inteb, który nie raz i nie dwa odwiedzał bibliotekę w Tebach, widział zwoje papirusów zgromadzone we wnętrzach rozległej szych niż cały ten pałac. Udał zainteresowanie piętrzącymi się w koszach tabliczkami, zignorował zaścielające podłogę słuczki i zastanowił się, czego mogą dotyczyć tutejsze zapiski. Pewnie dzbanów, kociołków, szczypców do węgla, mebli... Lepiej będzie chyba nie wspominać faraonowi o czymś tak przyziemnym.



Zanim jednak weszli do środka, rozległ się przenikliwy krzyk. Obrócili się. Dwóch ludzi niosło niemal lecącego im przez ręce wojownika w pokrytej kurzem i krwią zbroi. Usta miał otwarte jak ktoś skrajnie wyczerpany.

- Znaleźliśmy go na drodze - wyjaśnił jeden. - Ma coś do powiedzenia. To jeden z tych, którzy poszli z Asonem.

Perimedes zdrewniał. Wiedział już, co nieszczęśnik powie, i wcale nie pragnął tego usłyszeć. Paskudny dzień, gdyby tak dało się go wymazać z życia. Chwycił rannego za włosy i tak długo uderzał nim o ścianę archiwum, aż ten oprzytomniał.

- Gadaj. Co ze statkiem?

Mężczyzna tylko szerzej otworzył usta, jak wyrzucona na brzeg ryba.

Niewolnik podbiegł z dzbanem wina. Perimedes wydarł mu naczynie i chlusnął zawartością w twarz męża.

- Gadaj!

- Zaatakowaliśmy statek, ale mieszkańcy Asine... - Zlizał z warg kilka kropli wina.

- Co z Asine? Przyłączyli się do was, prawda? Przecież też są z Argolidy. Ale co z Atlantydami?

- Walczyliśmy... - ranny cedził słowa jedno po drugim. - Walczyliśmy ze wszystkimi... Ci z Asine walczyli... ramię w ramię z Atlantydami... przeciwko nam. Było ich zbyt wielu.

- A mój syn, co z nim?

- Został ranny, widziałem, jak pada... Zginął lub jest w niewoli...

- A ty wróciłeś? Żeby mi to powiedzieć?

Tym razem król nie zdołał opanować gniewu. Jednym ruchem dobył sztyletu i zatopił ostrze w piersi mężczyzny.



Tyryns nikał już w dali, znacząc swą obecność jedynie szczytami najwyższych budynków wystających zza dominującego ponad widocznym jeszcze portem wzgórza. Zatoka Argos była spokojna i statek posuwał się z wolna w takt powolnego rytmu bębna punktującego każdy ruch wiosł. Po prawej burcie przesuwało się zielone od młodych liści wybrzeże. Poranne słońce łagodziło chłód bryzy.

Inteb oparł się o reling i wbił oczy w wodę, nie dostrzegając jednak pianistego śladu za rufą, nieświadom też obecności stojącego zaledwie o kilka kroków dalej muskularnego sternika. Wiosna zakwitła nad światem, w dolinie Nilu klekotały bociany... Niedługo będzie już w domu, po trzech latach wygnania wróci wreszcie do cywilizacji. Byle dalej od tych brudnych barbarzyńców, klótliwych Mykeńczyków. Wypełnił swoje zadanie, taka rola mu przypadła w życiu. Każdy służy faraonowi tak, jak potrafi. Inni zostają dowódcami i wygrywają wojny i chociaż zwykle kończą młodo, to jednak im żyje się łatwiej. Żołnierze to prości ludzie, ale też nie trzeba im rozumu. Nieco brutalności, co naturalne, gdy weźmie się pod uwagę, że fach ich bliski jest rzeźniczemu. Tutmozis III potrzebował takich mężów, ale potrzebował też Inteba. Czasem można zwyciężyć bez wojny, obaj dobrze to wiedzieli. Właśnie dlatego Inteb stłumił posłusznie obrzydzenie i zgodnie z wolą swego króla zawitał do świata barbarzyńców. Nie było mu łatwo, ale Tutmozis III odniósł w ten sposób tanim kosztem kolejne zwycięstwo. Inteb nie zazdrościł mu tego. Za sprawą jednego szlachetnie urodzonego i dzięki kilku darowanym niewolnikom oraz paru garściami złota uniknięto wojny i powstrzymano zbrojne napaści na Egipt. Mykeńczycy przy okazji też umocnili swą pozycję, jednak Inteb nie potrafił tych trzech lat nazwać inaczej, jak czasem wyrwanym z życiorysu i straconym.

Wszelako nie tak zupełnie. Przez długie miesiące, gdy przyszło mu sączyć zatechłe wino, znosić zimowe deszcze i letnie palące słońce, poznał jednego człowieka, którego mógł śmiało nazwać przyjacielem. Jego też pragnął zachować w pamięci. Była to zapewne przyjaźń jednostronna, dla Asona bowiem był tylko jednym z wielu mieszkańców pałacu, wcale zresztą nie najznamienitszym. Dziwne, ale to akurat Intebowi nie przeszkadzało, ostatecznie głębokie uczucie, nawet nie odwzajemnione, pozostaje uczuciem. Z przyjemnością siadał obok młodego człowieka podczas uczt i sączył wino, patrząc, jak inni upijają się na umór. Szlachetnie urodzeni w Mykenach byli gwałtownikami i prostakami. Ason dorównywał każdemu z nich z osobna, jednak przeznaczony był do większych zadań, miał zostać królem. Po ojcu, który był kimś więcej niż tylko wulgarnym barbarzyńcą, odziedziczył bystry umysł. Być może Inteb wyidealizował nieco postać



następcy tronu, ale to akurat nie było takie ważne; obecność młodzieńca uczyniła lata wygnania możliwymi do zniesienia. Chociaż nie wypowiedział ni słowa, to jednak wiadomość o śmierci Asona wstrząsnęła nim do głębi, równie silnie jak Perimedesem. Potęga Atlantydy zmiażdżyła wielkiego wojownika niczym mrówkę. Przykre, że niebawem przyjdzie Intebowi postawić stopę w kraju morderców jego przyjaciela. Poruszony tą myślą ocknął się i stwierdził, że Tyryns zniknął już zupełnie za rufą i statek wypłynął na otwarte morze, gdzie wzięły go w objęcia o wiele wyższe fale. Kapitan wyłonił się z kajuty i Inteb skinął na niego.

- Gdzie płyniemy?

- Zmieniamy kurs na wschodni, panie, prosto w poranne słońce. Kierujemy się w stronę wyspy, którą widać. Za nią jest następna. Wyspy te nazywają Cykladami, chociaż jakie która nosi miano, tego nie wiem. Biegną łańcuchem aż do wybrzeża Anatolii, przez co nie stracimy ani na chwilę łądu z zasięgu wzroku, choć pozostaniemy na głębokiej wodzie. Potem popłyniemy wzdłuż wybrzeża. Nie ryzykujemy zbyt, dopóki pogoda nam sprzyja. Gdyby szykował się sztorm, dość będzie po drodze przyjaznych portów, by do nich zawinąć.

- Nie kwestionuję ani waszej troski o moje bezpieczeństwo, ani wygod na tym statku, kapitanie. Sam trochę żeglowałem i nawet długie rejsy mnie nie przerażają.

- Nie chciałem... proszę o wybaczenie... - Dłonie kapitana okrywały blizny, skóra była zrogowaciała. Cała załoga drżała ze strachu przed ciosem jego pięści, jednak teraz to kapitan aż się przygarbił, niepewny wyroku tego szlachcica, przyjaciela faraona.

- Chcę tylko wiedzieć, czy płynąc tym kursem, będziemy mijać należącą do Atlantydy wyspę Thera?

- Tak, oczywiście, pojawi się po prawej burcie, gdy tylko miniemy los, to jedno z naszych ewentualnych miejsc schronienia.

- Chcę przybić tam do brzegu.

- Ależ dopiero co usłyszałem, że płyniemy do Egiptu, wedle rozkazów...

- Tamte rozkazy przeznaczone były dla uszu mieszkańców Argolidy, którzy bez wątpienia przekazali każde me słowo Perimedesowi. Twoją sprawą jest wieść statek, kapitanie, moją dogadywać się z królami. Płyniemy na There.

Statek minął Spetse i skręcił, zostawiając na błękitnych wodach pienisty, biały ślad. Perimedes byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że jego niedawny gość udaje się na atlantydzki dwór. Lata starań na nic, przyjaźń Myken z Egiptem zagrożona. Pozostawał skromny podstęp, tym bardziej że Atlas, morski król Atlantydy, z pewnością poczułby się urażony gdyby usłyszał, że egipski wysłannik dopiero co ucztował z wrogami mocarstwa. Taki pokaz złego smaku... Wszystkie te wojownicze państewka były dla Atlantydy niczym buszujące w gęstej sierści pchły i



zawsze pozostawało pytanie: zignorować ukąszenie czy jednak się podrapać? Ani z osobna, ani razem nie stanowiły żadnego zagrożenia dla ojczytych wysp Atlantydy, której statki pływały, gdzie chciały, po okolicznych morzach, docierając aż do Egiptu. Powiadano nawet, że blask dworu Atlantydy dorównuje przepychowi Egiptu, jednak w to ostatnie Inteb gotów był uwierzyć dopiero wtedy, gdy ujrzy to wszystko na własne oczy.

Wprawdzie bardzo chciał już wrócić do domu, ale z przyjemnością przyjął nowe zadanie przekazane mu za pośrednictwem kapitana, który wręczył mu zwój opatrzony osobistą pieczęcią Tutmozisa III, piątego króla XVIII dynastii. Rozkazy były proste: złożyć oficjalną wizytę na dworze króla Atlasa, odnowić więzy przyjaźni. Statek wiozł też prezenty dla króla, wśród nich przepyszne długie kły słoniowe, tkaniny, przyprawy, złote ozdoby i skarabeusze, nieduże bloki białego, żyłkowanego alabastru, z którego wycinano urzędowe pieczęcie. Tych ostatnich rozrośnięta potężnie machina biurokratyczna Atlantydy potrzebowała z każdym rokiem więcej. Najważniejsze jednak dla Atlasa (i dla Egiptu) były bele gładkiego i białego papirusu. Ledwo rok wcześniej papirus po raz pierwszy trafił na Atlantyde wraz z pisarzami, którzy mieli nauczyć miejscowych posługiwać się piórami z trzciny i atramentem. Rok starczył, aby Atlantydzii uznali wyższość papirusu nad kruchymi glinianymi tabliczkami i niecierpliwie wypatrywali nowej dostawy materiałów piśmiennych. Jednak podarunki zobowiązują do rewanżu; Inteb otrzymał instrukcje, by wspomnieć we właściwej chwili, jakim to pożądanym surowcem jest w pozbawionym drzew Egipcie tarcica, szczególnie drewno cyprysów. To da się zrobić.

Trzeciego ranka obły masyw wyspy Thera wyłonił się zza horyzontu. Inteb wystroił się w najlepszą lnianą szatę, nałożył złote bransolety i przysiadł spokojnie, gdy stary niewolnik namaszczał mu oliwą i rozczesywał włosy. Ostatecznie miała to być oficjalna wizyta. Nawet kapitan ubrał czystą tunikę i spróbował się ogolić, skutkiem czego sporą część jego oblicza pokrywały zaschnięte ślady krwi.

- Przybijaleś już tutaj? - spytał Inteb.
- Raz, wiele lat temu. W całym świecie nie znajdzie się niczego podobnego.
- W to mogę uwierzyć. Jeśli raporty mówiły prawdę...

Wyspa niczym zielony klejnot wyrastała z morza, gaje oliwne i palmy daktyłowe zstępowały szereg za szeregiem ze wzgórz ku wybrzeżu, między nimi widniały łąty świeżo obsianych pól. Nad samą wodą, w zatoczce, przycupnęła wioska rybacka. Na czerwonym piasku plaży leżały nieduże łodzie. Przez chwilę w luce pomiędzy wzgórzami mignęło leżące w głębi



wyspy miasto z wznoszącymi się tarasowo kolorowymi budynkami. Zaraz zbocze przesłoniło widok, a statek skierował się na zachód, by opłynąć wyspę.

- Zwinąć żagiel - rozkazał kapitan.

Pokład zaroił się od marynarzy, którzy odwiązali od relingu liny podtrzymujące od dołu kwadratowy żagiel. Inni zwolnili zrobioną z włosia końskiego i konopi linę, biegnącą przez natłuszczoną dziurę w szczycie masztu, i żagiel opadł powoli wielkimi fałdami na pokład. Zaraz też obwiązano go mocno i złożono wzdłuż burty, a kapitan nakazał opuścić także sam maszt.

- A to po co? - spytał Inteb. Nigdy nie słyszał, by robiono takie rzeczy jeszcze na morzu.

- No bo ta wyspa... Sam zobaczysz, panie - odparł tylko, nader zajęty. Inteb powściągnął ciekawość. Nie należy przeszkadzać marynarzom w ich robocie.

Maszt siedział w gnieździe blokowany masywnymi klinami, które trzeba było wybić uderzeniami ciężkich, drewnianych młotów. Było przy tym dużo krzyku i przeklinania w wielu językach, aż w końcu maszt legł obok żagla. Tymczasem statek kołysał się bezwładnie na falach i Inteb zmówił w myślach krótką modlitwę dziękczynną do Horusa, gdy ujrzał, jak wiosłarze zajmują wreszcie swoje miejsca przy wiosłach. Ruszyli z wolna dalej, docierając do ostro wznoszącej się w skalisty ład zatoki. Ściany długiego kanału wznosiły się pionowo od poziomu wody. Kapitan sam stanął przy piórze sterowym, by wprowadzić statek w cieśninę.

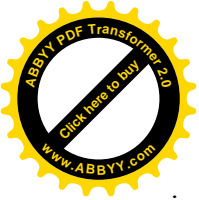
Gdzieś z góry dochodził czysty głos rogu. Inteb przysłonił oczy dłonią. Na tle nieba dojrzał kilka sylwetek żołnierzy w hełmach. Stali na szczycie urwiska, zapewne nadzorując wejście do portu i obwieszczając przybycie każdego statku. A może i więcej. Nie trzeba było bujnej wyobraźni, by ujrzeć zgromadzone na górze stosy głazów, które w każdej chwili można było stoczyć na nieproszonego gościa. Może mieli tam i wiadra z gotową do podpalenia smołą. Świetne miejsce do obrony.

Jeszcze jeden zakręt i strome zbocza odsunęły się, zmałyły, a kanał zwęził się jeszcze bardziej. Prosto jak strzelił biegł przez tarasy pól. Wieśniacy odrywali się na chwilę od pracy, by spojrzeć na mijający ich z wolna statek.

- To sztuczny kanał? - spytał Inteb, a kapitan przytaknął. Nie odrywał oczu od dziobu, a dłoni od steru.

- Słyszałem o nim. Wprawdzie Atlantydzi uwielbiają snuć bajdy, jednak to chyba prawda. Przejście przez skały to nie ich robota, ale taki kanał można wykopać z łatwością, jeśli ma się dość ludzi i czasu.

Prosty jak strzała kanał kierował się ku wzgórzom w głębi wyspy. Jak na razie nie było widać ani śladu miasta, ale z przodu pojawił się inny statek. Widząc to, kapitan rozkazał wiosłarzom skierować się w stronę brzegu. Obcy statek zbliżał się szybko i już po paru chwilach



ujrzeli sterczące ponad dziobem rogi i wymalowane pod nimi gorejące ślepia. Była to triera Atlantydów, długa na czterdzieści kroków, z rzędami zgranych białych wiosel, opadających i wznoszących się niczym skrzydła wielkiego morskiego ptaka. Przesunęła się obok, górując nad pokładem egipskiego statku, rytm bębna zabrzmiał niczym uderzenia serca. Po każdej burcie było przynajmniej piętnaście wiosel, zbyt wiele, by policzyć je w krótkiej chwili mijania. Marynarz na dziobie zerknął z ciekawością w dół, po chwili jeszcze dwóch innych wyjrzało przez reling. A ilu nie dało się dostrzec? Oficerowie nosili brązowe zbroje zdobne klejnotami i malunkami, hełmy z piórami. Oni zignorowali gości, podobnie jak siedzący z nimi gruby kupiec. Śmiali się z czegoś, unosząc upierścienionymi dłońmi złote pucharki. Obraz siły i bogactwa.

Wysoka rufa i ster przesunęły się obok, zostawiając pianę i fale, które przez dłuższą chwilę kołysały egipskim statkiem.

- Od brzegu! - krzyknął kapitan i jednostka znów popłynęła środkiem kanału. Wskazał przed dziób. - Tam, panie, widać już, czemu kazałem położyć maszt.

Kanał niknął w mrocznym otworze w zboczu wzgórza. Wioślarze też go zauważyli. Zaczęli się trwożnie rozglądać i szemrać, aż stracili rytm. Kapitan uniósł obie pięści i ryknął na załogę głosem tak doniosłym, że nawet podczas ciężkiego sztormu byłoby słychać go na całym pokładzie:

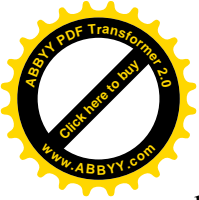
- O wy, syny beznosych kurw, o trupie wszy! Pilnować wiosel albo życie z was wychłostam, ze skóry obedrę i na żagiel przerobię! To tylko tunel, nic więcej. Płynąłem już nim, biegnie prosto, ale jest wąski. Uważać na wiosła i nie złamać mi żadnego. Jeśli nie boicie się ciemności, to szybko będziemy po drugiej stronie.

Pochłonęła ich ciemność. Dla wioślarzy było to nieciekawe doświadczenie, siedząc bowiem plecami do dziobu, widzieli tylko malejące coraz bardziej wejście i mogło im się zdawać, że oto trzewia ziemi otwarły się, by połknąć statek. Dźwięk bębna odbijał się echem od skał sklepienia, przetaczał się przez tunel z hukiem gromu.

Gdy oczy przywykły już do mroku, z tylnego pokładu dostrzec można było wylot tunelu, coraz bliższy krąg światła. Kapitan trzymał kurs i zachęcał ludzi do wzmożonego wysiłku, jednak zamilkł, gdy jego głos wrócił echem przypominającym dziki śmiech szaleńca.

Cała przeprawa przez podziemia nie trwała długo i statek płynął znów w blasku słońca. Wraz ze światłem pierzchły lęki. Inteb zamrugał i aż otworzył usta, tak był zdumiony tym, co ujrział.

Wpłynęli do kolistego basenu i Inteb po raz pierwszy uświadomił sobie, jak duża i różnorodna jest ta wyspa, będąca w gruncie rzeczy dawnym wulkanem. Lawa spłynęła i ostygła, a woda wypełniła wnętrze krateru, tworząc lagunę otoczoną jeszcze jednym, niższym obwałowaniem. Basen pośrodku wyspy okalały łagodnie nachylone zbocza wzgórz, na których



rosły osłonięte przed wiatrami winogrona, kielkowały z wolna zboża. Domy, zarówno proste chaty, jak i wspaniałe rezydencje, przycupnęły w cieniu drzew. W centrum laguny znajdowała się wyspa połączona z resztą lądu licznymi mostami. Tam cumowały niezliczone szeregi atlantydzkich statków. Triery i dziobate okręty wojenne, pękate statki handlowe i szybkie galery. Dalej widniały zatłoczone przystanie i magazyny, jeszcze dalej zaś wyrastało wzgórze zwieńczone cytadelą. To ją właśnie Inteb widział jeszcze z morza.

Oto była metropolia, królewskie miasto Atlantydy.

Wioślarze zamarli w bezruchu, podobnie jak Inteb wpatrzeni w cuda tego świata. Statek dryfował po lagunie. Na zboczach wkoło mieniły się kolorami kopuły domów i dwupiętrowych rezydencji, wszystkie przystrojone błękitnymi, czerwonymi i białymi kafelkami przetykanymi poziomymi pasmami cennych metali. Na szczycie stał pałac. Błyskał w słońcu czerwonymi kolumnami w stylu atlantydzkim, zwężającymi się ku dołowi, piętrzył się loggiami. Szczyt dachu i główne wejście przyozdobiono nadnaturalnej wielkości byczymi rogami, połyskującymi metaliczną czerwienią, charakterystycznym kolorem stopu złota i miedzi.

- Kim jesteście i czego tu szukacie? - odezwał się ktoś chropawym głosem, usiłując przemówić w języku przybyszy. - Mówcie!

Inteb wyjrzał przez reling i ujrzał łódź strażnika, który podpłynął milczkiem, gdy załoga podziwiała widoki. Tuzin wioślarzy siedział przy burtach, a na rufowym pokładzie stało kilku wojowników w pancerzach i z marsowymi minami oraz jakiś urzędnik na służbie. Jego szata musiała być niegdyś biała. Na szyi nosił niemal zupełnie zasłonięty przez bujną siwą brodę znak swej godności. Był łysy, skóra na głowie poczerniała od słońca. Miał tylko jedno oko, w miejscu drugiego widniała tylko zablizniona rana. Otwierał już usta, żeby znów coś powiedzieć, ale Inteb go ubiegł. Oparł się o reling w taki sposób, by ukazać wyraźnie swe bransolety i klejnoty na kołnierzu. Słyszał już kiedyś mowę Atlantydów. Nie różniła się ona zbyt od języka mykeńskiego. Postanowił więc posłużyć się tym właśnie językiem.

- Jestem Inteb, wysłannik Tutmozisa III, faraona Górnego i Dolnego Egiptu. Przybyłem tu, by przekazać jego słowa twemu panu. Teraz ty mów, kim jesteś i czego chcesz.

Ostatnie zdanie zawierało wiele gniewnych tonów, co przyniosło zamierzony efekt. Mężczyzna spróbował na ciasnym pokładzie przybrać jak najbardziej uniżoną pozę, nie opuszczając jednocześnie głowy.

- Witaj, witaj, panie, na tych wodach, w tym świętym miejscu i na dworze Atlasa, króla Atlantydy, władcy Krety, Melos, los, Astypalaji i wszystkich wysp leżących w odległości dnia żeglugi, i wszystkich statków na tym akwenie. Jeśli zechcecie podążać za mną, poprowadzę was ku przystani przystojnej waszemu statkowi.



Warknął na wioślarzy i łódź ruszyła, wiodąc za sobą powoli egipski statek. Opłynęli wyspę i skierowali się do następnego tunelu, także kanału, którego strop wzmocniono drewnianymi dźwigarami. Przez kwadratowe wywietrzniki w dachu wpadały promienie słońca. Kapitan wskazał na te otwory.

- I to też dostosowali do obrony. Na górze trzymają głazy, którymi można zatopić statek.

Ten tunel był krótszy niż pierwszy. Z góry dobiegał zwykły zgiełk miasta. Płynęli kolejnym otwartym kanałem, który niczym pierścień wodny otaczał wysepkę, serce Thery. Zacumowali przy wielkich schodach z czarnego i czerwonego kamienia. Od słońca chronił przystań wielki, drewniany baldachim pomalowany na jasny szkarłat i ozdobiony byczymi rogami, prawie takimi samymi jak te widniejące na pałacu. Inteb dojrzał czekających na brzegu wojowników i lektykę; wieści o przybyciu gościa musiały sporo wyprzedzić jego statek. Poczekał jeszcze na zamocowanie cum i zwrócił się do kapitana.

- Przygotuj dary od faraona i każ niewolnikom zanieść je moim śladem. Nie pozwalaj, żeby więcej niż połowa załogi schodziła równocześnie na ląd. Gdybyś sam zechciał się upić czy pójść się zabawić, zostaw wiadomość, gdzie cię szukać.

- Kiedy wypłyniemy, panie?

- Nie wiem. Zabawię tu co najmniej dzień. Gdy przyjdzie pora, dam ci znać.

Rogi zagrały znów, gdy Inteb schodził na ląd. Komitet powitalny skłonił się i poprowadził wysłannika do lektyki. Ledwie usiadł, ośmiu niewolników podniosło palankin. Na ramionach, w miejscach gdzie opierali żerdzie, mieli ropiejące rany, skóra ich spływała potem, gdy wspinali się na strome wzgórze. Tego jednak Inteb nie zauważył, podziwiał miasto i jego mieszkańców. To było zupełnie inne miejsce niż te, które dotąd oglądał. Owszem, Teby urosły większe, ale inaczej. Atlantyda uderzała bogactwem kolorów tak intensywnych, aż oczy bolały. Istna dżungla pełna fantastycznych ptaków i roślin. I tutaj były te dziwne, przypominające ludzi stworzenia wspinające się swobodnie na szczyty dachów i żerdzi. Inteb widział już wcześniej te zwierzaki, ale nigdy tak kolorowe. Skąd ci ludzie je sprowadzali? Były też juczne osły, a nawet spoglądające z otwartych okien na ulicę koty. Najbardziej zainteresowały go jednak słonie, najwyraźniej posłuszne woli powożących. Niepodobne zupełnie do wielkich, afrykańskich słoni bojowych, małe jak konie, o jaśniejszej znacznie skórze. Piesi rozstępowali się przed nimi, czasem sięgając ręką, by dotknąć boków bestii, jakby na szczęście.

Dotarli na szczyt akropolu, gdzie białe otynkowane mury pałacu. Majestat, który mógł się równać z dostojnością Egiptu. Gdy lektyka spoczęła na ziemi, otwarły się brązowe wrota głównego wejścia i od progu skłonili się słudzy w błękitnych, królewskich szatach.



Pod arkadami stały dwa szeregi czarnych jak heban Nubijczyków sprowadzonych tu w swoim czasie z Egiptu. Ubrani byli w skóry lampartów, w dłoniach trzymali włócznie. Dalej rozciągała się olbrzymia sala zakończona szerokimi schodami. Wszystko to pogrążone było w półmroku, rozpraszany jedynie przez miękki blask światła padającego przez rząd okienek umieszczonych ponad bocznymi "nawami". Z dali dobiegało śpiewne zawroscenie i woń kadzidła, poza tym panowała cisza przerywana jedynie odgłosem ciężkich kroków podążających za Egipcjaninem niewolników. Czasem mijali ich mężczyźni o wąskich biodrach, w ciasno dopasowanych, krótkich szatach. Niezmiennie obdarzali gościa zdumionymi spojrzeniami. Na ścianach widniały freski przedstawiające podobnych im młodzieńców, tańczących, zmagających się z ujętymi za rogi bykami. Na malunkach pojawiały się też osobliwe ryby, wywijające licznymi ramionami głowonogi i powłóczyste podwodne rośliny, a nawet ptaki i kwiaty. Spotykali także kobiety, które były równie niebezpiecznie urodziwe jak mężczyźni. Nosiły wielowarstwowe spódnice i małe kapelusiki umocowane na czubkach misternie upiętych włosów, piersi zwykle miały obnażone, pełne przy tym, z sutkami pomalowanymi na niebiesko. Niektóre stroiły się jak na polowanie, które tutaj odbywało się zawsze w należącej do króla rezerwacie. Widać tam się właśnie udawały. Miały wysokie do pół łydki buty i krótkie, zielone spódniczki kończące się ponad kolanem, spięte w pasie szerokim, nabijanym brązem, skórzanym pasem. Podtrzymujące go paski krzyżowały się na mostku, podkreślając linię niczym nie przesłoniętych piersi. Niewątpliwie kobiety te przyciągały uwagę, chociaż Inteb uznał je za nazbyt wyzywające, w złym guście. Wyszli na pozbawiony dachu dziedziniec, stanęli znów w blasku słońca. To było samo serce pałacu.

Król Atlas musiał już otrzymać wiadomość o przybyciu Egipcjanina, siedział bowiem na alabastrowym tronie z wysokim oparciem, w otoczeniu dworzan. Odprawiał właśnie jakichś urzędników ściskających w dłoniach gliniane tabliczki i strażników prowadzących więźnia zakutego w drewniane kajdany. Inteb zatrzymał się w cieniu i poczekał, aż scena nieco się przecedzi i będzie mógł wkroczyć na nią z namaszczeniem, jak przystoi człowiekowi jego rangi. Więzień był prawie nagi, sponiewierany przy tym i brudny, ze śladami zaschniętej krwi. Jeden ze strażników popędził go, uderzając w żebra ręką miecza, aż młodzieniec potknął się i obejrzał, by obrzucić tamtego przekleństwem.

Inteb zamarł.

To był Ason, syn Perimedes, książę mykeński.

Tym razem strażnik wymierzył silniejszy cios i zgięty wpół Ason został wywleczony z atrium.



- To świetne wino, szanowny Intebie - powiedział król Atlas, klepiąc wysłannika po ramieniu, jakby chciał podkreślić prawdę zawartą w swych słowach. Palce miał grube niczym serdelki, białe i upierścienione. - Pochodzi z winnic leżących na południe od Knossos. Skórki owoców zostawia się do fermentacji, co daje tę barwę głębokiej purpury i niepowtarzalny aromat. Wino trzeba rozcieńczać wodą w proporcji jeden do dziesięciu, takie jest mocne.

Wysoka na połowę wzrostu mężczyzny amfora została lekko przechylona, tak by wino wypływało z niej, niosąc możliwie mało oliwy, która unosiła się na górze, nie dopuszczając powietrza do trunku. Kuty złoty puchar, zdobny w sceny okiełzania dzikiego byka, został napełniony do połowy, potem niewolnik z namaszczeniem zebrał gąbką kilka złocistych oczek oliwy, a Atlas własnoręcznie dolał do wina zimnej wody i podał naczynie Intebowi. Ten upił łyk i skinał głową.

- Rozkoszny trunek, Atlasie. Podwójny to zaszczyt otrzymać taki poczęstunek z twoich rąk.
- Winienesz zabrać go trochę dla faraona. Dziesięć, nie, dwadzieścia amfor to odpowiednia liczba.

Inteb znów przytaknął i uśmiechnął się. Zadowolony z siebie upił kolejny łyk. Co za beczka łoju, pomyślał o gospodarzu. Wiedział, że w młodości Atlas był dzielnym żeglarzem, że pływał aż do Złotego Rogu i dalej, na Morze Wschodnie, w górę rzeki Danube na północ, gdzie wysokie drzewa rosną zwartym gąszczem, aż nieba spod nich nie widać, i gdzie odziani w futra ludzie walczą na kamieniu, wywijając długimi jak u zwierząt ogonami. Tak przynajmniej powiadano. Jeśli w obecnej, baryłkowatej postaci kryły się jeszcze resztki tamtej dziarskości, to nie dawały nijak znać o sobie. Zwały cielska, wałki tłuszczu, rozciągnięta, bezwłosa skóra niczym u ogolonego kapłana. Brak było nawet brwi i rzęs, a skryte w fałdach obwisłej twarzy zielonobłękitne oczy pozostawały niezmiennie poważne, chociaż gospodarz często rozciągał pomalowane usta w uśmiechu, ukazując kilka brunatnych pieńków zepsutych zębów. Na dodatek, jakby bogowie postanowili zażartować sobie, kształtując to ludzkie indywiduum, jeden policzek i przyległe do niego ucho płonęły purpurą, szczęśliwie dotyczyło to lewego profilu, obecnie niewidocznego dla Inteba. Tak, w młodości był to z pewnością zuch, który przetrwał mimo licznych znaków niełaski niebios. W Egipcie nie miałby szans, ledwie urodzony zostałby splawiony Nilem ku uciesze świętych krokodyli, kładących kres istnieniu takich maszkar.

- Opowiedz mi o Egipcie - powiedział Atlas, spoglądając na gościa kątem oka i szybko odwracając głowę.



Inteb cmoknął, by okazać ukontentowanie poczęstunkiem, i pomyślał, że wprawdzie ten człowiek wygląda jak utuczona na święto świnia, to jednak pozory muszą mylić, skoro utrzymuje się u władzy od trzech dziesięcioleci. Duch musi w nim jarzyć się mężny, mało który z władców bowiem potrafi dokonać takiej sztuki. Na dodatek pewnie domyślał się czegoś, a może wręcz wiedział, zatem najlepiej będzie trzymać się prawdy. Inteb przywykł do dworskich intryg i duszna atmosfera niedomówień była mu dziwnie miła po latach wygnania.

- Niewiele mam do opowiedzenia, królewski Atlasie. Od wielu miesięcy jestem w podróży i dawno nie widziałem już ojczystych stron.

- Naprawdę? Ciekawe. No to opowiedz mi o tych podróżach.

- Znudziłbyś się. Większość czasu spędziłem między barbarzyńcami.

- Tak czy tak, opowiedz, w każdej historii można znaleźć coś intrygującego. Dobrze jest popijać nawet kwaśne wino, gdy polowanie w toku, dobry jest pieczony niedźwiedź, gdy rozbija się już obóz. - Zimne oczy błysnęły dziwnie. - A młodzi chłopcy z krągłymi tyłeczkami dobrzy są zawsze i wszędzie, co? A brzuchate i piersiaste dziewczyny niemal im dorównują...

Inteb nabił na swój złoty widelec kawałek mięsa, starannie obtoczył je w pikantnym sosie i przeżuł. Chyba nie uda mu się ominąć tego tematu.

- Najdłużej byłem w kamienistej krainie Mykeńczyków. Polecenie faraona.

- Budowałeś im mury, aby lepiej mogli wojować z Atlantydą, co Intebie?

Zatem wiedział, pomyślał Inteb, i tylko naprowadzał rozmowę na pożądaný temat.

- Nie dla wojowania, królewski Atlasie, który rządysz morzami i brzegami, gdziekolwiek zapragniesz wysłać statki. Nie ma nic interesującego w tej słońcem spalonej skale. Solidne mury są im potrzebne na wypadek wojen z innymi plemionami i zbuntowanymi wieśniakami. Ale tyle to sam wiesz. Musisz widzieć daleko i szybko jak Horus.

- Nie, mam tylko szpiegów. Kupionych za kilka kozich bobków, ale byłbyś zdumiony, jakie wieści mi czasem przynoszą.

- Teraz, gdy ujrzałem już przepych twego dworu, mało co może mnie zdumieć - powiedział Inteb, kłaniając się lekko.

Atlas roześmiał się i wziął całego, ociekającego miodem pieczonego kurczaka.

- Faraon ma szczęście do poddanych. Chciałbym mieć takie sługi. - Rozdarł kurczaka na dwoje. Dalszy ciąg przemowy był nieco niewyraźny za sprawą oddzieranych zębami kawałków mięsa, którego pasemka wypadały przy każdym słowie z ust, miód ciekł królowi po brodzie. - Perimedes potrafi żądlić jak giez. Twój faraon mądrze czyni, kupując go sobie murami i wielką bramą wzniesioną praktycznie i tak przez mykeńskich niewolników. Teraz statki tego królika pływają już prawie wszędzie.



- Ale nie pokazują się na wodach Atlantydy?

- Oczywiście, że nie. Nie twierdziłem, że to głupiec. Ale skutkiem takiego stanu rzeczy dzieło, którego dokonałeś w Mykenach, nijak mnie nie niepokoi. Mam tylko nadzieję, że zdążyłeś się porządnie wykapać po odwiedzeniu tej kloaki...

- I namaściłem się jeszcze wonnymi olejkami, a także spaliłem stare ubranie. Inaczej nie przybyłbym na dwór Atlantydy.

Obaj wybuchnęli śmiechem i Inteb poczuł ulgę, ale zachował czujność. Pod ohydą postacią drzemał ciągle dawny, młody Atlas, dzielny żeglarz i wojownik. Jego obecność zdradzały jedynie zimne błyski oczu, ale Inteb wyczuwał już teraz coś więcej. Ten człowiek nie rządził jedynie dzięki prymitywnej sile: na dworze Atlasa unosił się delikatny, ale wyraźnie wyczuwalny odór intrygi. Na wyściełanych ławach pod ścianami spoczywali bogaci kupcy i armatorzy. Popijali, pogryzali to i owo, śmiali się głośno i rozmawiali pod freskami z wesołymi delfinami, ale nieustannie zachowywali czujność. Zupełnie jak lwy odpoczywające po udanym polowaniu, gotowe jednak zerwać się w każdej chwili i walczyć od nowa. Plotąc trzy po trzy, spoglądali jednak czujnie wkoło, by niczego nie przeoczyć, zaś w centrum ich zainteresowania był stojący pod ścianą tron Atlasa.

Przełożony kancelarii odczytywał królowi listę otrzymanych właśnie darów. Mówił głośno, by wszyscy mogli go słyszeć. Na bogatej Atlantydzie nie poeci bawili władców, ale zarządcy prawiący o stanie spiżarni.

- ...i trzy dzbany, trzy kociołki na trójnogach, trzy dzbany do wina, oliwa, jęczmień, oliwki, figi, pszenica, żywy inwentarz, wino i miód, wszystko to są dary kupca, sumiennego Mattisa, który właśnie powrócił z długiej podróży.

Sumienny ów kupiec Mattis musiał mieć przede wszystkim apetyt, krągły był bowiem niczym melon. Wstał, skłonił się królowi, a ten odpowiedział mu toastem. Lista jednak miała ciąg dalszy.

- Dalej sześć kraterów do mieszania wina, trzy rondle do gotowania, jedna chochła, szczypcy do węgla, jedenaście stolików, pięć krzeseł, piętnaście podnóżków...

I tak dalej, i tak dalej, aż Inteb przestał słuchać, chyba jako jedyny. Reszta nastawiała uszu, kiwając głowami, gdy wymieniano coś nadzwyczajnego. Wniesiono kolejne dania, głównie drób. Najpierw ptaszki tak małe, że jeden starczał akurat na kęs, potem większe sztuki i dziczyznę. Następnie przyszła pora na dary oceanu: błękitno-czarne małże w skorupach, głowonogi w sosie z własnego atramentu, drobniutkie pieczone rybki, wielkie gotowane dzwonka. W tym kraju ryby były uznawane za szczególny przysmak i poświęcano im niemal tyle samo uwagi co kobietom, które również były tu obecne. Widząc owoce morza, biesiadnicy popadli w niejaką rozterkę,



rozstrzygając ostatecznie kwestię na rzecz nowych półmisków i zostawiając świeące gołymi biustami damy same, co najwyżej ze śladami brudnych od sosu i tłuszczu paluchów na piersiach.

Przeglądając się tak wszystkim, Inteb poczuł nagle, że też jest obserwowany. Spojrzał na siedzącego po prawej stronie młodzieńca: był to Themis, trzeci syn Atlasa. Inteb uniósł puchar z winem i uśmiechnął się do młodzieńca. Jednocześnie poczuł, że chyba wpada w sam środek jakiejś tutejszej intrygi.

Themis był przystojny i niewątpliwie dobrze o tym wiedział. Wąski w biodrach, z szerokimi barkami, jak na Atlantyda przystało, w dopasowanej, krótkiej szacie zasłaniającej tylko to co trzeba i odsłaniającej wspaniale umięśnione nogi. Pierś miał pozbawioną włosów, gładką i również dobrze umięśnioną. Mimo solidnej postury, z oblicza wyglądał na osobę wrażliwą, ze smukłym nosem i pełnymi wargami. Zdradzał wyraźne podobieństwo do ojca. Ciemne włosy otaczała kuta złota obręcz ponad wysokim czołem. Zauważywszy spojrzenie Inteba, też uniósł swój kielich.

- Zdajesz się mierzyć nasz dwór krytycznym okiem, panie. Wyobrażam sobie, że daleko mu do znakomitości i bogactwa Egiptu, do których pewnie przywykłeś?

- Ostatnimi czasy i tak musiałem się zadowalać głównie zatęchłą oliwą, ale nie o to chodzi. Podziwiam was. Nie umniejszając nijak znamienitości Egiptu, mogę przyznać, że wasze miasto i ten pałac to prawdziwe cuda. Wasze malowidła wręcz przyciągają oczy. Owszem, podoba nam się wasza sztuka, jej maniera i technika, ale teraz dopiero poznałem, jak malarz może przenieść widza na otwarte morze lub do krainy kwiatów i zwierząt. Nieskończona różnorodność. A ci ludzie walczący z bykami! Wydaje mi się, że zaraz zeskoczą na podłogę, prosto pod moje stopy. A tamten wielki byk lada chwila weźmie mnie na rogi.

- Zatem widziałeś kiedyś, jak tańcuje się z bykami?

- Nie, ale mam nadzieję ujrzeć to pewnego dnia. Czy ty też to potrafisz?

- Poznałeś? - Themis roześmiał się i wrzucił ramionami. Węzły mięśni zagrały pod skórą. Młodzieniec świetnie wiedział, jaki efekt może to wywrzeć na gościu. - Jestem kimś więcej. Jestem pierwszym pięściarzem tego miasta.

- Tego nie wiedziałem. Co oznacza to dziwne słowo?

- Jeśli tak, to musisz przed odpłynięciem zobaczyć, na czym polega ten szlachetny sport. Wyobraź sobie dwóch nagich mężów, których ciała natarte zostały oliwą. Stają naprzeciwko siebie z dłońmi owiniętymi skórą. Zadają sobie ciosy, bronią się przed uderzeniami. Zwykły człowiek umarłby od tego. - Themis upił nieco wina i sięgnął po stojący na blacie puchar. - Znaście tę grę? - spytał, potrząsając pucharem, który dziwnie zagrzechotał.

- Mamy w Egipcie coś podobnego, ale chyba reguły są nieco inne.



Themis obrócił puchar i ukazał trzy kości do gry.

- Sześć, trzy i dwa, nie tak źle. Reguły są całkiem proste. Wyższy numer wygrywa.

Najwyższa wygrana to Afrodyta, trzy szóstki, najgorszy wynik to same jedyńki. Zagramy?

Zanim Inteb zdołał odpowiedzieć, dosłyszał kierowane doń wezwanie. To był Atlas. Egipcjanin obrócił się czym prędzej.

- Spójrz no, Intebie, czy widziałeś kiedyś coś bardziej żalosego niż to tutaj?

Inteb zerknął na stojącego przed królem więźnia. Poobijany, brudny, nagi, w drewnianych kajdanach na rękach i nogach. Ason, syn Perimedes, w towarzystwie dwóch strażników.

Inteb myślał o więźniu przez cały wieczór. Wcześniejszy widok Asona zapowiadał tę chwilę. Inteb wiedział, że Atlas nie zrezygnuje ze sposobności, by zaprezentować Asona, osobę bez wątplenia mu znaną. Inteb zatem był przygotowany i zareagował tym razem spokojnie, nie dał się zaskoczyć. Zmierzył Asona spojrzeniem od stóp do głów, nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy.

- Wygląda na Asona, syna Perimedes. Z jakiego to powodu traktujesz tak szlachetnie urodzonego męża, królu Atlasie?

Cisza zapadła przy stołach, uśmiechy zniknęły. Atlas zacisnął usta, spojrzał na Inteba wzrokiem jadowitego węża. Gość wytrzymał, a nawet odwzajemnił spojrzenie. Atlas był władcą absolutnym, wszelako Inteb pochodził z Egiptu, przybył w przyjacielskiej misji jako wysłannik faraona. Należało o tym przypomnieć. Egipt pragnął pokoju zarówno z Atlantyda, jak i Mykenami, i to akurat było ważniejsze niż wszelkie różnice poglądów. Atlas chyba to rozumiał, powstrzymał się bowiem od odpowiedzi, tylko uśmiechnął się lekko. Oczy jednak wciąż miał lodowate.

- Szlachetnie urodzony? Może ktoś gdzieś uznaje szlachetność tego kutasa, ale na Atlantydzie nic to nie znaczy, mój mały egipski przyjacielu. Tak, on rzeczywiście pochodzi z tego kłótnego szczepu, o którym wcześniej rozmawialiśmy.

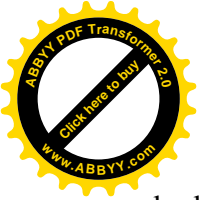
- Ty tutaj! - zakrakał Ason, rozpoznając wreszcie Inteba. - Zdrajca... - Spróbował się wyrwać, ale strażnicy powalili go na kolana.

Atlas aż zatrząsł się od gromkiego śmiechu.

- Widzisz, Intebie? Ta istota nie pojęła nawet twoich słów, chociaż pragnąłeś stanąć w jej obronie. Dzielny to postępek, Intebie, ale bezcelowy. Szkoda strzepić język, to tylko brudny barbarzyńca.

- Pasuję zatem akurat do tego chlewa! - krzyknął wywijający się strażnikom, kaszlący Ason.

Goście ryknęli śmiechem. Nawet Inteb pozwolił sobie na uśmiech, by okazać, że jest człowiekiem cywilizowanym i dostrzega komizm tych słów. Atlantyda i Egipt były krajami cywilizowanymi, posiadającymi własną sztukę i kulturę, i tym właśnie różniły się od ludzkiego



bydła wkoło, prostactwa grzebiącego zaostrozonymi kijkami w ziemi w poszukiwaniu żeru. Może na tej kupie kamieni, które zwały się Mykenami, ten osobnik był kimś, ale tutaj nie miał żadnej rangi ni znaczenia. Każdym gniewnym słowem Ason tylko utwierdzał słuchaczy w tym mniemaniu i podsyczał śmiech.

- Zabiję... - warknął Ason.

- Chyba zębami, bo oni nie znają oręża - krzyknął Themis i goście znów zachichotali.

- Zupełnie jak pies na śmietniku - krzyknął ktoś inny. Ason poszukał nowego adwersarza wzrokiem i wyszczerzył zęby.

- Ty... wszyscy jesteście... skurwysynami! Mieczem bym was pozabijał!

- Mieczem? - Themis uniósł brwi w komicznej parodii zdumienia. - Dalibyśmy ci miecz, ale czy potrafisz utrzymać coś takiego swoimi łapami?

Przez salę przetoczyła się kolejna fala śmiechu. Ason krzyczał coś, ale jego głos ginął we wrzawie, a wykrzywiona wściekle twarz więźnia tylko pobudzała wszystkich do coraz większej wesołości.

Wszystko to stało się nagle. Niewolnik niosący gorący kociołek nalewki rybnej mijał właśnie Asona, który pociągając eskortę za sobą, zdołał podciąć usługującemu nogi. Niewolnik upadł, upuszczony kociołek pękł i parząca zawartość dosięgła Themisa. Niewolnik i strażnicy utworzyli na podłodze jeden kłęb, Ason zaś runął na stół, zmiażdżył go i dosięgnął dłońmi gardła Themisa.

Przez chwilę panowała cisza, potem zaskoczenie minęło i wybuchła wrzawa. Strażnicy odkopnęli niewolnika na bok i złapali Asona, okładając go pałkami i próbując oderwać jego palce od gardła królewskiego syna. Tymczasem Ason zacisnął jeszcze silniej dłoń. W końcu dostał w ciemną rękojęścią miecza, zadrzał i obwisł bezwładnie. Odciągnięto go za nogi, twarzą do posadzki. Jeden ze strażników dobył krótkiego miecza i szykował się, by wbić go w pierś więźnia.

- Stójcie! - rozległ się zachrypnięty głos i miecz zamarł w powietrzu.

Themis wstał, potarł gardło. Szatę miał brudną, spadały z niej kawałki ryby.

- Nie umrze tak łatwo. Zaatakował mnie, zatem jest mój. Ja go zabiję, dobrze, ojcze?

Atlas upił wina i zbył całą sprawę machnięciem ręki. Zabawa dobiegła końca, barbarzyńca odegrał swą rolę. Trzęsąc się wciąż ze złości, Themis spojrzał na Inteba.

- Pytałeś panie o walkę na pięści. Jutro pokażę ci, na czym to polega. Ujrzysz, jak na otwartej arenie, w równej walce, zatłukę tego młokosa na śmierć.



5.

Ason obudził się w ciemności. Uwięziony w głębokim lochu zatracił poczucie czasu, mało go to zresztą obchodziło. Znajdujące się w różnych częściach ciała ogniska bólu zlały się w jeden pulsujący pod skronią płomień. Pierwszą próbą uniesienia głowy skończyła się przykrym uderzeniem o kamienną podłogę; za drugim razem Ason był ostrożniejszy. Ostatecznie ból też można pokonać. Powoli zbadał palcami własne ciało, ale nie odnalazł nowych ran, w każdym razie nie były to żadne poważniejsze obrażenia. Na koniec musnął najbardziej dokuczliwą opuchliznę na ciemieniu.

Przypomniał sobie ucztę, kpiny z jego osoby i tę chwilę, kiedy rzucił się na najbardziej dokuczliwego gza z tego roju. Uśmiechnął się słabo. Oberwał, ale warto było zaznać tej krótkiej chwili satysfakcji, kiedy mógł wreszcie zacisnąć dłoń na jego gardle.

Jeśli został zamknięty w tym samym miejscu, to teraz musiała być noc. Tak, sądząc po kwaśnym smrodzie, znalazł się tam, gdzie przedtem, w zagrodzie dla byków. Mykeński lew uwięziony w stajni Atlantydów. Wciąż jednak żywy. Z wysiłkiem czołgał się po podłodze ku miejscu, gdzie na tyłach pomieszczenia płynęła woda. Była zimna. Zanurzył w niej na chwilę całą głowę, wstrzymał oddech, jak długo się dało. Skutkiem tych zabiegów po paru chwilach zdołał się unieść i usiąść, opierając się o zimną, kamienną ścianę.

Musiał chyba zasnąć w tej pozycji, gdy otworzył bowiem oczy, ujrzał jaśniejącą wokół wielkich, drewnianych wrót obręcz światła, usłyszał chrobot odsuwanych rygli. Akurat w porę, by zamknąć oczy i osłonić je przedramieniem przed kłującymi promieniami słońca. Ciężkie, wojskowe sandały zastukały na kamieniach. Ason zamrugał, usiłując rozpoznać otaczające go sylwetki. Stawianie oporu nie miało sensu. Pozwolił dźwignąć się na nogi i wyprowadzić z zagrody. Czuł, że zbliża się nieuchronnie śmierć, i właściwie młodzieniec nie rozumiał, jakim cudem wciąż jeszcze żyje. Rychło jednak ból głowy przyćmił wszystkie myśli i jeniec ruszył potulnie, gdzie kazano.

Wszelako najdziwniejsze dopiero miało nastąpić. Ason słyszał o łaźniach Atlantydy, jednym z wielu opiewanych cudów tego miasta. Opowieści nie przesadzały. W asyście sześciu strażników (dwóch przed nim, dwóch za nim, po jednym z każdego boku) wkroczył do sanktuarium czystości, jasnego pomieszczenia z wysoko umieszczonymi oknami. Pośrodku stała wanna z terakoty, z jednej strony wyraźnie wyższa. Obok giął się w ukłonie łaźniowy. Zamaszystym gestem zaprosił Asona do zajęcia miejsca w wannie, strażnicy tymczasem wycofali się do wyjścia.



- Tędy, panie, skorzystaj proszę z tych oto schodków. - Wprawnym ruchem pozbawił Asona przepaski i potrzymał go, gdy ten schodził ostrożnie po stopniach i siadał w pustej jeszcze wannie. Potem klasnął w dłonie i niewolnik przyniósł okazały dzban pełen wody, świeżo podgrzanej i jeszcze parującej, i ustawił go w zagłębieniu półki obok wanny. Łaziebny wziął chochlę i zaczął polewać Asona ożywczymi strumykami, nie milnąc przy tym ani na chwilę.

- Woda, najdoskonalsza woda, panie. Atlantyda cieszy się błogosławieństwem źródeł, których woda kanałami i rurami dociera aż tutaj, cuda te warte podziwiania. Mamy tu, panie, źródła ciepłe i zimne, których wody mieszamy...

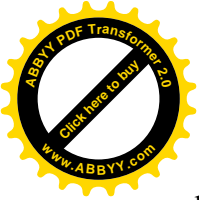
Na półce leżała również gąbka. Za jej pomocą łaziebny usunął łagodnie zastarzały brud i zaschłą krew Asona, potem znów zlał go wodą, która oczyściła ostatecznie rany i złagodziła znacznie ból. Poinstruowany, jeniec wstał, wyszedł z wanny i położył się na długim bloku zimnego kamienia, gdzie łaziebny namaścił mu skórę i włosy wonnym olejkiem, wymasował go przy tym łagodnie delikatnymi palcami. Potraktowane oliwą rany przestały dokuczać i przy goleniu ostrym, obsydianowym ostrzem Ason zaczął niemal zasypiać. Wtedy to ktoś jeszcze wszedł do łaźni i stanął nad jeńcem. Ason otworzył oczy i ujrzał najpaskudniejsze oblicze na świecie. Osobnik miał niekształtny nos (najpewniej skutek wielokrotnego łamania tegoż), jedno oko niemal zupełnie zamknięte za sprawą blizny. Brak mu też było obu uszu, jak i części dolnej wargi, przez co nieustannie szczyrzył zęby. Siwe, krótko przycięte włosy nie zasłaniały kolejnych blizn szpecących skórę głowy.

- Co wiesz o walce na pięści? - spytał przybysz głosem ochryplym, pasującym do twarzy. Ason zamrugał, potem potrząsnął przecząco głową. Nie pojmował nawet, o czym mowa.

- Tak też sądziłem. Bo i skąd ktoś taki miałby coś wiedzieć. Słuchaj zatem dobrze wszystkiego, co powie ci stary Aias. Ucz się, i to szybko. Jeśli nie pokażesz się dobrze, zanim zginiesz, to ja też zapłacę głową. Słuchasz mnie, przybyszu ze świata?

Ason nie trzymał się nawet, by odpowiedzieć, zamknął tylko oczy. Nagle poczuł z boku przeszywający ból i usiadł gwałtownie, odpychając łaziebny. Zaniepokojony spojrzał na swoje ciało, oczekując widoku otwartej rany, ale dojrzał tylko umiarkowane zaczerwienienie skóry. Aias uśmiechnął się do niego (zważywszy zeszpecenie oblicza był to dość obsceniczny uśmiech) i wysunął przed siebie zaciśniętą pięść.

- To właśnie jest pięściarstwo. Pierwsza lekcja. Podczas walki zaciska się dłonie w pięści i nimi to uderza przeciwnika. Na arenie owina ci pięści skórzanymi rzemieniami, by były twardsze. Chroni to też knykcie, które łatwo się łamią. - Jego własne palce były pokryte bliznami, zdeformowane, guzowate. - Trzeba też wiedzieć, gdzie uderzać. Jest wiele miejsc szczególnie



podatnych na ciosy, ale nie zdążę pokazać ci wszystkich. Najlepiej będzie, gdy postarasz się mierzyć w korpus albo w głowę. A teraz wstań, zaciśnij pięści i uderz mnie.

- Daj mi miecz, a uderzę.

- Żadnych mieczy, przybyszu z gór. Wszystko odbędzie się po atlantydzku. Zginiesz, zabity w wielkim stylu przez Themisa, który jest mistrzem w tej dziedzinie.

Nagle uderzył Asona lekko w szczękę. Było to przykre i obudziło wcześniejszy ból. Ason krzyknął ze złości i skoczył na mężczyznę. Pięściarz z łatwością uchylił się przed potężnym ciosem.

- Nie, nie tak. Nie masz miecza w dłoni. Wyobraź sobie, że rzucasz włócznią. Lepiej już, ale to jeszcze nie to. Nie wystawiaj się tak, bo inaczej będę musiał zrobić... to właśnie. Boli, prawda? Themis nie będzie tak łagodny. Słyszałem, że poparzyłeś go gorącym sosem i próbowałeś udusić. Themis nie zapomina łatwo takich afrontów. Zrobi z ciebie bitki.

Ason cofnął się, ale nie opuścił pięści.

- I on chce ze mną walczyć? Zdaje się, że to syn Atlasa?

- I owszem. Ale jest też świetnym pięściarzem i w tej chwili to akurat wydaje się najważniejsze. Chcesz umrzeć jak mężczyzna?

- Chcę zabić Themisa. Pokaż mi wszystko.

Nie było wiele do pokazania, brakło też czasu na dłuższą naukę. Strażnicy śmiali się głośno patrząc, jak Ason goni za przysadzistym bokserem po całym pomieszczeniu, jak śmiesznie macha przy tym ramionami, mierne osiągając wyniki, co najwyżej zarabiając od czasu do czasu wymierzony od niechcenia cios w żebra. Jednak odrobina ruchu rozjaśniła mu w głowie i gdy pięściarz w końcu wyszedł, Ason z radością wylał sobie na głowę dzban wody. Na pretensje ochlapanych strażników zareagował beztróskim chichotem. Potem poczekał spokojnie, aż łaźiebny znów go osuszy i namaści. Pozwolił ubrać się w dopasowaną przepaskę i buty sięgające do połowy łydki. Tym razem nie założono mu kajdan, nagie miecze w dłoniach strażników starczyły jako niedwuznaczna przestroga.

- Schowajcie miecze - powiedział im. - Ten sam cel nam przyświeca. Pragnę walczyć z waszym zarobaczywionym księciem.

Mówił to całkiem szczerze. Wolałby wprawdzie mieć przy sobie własny miecz lub przynajmniej sztylet z brązu czy topór, ulubiony oręż Atlantydów, ale to nie broń była dlań najważniejsza, a sama walka. Nie myślał o porażce ani o śmierci. Walczysz, zabijasz. Jeśli zranisz wroga porządnie, to i tak umrze. Należy dokończyć raz rozpoczęty pojedynek. Gdy dwóch mężów się potyka, jeden ginie. Czasem giną obaj. Jaki oręż wybiorą, to sprawa bez znaczenia. Liczy się walka.



Ason postrzegał świat dość prosto, nieskomplikowane też upodobał sobie rozrywki. Chwytał każdą okazję, jaką podsuwało mu życie. Równą przyjemność sprawiało mu polowanie z włócznią na dziką, jak i sprawdzanie się w roli kochanka. W jednym i drugim był równie prędki. Zawsze miał z kim wypić, nigdy nie brakło mu towarzyszy broni, nie brakło też w Argolidzie konfliktów prowadzących do walki, a walkę zawsze cenił sobie najwyżej. Najwcześniejsze wspomnienia Asona, te z wczesnego dzieciństwa, pełne były obrazów krzyczących, rannych mężów zalegających u murów miasta, widoku trupów i skąpanych w posoce mieczy. Do zabawy dostał wtedy mały mieczyk, który w gruncie rzeczy wcale nie był zabawką. Niemniej bez jego pomocy zdołał niegdyś osaczyć i zabić młodego wieprzka. Przydźwigał potem martwe zwierzę i rzucił je z dumą ojcu pod nogi. Niedługo potem nadeszła pora na bardziej niebezpieczne zabawy, a gdy osiągnął stosowny wiek, przystąpił do tej najważniejszej rozgrywki, do walki na śmierć i życie. Dostał włócznię. Cisnął nią tak, że przemknęła pod okapem epidauryjskiego hełmu i wbiła się prosto w oko wojownika. Zdumiał się wówczas, jak łatwo jest zabić człowieka, o wiele łatwiej niż jelenia.

Podobał się tak kobietom, jak i mężczyznom. Miał jasne, błękitne oczy, gładką skórę, bursztynowe włosy i brodę, zawsze rozczesane i zadbane, zupełnie jak teraz. Może tylko nos wyrósł trochę ponad miarę i z profilu przypominał dziób jastrzębia. Zęby miał białe i mocne, znak, że jadał lepiej niż większość Mykeńczyków. Nierówna blizna na brodzie bielą na tle opalonej skóry, nie ona jedna zresztą. Niegdyś potrafił wędrować i biegać przez cały dzień, by wieczorem bez wysiłku stanąć do walki. Mięśnie rozwinął solidne, ale elastyczne, nie węzłaste, jak bohaterowie, których sława już przygasła. Nikt też nie wątpił w jego inteligencję. W tym przypominał swego ojca, Perimedesę, jednak wszelkie talenty umysłu Ason wykorzystywał po to jedynie, by osiągnąć mistrzostwo w wojennym rzemiośle. Nigdy nie zastanawiał się, po co walczy. Owszem, pewnego dnia miało się to zmienić, gdyż pisane było mu zostać królem Myken, ale młody człowiek nie wyprzedzał biegu zdarzeń. Teraz zaś czekała go kolejna walka, której wypatrywał z taką samą radością jak każdej innej, jak wszystkich tych pojedynków i kampanii, które były jego udziałem w ciągu dwudziestu jeden lat żywota.

- Stań tutaj - nakazał jeden ze strażników, przytrzymując go za rękę. Przed nimi otwierał się łuk przejścia, dalej widniał wielki podwórzec wysypany piaskiem. Nagle pojawił się okryty bliznami pięściarz z naręczem skórzanych pasków.

W tej samej chwili rozległ się głuchy grzmot i ziemia zadrżała, jakby nieznane monstrum poruszyło się w jej trzewiach. Mury zachwiały się, kolumny poruszyły w posadach, na ziemię spadły kawałki tynku i zaprawy.



Ason skoczył przed siebie, byle na bezpieczną otwartą przestrzeń, ale silne dłonie osadziły go w miejscu.

- Nie bój się, góralu. Jeszcze nie umarłeś. - Strażnicy zaśmiali się, a Aias zaczął z wprawą obwiązywać dłonie młodzieńca rzemieniami. - Atlantyda stoi na solidnych fundamentach, byle tupnięcie Posejdona jej nie zburzy. Pożyjesz dość długo, by zginąć z ręki Themisa. Twoja chwila jeszcze nie nadeszła.

Fakt, że nikt nie bał się tu wstrząsów, uspokoił Asona. Wiedział dobrze, że trzęsienia ziemi były na okolicznych wyspach elementem codzienności, że często powodowały zapadanie się domów, a niekiedy nawet płynna skała buchała spod ziemi, paląc wszystko dokoła. Ale jeśli ci tutaj żartują sobie, to znaczy, że podobne wstrząsy musiały być częste i niegroźne. Przyglądał się, jak paski cienkiej skóry spowijają mu dłonie, jak na knykcjach pojawiają się ołowiane płytki mocowane grubszymi nieco rzemieniami.

- To jest młot - powiedział Aias, kończąc mocować ołów do drugiej pięści. - Nawet z obwiązanymi dłońmi nie jest łatwo zabić człowieka. Wtedy należy go użyć. - Na zewnątrz rozległo się granie rogów i Aias szybko dokończył dzieła. - To znak. Czekają na ciebie. Giń z godnością. Wielu poczytałoby sobie za zaszczyt móc zginąć w walce z księciem Atlantydy - zaznaczył i uśmiechnął się.

Dłonie obwisły Asonowi ciężko niczym kopyta. Spojrzał na nie, stuknął jedną pięścią o drugą. Wolałby jakiś inny oręż, ale jak się nie ma, co się lubi...

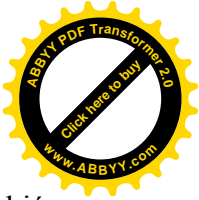
- Wyłaż - rozkazał strażnik, dźgając Asona mieczem w plecy.

Nie odwracając się, młodzieniec wykonał zamach do tyłu i uderzył strażnika w korpus na tyle silnie, że tamten zgiął się wpół, a upuszczony miecz zadzwonił na kamiennej posadzce. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Ason sam wyszedł na arenę.

Przestronny podwórzec otaczały z trzech stron ściany pałacu, z czwartej granicę wyznaczał niski murek, za którym chyba musiało się otwierać urwisko. U stóp przeciwległego muru widniały spore schody obstawione jasno-czerwonymi, drewnianymi kolumnami, na tutejszą modłę szerszymi u szczytu niż u podstawy. Podobnie ozdobiono wystające powyżej balkony i okna, przy czym wiele kolumn nosiło na szczytach lśniące złotem godło Atlantydy - podwójny topór. Wszystkie miejsca obsiadła kolorowa publiczność, jednak Ason ledwie zwrócił uwagę na ten tłum. Odnotował natomiast obecność rozstawionych przy wszystkich wejściach wojowników z mieczami i toporami oraz samotną postać pośrodku areny.

Themis. Wystrojony był tak samo jak Ason, podobnie błyszczał od oliwy. Ruszył wolnym krokiem na młodzieńca. Ten też pospieszył na spotkanie.

- Nie będę z tobą gadał, tylko cię zabiję - powiedział Themis i wyprowadził cios.



Ason odskoczył, osłabiając cios, i spróbował odpowiedzieć. Uderzył tak, jakby chciał zabić byka, ale jego dłoń napotkała tylko powietrze. Themis zdążył się pochylić.

Nagle w boku zapłonął ból i Ason padł bezwładnie na piasek. Gdzieś z góry doleciał go radosny ryk setek głosów.

- Wstawaj - powiedział Themis. - To dopiero początek.

Ason dźwignął się z trudem i rozpoczęła się prawdziwa rzeź.

Kolejne ciosy trafiały weń, raniąc i maltretując obolałe ciało, on zaś nie mógł żadnym sposobem dosięgnąć Themisa. Owszem, raz udało mu się uderzyć go w korpus, ale zaraz został odrzucony z rozbitą głową. I znów: ręce, pierś, korpus... Ason stracił poczucie czasu, próbował już jedynie bronić się, zasłaniać, ale bez większego powodzenia. Krew zalewała mu oczy, ciekła z ust i licznych ran, barwiąc piasek świeżą czerwienią. Kolejny cios rzucił go bez tchu na ziemię, przez dłuższą chwilę leżał jak sparaliżowany i łapał ciężko powietrze. Themis spojrzął na króla i na przyglądające się walce z góry tłumy.

- Oto, na czym polega ten sport! - krzyknął. - Każdy cios trafia dokładnie tam, gdzie powinien, i tak, jak należy. Ale to już koniec. Nadeszła pora, by połamać mu kości, zebra i ręce, potem oślepić go i zmasakrować mu twarz, a gdy pojmie dokładnie, co się z nim dzieje, dopiero wówczas go zabiję.

Ostatnie słowa zginęły we wrzasku. Tak, publiczność chciała ujrzeć taką jatkę, godne mistrza walki na pięści ćwiartowanie, pragnęła zapamiętać to i wspominać potem przez długie lata ten jeden, wspaniały dzień.

Jedna tylko osoba nie podchodziła do sprawy z zachwytem. Ason przetoczył się po piasku i spróbował zebrać kolana razem. Ból prawie go obezwładniał. Przedramieniem otarł krew z twarzy, by dojrzeć cokolwiek. Już nic nie da się zrobić, nie powstrzyma przeciwnika. To nie była śmierć, jakiej pragnął i ta świadomość była gorsza do zniesienia niż cierpienie.

Kolana zatrzęsły się i padł z powrotem na piasek, podparł się pięściami. Ryk tłumu zabrzmiał mu jeszcze głośniejszy w uszach. Czyżby był już tak słaby?

Kiedy jednak ujrzał pobliski budynek pękający na pół i walący się w chmurze pyłu, pojął, że ten ryk nie zrodził się w jego uszach, ale że rozlega się wszędzie wkoło.

To było trzęsienie ziemi. Nie drobne drgania, ale prawdziwe trzęsienie z rodzaju tych, po których kamień na kamieniu nie zostaje.

Nie pojmując jeszcze wszystkiego, Ason zamrugał odruchowo na widok chwiejących się murów i padających kolumn. Ludzie wrzeszczeli w wielkim strachu, wielu wypadało z wyżej położonych okien, pękały brązowe zdobienia, kamienie sypały się na arenę. Cały kawał muru runął tuż obok Asona, raniąc go odłamkami.



To działo się naprawdę... Młodzieniec przestał się wahać. Złapał w niemrawe dłonie długi na łokieć kawał skały i uniósł go wysoko. Themis już podchodził, już cofał ramię, by zadać morderczy cios.

Tym razem to jednak Ason uderzył pierwszy. Nawet mocarna pięść nie mogła go już powstrzymać. Kamień zmiażdżył głowę Themisa i powalił go. Księżę Atlantydy legł cichy i bezwładny, z odłamem skały tkwiącym głęboko w czaszce. Ason obrócił się, by uciekać, ale nagle poprzez zgiełk przebiło się wołanie. Podniósł głowę. To król Atlas wychylał się z balkonu.

- Zabić go! Zabić Mykeńczyka! - rozkazał i zaraz jakiś młody szlachcic wyskoczył z łoża, ciężko wylądował na piasku i z mieczem w dłoni ruszył na Asona. Biegło ku niemu też dwóch strażników, dwóch tylko, bo reszta zapodziała się gdzieś w zamieszaniu. Asonowi jedno zostało do zrobienia: uciekać.

Wpadł w mroczny łuk przejścia. Tumany pyłu i kurzu ledwo pozwalały dojrzeć cokolwiek i potknął się zaraz o zaścielające podłogę kawałki rozsypanego muru. Pałac jęczał i drżał jak żywa istota. Z ostrym trzaskiem pękały kolejne drewniane dźwigary. Gruz zasypał schody. Macając dłońmi po ścianie, Ason zawrócił do większej sali, która wprawdzie też była w znacznej mierze zniszczona, jednak przez zawalony sufit wpadało więcej światła. Krążył tak wokoło, wspinał się na sterty gruzu, szukając wyjścia, ale bez skutku. Tymczasem pierwszy z prześladowców, krzycząc złowrogo, wpadł za nim do wnętrza, odcinając drogę ucieczki.

Na głowie miał wysoki, brązowy hełm z zabarwionym na niebiesko końskim ogonem. Ciało chroniły skórzane naramienniki i napierśnik, skórzana spódniczka i brązowe nagolenniki. W ręce dzierżył ciężki i ostry brązowy miecz.

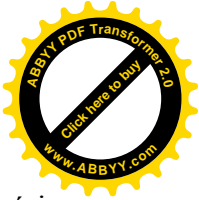
Okryty krwawymi ranami, prawie nagi Ason zaatakował napastnika.

Wojownik stanął, z zimną krwią oczekując młodzieńca, potem ciął. W zasadzie powinien skrócić go tym jednym ciosem o głowę, stało się jednak inaczej. Ason uniósł lewą pięść, jakby chciał powstrzymać nieubłagane ostrze.

Miecz trafił w pięść.

W tej samej chwili prawa dłoń Asona dosięgła głowy wojownika tuż pod okapem hełmu. Mężczyzna runął jak ogłuszony bawół. Próbował się podnieść, ale młodzieniec miał jeszcze w prawej ręce dość siły, by poprawić uderzenie. Lewa dłoń zwisała mu bezwładna i obolała. Masakrował pięścią hełm tamtego, aż wojownik przestał się ruszać.

Ason usiłował podnieść zdobyczny miecz, ale obwiązana rzemieniami dłoń nie dawała mu wielkiego pola do manewru. Próbował właśnie je zedrzeć, gdy w drzwiach pojawili się następni. Ason cofnął się ostrożnie, wiedząc, że tym razem nic nie działo. Mając miecz, mógłby podjąć walkę, ale z pięściami na dwa ostrza się nie porwie.



Nagle drugi, dalej stojący wojownik krzyknął z bólu i padł. Ason dojrzał czyjąś postać i dłoń wyciągającą sztylet z martwego ciała. Gdy pierwszy z Atlantydów odwrócił się zdezorientowany, młodzieniec rzucił się na niego z impetem i powalił na ziemię, okładając przy tym prawą pięścią. Ten wrzasnął i próbował się wyrwać. Uniósł przy tym rękę z mieczem; akurat dość wysoko, by się odslonić i dać zakrwawionemu sztyletowi dostęp do swego boku. Ostrze minęło żebra i zatoneło w sercu. Ason odskoczył na bok, gotów wciąż do walki z... Egipcjaninem.

- Inteb!

- Wyośmy się stąd, zanim Atlantyda spadnie nam na głowy.

- Ale wpierrw odetnij mi to cholerstwo z dłoni. Nie mam zamiaru zabierać tego zbędnego ciężaru do grobu.

Inteb nie marnował czasu na próżną gadaninę, tylko machnął kilka razy ostrym sztyletem. Rzemienie opadły i Ason rozprostował wreszcie zdrętwiałe palce. Potem zbadał bezwładną lewą dłoń. Miał wrażenie, że miecz strażnika rozszczępił ją do nadgarstka, może w istocie tak było. Gdy Inteb usunął resztki rękawicy, ukazała się dłoń opuchła i poczerwieniała, ale cała. Żadnej rany. Inteb wydłubał spomiędzy palców Asona resztki ołowianej płytki, wygiętej wprawdzie i zdeformowanej, ale nie przeciętej. Ołów i twarda skóra powstrzymały ostrze. Ason gimnastykował palce, by czym prędzej przywrócić krążenie. Nie zwracał uwagi na towarzyszący temu ból, szczególnie że na pierwszy rzut oka żadna kość nie była złamana.

Budynek zatrzęsł się potężnie, dał się słyszeć głuchy łomot spadających kamieni. Na drugim końcu komnaty kolejne kafelki spadały z sufitu. Inteb szybko wytarł dłoń i sztylet o szaty zabitego Atlantyda i wskazał na zwałowisko gruzu.

- Lepiej spróbujmy się tam wspiąć, nie ma sensu szukać drogi przez pałac.

- Tylko pomóż mi zdjąć z niego zbroję - sapnął Ason, szarpiąc rzemienie mocujące pancerz strażnika.

- Nie ma czasu...

- To pełna zbroja, najlepsza. Nikt nas nie zatrzyma, gdy będę miał ją na sobie.

To była prawda i Inteb nawet nie próbował się sprzeczać. Tak zatem odarli ciało ze zbroi i Ason nałożył pancerz.

- Dalej, weź miecz - ponaglił Egipcjanina. - I hełm tego drugiego. Szybko.

- A co ja z nimi zrobię? Nie potrafię walczyć.

- Ale tych dwóch zabiłeś.

- Od tyłu, jak tchórz. Nie umiem władać mieczem. Dotąd nikogo nie zabiłem.

- To czemu przyszedłeś tu za mną, wsparłeś mnie w walce, ocaliłeś...?



- Nie o tym myślałem. Chciałem tylko... Nie planowałem tego. Ale siedzieć tak beczynn timer i patrzeć, jak Themis wytrząsa z ciebie życie... Gdy jednak to ty go zabiłeś, a wszyscy rzucili się na ciebie, już całkiem mi się to nie spodobało. Pobiegłem za nimi.

- Ale czemu?

Inteb uśmiechnął się.

- Czemu? Bo szanuję cię, Asonie. I też jesteś księciem w swoim królestwie, podobnie jak ja w moim.

Wspięli się na rumowisko, gdzie Inteb wsparł się na połamanym dźwigarze, a Ason zdołał po jego ramionach wejść wyżej, na otwartą przestrzeń. Zdrową ręką bez trudu pociągnął Egipcjanina za sobą. Wkoło rozpościerały się ruiny pałacu. Wstrząsy jeszcze nie ustały i ściany ciągle zapadały się, jedna po drugiej, omiatane gorącym wiatrem. Z nieba sywał się pył, który parzył skórę.

- Mam tu statek - powiedział Inteb. - Jeśli dotrzemy na pokład, będziemy bezpieczni.

- Prowadź.

Byli jedynymi żywymi istotami pośród morza ruin. Atlantydzi uciekli, chociaż widoczne tu i ówdzie zmiążdżone ciała czy wystające spod gruzu nogi i ręce wskazywały, że nie wszystkim dopisało szczęście. Ostrożnie pokonywali pułapki rumowiska, omijając niebezpiecznie wyglądające miejsca, aż dotarli na opustoszały już dziedziniec. Stąd schodami przeszli do ogrodów, gdzie pośród drzew i kwiatów leżały strzaskane szczątki kolumn. Z tego miejsca ujrzeli panoramę całej niemal wyspy. Piękne budowle i świątynie usytuowane poniżej zostały doszczętnie zniszczone. Dalej jeszcze rozciągały się pomniejsze domostwa i kręgi wewnętrznej przystani. Statki odbijały masowo od brzegów, kierując się do kanału. Z daleka nie było widać, jak wielkie zniszczenia poczynił tam kataklizm, chociaż bez wątplenia kanał wychodzący na otwarte morze był bardzo zatłoczony.

Z zachodnich zboczy wyspy podniósł się tymczasem biały obłok, prawdziwa puchnąca chmura dymu przysłaniającego z wolna słońce, gdzieś w jej trzewiach przebiegały błyskawice, a u jej podstawy pojawił się złowrogi, czarny tuman. Gotowało się w nim, białe strugi tryskały co chwilę w niebo. Jedna z nich mierzyła w akropol, zbliżała się z zatrważającą szybkością poprzedzana przez gigantyczny głaz, który runął na miasto, burząc kolejne budynki. Ocaleli dotąd mieszkańcy pognali w panice po zboczu. Wody zatoki zafalowały od spadających gęsto kawałków pumeksu.

Wokół przystani byli jeszcze inni ludzie, niektórzy konali, inni próbowali wydostać się spod ruin domów lub wygrzebać się spod zwałów ziemi. Obraz ten przesuwał się przed oczami dwóch



mężczyzn biegnących ku zatoce, gdzie mieli nadzieję znaleźć ocalenie. Inni też gnali w tym samym kierunku, przez co często u wylotów wąskich uliczek trzeba było siłą torować sobie drogę.

Same doki trwały opuszczone. Wszystkie statki i łodzie odpłynęły. Ci, którzy nie zdążyli wejść na pokład, tłoczyli się teraz na łączących wyspę z dalszymi pierścieniami mostach.

- Tędy - krzyknął Inteb. - Mój statek stoi po drugiej stronie tych budynków.

Jeden z wielkich magazynów zawalił się i zablokował przejście, musieli obejść rumowisko, wspinając się ostrożnie na gruzy pomniejszych budynków. Pod skruszonym murem leżał mały słoń, bezsilnie poruszał końcem trąby. Wreszcie dotarli do zniszczonej przystani, i tutaj dach runął, bycze rogi nurzały się w wodzie.

Przystań była pusta. Statek odpłynął.



6.

- Tam! - krzyknął Inteb. - Widzę go, wpływa do tunelu jako ostatni!

Statek kołysał się ciężko na wodzie, widać był przeładowany pasażerami, wśród których błyszczały broje wojowników. Kapitan postanowił najwyraźniej uciekać bez Inteba, albo został do tego zmuszony pod groźbą miecza, jak zauważył Ason. Chwilowo nie było to istotne.

- Jeśli tak, tu ruszajmy na most.

Inteb pogroził jeszcze bezsilnie rufie znikającego właśnie w kanale statku i podążył za Asonem. Trzymali się nabrzeży, gdzie gruzu było stosunkowo najmniej, jak mogli osłaniać przy tym skórę przed opadem gorącego pyłu. Wiatr nasilał się, utrudniając marsz. Gdy mijali jedną ze zrujnowanych przystani, dobiegły ich jęki i wołania o pomoc. Zignorowali je, podobnie jak wszystkie prośby słyszane od chwili opuszczenia pałacu. Wszelako tym razem jeden głos wybił się ponad inne i Ason zatrzymał się jak wryty.

- Mykeńczyku! Wołam cię, bracie!

Ason przedarł się na brzeg. W dole leżał na wpół zatopiony wrak wąskiej galery. Wyglądała na opuszczoną, jednakże galernicy wciąż tkwili przykuci do ław. Załoga uciekła i pozostawiła ich na łasce żywiołu. To właśnie jeden z tych skazanych na okrutną śmierć wołał Asona. Księżę stanął na nabrzeżu i przyjrzał się mężczyźnie.

- Ty jesteś Tydeus, syn Agelaosa. Walczyliśmy razem.

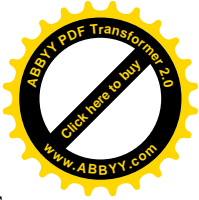
Nagi i brudny Tydeus podniósł głowę. Woda sięgała mu niemal do pasa. Ze wszystkich sił starał się przekrzyczeć wołający kilkoma językami chór nieszczęśników.

- Tak jak ciebie, wzięli mnie w Asine. Od tamtej pory siedzę przy tym wiośle. Na prawej kostce mam drewnianą obejmę, przetniesz ją łatwo mieczem.

Ason wyciągnął już miecz, ale Inteb ze złością przytrzymał jego ramię. Księżę zachnął się, przecież nie może zostawić tu innego Mykeńczyka na pewną śmierć. Jednak Inteb wpadł na pomysł, jak ocalić nie tylko to jedno życie, ale przynajmniej kilka.

- Galera jest tylko uszkodzona. Jeśli ją stąd wyciągniemy, to zyskamy statek.

- Mała nadzieja - powiedział Tydeus. - Pokład był już pełen i mieliśmy wypłynąć, gdy wielkie kamienie potoczyły się ze zbocza. Największy spadł w pobliżu rufy i wybił dziurę w dnie. Wszyscy wpadli w panikę i uciekli, zostawiając nas tutaj. - Uśmiechnął się nagle. - Nadzorca zmykał ostatni, złapałem go za nogę, inni pomogli. Uduśliśmy go i podaliśmy do tyłu. Zatyka teraz dziurę. Jednak kiepski był z niego gość za życia, więc i po śmierci ledwo radzi sobie jako korek.



Inteb spojrział na zanurzone do ramion w wodzie ciało. Drobne fale kołysały głową. Trup miał otwarte oczy i usta, na jego twarzy zastygł grymas przerażenia.

- Chyba był gruby - zauważył Inteb.

- Jak świnia - odparł najbliższy wioślarz.

- No to dobrze się złożyło. A jak zaczniesz puchnąć, to tym lepiej. Póki co owiniemy go szmatami, by mocniej trzymał.

Szepty pobiegły błyskawicznie ku dziobowi i galernicy umilkli, wpatrując się z nadzieją w Inteba, gotowi wykonać każde jego polecenie.

- Mam wrażenie, że dzięki temu galera nie zatoneła. Zajmę się uszczelnieniem otworu, wy tymczasem wybierajcie wodę. Być może uda nam się uciec stąd i dopłynąć do los, to najbliższa wyspa. Próbujemy, Asonie?

- Jasne. Nie znajdziemy już innego statku.

Ason zeskoczył na pokład i poczekał, aż Tydeus nakieruje jego miecz na okowy.

Nie marnując czasu, uwolnił pozostałych wioślarzy, którzy nie ruszając się z miejsca, pracownicy zaczęli czerpać dłońmi wodę i wylewać ją za burtę. Tydeus pobiegł ku najbliższym ruinom i wrócił po chwili z wiadrami, glinianymi pucharami i innymi naczyniami, które nawinęły mu się pod ręce. Dostarczył też wyszabrowane z magazynu portowego płótno żaglowe, które Inteb pociął na pasy i poupychał wkoło ciała nadzorcy. Praca nie ustawała, wody w kadłubie ubywało i można było sprawdzić stan posiadania. Kilku galerników nie żyło, utopili się, gdy woda zalała część pokładu, jeden zginął trafiony w głowę spadającym kamieniem. Powietrze było aż gęste od pyłu, ledwo dawało się nim oddychać. Z bolesną powolnością galera zaczęła się prostować.

- Starczy - powiedział Inteb. - Część niech dalej wybiera wodę, reszta niech siada do wiosł, póki nie jest za późno.

Ason przeciął mieczem dziobową cumę i pobiegł między niewolnikami na rufę. Nagle ktoś pojawił się na nabrzeżu. Ason już unosił miecz, by odeprzeć intruza, gdy ujrzał, że tamten jest bez broni. Całą głowę miał okrwawioną. Ason zaczął ciąć rufową cumę.

- Na pokładzie twego statku znajdzie się chyba miejsce dla jeszcze jednego męża, przybysz z gór.

To był Aias pięściarz. Ason zamierzył się na niego mieczem, ale tamten uskoczył.

- Giń tu, Atlantydzie. Nie trzeba nam ciebie.

- Nie jestem Atlantydem, ale niewolnikiem z Byblos. Robiłem za worek treningowy dla szlachetnie urodzonych. Widzę, że straciliście kilku wioślarzy. Pozwól mi zająć miejsce jednego z nich.

Cuma puściła i galera zaczęła się oddalać od nabrzeża.



- Słuchaj, góralu. Nie zrobiłem ci nic złego. Zawiązałem ci tylko rzemienie na dłoniach i pokazałem, jak się walczy. Gruz mnie przywalił i zostawili mnie, abym zdechł, ale ja mam twardą czaszkę.

Ledwie Ason odwrócił się i galernicy naparli na wiosła, Aias skoczył na przedni pokład. Upadł i rozpląszczył się na deskach, krzywiąc się przy tym do księcia w krwawym uśmiechu.

- Zabij mnie, jeśli chcesz. Na brzegu i tak czeka mnie śmierć.

- Łap za wiosło - powiedział Ason, puszczając miecz, aż ten zawisł na przymocowanych do pasa rzemieniach. Aias zaśmiał się chrapliwie, wypchnął najbliższego trupa z ławy na pokład, oparł na nim stopy i osadził wiosło w dulkach.

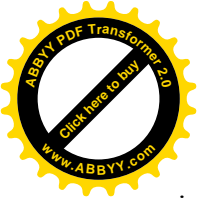
Wychodzili z zatoki jako ostatni. Niebo pociemniało jak o zmierzchu. Wysokie fale i gorący wiatr sprawiały, że wiosłarze musieli wyęźać wszystkie siły. Dopiero gdy znaleźli się w kanale, siła wiatru osłabła. Przemykali ciemnym tunelem przy akompaniamencie kamieni uderzających w drewniany strop. Rychło wypłynęli na wody drugiej przystani.

Basen przypominał zatokę morską po bitwie. Na drugim brzegu leżały wyrzucone na płyciznę wraki trzech statków. Zatopione po części, z kadłubami przedziurawionymi przez spadające bomby wulkaniczne. Przy jednym z nich, przechylonym celowo dla obnażenia połaci dna, krzątali się już dokonujący gorączkowo napraw ludzie. Wystający ponad powierzchnię wody maszt dawał do zrozumienia, że co najmniej jeden statek zatonął z dala od brzegu. Kilka jednostek wpadło na siebie u wejścia do kolejnego kanału i szamotały się tam, szczipione wiosłami, aż drzewce pękały jedno po drugim.

- Zwolnić tempo - zawołał Ason, widząc to zamieszanie i Tydeus, który stanął przy bębnoch miał uduszonego nadzorcy, dostosował rytm uderzeń.

Mogli tylko czekać, aż statki przed nimi uwolnią się i wpłyną do kanału, robiąc im miejsce, ale każda minuta tylko pogarszała ich sytuację. Wstrząsy nie ustawały i wybuch wulkanu przybierał na sile. Kamienie, czasem bardzo duże, spadały już teraz bez przerwy, woda aż się gotowała od ich uderzeń. Chmury parzącego pyłu przesłoniły słońce, pokrywając wszystko coraz grubszym kożuchem. Deski pokładu pociemniały, w zęzach zaczął zbierać się pyłowy szlam, ciężko było złapać oddech. Ludzie zanosili się kaszlem, jako że niesione wiatrem opary ostro śmierdziały siarką.

- Patrzcie! - krzyknął ktoś, wskazując na pękaty statek handlowy, który w jednej chwili uległ całkowitemu zniszczeniu. Masywna jednostka przepchnęła się między mniejszymi galerami i była już u wejścia do kanału, gdy wielki głaz runął w dół, jednocześnie zatapiając frachtowiec. Po chwili ze statku pozostała tylko sterta desek i śmieci, które zniknęły zaraz w wodzie. Następnie wysoka fala zmiażdżyła parę najbliższych jednostek i popędziła ku galerze. Wydźwignęła ją na



wierzchołek spienionego grzbietu i runęła ciężko w dół. Woda wlała się przez niskie burty, ale po chwili wszystko się uspokoiło. Pozostało tylko co rychlej wybrać wodę z kadłuba.

Tunel był wolny. Kołysane falami szczątki wraków i zatopione kadłuby obijały się o kamienne nabrzeże. Tylko jeden, głęboko zanurzony i pozbawiony części wiosła statek zniknął właśnie w tunelu. Galera ruszyła jego śladem, mijając miejsce katastrofy i zostawiając tonących swojemu losowi. Jeden z rozbitków dopłynął do galery, wczepił się w wiosło i sięgnął aż do okrzężnicy. Nie przerywając wiosłowania, najbliższy galernik pochylił się jeszcze bardziej i ugryzł nieszczęśnika w dłoń, aż tamten rozluźnił uchwyt i zniknął. Ogarnęła ich ciemność tunelu.

- Strop się zawalił! - krzyknął ktoś z załogi.

- Nie! - wrzasnął jeszcze głośniejsze Ason, chcąc zapobiec wybuchowi paniki. - Widzę drugi koniec! To tylko niebo tak pociemniało, ale tunel jest cały!

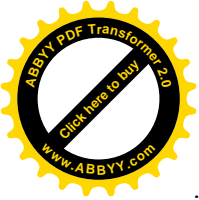
Płynęli teraz dość wolno, po omacku znajdując drogę i nasłuchując chrobotu piór wiosła o skalne ściany. Gdy cuchnący wiatr dmuchnął im pyłem w twarze, wiedzieli, że są u wylotu tunelu. W końcu wynurzyli się na otwartą przestrzeń, skąd kanał prowadził już prosto ku morzu.

Ludzie przy wiosłach myśleli tylko o ocaleniu. Ason wydawał komendy nie zwracając uwagi na to, co dzieje się na brzegu wszelako Inteb uznał potem ten właśnie odcinek drogi za najstraszniejsze doświadczenie. Na brzegach kanału gromadzili się ludzie, często całymi rodzinami. Byli to mieszkańcy pobliskich gospodarstw i wiosek, a wszyscy szukali ocalenia, zawodząc przy tym i jęcząc tak głośno, że ich krzyki przebijały się nawet przez nieustanny huk wulkanu. Wyciągali przy tym ręce ku statkowi, który przepływał naprawdę blisko, a jednak pozostawał dla nich nieosiągalny. Spadał na nich pył, a oni trwali tak, aż kolejno zamieniali się w identyczne, brudnożółte figury. Mężczyźni, kobiety wyciągające przed siebie dzieci, żeby chociaż je ocalić, zostawali z tyłu, statek płynął dalej. Podobnie nie reagowała na lamenty załoga atlantydzkiego statku, który płynął z przodu. Niektórzy wieśniacy skakali do wody, ale niewielu umiało pływać. Tylko jeden mężczyzna unosił się jeszcze na powierzchni, gdy galera doń dotarła, ale uderzony wiosłem w twarz zniknął pod wodą.

Inteb starał się nie dostrzegać tego wszystkiego. Byle tylko dotrzeć do skalnej zatoki. Już tutaj wyczuwało się fale i należało oczekiwać, że morze będzie jeszcze bardziej wzburzone.

- Przerwać wiosłowanie - rozkazał Ason. - Postawić maszt, rozwinąć żagiel.

Szybko się z tym uporali. Żagiel nie był wielki, miał głównie wesprzeć wioślarzy i nie nadawał się na samodzielne źródło napędu, jednak należało oczekiwać, że na pełnym morzu będzie



z niego niejaki pożytek. Gdy takielunek został rozwinięty, wiosła znów poszły w ruch, statek minął skalne ściany i zaczął oddalać się od Thery.

Prosto w objęcia sztormu. Lunął deszcz i z nieba prócz wody spadły całe tony pyłu wulkanicznego. Wiatr zerwał się jeszcze potężniejszy i zaczął szarpać brudnym żaglem, który trzeba było dodatkowo zabezpieczyć. Za nimi Thera pluła wciąż pyłem i kamieniami.

- Zły wiatr - powiedział Ason, uderzając pięścią w reling. - Z północy. Jeśli nie będziemy uważać, ciśnie nas na wybrzeże Krety i albo zginiemy, albo znów wpadniemy w ręce Atlantydów. - Spojrzał krzywo na niebo, na ledwo widoczny krąg słońca. - Musimy skrócić na północny zachód albo nawet na zachód, ale musimy żwawo wziąć się do roboty.

O zachodzie słońca wiatr nie stracił na sile, a wręcz przeciwnie. Połowa załogi wiosłowała, reszta spała na błotnistym posłaniu w zębach. Statek został nieźle zaopatrzony na drogę, a poprzedni pasażerowie nie zabrali niczego z zapasów. Dzięki temu teraz napili się wody, przepłukali spalone gardła, podjedli chleba, sera i zielonych oliwek. Ason legł bez ruchu na koi w maleńkiej kabinie i Inteb natarł jego poranione ciało kojącą oliwą. Wyczerpanie i ból zrobiły swoje. Lewa ręka młodzieńca nabrzmiała jak melon, palce przypominały serdelki. Ason położył dłoń na piersi i momentalnie zasnął.

Gdy się obudził, było ciemno, a statek miotany falami pojękiwał w wiązaniach, na zewnątrz szalała wichura. Inteb położył mu dłoń na ramieniu.

- Jesteśmy blisko brzegu! - krzyknął ze wszystkich sił. - To fale łamią się na skałach! Wioślarze ledwo się trzymają, nie wiem, na ile jeszcze starczy im sił!

Ason potrząsnął głową, by odpędzić pulsujący ból i zbierającą się przed oczami mgłę, potem dźwignął się na nogi i poszukał w ciemnościach zamocowanej w pobliżu amfory. Palce natrafiły na srebrny kubek przymocowany łańcuszkiem do uchwytu naczynia. Napełnił go i łyknął tego. To było wino, nie woda, ale i tak osuszył kubek dwukrotnie, nim poczuł się lepiej.

Na pokładzie wiatr zwał z nóg. Deszcz ustał jakby, ale na pokład spadała unoszona z grzbietów fal piana. Ciemność panowała nieprzenikniona, jednak gdzieś po lewej burcie słychać było odległy huk przyboju.

- Chyba głośniej słychać! - krzyknął Inteb.

- Żagiel trzyma jeszcze?! - spytał Ason.

- Musieliśmy go opuścić, bo chciał odfrunąć!

- Podnieść znowu. Same wiosła nigdy nas nie ocalą!

Przy stawianiu żagla stracili jednego człowieka, który wypadł za burtę porwany nagłym podmuchem wiatru. Zniknął bez śladu. Pozostali byli bliscy podzielenia jego losu, tylko siła



napierających na wiosła ramion i kruchy, drewniany kadłub sprawiły, że nie zostali pożarci przez wodny żywioł. Z żagla został rychło tylko strzęp, ale i on się przydał.

Wydawało się, że noc nigdy się nie skończy. Wioślarze byli zupełnie wyczerpani, ale nie ustawali. Gdy któremuś omdlewały ramiona, zabierał się do wybierania wody i pracował wiadrem, aż znów mógł się do wiosła.

Powoli nadchodził świt. Pokryte ciężkimi chmurami niebo nie tyle pojaśniało, co poszarzało lekko, a po paru chwilach popielata, zalana w części galera ukazała się ich oczom. Wioślarzy było mniej, znacznie mniej niż wieczorem, wszelako Tydeus stał wciąż tam, gdzie spędził całą noc, przy piórze sterowym. Aias podniósł głowę znad wiosła i uśmiechnął się do Asona. Mimo zaawansowanego wieku on jeden nie ustał ani na chwilę w pracy.

Po lewej burcie, nie dalej niż dwadzieścia stadiów, mroczniał brzeg Krety. Niebo za rufą było wciąż niemal czarne, jednak gdzieś z przodu mrok zdawał się znikać, jak ucięty nożem. Inteb zamął z wiadrem w dłoni i spojrzał na wołającego go Asona. Młodzieniec wskazywał na prawo. Inteb przetarł zaczerwienione, piekące oczy.

- Czy to wschodni cypel wyspy?

Inteb wspiał się na pokład i spróbował dojrzeć cokolwiek w półmroku.

- Trudno orzec. Równie dobrze możemy patrzeć na główny masyw Krety. Niedługo się dowiemy.

- Gdy już go miniemy, będziemy mieli dość miejsca, by ruszyć z wiatrem bez ryzyka, że wpadniemy na skały.

Gdy to mówił, rozległ się ostry trzask pękającej liny. Była to jedna z lin mocujących żagiel. Pracowała ciężko przez całą noc, aż w końcu nie wytrzymała. Końcówka liny zakreśliła łuk nad głowami załogi, a pozbawiony podpory maszt zachwiało się niebezpiecznie.

Ason pierwszy rzucił się z mieczem ku linom mocującym dół żagla, ale maszt nie poczekał na niego, tylko trzasnął jak patyk. Ason odtoczył się na bok i uniknął przygniecenia. Zanim uwolnił się spod płóciennej płachty, było już po wszystkim.

Maszt runął za burte, miażdżąc przy tym reling i jednego wioślarza. Teraz, gdy żagiel zniknął, a wiosła ustały, fale poniosły bezwładny kadłub prosto na skalisty brzeg Krety.



7.

Raz jeszcze napięli obolałe mięśnie, raz jeszcze poranionymi dłońmi chwycili drzewce wiosła. Wiatr gnał ich na skały. Przewrócony maszt i opadający za burtę żagiel stanowiły poważny balast, który utrudniał posuwanie się do przodu. Z drugiej jednak strony balast ten stawał dodatkowy opór wysokim falom. Na razie więc nie usuwali go, wiosłowanie było ważniejsze.

Walczyli o przetrwanie: Brzeg przesuwiał się, niknął za rufą, ale był coraz bliżej. Widać już było wyraźnie wylaniające się z wody mokre skały. Wiosłowali. Aż kolejno zaczęli omdlewać z wyczerpania. Ale przytomnieli i znów łapali się za znienawidzone wiosła. Cypel sięgał daleko w morze, szare ramię lądu wyciągające się po ofiarę. Kilka ostatnich minut najbardziej dało im się we znaki, gdyż piana przyboju docierała już na pokład. Udało im się jednak opanować galerę.

Przed nimi rozpościerało się otwarte morze. Wyspa Kreta oddalała się teraz gwałtownie, malała. Widać było jeszcze jeden, mniejszy już cypel, ale ten powinni ominąć bez trudu.

- Przestać wiosłować - zawołał Ason chrapliwie. Był zbyt zmęczony, by pójść napić się.

- I co teraz, góralu? - spytał oparty o drzewce wiosła Aias. - Obu nas zaniósł daleko od domu.

- Teraz? - Ason wstał jednak i przeciągnął zbolące mięśnie. - Staniemy w dryfie. A potem może coś wymyślisz.

Aias wzruszył ramionami i spojrzał na swoje dłonie. Nawet jego zrogowaciała skóra pokryła się krwawymi bąblami.

- Na jakiś czas dość mam wiosłowania, tyle tylko powiem. - Przechylił się przez burtę i zanurzył ręce w wodzie.

Zjedli posiłek na tylnym pokładzie, zapili obficie winem zmieszany z wodą. Ktoś przyniósł pitos oliwek, które jedli całymi garściami, był też krąg żółtego sera. Odcinali spore kawały i przeżuwali. Zwykły prowiant, ani mniej, ani więcej, akurat to, do czego przywykli. Nawet Inteb pożarł łapczywie swoją porcję, zapominając na chwilę o obolałych dłoniach. Tydeus doczekał się zmiany przy piórze sterowym i ciężko opadł na pokład.

- Jesteś marynarzem, Tydeusie - powiedział Ason. - Twój ojciec, Agealos, miał spory statek, pewnie na nim pływałeś?

Tydeus przytaknął z ustami pełnymi sera.

- Co mamy na kursie? I co teraz zrobimy?

Tydeus zerknął na niebo i coraz dalszy brzeg.

- Do Myken w ten sposób nie wrócimy - stwierdził.



- Też tak myślę. Co leży przed nami?

- Głębia wodna pełna potworów, co pożerają statki... Nic.

- Zawsze coś jest. Nie możemy popłynąć na Krete, by się poddać, nawet gdybyśmy chcieli.

Minęliśmy już wyspę. Czy mamy przed sobą jeszcze jakieś inne wyspy?

- Żadnej.

Ludzie przy wiosłach zadrżeli słysząc to słowo. Zawsze żeglowali w ten sposób, by nie tracić lądu z pola widzenia, choćby to były wyspy, jak Cyklady, to nim jedna ginęła za rufą, następna pojawiała się przed dziobem. W nocy lub na czas sztormu zawsze można było wylądować na jakiejś plaży. Bo i jak inaczej? Ocean to pustynia gorsza od najbardziej nawet zapomnianego przez ludzi zakątka, bo pozbawiona znaków. Jeśli straci się ląd z oczu, to jak wrócić? Można wprawdzie poznać strony świata po położeniu słońca, ale co zrobić, jeśli niebo się zachmurzy? Płynąć z dala od brzegu to czyste szaleństwo. A teraz właśnie Kreta niknęła im z oczu, a wiatr nie pozwalał zawrócić i niósł coraz dalej, w pustkę, gdzie tylko woda i woda.

- No to po nas - powiedział jakiś wiosłarz. - Zginiemy wszyscy.

- Ale jeśli wiatr zmieni się w porę, to zdołamy zawrócić.

- A jeśli się nie zmieni?

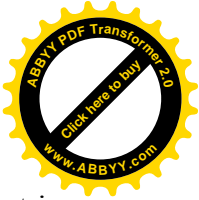
- Jedna chwila - wtrącił się Inteb. Wyjął sztylet i przyklęknął na pokładzie. - Nie jestem kapitanem ani marynarzem, ale znam trochę tę część świata. Uczyłem się matematyki i geografii. Jestem też Egipcjaninem i przypląnałem z Egiptu. Pokażę wam, jak tego dokonaliśmy. Płynęliśmy wzdłuż brzegu, o tak - wyrysował nożem na desce falistą linię. - Mijaliśmy miasta i wyspy, aż dopłynęliśmy do Argolidy i portu Tyryns. - Spojrzał na wydrapany na pokładzie półokrąg. - Stamtąd popłynęliśmy na There, a teraz minęliśmy Krete i zmierzamy w tym kierunku, prosto w pustkę morza.

Wszyscy przyglądali się w milczeniu prowizorycznej mapie. Ostrze noża znalazło się znów w punkcie wyjścia.

- Sami widzicie. Tu jest Egipt, Nil i Teby. One tam są, gdzieś za horyzontem, dokładnie w tym kierunku. - Wskazał nożem na fale. Inni też spojrzeli. Nie dostrzegli oczywiście niczego i ponownie zwrócili wzrok na Egipcjanina.

- Ale jak daleko? - spytał ktoś i Inteb wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale mogę powiedzieć, że jeśli dość długo będziemy płynąć na południe, dotrzemy do brzegu. Wydaje się też, że nie mamy wielkiego wyboru. Wrócić nie możemy, nawet na Krete, pod wiatr nie popłyniemy. Kreta niedługo zniknie za horyzontem, a co potem? Możemy tylko dać nieść się wiatrowi i modlić nie o to, aby ustał, ale żeby czym prędzej zagnał nas do brzegu Afryki.



Tyle tylko im pozostało. Sztorm nie ustawał, nawiedzały ich częste szkwały, jednak maszt i żagiel działały jak kotwica, przez co wiatr zbyt nimi nie miotał. Ason został z kilkoma jeszcze ludźmi na wachcie, by sterować i wybierać wodę, reszta zasnęła tam, gdzie kogo dopadło zmęczenie. Minął dzień, potem noc, aż o świcie drugiego dnia wichura osłabła i morze wygładziło fale. Ason był wciąż na nogach, ciężko oparty o pióro sterowe, gdy niebo pojaśniało na wschodzie. Przez luki w chmurach wyrzały gwiazdy. Kilka minut później na pokładzie pojawił się Inteb. Zamrugał zdumiony dziwną, czerwoną poświatą ogarniającą niebiosa i kąpiącą świat w krwawym blasku.

- Co to jest? - spytał, ale Ason tylko potrząsnął głową.

- Wschód słońca. Ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem.

Całe niebo stało w płomieniach, nie tylko na wschodzie, gdzie z wolna podnosiła się pomarańczowa kula słońca, ale ze wszystkich stron. Coraz rzadsze chmury płonęły szkarłatem. Kto żyw podziwiał to widowisko w milczeniu. Dopiero, gdy słońce wzniosło się wyżej, niesamowite barwy zaczęły zanikać.

- Widziałem raz coś podobnego, ale to było na pustyni - powiedział Inteb. - Podczas burzy piaskowej, wtedy słońce też tak poczerwieniało od drobin piasku, które zawisły w powietrzu. Może to pył z Thery, chociaż trudno uwierzyć, żeby było go aż tyle.

- Wierzę w moc boską. Co bogowie zechcą, to zrobią. To ich niebo. - Ason zachwiał się i oparł o wiosło. Zdumienie pozwoliło zapomnieć mu na chwilę o zmęczeniu. Inteb spojrzał nań zatroskany.

- Jak twoja ręka? I rany? - spytał. Ason wyprostował palce lewej dłoni. Skóra wciąż była zaczerwieniona, ale opuchlizna zaczęła schodzić.

- Z każdą chwilą lepiej. Strupy zaschły jak należy, nawet głowa nie boli mnie dzisiaj. Co innego mnie martwi. Wiatr ustał.

- Zatem możemy siadać do wiosła.

- I gdzie popłynąć? - spytał Ason.

- O tym już sam zdecydujesz. Wciąż jeszcze wieje lekko z północy. Gdybyśmy chcieli wracać na Krete, przyjdzie nam zmagać się z wiatrem. Tymczasem przed dziobem mamy Afrykę.

- Jak daleko?

- Skąd mam wiedzieć, mogę tylko zgadywać. Bliżej, dalej... Trzeba podjąć decyzję.

- Już postanowiłem. Płyniemy na południe.

Mając słońce po lewej burcie zaczęli wiosłować.

Splątana masa żagla, lin i masztu została odcięta i szybko zniknęła za rufą. Wyznaczono wachty i wprowadzono racjonowanie żywności. Nikt nie protestował. Galernicy w większości



synowie niewolników potrafili jedynie wykonywać rozkazy i nic nadto. Inni wioślarze rekrutowali się spośród wojowników wszystkich miast i krajów, które graniczyły z morskim imperium Atlantydy. Urodzeni w Argolidzie, na dalekich wyspach Ikarii i Samos, a nawet w takich miastach jak Byblos i Tyr, mówili odmiennymi językami, reprezentowali różne rasy i jedno tylko ich łączyło, wszyscy walczyli z Atlantydą, wszyscy zostali pokonani, pojmani w niewolę i przykuci do galery. Ich przeznaczeniem była odtąd ciężka praca za lichą strawę, lata wysiłku, choroby i śmierć... Ason uwolnił ich, uratował z kataklizmu, stając się tym samym wodzem całej grupy. Oni zaś, będąc prostymi ludźmi, uznali, że winni pójść zanim wszędzie, gdzie każe. Popluwając w dłonie chwycili za wiosła.

Inteb siadł w otwartych drzwiach kabiny i zaczął na kawałku pękniętego dzbana spisywać ich stan posiadania. Mógł z tego miejsca pilnować również kursu, wystarczyło śledzić układ cieni na pokładzie. Gdy zbaczali nadto na wschód lub na zachód, przekazywał sternikowi odpowiednie polecenie. Ason wyspał się solidnie i ostrzył teraz swój miecz, pracując osełką w kabinie. Obok ustawił sobie kubek wina z miodem, usypał garść rodzynek.

- Rodzynki - Inteb odhaczył kolejny punkt na swojej liście. - Jęczmień, ser, oliwki, oliwa z oliwek, trochę suszonych ryb z robakami. Nie będziemy głodować. Wino i woda, chociaż niektóre dzbany zaczynają już śmierdzieć. I jeszcze nici, płótno i igły do naprawy żagla, chociaż tego akurat już nie potrzebujemy. Smoła i deski do reperacji kadłuba też są, ale póki nie przybijemy do jakiegoś brzegu, nic nam po nich. Nadzorca opuchł całkiem grzecznie i trzyma jak ta lala, idealny szpunt. Wprawdzie przyznać trzeba, że śmierdzi nieziemsko i żaden wioślarz nie chce siedzieć obok niego. Jest też parę skrzyń należących uprzednio do zbrojmistrza i trochę majątku kapitana.

- A co w nich?

- Narzędzia do obróbki brązu, co by miało być. Trochę biżuterii, sporo ubrań. I jeszcze skrzynia z pieczęcią: zламаłem tę pieczęć. W środku były trzy miecze i cztery sztylety, chyba część towaru na sprzedaż. Z istotnych rzeczy to już wszystko.

Ason spojrzał na swój kubek.

- A jak stoimy z winem i wodą?

- Na razie nie umrzemy z pragnienia.

- Jak długo potrwa to "na razie"?

- Jeśli będziemy oszczędzać, to starczy nam na dziesięć, może dwanaście dni. A potem ryby i tak zjedzą nadzorcę i zatoniemy.

- Coś humor ci się dzisiaj poprawił. Dotrzemy do lądu, nim go zeżrą?



- Sokologłowy Horus pewnie zna odpowiedź na twoje pytanie, może wiedzą to też twoi bogowie z Olimpu, ale ja? Może okazać się, że morze jest jednak zbyt rozległe, możemy trafić na sztorm. Możesz nalać mi wina? Chyba bym się napił.

Ason wręczył mu srebrny kubek i Inteb zaraz uniósł go do ust. Upił solidny łyk z nadzieją, że mocny trunek złagodzi błędzący w podświadomości lęk przed śmiercią. Zapatrzył się w odmęty, jakby wypatrywał tam jakiegoś znaku i znów popił. Ason przyglądał mu się niespokojnie. Wiedział, że Egipcjanina coś trapi.

- Myślisz, że jest aż tak źle? Ty, który pokazałeś nam, jak mamy płynąć?

- Abstrakcyjny pomysł to jedno, a podjęcie decyzji, to drugie. Gdy proszą mnie o zbudowanie muru czy grobowca, to rysuję plany, sam nie muszę dźwigać kamieni. Mogę nawet oddać gotowe plany i pójść sobie, a inni dopilnują, by wszystko stało się jak należy. Osobiste zaangażowanie nie jest konieczne. Zaproponować odbyte podróży takiej, jakiej nikt jeszcze nigdy nie przedsięwziął, to proste, w tym jestem dobry, ale wybrać się w taką podróż...

- Nigdy nie patrzyłem na to w ten sposób.

- Ty nie, muskularny Asonie. Sądzę, że dla ciebie myśl i czyn to jedno, myślenie o bitwie oznacza początek walki.

- Zaczynasz przemawiać jak mój ojciec.

- Perimedes włada Argolidą i Mykenami, dlatego że potrafi myśleć nie tylko o walce. Tworzy sojusze, rozumie potrzebę budowania murów, pamięta o pozyskiwaniu brązu na miecze, bo bez nich nie ma walki. - Inteb nagle przypomniał sobie coś i spojrzał na Asona. - Właśnie. Brat twego ojca, Lycos. Tuż przed wyjazdem z Myken usłyszałem, że nie żyje.

- Skąd możesz to wiedzieć? Wyprawił się w daleką podróż, nie mogę powiedzieć ci, gdzie.

Inteb spojrzał na pokład i krzyknął do sternika, by ten poprawił kurs, poczekał, aż tamten odpowie i zastanowił się, czy powinien ujawnić całą prawdę.

- Znasz mnie od trzech lat, Asonie. Czy uważasz, że jestem ci przyjacielem? Czy uznajesz mnie za przyjaciela Myken?

- Tak, chyba tak. Ale byłeś na Atlantydzie...

- Wysłany z pewną misją przez faraona. Nic nie powiedziałem im o tym, co robiłem w waszym mieście.

- Wierzę ci. Wierzę ci, tym bardziej że zabiłeś dwóch ludzi w mojej obronie. Ale czemu pytasz?

- Bo wiem o twoim mieście więcej, niż sądzisz. Megaron znajduje się pośrodku miasta, a plotki rozchodzą się szybko. Żadna tajemnica nie utrzyma się zbyt długo. Wiem, że wasza cyna



pochodzi z kopalni na pewnej wyspie na dalekiej, zimnej północy. Twój stryj Lycos zginął właśnie tam, kopalnia została zniszczona. Perimedes nie pogodzi się szybko z tą stratą.

- Jasne, że nie. Mój ojciec zawsze snuje wielkie plany. Święty brąz odgrywa w nich istotną rolę. Biedny Lycos, umrzeć w tak zimnym i wilgotnym kraju. Popłynąłem z nim, gdy tam wracał, ale odesłał mnie z pierwszym ładunkiem cyny. Był przekonany, że nikt tak nie wydrze cyny z głębi ziemi jak on. Byli jeszcze inni. Wielu zginęło?

- Wszyscy. Tylko twój kuzyn Phoros wrócił z wiadomością.

- Stary Koza, który uczył mnie fechtunku, Mirisati... Byliśmy przyjaciółmi. Trzeba ich pomścić, niech dziesięciu co najmniej zginie za jednego. Trzeba najechać na tę wyspę mieczem.

Ason zamyślił się głęboko, zapominając nawet o winie.

Dzień mijał, cienie rosły coraz dłuższe, a oni wiosłowali, aż gwiazdy pojawiły się na niebie. Inteb pokazał sternikowi gwiazdy przewodniczki i nakazał pilnować, by niezmiennie znajdowały się za rufą, jednak rychło chmury zakryły niebo. Wiosła znieruchomiały i wszyscy, poza nieliczną wachtą, poszli spać. Rano obudził ich deszcz. Morze burzyło się przez dwa dni i jedyne, co mogli zrobić, to pilnować galery, aby nie ustawiła się burtą do fali i wybierać wodę, by całość nie zatonała. Trzeciego dnia sztorm ucichł, ale fale wciąż były wysokie, a niebo zachmurzone. W serca załogi zaczęła się zakradać czarna rozpacz. Wtedy to Ason musiał zabić niewolnika z Aleppo.

Był to mężczyzna o oliwkowej cerze, niemal równie ciemnej jak egipska, z długimi czarnymi włosami związanymi w kitę z boku głowy. Tam, gdzie się urodził, były tylko góry i rzeka, a za nimi sucha pustynia ciągnąca się aż ku krańcom świata. Morze ujrział po raz pierwszy jako niewolnik Atlantydów, a wszystkie podróże odbywał dotąd w pobliżu brzegów. Dopiero teraz skosztował też po raz pierwszy w życiu wina zmieszanego z wodą i dziwnie jakoś szumiało mu w głowie. Gdy przestali wiosłować i fala zza burty załała mu nogi, coś pękło w duszy nieboraka. Zerwał się z krzykiem.

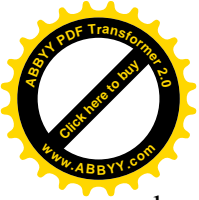
- Wiosłujcie! Wracajcie. Na Krete, do Atlantydów. Zginiemy tutaj.

- A którądy mamy wracać? - spytał Ason, patrząc nań z wyżyny pokładu. - Wiosłować możemy tylko wtedy, gdy coś pokazuje nam drogę.

- Musimy...

- Nie.

Mężczyzna z Aleppo wskoczył na biegnącą środkiem statku kładkę i zamierzył się na Asona ciężkim wiadrem. Młodzieniec był bez broni, toteż uderzony w udo padł na pokład. Jego miecz został w kabinie, ale Inteb czuwał. Podał Asonowi swój sztylet i kiedy mężczyzna znów uniósł wiadro, ostrze zatonało w jego gardle przecinając tętnicę. Ranny zachwiał się i wypadł za



burtę, barwiąc wodę na czerwono. Ason wrócił zaś do kabiny, ubrał zbroję i przypasał miecz. Od tej pory już się z nim nie rozstawał.

Ten dzień był najgorszy. Chmury wisiały wciąż nisko. Na szczęście krótko po zmierzchu gwiazdy znów się pokazały. Wioślarze szybko przystąpili do pracy. Wszyscy pokazywali sobie gwiazdy wskazujące północ i tłumaczyli jeden drugiemu, jak je odszukać. Od czasu do czasu pokrzykiwali na sternika, upewniając się, czy dobrze płyną.

Trup nadzorcy wytrzymał jeszcze dwa dni, potem rozkład ciała stał się widoczny nawet gołym okiem. Dziura zaczęła przeciekać po brzegach. Szczupły i szeroki w barach młodzieniec imieniem Pylor, który pochodził z wyspy Kei i miał wprawę w nurkowaniu po rosnące u brzegów jego ojczyzny gąbki, zgodził się zejść pod wodę i obejrzeć poszycie. Obwiązano go liną i spuszczone za burtę. Wrócił już po chwili.

- Ale tu ryb! - zameldował. - Zjadły już tego skurwysyna prawie do pasa. Tylko kości wiszą. Chyba nam się zużył.

Tydeus, który miał niejaki doświadczenie w reperowaniu statków na pełnym morzu, pokazał, jak zrobić z płótna żaglowego osłonę i jak opuścić ją za burtę. Wybrali największy kawał materii, doszyli do jej rogów kawałki cumy i liny zrobione z ubrań, a następnie przy pomocy Pylora przesunęli prowizoryczną osłonę pod kilem w miejsce, przecieku. Całość przyłgnęła ciasno do poszycia, pozostało tylko wyciągnąć nędzne szczątki nadzorcy i wstawić drewnianą łatę. Przycięto stosowne deski, zbito je brązowymi bretnalami, wciąż jednak brakowało ochotników, by wyciągnąć cuchnące zwłoki.

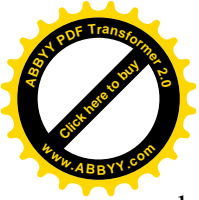
- Ja złapię go za jedną rękę - powiedział Ason. - Kto mi pomoże? Zgromadzeni odwrócili nagle głowy, a Inteb zdołał nawet skryć się w kabinie.

Aias zaśmiał się, widząc ich zmieszanie i przepchnął się do Asona.

- Tuliłem już kobiety, tuliłem chłopców, a nawet owce, ale z trupem jeszcze nie próbowałem - powiedział. - Muszę zobaczyć, jak to jest.

Wystarczyło jedno porządne szarpnięcie i niekompletne zwłoki wyleciały za rufę, gdzie z miejsca opadły je ryby. Ason i Aias umyli tymczasem ręce za burtą. Osłona prawie nie przepuszczała wody i łata szybko została dopasowana, przybita i uszczelniona smołą. Wydawała się całkiem pewnym zabezpieczeniem, chociaż nikt nie był specjalnie ciekaw, czy wytrzyma podczas sztormu.

Dni płynęły powoli, jeden podobny do drugiego. Inteb liczył je, robiąc znaczki na ścianie kabiny. Pilnował rozdziału żywności i wody, spał zaś w drzwiach, by nikt nie mógł dostać się do zapasów. Niektórzy szeptali wprawdzie coś po zmroku, ale nie doszło do następnych przypadków



rebelii. Jeden z niezadowolonych próbował nawet zagadnąć Aiasa, ale ten potraktował go pięścią i agitator spędził resztę dnia nieprzytomny.

Woda zaczęła się kończyć, na dodatek jej resztki cuchnęły tak bardzo, że Inteb musiał dodawać do niej coraz więcej wina, którego mieli akurat większe zasoby. Nieprzywykła do trunków załoga w większości przyplącała to długotrwałym upojeniem. Kładziono wówczas pijanych na ławach, pilnując, by nie spadli i nie potopili się w zęzach.

Dwunastego dnia ujrzeli na horyzoncie cienką, ciemną linię przypominającą pasmo chmur. Bez poganiania żywiej napaarli na wiosła, a linia rosła i ciemniała i to wcale nie były chmury.

- To musi być brzeg - powiedział Inteb, a galera zakołysała się nagle, gdy wszyscy zerwali się z miejsc, by na własne oczy ujrzeć ten cudowny obraz. Po raz pierwszy od dnia starcia się z mężczyzną z Aleppo, Ason odpiął miecz. Znikły wszelkie objawy malkontentstwa, znów pili i śmiali się razem. Fale uniosły daleko ponure myśli. Przed dziobem mieli ład, ziemię. Jaka? Mniejsza z tym. Bezczesna podróż dobiegła końca i niektórzy zaczęli już z wolna układać o niej opowieści, w których przebyty dystans wydłużał się co najmniej dwukrotnie. Należało oczekiwać, że z latami cała ta historia otoczona zostanie legendą.

To Tydeus, jak zwykle czuwający przy sterze, pierwszy dojrzał zbliżający się żagiel. Z początku widział tylko kropkę, jakby skała sterczała z morza, kiedy jednak kropka urosła, zawołał innych. Stłoczyli się na pokładzie, aż Ason kazał wracać do wiosł. Aias pozostał jednak na górze i patrzył na coraz bliższy statek z taką miną, jakby coś sobie przypominał. Odsunął nawet palcami zniekształconą powiekę, by lepiej widzieć.

- Ten ciemny żagiel, ten sposób stawiania żagla... Poznaje. To ludzie z Sydonu.

- Znam Sydończyków - powiedział Inteb. - To kupcy, handlują srebrną zastawą i dobrymi tkaninami. Sam od nich kupowałem.

Aias zacisnął pięści i postąpił krok ku Egipcjaninowi.

- Owszem, w Egipcie to handlują - powiedział. - Tak jak Atlantydzi, bo i nie mają wyboru. Ale w Byblos i gdzie indziej zwiemy ich inaczej. Gdy muszą, są kupcami, na co dzień to jednak piraci. Zabijają nas dla tego, co mamy w kabinie i dla drewna.



8.

Statek zbliżał się szybko i wyraźnie szykował się do ataku. Przypominał czarnego, drapieżnego ptaka i zauważywszy to podobieństwo, Ason od razu poczuł się lepiej. Znów był w swoim żywiole. To nie jakaś podejrzana walka na pięści, tutaj nie chodziło o tonące statki ani o skutnictwo, szykowała się zwykła walka, a tę potrafił prowadzić.

- Intebie, otwórz skrzynię i wydaj broń tym, którzy potrafią nią władać. Reszta niech jak najżywiej czerpie wodę zza burty i wlewa ją do naszego statku.

Nikt nie zadawał zbędnych pytań, wszyscy wzięli się rażno do wykonywania rozkazów i gdy czarny statek podpłynął bliżej, galera siedziała już głęboko w wodzie. Ci z mieczami przebiegli pochyleni na rufę i schowali się w ciasnej kabynie, wiosłarze ze sztyletami przysiedli na ławach, kryjąc broń przed spojrzeniem intruzów. Aias nie przyjął miecza, pomachał tylko pięścią.

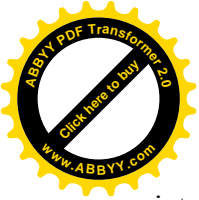
- Moją broń zawsze noszę przy sobie - powiedział, siadając na ławie tuż przy drzwiach kabiny. - Co mamy robić?

- Zaskoczyć ich - odparł Ason. - Nałóżcie kajdany na nogi i trzymajcie stopy razem, jakbyście byli wciąż zakuci. Wciągnijcie większość wiosła. Starajcie się wyglądać na schorowanych, to akurat nie powinno być trudne. Jak komuś to nie wychodzi, niech udaje martwego. Maszt poszedł wraz z żaglem, statek bierze wodę, zostawiono was na pastwę morza. Gdy ci tam uznają was za łatwy kąsek, to zaniechają ostrożności. Gdy zawołam, zaatakujecie razem. Walczyć, aż wszyscy wrogowie padną. Z tej bitwy wyjdzie żywa tylko jedna załoga. My.

Aias, który dzięki występom na arenie nabrał nieco zdolności aktorskich, dał całkiem udane przedstawienie. Zdarzało mu się boksować ze szlachetnie urodzonymi, których mógłby przecież zabić jednym ciosem, a jednak wiedział, jak przegrać i zadowolić szanownych państwa. Rozwalił się ciężko na ławie i zaczął nawoływać ochrypłym głosem w kierunku nadpływającego statku, w przerwach informując szeptem schowanych w kabynie towarzyszy o rozwoju sytuacji.

- Podpływają bez wahania, zwinęli żagiel, wiosłują tylko. Wszyscy wychylają się przez burty, drą gęby i pokazują nas sobie. Niektórzy mają hełmy, ale nie widzę nikogo w pancerzu. Trzymają miecze i włócznie. Teraz wciągają wiosła, dryfują coraz bliżej.

Z pokładu większego od galery czarnego statku dobiegły gardłowe krzyki. Czarna była farba na jego wysokiej burcie, czarny łaćński żagiel zwinięty w poprzek masztu. Wrzaski nasiliły się, doszły jeszcze śmiechy i galera zadrzała, gdy statki zetknęły się i jeden z piratów zeskoczył na pokład dziobowy z liną i zaraz starannie ją uwiązał. Za nim skoczyli w dół następni, wszyscy wysocy, ciemnowłosi i brodaci z przepaskami odsuwającymi włosy przed twarzą. Jak dotąd



intruzi ignorowali niewolników. Ason czekał, aż jak najwięcej obcych zejdzie na galere. Nagle w drzwiach kajuty pojawił się mężczyzna w szacie o barwie spranej purpury, innej wyraźnie niż białe odzienie pozostałych. W dłoni trzymał bogato zdobiony miecz.

Ason zatopił ostrze swego miecza w piersi przybysza, odkopnął konającego, wyrwał mu broń z omdlewających palców i ryknął niczym prawdziwy mykeński lew.

Wioślarze zerwali się, zabijając najbliższych stojących piratów. Aias dzielił pięścią czarnobrodego wojownika, a uczynił to z takim impetem, że tamten wpadł na kamrata. Nie czekając aż się pozbierają, Aias cisnął obu za burtę.

Kiedy minęła pierwsza chwila zaskoczenia, Sydończycy zaczęli się bronić, dobyli oręża i ściągnęli posiłki. Byli dzielnymi mężczyznami i ani myśleli uciekać. Wraz z napływem nowych wojowników walka nabrała zaciętości.

Ason oczyścił mieczem pokład dookoła, ale zamiast dołączyć do swoich, wspiał się na reling i ruszył na pokład czarnego statku. Z góry ciśnięto weń włócznią, ale młodzieniec opuścił głowę i grot ześliznął się po hełmie. Zanim ktokolwiek zdołał zamierzyć się na niego powtórnie, Ason uniósł dłoń z mieczem i pozostało mu tylko odepchnąć trupa i skoczyć na wrogi pokład. Trzymając zdobyczną włócznię, ruszył przed siebie tak jak rolnik, który dzierżąc sierp przemierza równym krokiem łąkę.

Nie ma sposobu, aby zatrzymać wojownika w pełnej zbroi. Owszem, inny chroniony pancerzem podobnie mąż może stawić mu czoło, a wówczas walka kończy się wygraną lepszego, ale sama broń na nic się tu zdaje. Włócznie odskakują od napierśnika, miecze szczybią się na hełmie, brązowe nagolenniki chromą nogi przez uszkodzeniem ścięgien. Ason zaś wychowany przede wszystkim na wojownika parł teraz niczym fala morska dążąca ku plaży. Spoglądając spod okapu hełmu starannie wybierał cele, zatapiając miecz w niczym nie chronionych ciałach tych, którzy mieli pecha stanąć mu na drodze.

Ciął, kłuł i z wolna na pokładzie zaczęło się robić puściej. Ci, którzy zaatakowali galere, próbowali wrócić na swój statek, próbowali go odzyskać, ale zaraz dosięgły ich ciosy wymierzone z dołu. Napastnicy zrozumieli, że śmierć zagląda im wszystkim w oczy, ale nie zaniechali walki. Byli to silni mężczyźni i dobrzy szermierze, potykali się dzielnie tak w pojedynkę, jak i razem, ale z każdą chwilą było ich mniej, chociaż ostatni walczył równie ofiarnie, jak pierwszy, i umarł z przekleństwem na ustach.

Krew przestała w końcu płynąć, ciała odarto z odzieży i wyrzucono za burtę. Galernicy też ucierpieli, ale ich straty nie były dotkliwe. Płytkie rany przemywano olejem i słoną wodą tak długo, aż ustąpiło krwawienie. Wszelako jeden mężczyzna z bujną brodą, milczek z Salamis, otrzymał głębokie cięcie w brzuch i musiał trzymać cały czas brzegi rany razem, aby mu się nie wylały



wnętrznosci. Nie próbował nawet zatamować krwi, ostatecznie śmierć z wykrwawienia była najłagodniejszym sposobem odejścia, wszyscy to wiedzieli. Dali mu wina, chociaż nie był w stanie pić, usiedli obok, pogadując doń i żartując, aż zamknął oczy i zmarł.

Ason też sięgnął po wino z wodą i dopilnował, by każdy dostał trochę trunku. Potem, gdy wszyscy jeszcze cieszyli się głośno zwycięstwem, zawołał ich na wysoki rufowy pokład. Chciał podzielić się z nimi pomysłem, który zaświtał mu, gdy tylko obcy żagiel pokazał się na horyzoncie.

- Znam ten brzeg - obwieścił. - Żeglowałem tu niegdyś. Dzień żeglugi w tę stronę leży Egipt. Możecie tam płynąć, jeśli chcecie. Dostaniecie swą część łupu ze wszystkiego, co jest na galerze i na zdobytym statku.

Rozległy się kolejne okrzyki radości, bowiem co bardziej wścibscy wioślarze zerknęli już do luków czarnego statku, znajdując płótno, butle oliwy, a nawet rzeźby z kości słoniowej, które wszędzie były w cenie. Ason poczekał, aż emocje sięgną zenitu i starannie wybrawszy chwilę, pociągnął swą przemowę dalej.

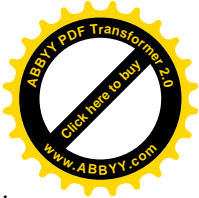
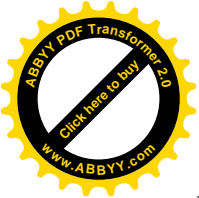
- Zrobicie, jak zechcecie, aleja płynę gdzie indziej, na zachód i proszę najlepszych spośród was, by zechcieli ruszyć ze mną. Miniemy Słupy Heraklesa i pożeglujemy na wyspę Yern, by pomścić mego wuja i współbraci, którzy tam zginęli. Przywieziemy stamtąd cynę, cały statek cyny, która więcej jest warta niż złoto czy srebro, a każdy dostanie swoją część. Pytam was teraz, mężowie, którzy odbyliście podróż przez ocean, podróż jakiej nie odbył nikt nigdy, którzy walczyliście i zwyciężyliście piratów, czy jest coś takiego na tym świecie, czego jeszcze się lękacie? Czy popłyniecie ze mną do krain, które człowiek rzadko ogląda? Czy chcecie wrócić do domów bogaci? Kto zostaje ze mną?

Odpowiedź mogła być tylko jedna, gremialny ryk radości, jeden, potem następny i następny. Jak mogliby odmówić? Przecież przekonali się już, że potrafią wszystko, absolutnie wszystko! Ason upuścił miecz na pokład i drugą ręką podrzucił włócznię, złapał ją w prawą dłoń. Z imponującym zamachem cisnął drzewce wysoko w powietrze. Włócznia wzbila się prosto w zachodzące słońce, które zabarwiło grot złotem. Przez chwilę zdawało się, że włócznia dosięgnie ognistej kuli, ale i tak poleciała daleko, jako patyk ledwie niknąc pod falami. Wiwaty tymczasem nie ustawały.

Ason pochylił się, by podnieść miecz, a prostując grzbiet ujrzał Inteba. Egipcjanin spoglądał na młodzieńca z lekkim uśmiechem na ustach.

- Od początku tak to sobie zaplanowałeś, co? - spytał.

- Tak. Od kiedy powiedziałeś mi o Lycosie i innych, szukałem sposobu, aby zdobyć statek i popłynąć po cynę. A teraz mamy już statek, i to z załogą. Powrót do Myken i przygotowania do ponownego wypłynięcia zabrałyby całe tygodnie, a po co trwonić czas? Stąd jest całkiem blisko na



zachodnie morze. Mój ojciec tyle mówił o cynie, że nawet ja wiem dobrze, jak bardzo jest potrzebna. I to teraz, póki jeszcze Atlantyda lizać będzie rany. Stracili wiele statków i ludzi, może nawet sam Atlas zginął, chociaż to chyba byłby już nadmiar szczęścia i trudno na to liczyć. Trzeba na nich uderzyć, teraz, póki mamy szansę. A do tego trzeba cyny.

- Mówisz zupełnie jak Perimedes.

- On jest królem, a ja jestem jego synem. Ale co z tobą, Intebie? Zdaje się, że nie cieszyłeś się równie głośno jak inni.

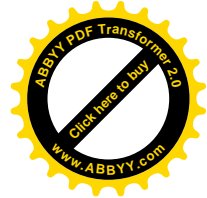
- Zawsze jestem ci rad, Asonie, chociaż czasem zbyt głośno tego nie okazuję. Jesteśmy blisko Egiptu, blisko mego domu. Faraon nałożył na mnie konkretne obowiązki. Czy nie powinienem jednak tam wrócić?

- Czy powinienes? Możesz ruszać z nami. Bez ciebie czuć się będę jak bez prawej ręki. Kocham cię jak brata.

- I ja cię kocham, Asonie, chociaż niewiele to ma wspólnego z miłością braterską. - Wziął go w ramiona i przytulił swój policzek do jego szorstkiego i spoconego policzka, na którym schły z wolna krople krwi. - Kocham cię i pójdę z tobą wszędzie, gdzie tylko zapragniesz mnie zabrać.



KSIĘGA DRUGA





1.

Drzewa i gęste zarośla podchodziły do samej linii wody. Powietrze było parne i nieruchome, z rzadka tylko jakiś podmuch przedostawał się przez barierę zieleni, owiewając spracowanych galerników wilgocią. Czarny statek płynął u stóp klifu niczym gigantyczny żuk wodny walcząc wytrwale z prądem. Wiosła podnosiły się i opadały na podobieństwo nóg ospałego, ale upartego owada. Żagiel zwinięto, wiatr był zbyt słaby, a gdy się zrywał, to i tak wiał w odwrotnym kierunku. Wioślarze przeklinali przy każdej okazji, gdy tylko udało im się złapać oddech, a sternik pilnował, aby trzymać się blisko brzegu, gdzie prąd nie był taki silny i nie znosił ich.

Po drugiej stronie cieśniny, na północ od nich, sterczała ku niebu szara, potężna skała, był to jeden ze Słupów Heraklesa. Gdy pierwszy raz ujrzeli go, stłoczyli się przy relingu, pokazując sobie zjawisko i pokrzykując. Teraz widok skały napawał ich obrzydzeniem. Chociaż godzina mijiała za godziną, a oni wiosłowali z całych sił, to kształt oddalał się z wyjątkową powolnością. Wiadrami czerpali wodę zza burty, by zlać nią spoconą skórę i rozpalone słońcem głowy. Tutejsza woda była zimniejsza i nie tak słona jak na południu. Obecny etap podróży okazał się najtrudniejszym od czasu zdobycia statku piratów. Wypacając ostatnie krople wspominali dawne, spokojne dni i niegdysiejszą obfitość jadła. Od tamtego dnia wiatr im sprzyjał. Płynęli wzdłuż wybrzeża Afryki. Wiezorami dobijali do brzegu, gdzie zaopatrywali się w świeżą wodę i nocowali. Często wtedy polowali i mięsa im nie brakowało. Najlepszy był w tym Ason, on też miał najcelniejsze oko. Jednym rzutem włóczni potrafił powalić jelenia, ta sztuka nie udawała się nikomu innemu. Dni płynęły im bez trosk, nocami opowiadali sobie stare historie o pułapkach czyhających na statki żeglujące po tych wodach i zaśmiewali się do łez.

Potem szczęście przestało im sprzyjać. Natrafili na przeciwny prąd, a na dodatek wiatr zmienił kierunek i przez trzy dni czekali na brzegu, aż pogoda się poprawi. Bezskutecznie. Chcąc nie chcąc, musieli zasiać do wiosła.

Nie było to szczególnie przyjemne. Przez cały dzień, od świtu do zmroku, pracowali ciężko, aż nieprzychylna cieśnina została za rufą i wypłynęli znów na otwarte morze. Z pomocą wiatru dotarli do przeciwległego brzegu. Tuż przed zachodem słońca bryza ustała i bez wysiłku znaleźli zatokę pośród skał. Zjedli łączywie pierwszy od rana posiłek i szybko usnęli.

Ason tymczasem przysiadł w kabinie, nalał oliwy do kamiennej lampy, ułożył knot w naczyniu i zapalił.

- Teraz musimy zastanowić się nad dalszą trasą - powiedział.



- Bez map?

- Lycon nie miał żadnych map, a znalazł drogę i wszystko mi objaśnił. Od Słupów Heraklesa musimy płynąć na północ wzdłuż wybrzeży, aż ląd się skończy i...

- I świat się skończy, a my pogrzążymy się w otchłani.

- Chyba nie jesteś dziś w najlepszym humorze, In-tebie.

- To przez to całodniowe stanie przy sterze i patrzanie na innych jak wiosłują. Należę ci wina.

Ason cmoknął i przeciągnął się tak, że aż mu stawy zatrzeszczały. Razem z innymi siedział cały czas przy wiosłach.

- Weź ten kawałek stłuczki i coś do drapania, a zrobimy mapę.

Inteb położył skorupy naczyń na stole i spojrzał wyczekująco na Asona. Ten zacisnął prawą dłoń w pięść, potem rozluźnił ją częściowo i unióś kciuk pionowo do góry.

- No i mamy.

- Nowy kłopot?

- Nie, mapę. - Przysunął dłoń grzbietem do skorupy. - A teraz obrysuj ją, ale wyraźnie.

Gdy szkic był gotów, Ason spojrzał nań z uznaniem i postukał w miejsce, gdzie wcześniej tkwiła podstawa małego palca.

- Tu jest cieśnina między Słupami Heraklesa. Kciuk wskazuje północ. Tak zatem najpierw popłyniemy na zachód wzdłuż dolnej krawędzi dłoni do knykcia małego palca. Potem skróćmy na północ, mijając knykcie wszystkich palców. Każdy oznacza ujście wielkiej rzeki, są takie cztery po drodze, tyle, ile palców. Musimy minąć je wszystkie. Potem dotrzemy do wielkiego przylądka, gdzie zmienimy kurs na wschodni. Dotrzemy aż do podstawy kciuka, skąd znów pożełujemy ku północy. Na szczycie kciuka nasz kurs zacznie zmieniać się na północno-zachodni. Jedna dłoń starczy za całą mapę.

- A co będzie, gdy kciuk się skończy?

- Przyjdzie pora, by przepłynąć morze. Gdy tylko linia brzegu znów skieruje się na wschód, my skróćmy na północ, ku wyspie Yern. Akurat w tym miejscu jest taka mała wysepka, nazywa się Uzend. Przepłyniemy między nią a stałym lądem, zależnie od wiatru, i jeden dzień potem i jedną noc, przy dobrym wietrze i czystym niebie, zajmie nam droga do wyspy Yern i krainy Albich.

- To odmienne szczepy?

- Bardzo odmienne, ale jak bardzo, sam się przekonasz.



Ason zdjął tunikę i położył się na brzuchu, Inteb zaś wylał sobie nieco oliwy na dłonie i zaczął wcierać ją w muskularny grzbiet i ramiona młodzieńca. Zanim masaż dobiegł końca, Ason już pochrapywał.

Następne dni nie różniły się prawie jeden od drugiego. Minęli ujście wielkiej rzeki, gdzie spłoszyli jakiś stateczek. Uciekł w górę nurtu, ale nie trudzili się podejmowaniem pościgu. Mijana kraina wyglądała na górzystą, brzegi jednak były dość żyzne, obfitowały w strumienie, zwierzyinę płową i dzikie świnie, na które zastawiali sidła zwykle u wodopojów.

Tylko raz ujrzeli jakiś ślad działalności człowieka na lądzie - słup dymu wzbijający się pionowo w bezchmurne niebo. Wylądowali na plaży i ostrożnie, jakby tropili zwierzynę, zbadali owo miejsce. Ogień rozpalili po przeciwnej stronie kopca niż ta, z której wiał wiatr. Kopiec, usypany na wysokość dwukrotnego wzrostu mężczyzny, wykorzystali jako osłonę. Wkoło ognia siedziała liczna rodzina i w radosnej atmosferze piekła sobie całego wołu. Dopiero gdy zza wzniesionego po tej stronie kopca kamiennego muru wyłonili się zbrojni mężowie, całe towarzystwo rozpierchło się z piskiem. Ason i jego ludzie wybuchnęli śmiechem i zaciągnęli wołu na statek, zanosząc się rechotem, ilekroć w krzakach mignęła im wystraszona twarz tubylca. Bez dwóch zdań, miła podróż.

Gdy ukierunkowane na linii północ-południe wybrzeże skończyło się, mapa doprowadziła ich do rozległej zatoki ze sporą połącią lądu po drugiej stronie.

- To tutaj - powiedział Ason. - Pamiętam kształt tej wyspy. Ma piaszczystą zatoczkę, w której wtedy wylądowaliśmy. Jest tam strumień, w którym napełnialiśmy bukłaki wodą. Potem ruszyliśmy od brzegu, na pełne morze.

- W tym mamy już niejaki doświadczenie - powiedział Inteb. - Dalej się pływało.

Ponieważ załoga nie lękała się utracić brzegu z pola widzenia, tak i ten, ostatni już, etap podróży nie budził niczyjego niepokoju. Od pierwszego dnia po walce wiatry i morze im sprzyjały, żegluga przychodziła bez trudu, deszcze były rzadkie, jak na tę porę roku. Na dodatek u kresu drogi czekały na nich pokłady cyny, a to oznaczało bogactwo.

Przez siedem dni wiatr wiał z zachodu, zmuszając ich do oczekiwania w zatoczce. Uzupelnili zapasy słodkiej wody, sprawdzili takielunek, wymienili nazbyt zużyte liny. Uszczelniono wszystkie, nawet niewielkie przecieki. Gdy ta robota dobiegła końca, jeden z wioślarzy sporządził sieci ze sznurka i nałapali tłustych ptaków, które urządziły sobie gniazda na gałęziach drzew. Oblepili je gliną i upiekli w żarze. Rankiem ósmego dnia Ason obudził się jeszcze przed świtem i wyszedł na podkład, aby sprawdzić, jaka panuje pogoda. Aias trzymał wachtę oparty o reling. Zwilżył palec śliną uniósł go wysoko.

- Wieje z południa - powiedział. - Czy na taki wiatr czekaliśmy?



- Dokładnie. Obudź wszystkich.

Raz jeszcze zostawili brzeg za rufą i wpłynęli na pusty wodny przestwór, chociaż tym razem z rozmysłem. Sternik uważnie obserwował oddalający się ląd, by nie zboczyć z kursu już na samym początku, a Inteb śledził drogę słońca. Morze było spokojne, długa fala kołysała ich łagodnie. Białoskrzydłe ptaki morskie podążyły za nimi na ocean, krzycząc głośno i nurkując po ukazujące się w kilwatterze ryby. Wiatr niósł ich żwawo i nikt nie zwrócił uwagi na rozbudowane chmury, które po południu wyjrzały zza horyzontu. Groźnie zaczęły zresztą wyglądać dopiero o zmierzchu. Słońce zaszło jednak czyste i jasne. Widoczność była bardzo dobra. Wypatrywali śladu lądu i robili zakłady, komu pierwszemu szczęście dopisze.

Wieczorem, prawie bez ostrzeżenia, dopadł ich sztorm. Zerwał się silny wiatr, niebo błyskawicznie zanosło się chmurami, morze ożyło gwałtownie. Takich fal jeszcze nie widzieli, toteż od razu zrobiło się niewesoło. Gdyby płynęli galera, która burty miała raczej niskie, w kilka minut byłoby po nich. Statek piratów z Sydonu był większy i bardziej zdatny do żeglugi, ale i on nie mógł nijak przeciwstawić się burzy. Nawet z powierzchnią żagla zmniejszoną do minimum wbijał się dziobem głęboko w fale, a cały takielunek trząsł się i jęczał,

Tydeus kulił się przy sterze przed deszczem. Wkoło widział tylko białe wierzchołki fal i prowadził statek na wycucie. Inteb wyszedł na pokład i czepiając się kurczowo relingu, by nie zostać zdmuchniętym za burtę, zbliżył się do sternika. Ason już tam był.

- Wracaj do kabiny! - krzyknął młodzieniec, podtrzymując Egipcjanina. Inteb też wczepił się w Asona, by nie upaść.

- Tam jest jeszcze gorzej. Statek cieknie i skrzypi, jakby zaraz miał się rozpaść. W każdej chwili możemy pójść na dno.

- Jak na razie obróceni jesteśmy rufą do wiatru. Póki będziecie wybierać wodę, zatonięcie nam nie grozi.

- Twój miecz - powiedział Inteb, zauważając, że po raz pierwszy w tej podróży Ason umocował broń na plecach, tym razem nie okrytych zbroją. Egipcjanin zaczął się nagle bać. - Nigdy nie wyruszyłbyś w drogę bez miecza, nawet gdybyś udawał się w czeluście podziemi... Sądziś, że zatoniemy?

- Sądzę, że mamy paskudną noc.

- A jak to się skończy?

- Jeden Zeus wie. Niedługo ujawni nam swe zamiary. Wiatr niósł nas przez cały dzień i część nocy, a wieje prosto ku wyspie Yern. Nie możemy skreślić. A teraz wracaj do kabiny.

- Nie. Zostanę tutaj. Muszę.



Chociaż z pokładu widać było monstrualne fale wyrastające nagle za burzą i równie nagle załamujące się z sykiem i ginące w ciemności, to jednak w kabinie było o wiele gorzej. Za każdym razem, gdy statek opadał w dolinę między bałwanami, zdawało się, że zaraz runie i zatrzyma się dopiero na dnie. Upiorne. Inteb przywoływał w myśli ciepło Egiptu i wszystko, co zostawił w dali. Gdyby zginął na morzu, jego ciało nie mogłoby zostać zmumifikowane, nikt nie złożyłby go do grobowca. I jak wtedy wyruszyć w pośmiertną podróż do Zachodnich Krain? Nie da się, przynajmniej tak mówili kapłani. Śmierć na morzu to najgorszy rodzaj śmierci. Zawsze śmiał się z kapłanów, ale czynił to za dnia, mając ciepły piasek pod stopami. Teraz nie było mu do śmiechu.

Koniec przyszedł nagle. Ledwo usłyszeli przedzierający się przez szum morza odległy grzmot, ledwo dostrzegli pianę przyboju, kadłub uderzył w skały, pękł, rozpadł się. Ludzie znaleźli się momentalnie w wodzie, pomiędzy ruchliwymi szczątkami wraku.

Inteb nie wiedział nawet, co się z nim dzieje. W pewnej chwili po prostu jakaś siła cisnęła go w powietrze i wtoczyła do lodowatego oceanu. Chciał krzyknąć, ale woda zaraz napłynęła mu do ust i do nosa. Woda była wszędzie. Tonął. Kolejna fala rzuciła go na Asona, Inteb poczuł czyjąś obecność obok siebie i zakaszłał, wypluwając wodę. Zaczepnął głęboko powietrza. Coś ciemnego przeleciało nad nim, uderzając go w głowę.

Mgliście pamiętał, co działo się potem. Ktoś, może Ason, trzymał go za rękę czy za odzież, coś uwierało go pod pachami. Raz za razem powierzchnia wody zamykała mu się nad głową i nie zawsze udawało mu się odetchnąć powietrzem, przez co kaszłał coraz więcej i coraz słabiej. Coś targało nim, przewracało na wszystkie strony, aż ostatecznie odpłynął miękko w ciemność.



2.

Gdy Inteb obudził się, z miejsca targnął nim ostry kaszel. Gardło piekło żywym ogniem, oczy łzawiły, a on nie mógł się opanować. Obrócił się na bok i długo wyrzucał z siebie słoną, morską wodę. Potem czuł się zbyt słaby nawet na to, aby otworzyć oczy, chociaż był przytomny. Czuł, że leży na twardym gruncie, że drży z zimna i wyczerpania. Piasek skleił mu powieki i musiał uchylać je palcami.

Szare, nisko zwieszające się niebo. Chmury gnane wiatrem. Leżał w zagłębieniu gruntu, na gołej ziemi, gdzieniegdzie tylko rosły kępki marnej trawy. Przypomniawszy sobie sztorm, wodę nad głową. Jak się tu dostał? Przecież nie sam. Czy Ason?

- Ason! - zawołał głośno, klękając. - Ason! - powtórzył, czując, jak ogarnia go panika.

Czyżby zginął? Inteb wstał chwiejnie i wspiał się na wydnię. Za nią była plaża i miarowo łamiące się na wilgotnym piasku fale. Nieco dalej widać było wystające z wody czarne skały. Wiedział już, co właściwie zdarzyło się w nocy. Ale jak zaszedł tak daleko? Krzyknął ponownie i gdzieś z dali dobiegła go odpowiedź. Na plaży pojawił się Ason. Ciągnął za sobą coś długiego i ciemnego. Pomachał do Inteba. Spotkali się na mokrym piasku. Ason rzucił połamane kawałki drewna i wziął go w ramiona.

- Paskudna to była noc, Intebie, ale żyjemy i to jest coś, z czego warto się cieszyć.

- A inni?

- Nikogo nie znalazłem. Statek uderzył w te skały, które widzisz blisko brzegu i rozpadł się na kawałki. Razem poszliśmy pod wodę. Pióro sterowe omal nie rozłupało nam czaszek, ale ostatecznie udało mi się ciebie wyciągnąć. Wołałem, ale bez odzewu. Zaciągnąłem cię na wydmy i poszedłem przeszukać plażę. Niczego. Chyba wszyscy utonęli razem z wrakiem. Raczej niewielu z nich potrafiło pływać.

Opadł ciężko na piasek i oparł głowę na kolanach. Nie spał i czuł się bardzo zmęczony. Był kapitanem i wodzem, odpowiadał za załogę. A teraz wszyscy ci ludzie zginęli. Wszystkie mięśnie go bolały, miecz ciążył na plecach.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - spytał Inteb.

- Nie jestem pewien, co to za brzeg. Poprzednio przepływaliś obok, ale tutaj wszystkie plaże podobne są do siebie. Ani śladu ludzi, żadnych wiosek. I niczego do jedzenia. Morze nie wyrzuciło prawie żadnych szczątków, tylko trochę połamanych desek. Lepiej chodźmy - oznajmił i wstał.

- Dokąd?



- Dobrze pytanie. Zanim burza nadeszła, wiatr nam sprzyjał, ale po zmroku mógł się zmienić. Chyba powinniśmy skierować się na wschód.

Ason rozejrzał się po pustej plaży, zerknął na ostre skały, które zgładziły statek, obrócił się w lewo i podążył wzdłuż brzegu. Inteb ruszył za nim. Miękki piasek miło chrzęścił pod stopami, sandały zabrało morze. Wkrótce doszli do ostro wznoszącej się w ład zatoki, która była zbyt głęboka, by przebyć ją w bród. Skręcili, oddalając się od morza. Inteb pomyślał nagle o czymś, pochylił się, nabrał wody w stuloną dłoń i spróbował.

- Tylko słonawa - powiedział. - To musi być ujście strumienia. Jeśli pójdziemy w górę koryta, znajdziemy słodką wodę.

Strumień wił się, coraz węższy, aż trafili na miejsce, gdzie czysta woda szemrała po kamieniach. Położyli się płasko na ziemi i pili dość długo, w końcu Ason usiadł, otarł ręką usta i nagle znieruchomiał. Ku zdumieniu Inteba młodzieniec sięgnął po miecz.

- Co się dzieje? - spytał. Ason wskazał na las.

Między brzoza widać było jeden z licznych tu pagórków, na którego wierzchołku stała jakaś osobliwa, okrągła konstrukcja. Wokoło nie było żywej duszy. Po chwili Ason ruszył w kierunku dziwa, trzymając miecz w pogotowiu. Przeszli brzezinę i trafili na zarośniętą ścieżkę, która doprowadziła ich do wzniesienia. Pagórek był w gruncie rzeczy sztucznie usypanym kurhanikiem, z jednej strony ograniczonym pionowo ustawionymi, podłużnymi kamieniami. Największy z głazów zdawał się skrywać wejście.

- To przypomina grób - powiedział Inteb.

Ason przytaknął w milczeniu, ale nie opuścił miecza, aż do chwili gdy obejrzał miejsce i stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że od bardzo dawna nikt tu nie gościł.

- To jest grób - przyznał głośno. - Widziałem już takie. - Pochylił się, by zajrzeć przez szparę przy wejściu, ale po drugiej stronie panowała nieprzenikniona ciemność. - W środku będzie komora grzebalna z głazów tak ułożonych, by te najdłuższe i najbardziej płaskie tworzyły sufit. I czyjeś wysuszone kości, trochę darów, pewnie nieco złota. - Spróbował odciągnąć ciężki kamień.

- Robota podobna do mykeńskiej, ale o wiele bardziej prymitywna. Musisz to otwierać?

- Nie, w żadnym razie. Wracajmy na plażę.

Słońce zaczęło wyglądać zza chmur i mile grzało ich w plecy. Maszerowali prawie do południa. To Inteb zatrzymał się pierwszy i wskazał na pobliski łuk plaży. Wetknął patyk w piasek i spojrzał sceptycznie na cień.

- Chyba skręcamy na północ - powiedział. - Jeśli dalej pójdziemy plażą, pomaszerujemy na zachód. Może to półwysep albo jakiś cypel?



- Może, chociaż nie przypominam sobie niczego takiego. Ale to duża wyspa. Ciągnie się daleko na północ, pojęcia nie mam, gdzie się kończy. Może po prostu nigdy tu jeszcze nie byłem.

- Zobaczę, co jest dalej - powiedział Inteb drapiąc się na porośłą ostrą trawą wydmę. Był zbyt zmęczony, by pojąć, jak bardzo jest głodny. Stanął na szczycie, rozejrzał się i pochyliwszy grzbiet, szybko zbiegł na dół. - Ktoś nadchodzi brzegiem. Skryłem głowę, ledwie mi się pokazał i chyba mnie nie widział.

- Tylko jeden? - upewnił się Ason sięgając po miecz.

- Bez wątplenia. Stamtąd widać cały kawał plaży. Jest sam.

Ason ruszył obcemu na spotkanie, mniej pewny siebie Inteb wolał zostać nieco w tyle. Dołączył do Asona dopiero przy skalnej ostrodze wyrastającej z głębi lądu i wybiegającej daleko w morze. Ason przystanął tam i słuchał, jak ktoś chłapie się po drugiej stronie. Potem dobiegły ich jeszcze przekleństwa, kiedy silna fala uderzyła w skałę. Inteb odsunął się, kroki były coraz bliższe. Ason zacisnął silnie dłoń na rękojeści miecza. Zza skały wyłoniła się postać brodzącego mężczyzny, który zamarł zdumiony... Podobnie jak i oni. Sylwetka przybysza była dziwnie znajoma i równie obdarta.

- Aias! - krzyknął Ason, rzucił miecz na piasek i pobiegł przez wodę uściskać pięściarz.

- Co za spotkanie! - zawołał Aias, obejmując młodzieńca. Fale kotłowały im się u stóp.

- Myślałem, że zginąłeś z innymi - powiedział Ason.

- I ty wyglądasz, jakbyś świeżo wstał z grobu. Gdybym cię nie dotknął, myślałbym, że duch mnie nawiedził. Ale to znaczy, że znów jest nas trzech, chyba że ten Egipcjanin na brzegu to zjawa, co wróciła z Zachodnich Krain?

Inteb roześmiał się, ale nagle coś przerażającego przyszło mu do głowy. Jakim cudem bokser wyszedł im naprzeciw?

- Aias - zawołał - czy cały czas szedłeś plażą?!

- Od kiedy słońce obudziło mnie rano. Byłem sam. Nikogo nie spotkałem. Pić mi się chce i głodny jestem. Ale jestem. Idę już trochę, ale niczego nie znalazłem...

- Zawracałeś po drodze?

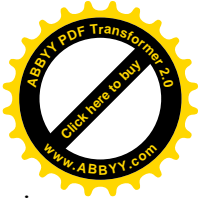
- Ani razu.

Wyszli na suchy piasek i spojrzeli na Inteba, który niczym ciężko ranny wojownik legł na piasku.

- Czy rozumiecie, co to znaczy? - spytał Egipcjanin. - My też szliśmy cały czas. I nadeszliśmy z przeciwnej strony...

Ason zrozumiał w mgnieniu oka.

- Wyspa. Rozbiliśmy się na wyspie.



- I to bezludnej - dodał Inteb z rozpaczą w głosie. - Nikogo nie spotkaliśmy, niczego nie znaleźliśmy poza strumieniem.

- To i tak macie lepsze wyniki niż ja. Może pokażecie mi, gdzie ta woda?

- Trafiliśmy też na grób - mruknął Inteb, wstając. - To wyspa umarłych.

- Może w głębi łądu żyją jacyś ludzie. - Ason przypasał miecz i poprowadził z powrotem. - Jeśli tak, to znajdziemy ich. Ktoś musi tu mieszkać.

Ale nikogo nie było. Pomiedzy pagórkami znaleźli jedynie groby, niektóre tak stare, że wiatry zdarły z nich zupełnie powłokę ziemi, dobywając głązy komory grzebalnej na światło dzienne. Nikt nie ośmielił się powtórzyć głośno słów Inteba, ale i tak brzmiały one wciąż w uszach. To była wyspa umarłych. Z najwyższego wzgórza ujrzeli otaczającą skrawek łądu wodę i tylko ciemny masyw na horyzoncie, być może stały łąd. I nic więcej. Kiedy cienie zaczęły się wydłużać, wrócili do strumienia w pobliżu pierwszego odkrytego grobu i napili się zimnej wody. Ile kto mógł, byle tylko oszukać głód.

- I co robimy? - spytał Aias, patrząc na Asona, ale ten tylko potrząsnął głową i wpatrzył się w mroczniejące z wolna morze.

- Chyba przyjdzie nam tu umrzeć.

- Po tym, gdy cudem wylądowaliśmy na plaży? - spytał Inteb. - Przetrwać to wszystko po to jedynie, by zginąć z głodu?

- Przecież mamy co jeść. - Aias przesunął kilka długich traw między palcami i spojrzał na pozostałe w dłoni ziarenka dzikich zbóż. - Niewiele, ale gorzej już się jadało. Możemy zbierać te źdźbła, łapać ptaki.

- A może i ryby - dodał Inteb. - Mając wodę i żywność, przetrwamy.

- Ale po co? - spytał Ason. - Jak dzikie zwierzęta, bez ognia ni schronienia, pijąc tylko wodę i żując zielsko. Po co się męczyć? Cokolwiek zrobimy, to i tak śmierć przyjdzie po nas.

Zapadła chwila ciszy.

- Przecież to wyspa umarłych - powtórzył młodzieniec słowa Inteba.



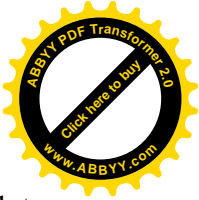
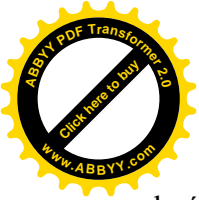
3.

Chowając głowę między ramionami, Aias chronił twarz przed siekącym deszczem, który ściekał mu po włosach i brodzie, przemaczał poplamione ubranie. Mężczyzna maszerował skrajem plaży, wlokąc za sobą rozgałęziony konar, który morze wyrzuciło na piasek. Fale załamywały się z sykiem i omywały mu stopy. Gdzieś dalej łomotał niewidoczny przybój. Aias skręcił w głąb lądu. Krążąc tam i z powrotem zdołał wydeptać już wyraźną ścieżkę, wiła się między głazami do większej skały, pod której nawisem utworzyło się coś na podobieństwo płytkiej pieczary. Obecnie zapychały ją znalezione na plaży kawałki drewna, głównie konary i gałęzie. Jedynym wspomnieniem po statku było pióro sterowe. Morze nie wyrzuciło na brzeg niczego więcej. Aias przepchnął nieco zdobycze i schronił się przed deszczem.

Sam niezbyt wiedział, po co właściwie zbiera te śmieci. Nie trafił na żaden kawałek dość duży, by zacząć budować zeń tratwę, zresztą, czym by ją powiązał... Mogliby spalić to drewno, ale nie mieli niczego, by rozniecić ogień. Na wyspie brakowało nawet zwykłego krzemienia. A bez ognia nie mieli najmniejszej szansy, by przetrwać jakoś zimę na tym odludziu. Zima zabije ich szybko, lato też robiło swoje, ale zbyt wolno. Aias spojrzał na rzemień wiszący u pasa: z każdym dniem był coraz krótszy, obcinany po kawałku. Człowiek nie przeżyje o trawie i chwastach. Po tych kilku ptakach, które wpadły w sieci, dawno zostało tylko pierze. Jak długo to już trwa? Aias potarł dość bujną już brodę. Egipcjanin pewnie wie dokładnie, to uczony człowiek, wciąż kreśli jakieś hieroglify na drewnianej tabliczce. Ustalił, że jest właśnie miesiąc mesori i że Nil już wezbrał. Tak jakby miało to tutaj jakieś znaczenie! Jedno tylko się liczyło - przeżyć. Słabli coraz bardziej, a Egipcjanin był najslabszy, pewnie umrze pierwszy. Przez pewien czas będzie co jeść. Aias kosztował już ludzkiego mięsa, nie smakowało mu. Ale zawsze to pożywienie.

Deszcz przestał padać i Aias rozprostował nogi. Przeciągnął się, posłuchał trzeszczenia stawów. Wilgoć sprawiła, że w całym ciele odczuwał ból. Krzaki ociekały wodą, szare morze ledwo odcinało się od ołowianych chmur. Odwrócił się do niego plecami i ruszył w kierunku grobu, który zaadaptowali na schronienie. Świetne mieszkanie dla rychłych truposzy, którzy jednak woleli nie ujmować sprawy w ten sposób.

Był to ten sam grobowiec, który ujrzeli jako pierwszy, największy na wyspie i wystarczająco wysoki, by mężczyzna nie musiał schylać w nim głowy. Wejście blokował tylko jeden płaski głaz. Odwalili go i z niejakim wahaniem weszli do środka. Na tyłach leżała brzydka statuetka jakiejś bogini, wewnątrz zaś pełne było kości. Starsze skruszały już częściowo, na późniejszych było jeszcze widać szczątki zmumifikowanego ciała. Oczyszczili podłogę przenosząc



kości i inne śmieci w ciemny kąć podłużnej krypty. Wśród doczesnych resztek błyskały złote ozdoby, głównie szpile i naszyjniki, bezużyteczne w tych warunkach, chociaż bardzo przydatne gdzie indziej. W pierwszym odruchu nowi lokatorzy chcieli te precjoza trzymać przy sobie, ale ponieważ były za małe i krępowały ruchy, ostatecznie trafiły na śmietnik. Tylko Aias nosił jeszcze złoty naramiennik, ale tylko dlatego, że taki mały, jasny akcent rozjaśniał, wedle niego, szarą wyspę.

Gdy pięściarz wcisnął się do krypty, pozostali dwaj już tam byli i nad czymś się pochylali.

- Patrz! - zawołał Ason, pokazując trzymanego za łapy i trzepoczącego bezradnie brunatnego ptaka. Złapana w sidła ofiara rozglądała się przerażona.

- I jak go podzielimy? - spytał Aias, kucając obok, gotowy do spożycia zdobyczy.

- Pechowo, że jest nas trzech - powiedział Inteb, gdy Ason wyciągnął miecz i sprawdził ostrze kciukiem. - Pamiętacie, ile kłopotu było z poprzednim ptakiem. Gdyby było nas dwóch, podzieliliby się drób równo, tnąc na cztery części.

- A pióra byśmy sprzedali, każde po cztery setki - roześmiał się Ason.

Trzech dorosłych zagłodzonych mężczyzn pochyliło się nad okruczem życia, który starczyć mógł każdemu ledwie na parę kęsów. Jednak żołądki domagały się stawy i to pochłaniało ich bez reszty, przez co nie usłyszeli dobiegających z zewnątrz odgłosów. Zgiełk musiał rozlegać się już od dobrej chwili, gdy Ason, myśliwy z powołania, uniósł nagle głowę i przyłożył palce do ust. Zamarli w bezruchu i zamilkli, a wtedy wszyscy usłyszeli odległe zawodzenie.

Gdyby zdarzyło się to w nocy, uznaliby po prostu, że to duchy zmarłych wracają, by odzyskać zabrany im grób. Było w tych jękach coś żalnego, przypominały nieco psie wycie. Wszyscy trzej poczuli, jak włosy im się jeżą, a Inteb zadrżał, bynajmniej nie z zimna.

- Głosy - wyszeptał. - To muszą być ludzie. Śpiewają.

Zawodzenie dało się słyszeć coraz bliżej, a wkrótce można było rozróżnić słowa. Ason wsłuchał się, by zrozumieć cokolwiek, potem pokiwał głową.

- Słuchajcie, wiem, co oni śpiewają. To pradawny język bardów, trochę odmieniony, ale rozumiały.

Rytualna pieśń składała się z powtarzających się fraz. Teraz brzmiały już całkiem wyraźnie. Przybysze musieli chyba wspinać się na wzgórze.

Wracaj, wracaj do łona matki

Głębiej, głębiej pod ziemię, pod wierch

Martwy, martwy, śpij ukojony

Narodź się na nowo i wyłoń z grobu.



Ason chwycił pewnie miecz, gotów bronić się przed atakiem, wszystko jedno, ludzkim czy nieludzkim. Aias zacisnął pięści i też był już gotowy do walki. Inteb tylko skulił się pod ścianą.

Ptak zaszamotał się gwałtownie i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, uwolnił łapy i skrzydła i łopocząc głośno wyfrunął z krypty pociągając za sobą resztki sieci.

Ledwo to uczynił, zapadła cisza. Śpiew ustał. Ason zamarł na bardzo długą chwilę, po czym niczym szarżujący byk rzucił się do wyjścia. Cokolwiek to jest, lepiej stawić temu czoło na otwartej przestrzeni. Trzymając miecz przed sobą wyskoczył z krypty, Aias tuż za nim.

Rozległy się krzyki i płacze, trochę tupotu i młodzieniec ujrzał sylwetki uciekających ludzi. Nie trwało długo, a tylko dwoje zostało w polu widzenia. U ich stóp leżał podłużny tobół. Siwy starzec w brunatnej szacie, z twarzą częściowo przesłoniętą kapturem, opierał się z krzykiem młodej dziewczynie, która próbowała ciągnąć go za ręce. Dziewczę było całe przerażone, ale nie odważyło się porzucić starca.

- To kondukt pogrzebowy - powiedział Inteb, wyglądając na świat i wskazując przygotowane do pochówku ciało.

- Oni bardziej bój ą się nas, niż my ich - powiedział Ason i opuścił miecz. - Nie ma wśród nich wojowników. - Ruszył w dół i stanął naprzeciwko starca. Dziewczyna przestała go szarpać i zamarła bezradnie obok. Kaptur zsunął się jej z głowy, ukazując bujne, sięgające ramion czarne włosy. Miała ciemne oczy, oliwkową cerę i czerwone usta. Trzęsła się ze strachu. Ason uniósł brzeg kaptura starca. Tamten krzyknął.

- Co to jest? Kto tu jest? Naikeri, co się dzieje?

Ason spojrzał tylko i puścił kaptur. Kiedyś, być może niezbyt dawno, coś ciężkiego i ostrego uderzyło starogo w twarz, miażdżąc nasadę nosa i oczodoły i skutecznie oślepiając mężczyznę. Ason nie odzywał się, dziewczyna zaczęła szeptać coś staremu do ucha, Głos drżał jej z przerażenia.

- Jeden mąż... trzech mężów... wyszli z grobu... jeden ma miecz z brązu...

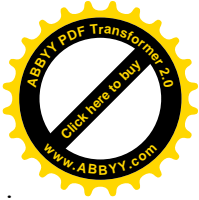
- Kim jesteście? - przerwał jej Ason.

Starzec wyprostował się. Sądząc po budowie i mięśniach musiał być niegdyś wojownikiem.

- Jestem Ler z Albich. Jeśli nosisz miecz z brązu, to winieneś mnie znać.

- Znam imię Lera z Albich. Słyszałem o nim od mego stryja Lycosa. Powiadał, że twój lud pomagał mu w kopalni.

Ason rozejrzał się wkoło. Nic nie wiedział o tych ludziach, może to oni zniszczyli kopalnię? Nagle Ler jęknął głośno.



- Och! On nie żyje, wszyscy oni nie żyją. Zabici jak zwierzęta, splawieni rzeką krwi. - Zaciśnął pięści i uniósł je ku niebu, w geście rozpaczony zaczął targać swe szaty. Ason spojrzął na dziewczynę, Naikeri. Uspokoiała się wiedząc już, że to ludzi spotkali, a nie duchy.

- O czym on gada?

- O Yernich. Zaatakowali nas, zabili wszystkich mężów. Tu leży mój brat, on był ostatni, umierał wiele miesięcy. Ojca oślepił. Zabili też twoich pobratymców, zabili wszystkich w kopalni.

Ason opuścił miecz. Zdaje się, że mieli wspólnego wroga. Teraz, gdy minęło zaskoczenie, dotarło doń, że to naprawdę kondukt pogrzebowy.

Ci ludzie przyплыли z daleka. Rozbitkowie nie zginą na opustoszałej wyspie.

- Skąd przybyliście? - spytał, a Naikeri wskazała gdzieś za siebie.

- Z domu. Zawsze płynie tutaj, by pochować naszych zmarłych, przynajmniej tych ważniejszych. To długa droga, ale wciąż przyplywamy. Odległość nie jest ważna, bo ta wyspa jest święta, nasi przodkowie żyli tu dawno temu. Wielu tu leży. - Nagle zachmurzyła się. - A wy włamaliście się do grobu i chcieliście ukraść dary dla zmarłych! - wskazała na złotą obręcz na przedramieniu Aiasa.

- Macie statek? - spytał Ason, ale Naikeri zaniosła się krzykiem.

- Złodzieje, rabusie grobów... - zamilkła, gdy Ason ścisnął jej szczękę ręką.

- Macie statek?

Dziewczyna odsunęła się, ledwo ją puścił i roztarła białe ślady na skórze.

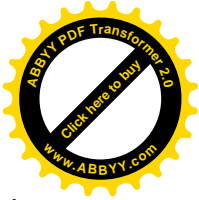
- Mamy łódki z wikliny. Wiosłujemy wzdłuż brzegu, a potem odbijamy od wyspy.

- A macie jakiś prowiant?

Przytaknęła. Ason uśmiechnął się* i klepnął znacząco w pusty żołądek.

- Zawołaj swoich, niech wyjdą z ukrycia. Nie zrobimy im krzywdy. Potem zjemy coś i będziesz mogła pochować swego brata. My jesteśmy głodni, a jemu już wszystko jedno. Może poczekać.

Aias zachichotał, słysząc te słowa, nawet Inteb pozwolił sobie na skromny uśmiech. Wyszedł z krypty i dołączył do reszty. Naikeri wciąż się złościła. Milczała wprawdzie, ale mocno zaciśnięte usta i zmarszczone czoło mówiły za nią. Tak czy tak, odwróciła się tyłem do intruzów, szepnęła coś ojcu, uspokoiała go i posadziła na ziemi obok zwłok. Starzec przycupnął, z żalnością dotykając ciała, Naikeri zaś zwołała swoich. Wyszli po kolei, przestraszone kobiety i dziewczęta, wszystkie odziane w brunatne szaty. Było też kilku mężczyzn, kuśtykali niepewnie i mrugali niedowidzącymi oczami, obserwując obcych. Żadnych wojowników, żadnych młodzików. Nikt nie spoglądał na przybyszy wprost, zerkali tylko spod kapturów, gdy trójka schodziła ze wzgórza.



- Zaprowadź nas do tych waszych łodzi - rozkazał Ason i Naikeri skierowała się ku plaży, gdzie leżało dziesięć okrągławych skorup przypominających pszczele gniazda. Wszystkie wyciągnięto daleko poza linię przyływu. Dziewczyna podeszła do najbliższej.

- W życiu nie widziałem jeszcze takiej łodzi - powiedział Ason.

Zainteresowany sprawą Inteb pomógł dziewczynie obrócić łódkę. Była dość lekka, z pozszywanych skór naciągniętych na półkolisty szkielet spleciony z gałązek wierzby. Skóry zostały zaimpregnowane smołą. Obok leżał ładunek: węzłki, kosze i dzbany o szerokich wylotach. Naikeri otworzyła jeden i podała Asonowi. Ten wyciągnął ze środka kielbasę długą jak jego ręka i niemal równie grubą.

- Mięso! - krzyknął i ugryzł kęs, reszta stłoczyła się obok. Smakowało jak wołowina, wędzona, tłusta wołowina. Delicje. Jedli łączywie, aż sok ściekał im po brodach. Ledwie zauważyli, że Naikeri odeszła.

Przejrzeni resztę ładunku, popijając słoną wodę ze skórzanych worków, próbując nawet lepkich kawałków zimnego kleiku owsianego i przecieru z orzechów i jagód. Wszystko smakowało im wyśmienicie. Ostatecznie Inteb i Aias wyciągnęli się na nagrzanym słońcem piasku śmiejąc się i pojękując, gdy nadszpiewanie obfity posiłek torował sobie drogę przez przewód pokarmowy. Ason stał i wpatrywał się w morze. Pierwsza radość już mu przeszła i myślał teraz o tym, co przyniesie najbliższa przyszłość. Więzienie wyspy nie pozwalało snuć planów, liczyło się tylko przetrwanie. Ale to już za nimi. Te dziwaczne łódki muszą być na tyle mocne, by dotrzeć do stałego lądu, bo inaczej Albi nigdy by się tu nie pojawili. Niedługo odpłyną. I Ason dotrzyma słowa, podejmie dzieło, które przysiągł doprowadzić do końca.

Gdy dotrą do tego niegościnnego, ledwie widocznego na horyzoncie brzegu, będzie musiał otworzyć na nowo szczególnie ważną dla Myken kopalnię i pomścić poległych Mykeńczyków.

A wszystko przyjdzie zrobić z jednym tylko Egipcjaninem u boku, który na dodatek nie wie nic o walce oraz z jednym pokrytym bliznami pięściarzem, który woli swe ręce od porządnego oręża. Ason pomacał rękojeść miecza. Ma jeszcze to. Z mieczem w dłoni nie lęka się nikogo. Gdyby Zeus pragnął jego śmierci, to teraz byłby już trupem, jak ci biedacy ze statku. Ale przecież wyszedł na brzeg, a niedługo dotrze do lądu za wodą, do wyspy Yern.

Z mieczem.

Już niedługo te dzikusy dowiedzą się, do czego zdolny jest nawet samotny Mykeńczyk.



4.

Od chwili wypłynięcia łódek na morze Inteba zaczęły męczyć mdłości. Niezgrabne twory z wikliny podskakiwały na falach, kręciły się w kółko, przeciekały. Ładowność miały niewielką, dwóch, góra trzech ludzi. Ason i Aias szybko nauczyli się panować nad łódkami, chociaż pierwsze próby wiosłowania doprowadziły jedynie do obracania się w miejscu. Obaj zaśmiewali się do łez widząc, jak im kiepsko idzie. Inteb nawet nie dotknął krótkiego wiosła. Ledwie morze zafalowało, wychylił się za burtę i zwrócił cały posiłek. Resztę podróży spędził, leżąc w wodzie na dnie łodzi, jak bezwładny ładunek. Niekiedy służył wiosłarzom za podnózek. W głowie mu się kręciło, ostatecznie zaniknął więc oczy, by nie oglądać wirującego świata.

Pokonanie dystansu między Wyspą Umarłych a zachodnim przylądkiem wyspy Yern zabrało im większość dnia, chociaż wypłynęli wczesnym rankiem. Potem ruszyli powoli wzdłuż wybrzeża, kierując się na wschód. Dniami wiosłowali, o zmierzchu schodzili na ląd, by zjeść coś i przespać noc w obozowiskach służących wyprawom pogrzebowym już od wielu pokoleń. Większość takich miejsc urządzono na plażach u stóp wysokich klifów. Albi byli z natury ostrożni, nieco tajemniczy. Nie kierował nimi zabobonny lęk przed innymi plemionami, ale pragnienie zachowania odrębności. Woleli żyć po swojemu.

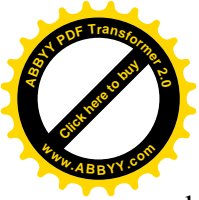
Dni płynęły monotennie, nic tylko ciężka praca i mocny sen w nocy. Nawet Inteb stracił ostatecznie rachubę czasu. Wczesnym popołudniem przybili jednak do brzegu u ujścia szerokiego strumienia.

- Co się dzieje? - spytał Ason, zwracając się do Le-ra, któremu córka pomagała właśnie wsiąść z łodzi.

- Jesteśmy na miejscu. Stąd blisko już do domu.

Łodzie zostały niezwłocznie opróżnione i obrócone. Ładunek rozdzielono między młodsze dziewczyny i dzieci, reszta zaś uniosła plecionki, znikając wewnątrz krągłych szałasów. Aias też chciał ponieść jedną, ale jego propozycja została odrzucona. Ci ludzie uwielbiali stawiać na swoim. Ruszyli ledwo widoczną ścieżką wijącą się wzdłuż strumienia i mknącą w mrocznej ścianie lasu.

Deszcz wiał w powietrzu od rana i chmury wlokły się nisko, zaczepiając o wierzchołki drzew. Ciemnych, obco wyglądających drzew z ostro zakończonymi liśćmi. W większości były to dęby przeplatane grupami buków i brzozi. Poniżej rosły praktycznie nieprzebyte, splątane i kolczaste krzaki. Ścieżka wiodła trawiastym brzegiem strumienia, omijając najpierw bagna, potem spory kawał lasu. Szli w milczeniu, bez przystanków, dźwigając na plecach ciężary, droga zaś wspaniała się coraz wyżej. Minęli mały wodospad i szereg niedużych katarakt, gdzie trzeba było



wdrapywać się na skały. Łodzie podawano po prostu z rąk do rąk. Za wodospadem ujrzeni odmienny krajobraz. Miejsce lasu zajęły pola i pastwiska. Ścieżka rysowała się teraz wyraźniej, a w powietrzu unosił się zapach dymu z palonego drewna. Wciąż jednak niewiele było widać, wcześniejsza mgła skropliła się, padał deszcz. Niebawem wszyscy byli przemoczeni i zmarznięci.

Zmierzchało się już, gdy przed nimi wyłonił się wielki kopiec, osobliwa góra wyrosła na płaskim mokradle. Był to kurhan, ale o wiele potężniejszy od tych na wyspie. Wędrowcy obeszlili go, potem minęli jeszcze jeden i pojawiły się domy. Spadziste dachy sięgały okapami niemal do ziemi, każdy otoczony był ziemnym wałem. Ściany z obrzuconej gliną plecionki wspierały się na nieokorowanych kłodach. Za domostwami ciągnęły się małe poletka podzielone kamiennymi murkami. Dym dobywał się z otworów pod okapami. Gdy byli już blisko, ktoś gwizdnął przeciągle, kończąc sygnał szczególnym trelem i w drzwiach domów pojawili się ludzie. Ruszyli ku powracającym. Grupa rozeszła się bez pożegnań, każdy w swoją stronę. Ason przystanął i poczekał na Naikeri i Lera.

- Jak daleko stąd do kopalni?

- Kopalni Lycosa? Niedaleko - powiedziała Naikeri. - W pół dnia można dojść i wrócić.

- Ktoś musi mi pokazać drogę.

- Rano. Teraz jest już za późno i pada. Musiałbyś zostać tam na noc, a przy kopalni nie ma się gdzie schronić.

- Chcemy iść teraz.

- Mów za siebie - odezwał się Inteb wysmarkując nos i ocierając twarz dłonią. - Ta podróż trwała tak długo, że jedna noc nie robi różnicy. A ja marzę, by się przy ogniu.

Ason ruszyłby zaraz, gdyby tylko pokazano mu drogę, ale musiał skapitulować wobec sprzeciwu kompanów. Niechętnie pozwolił, aby Ler zaprowadził go do swego domu, jednego z największych w wiosce. Ogień już płonął, coś gotowało się w glinianym kociołku. Usiedli na niskich, drewnianych ławach przy palenisku, by obeschnąć, zaś stara kobieta podała im miski z kleikiem. Był zupełnie bez smaku, ale ciepły i sycący. Wyjedli go do czysta. Ler wysał swoją porcję zwrócony twarzą w stronę ognia. Gdy skończył, zażądał, by mu podano coś do picia, i z dziury w podłodze wydobyto wielki, zamknięty garnek. Gospodarz pierwszy zaczerpnął napoju, potem skinął na innych, by też się obsłużyli. Było to sfermentowane mleko, kwaśne i gorzkie, jednak zawierające podobną ilość alkoholu co wino. I podobnie idące do głowy. Dopiero pod własnym dachem, przy łagodzącym smutek napitku, Ler pokazał się niemal ta'kim, jakim był kiedyś.



- Rano pójdziecie do kopalni - powiedział. - Kiedyś była nasza, ale Lycos dał nam tyle prezentów, że pozwoliliśmy mu z niej korzystać. Teraz znów się nią zajmiemy, bo jest tam też miedź.

- Nie - odparł Ason bez wahania. - To mykeńska kopalnia, sam mi to powiedziałeś.

- A na co ci teraz metal? Nie masz nawet chłopców do pracy. Większość zginęła i trudno będzie znaleźć nowych.

- Jeśli Lycos ich znalazł, to mnie też się uda.

Ler skrzywił się szyderczo zapominając, że jego ślepotą nie oznacza niewidzialności.

- No to sam nie wiesz, co mówisz. To ja znalazłem chłopaków dla Lycosa, dzieci z plemienia Donbaksho. Mieszkają w lasach. Przychodzą do nas po siekiery, dzięki nim mogą karczować puszcę. Lycos dał mi złoty kubek i wiele innych rzeczy, by kupić chłopców. Masz złoty kubek?

- Dostaniesz złoty kubek, jeśli znajdziesz mi robotników.

- Wolałbym mieć ten kubek już teraz. Nie widzę, ale mogę wyczuć przedmiot palcami, ocenić jego wagę. Kiedy będę go miał?

- Niedługo.

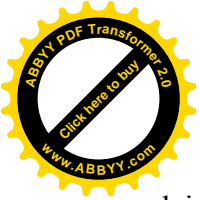
Na wpół pijany Ler zachichotał z ukontentowania i poszukał czegoś pod ławą. Najpierw wyciągnął stylisko od siekiery, potem głowicę dwusiecznego kamiennego topora z przewierconym otworem na drzewce.

- Oto jest jeszcze jeden rodzaj topora bojowego, sprzedajemy je Yernim. Nie wiedzą, gdzie znaleźć stosowny kamień, który jest bardzo rzadki. To lepsze niż wszystko, co oni potrafią zrobić. Sam zobacz, jaki ostry. Ujrzałeś mój topór. Teraz chcę zobaczyć mój złoty kubek. - Roześmiał się i głośno czknął.

Ason obracał w palcach jodeitowy topór; nie miał nic do powiedzenia. Kubka też nie miał, nie miał żadnego skarbu. Brakło wojowników u jego boku. Nic, pustka. Ale przecież musi jakoś otworzyć kopalnię i znaleźć tych, którzy zamordowali jego pobratymców. Ten starzec mógłby mu pomóc. Z jednej strony Albim brakowało przywództwa, z drugiej wyraźnie szanowano tu Ler a ze względu na wiek, był kimś w rodzaju wodza. Gdyby dało się go przekonać, to może...

Znowu nalali sobie mleka, ogień tak grzał, że siódme poty zaczęły bić na wszystkich. Potem zebrało im się na śpiewanie. Stary Ler zawodził najgłośniej. Deszcz bębnił w strzechę niby w werbel. Ason siorbał swój napój i spoglądał w kubek, jakby mimo zmęczenia, gorąca i ponurych wspomnień chciał w nim ujrzeć przyszłość. Jeden człowiek przeciwko całej krainie?

Ler krzyknął coś i zamilkł, zlatując z ławy. Staruszka przeciągnęła go do wbudowanego w ścianę łóżka i przy pomocy Naikeri wtoczyła gospodarza na posłanie. Przez cały wieczór



dziewczyna siedziała cicho w kącie i tylko słuchała, tak że niemal zapomnieli o jej obecności. Aias oparł się o chropawą ścianę. Z zamkniętymi oczami mruczał wciąż jakąś pieśń. Ze szczęścia nie dostrzegał nawet, jak bardzo jest pijany. Inteb kołysał się, wciąż sącząc napój. Trzymając w ręce gliniany kubek spojrzał na Asona.

- To niewiarygodne, Asonie, ale po długiej podróży dotarliśmy do celu.

- Ale pustki jeno zastaliśmy. Nie ma nawet z kim podzielić się radością.

- Perimedes wyśle rychło statek na północ i dostaniesz stosowną pomoc, by otworzyć na nowo kopalnię.

- Skąd ta pewność? Owszem, mój ojciec wyśle statek, ale kiedy ten dotrze na miejsce? Czy w ogóle przybędzie, czy pokona niebezpieczeństwa? Czy mam siedzieć tu tylko, zażerać tę papkę i chlać zepsute mleko, aż ktoś raczy przypłynąć? Te pytania nie dają mi spokoju, Intebie, co gorsza, nie umiem sobie na te pytania odpowiedzieć. Jestem księciem Myken, wojownikiem Argolidy, gotowym do walki na śmierć i życie. Ale jak mam walczyć, nie mając zbrojnych mężów, z jednym tylko, wyszczerbionym mieczem? Jak mam wyjednać pomoc bez darów? Ty jesteś mądry, przyjacielu, może wiesz, jak zrobić to wszystko?

Inteb próbował zmobilizować język. Skutek był umiarkowanie pozytywny.

- Możesz na mnie liczyć, pomogę ci, zawsze ci pomogę, Asonie - wybełkotał. - Kocham cię i będę cię wspierać. Mógłbym być teraz w Egipcie, u boku faraona patrzeć, jak wzbiera niepokorny Nil... Ale patrz tylko, gdzie zawiodło mnie przeznaczenie. Ale nie żałuję ani trochę. - Zaczął płakać i łkając usnął.

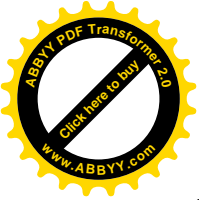
Ogień przygasł, powietrze zrobiło się gęste od smrodu zakwaszonego mleka i dymu. Ason nie mógł już tego wytrzymać. Rozpierała go wola walki, ale z kim niby miał walczyć? Z kamiennym toporem w dłoni wstał i wystawił głowę za próg. Deszcz wciąż padał, gdzieś w oddali przewalał się huk gromów. Burza. Postać chwilę z twarzą wystawioną na strumienie wody. Nie wiedział, czy bardziej ma ochotę przeklinać swój los czy może zanosić modły o pomoc.

Coś poruszyło się obok. Obrócił się momentalnie gotów do walki. W świetle błyskawicy poznał Naikeri. Wrócił mrok i Ason potrząsnął głową, chwilowo oślepiiony. Czyżby zaczynał bać się kobiet?

- Mogę ci pomóc - powiedziała cicho dziewczyna i podeszła bliżej.

- Odejdź - odparł, odwracając się do niej plecami.

- Znam was, Mykeńczyków - powiedziała, stając przed nim. - Wasze kobiety to chyba głupie istoty, przynajmniej tak można sądzić po tym, z jaką pogardą traktujecie przeciwną płęć. Musisz zrozumieć, że tu jest inaczej. U nas kobiety są pod wieloma względami podobne do



mężczyzn. Mój ojciec jest ślepy, więc przemawiam w jego imieniu. Zastępuję go. Mogę być wam pomocna.

- Nie potrzebuję pomocy od kobiet.

- Innej tu nie znajdziesz! - krzyknęła ze złością. - Trwaj w swej dumie, a kopalnia będzie nieczynna, nikt nie pomści twoich rodaków. Wybieraj. Teraz. Jak będzie?

Ason pojął, że dziewczyna mówi prawdę. Argolida jest bardzo daleko. To inny kraj, inne obowiązują w nim zwyczaje.

- Czemu chcesz mi pomóc? - spytał.

- Wcale nie chcę. Potrzebuję ciebie, by się zemścić. Chcę, żebyś zabił Yernich. Moi ludzie tego nie uczynią, są zbyt słabi. Ojciec nie widzi. Chcą odejść głębiej w lasy, uciec od kłopotów. Ja nie. Chcę tu zostać. Zawsze żyliśmy i handlowaliśmy w pokoju. I tak będzie znowu, gdy tylko zginą ci, którzy zburzyli nasz spokój. Twoi wrogowie są moimi wrogami. Pomogę ci ich zniszczyć.

- Ale najważniejsza jest kopalnia. Znajdziesz dla mnie chłopaków do pracy?

- Tak. A będziesz miał wojowników do walki ze wspólnym wrogiem?

- I to wielu. Są już w drodze. Nie widziałaś jeszcze nigdy kogoś, kto jest tak szybki w zabijaniu.

- No to otwieraj kopalnię. I zabij Yernich!

Jej krzyk utonął w kolejnym grzmocie. Jasność zalała okolicę i zniknęła, ale obraz dziewczyny pozostał jak wypalony w mózgu Asona: odrzucona do tyłu głowa, dzikie spojrzenie, deszcz spływający po lśniących włosach i mokre ubranie, które przyłgnęło do pełnego ciała.

Poszukał jej dłońmi i wyczuł, jak mięśnie Naikeri napinają się pod tkaniną. Nie stawiała oporu, gdy kładł ją na ziemię, ale jej słowa trafiały celniej i boleśniej, niż ostry nóż.

- Czy to jedyny sposób, żeby osiąść kobietę, jaki znasz, dzielny księżę? Innych sposobów cię nie uczono? Czy wszyscy szlachetni Mykeńczycy potrafią jeno niewolić kobiety?

- Nie - warknął zły i odepchnął ją, aż padła w błoto. - Chcę tylko, żebyś dostarczyła mi rąk do pracy w kopalni. Zajmij się tym.

Pędem wrócił do wnętrza chaty, dość miał deszczu. Na dodatek czuł się dziwnie wzburzony, chociaż niezbyt wiedział, skąd wzięła się ta granicząca ze zmieszaniem irytacja.



5.

Ason obudził się o pierwszym brzasku. Wszedł przed chałupę i przeciągnął się, ziewając raz za razem. Z rozciągającego się zaraz za ogródkiem na tyłach chałupy lasu dobiegało pochrząkiwanie świń. Poza przyziemną mgiełką niebo było czyste, na zachodzie jasno płynął dysk księżyca. Może to i dobry znak, pomyślał, że Artemis stoi na straży nawet wczesnym rankiem. W domu zaczął się ruch i po chwili przez dziurę w strzesze zaczął wydobywać się dym. Początek kolejnego dnia. Chociaż nie tylko. Wstęp do chwalebnej przyszłości. Właśnie, kopalnia!

Wrócił do środka i potrząsnął Aiasem. Pięściarz jęknął tylko i obrócił się na drugi bok. Ason wymierzył mu tęgiego kopniaka w żebra. Poskutkowało i Aias zerwał się na równe nogi. Kołysał się jeszcze nieco i barwnie przeklinał, mrużąc oczy i szukając spojrzeniem stosownego celu dla swych pięści. Ason zostawił go i podszedł do pochylonej nad paleniskiem Naikeri.

- Potrzebuję sandałów - powiedział. - Poraniłem sobie stopy o kamienie.

- Takich dużych sandałów to my nie mamy, ale zrobię coś dla ciebie. Kiedy idziesz do kopalni?

- Zaraz. Pospiesz się z tymi sandałami. Będziemy też potrzebowali przewodnika.

- Ja was poprowadzę.

Nie trwało długo, a poczyniono stosowne przygotowania do drogi i niemal wszyscy się już pobudzili, tylko Ler chrapał wciąż, aż się trzęsło legowisko. Inteb spał spokojnie, zagrzebany pod futrami. Ason postanowił zostawić

Egipcjanina w wiosce, dał Aiasowi kamienną siekierkę i ruszył za Naikeri ścieżką między polami. Minęli okoliczne pastwiska, gdzie ciemnowłosi i milczący chłopcy doglądali bydła o długich rogach. Dalej szlak wił się przez teren pagórkowaty, porośnięty zwartym lasem. Gdy słońce stanęło w zenicie, wszyscy byli już porządnie spoceni. Aias pojękiwał.

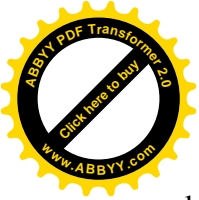
- Jak można poganiać tak chorego męża.

- Taka to choroba, co bierze się z pijaństwa.

- Mniejsza o przyczynę, sama choroba jest istotna. Czuję się, jakbym miał umrzeć.

Mimo narzekań nie zwolnił kroku. Gdy zatrzymali się przy uczynionym przez bobrzą tamę rozlewisku na strumieniu, Aias pochylił się, łyknął wody, westchnął, po czym zanurzył się z pluskiem po czubek głowy. Bobry zamachały ze złością ogonami i zniknęły spłoszone. Kiedy Aias wynurzył się, mokry i drżący z zimna, ogłosił, że teraz czuje się już o wiele lepiej.

Ruszyli dalej. Naikeri pilnie wypatrywała znaków na szlaku, coraz bardziej zwalniając tempo marszu, aż zatrzymała się i wskazała na ziemię. Ason przykleknął. Dojrzał ułamaną świeżo



gałązkę nisko płożącego się krzaka i kilka innych jeszcze śladów świadczących wyraźnie, że ktoś tędy przechodził.

- Plemię Donbaksho jest niedaleko - powiedziała dziewczyna. - Moglibyśmy odszukać ich teraz i rozejrzeć się za chłopcami do pracy. Oni przekazaliby wieść innym.

Ason nie chciał zbaczać z trasy.

- A czemu koniecznie za chłopcami? - spytał. - Może znajdziemy jeszcze ludzi do kopalni. Albo niewolników.

Naikeri potrząsnęła głową. Wyraźnie nie rozumiała, o czym mowa.

- A kto inny podejmie się takiej pracy prócz chłopców? Ich zawsze jest wielu, za wielu, o wiele więcej niż potrzeba. Że kogo niby znajdziesz?

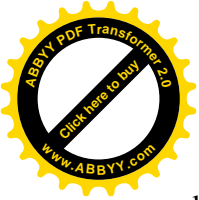
Szkoda było czasu na tłumaczenie. Widać tutaj nie znano niewolnictwa, a Ason nie miał ani złota, aby kupić choćby jednego, ani żołnierzy, by porwać jakichś ludzi i potem ich pilnować. Czy mu się to podobało, czy nie, musiał zdać się na dziewczynę.

Naikeri zdała się nie zauważyć pobrzmiewającej w głosie Mykeńczyka złości. Powiodła ich w jeszcze bardziej gęsty las, gdzie słońce nie docierało. Przedzierali się przez zarośla, okrążali pnie olbrzymich drzew i było im coraz goręcej. Powietrze trwało tu w bezruchu, chmury owadów brzęczały im nad głowami. Dotarli do porośniętej wiekowymi dębami doliny, gdzie było nieco chłodniej. Wilgotne mchy wyciszały odgłosy ich kroków do tego stopnia, że zaskoczyli nawet węszącego między opadłymi liśćmi, szukającego żołędzi dzika. Spojrzał na nich małymi, pełnymi urazy oczkami i prychnął ukazując poźółkłe kły. Równie zaskoczeni ludzie zamarli w miejscu, dopiero gdy Aias krzyknął i cisnął siekierką, świniak zawrócił na raciczce, machnął krótkim ogonem i zniknął w krzakach. Rzut chybił, przez co Aias musiał zanurkować w poszycie, by odzyskać broń. Klął przy tym co niemiara.

Byli już na dnie doliny, gdy do ich uszu doleciał rytmiczny stukot. Ucichł po chwili i w martwej ciszy dał się słyszeć trzask i huk padającego drzewa. Wyraźna teraz ścieżka wyprowadziła ich na polanę, gdzie na stoku wznosił się kwadratowy budynek o niskim dachu i obrzuconych błotem ścianach. Wkoło zieleńły się kołysane wiatrem poletka wysokiego do kolan zboża. Między zasiewami krążyły trzy kobiety z ostrymi sierpami zrobionymi z jelenich rogów. Pracowały zgięte wpół, odziane tylko w skórzane spódniczki. Ich piersi huśtały się przy każdym ruchu. Dostrzegły przybyszy i zamarły z otwartymi ustami, a jedna krzyknęła przenikliwie.

- Zaczekajcie tutaj - powiedziała Naikeri. - Lepiej będzie, jeśli najpierw porozmawiam z nimi sama.

Ason i Aias przysiedli w cieniu. Widzieli, jak z domu wysypują się dzieci, jak przystają ssąc palce. Było ich sporo, w różnym wieku, ale wszystkie tak samo nagie i brudne. Z lasu powyżej



wybiegło dwóch mężczyzn z kamiennymi siekierkami w dłoniach. Tak jak kobiety, torsy mieli gołe i lśniące od potu, a ich długie do ramion włosy rozsypywały się swobodnie. Gdy stwierdzili, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa, zwolnili i zerkając nieustannie na dwóch obcych podszli do Naikeri, którą już znali. Kobiety obserwowały z dala, jak drwale przysiedli z dziewczyną, by porozmawiać. Mruczeli coś w odpowiedzi na jej pytania, drapiąc się przy tym w bujne czupryny i kręcąc głowami. W końcu jeden podszedł do grupki dzieci i wybrał jednego z chłopców. Malec nie chciał iść, ale mężczyzna pociągnął go za ucho. Pogadali jeszcze, aż odprowadzana spojrzeniem Naikeri zostawiła ich, wracając do kompanów.

- Ciężko się z nimi rozmawia. Kilku chłopców wróciło, ale większość zginęła w kopalni.

- Nie wydaje mi się, żeby brakowało im tego towaru.

- Chłopców mają dość, tutaj i w innych gospodarstwach, ale odgrażają się, że drogo policzą.

Złamali w tym roku jedną siekierę i chcą mieć nową, a to oznacza całe miesiące szlifowania. Jeden domaga się nawet miedzianego topora ciesielskiego. Mamy piec i chyba znajdziemy dość miedzi, ale mojemu ojcu się to nie spodoba.

- Ale nie zrezygnujesz?

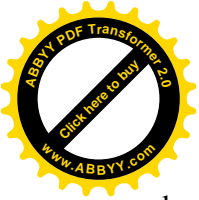
- Jasne, że nie, wiesz o tym.

Ason uwierzył dziewczynie. Gdy prowadziła ich dalej, przyjrzał się jej mocnym udom i szerokim biodrom, mięśniom pracującym pod brązową materią spódnicy. Przypominała wieśniaczkę z Argolidy, może była tylko nieco niższa, jednak tutaj była kimś, budziła posłuch wśród swoich ludzi, potrafiła rozmawiać z mężczyznami plemienia Donbaksho, a nawet ich przekonać. Podobnie jak wcześniej przekonała Asona. Inny to kraj, inne zwyczaje, pomyślał młodzieniec. Skoro zbłądziło się tak daleko od domu, pozostaje nauczyć się postępować po nowemu. Owszem, nadal wolałby walką zdobyć wszystko, czego mu było trzeba, ale bez wojowników, bez broni... Coś się wymyśli...

Około południa, gdy upał stawał się już nie do zniesienia, wyszli wreszcie z lasu i dotarli do wrót doliny, gdzie rosły tylko małe krzewy, a pieńki drzew i wysoka trawa pozwalały zauważyć, że niegdyś oczyszczono ten obszar i że nie było to zbyt dawno. Dolinę zamykały ziemne wały. Sześć lat temu Ason był ledwie chłopcem, jednak poznał to miejsce od razu. Kopalnia.

Wysforował się do przodu i wspiął na zbocze, które pamiętał jako gołe i pełne spoconych robotników kopiących ziemię potrzebną do podwyższenia umocnień. Z góry dojrzał wnętrze dolinki, miejsce katorżniczej zaiste pracy Lycosa pragnącego wydrzeć bogactwa tej ziemi.

Z kopalni pozostały tylko ruiny. Zarośnięte zielskiem budynki zapadły się i straszły skorupami ścian i resztkami dachów. Można było dostrzec stanowiska wydobywcze, ale i one ginęły z wolna pod trawą. Jeszcze trochę, a nie będzie po nich ani śladu. Wydrażone kłody, które



doprowadzały wodę pod palisadą, zatkały się liśćmi i piaskiem, a nie znajdująca odpływu woda rozlała się, tworząc bagienko sięgające niemal do wyrobisk. Dwie spłoszone przez przybysza kaczki zerwały się z jeziora i odleciały z łopotem.

Ason nie zwrócił na nie uwagi. Widział dolinę taką, jaką była kiedyś. Próbował przypomnieć sobie jak najwięcej, jak dumny ze swego dzieła stryj wziął go za rękę i oprowadził po kopalni, objaśniając wszystko, jak nudził się wówczas, wypatrując chwili, gdy będzie mógł wreszcie pobiec na polowanie i wytropić zwierzynę, ale zdążył mimo woli czegoś się nauczyć. Widział, jak chłopcy pracują, jak stryj ładuje piec. Tego ostatniego, nader istotnego, etapu Lycos zawsze pilnował osobiście, nie dając innym przystępu.

Ciągnęła się tutaj żyła cyny przypominająca uwięziony pod ziemią i zastygły strumyk. Lycos zbadał sprawę dokładnie i przemyślał sobie wszystko. Zabrał chłopca w górę zbocza, pokazał mu kawałek czerwonej skały i powiedział, że te zatopione w kamieniu czarne granulki to właśnie cyna. Metal był wszędzie, ale najprościej jest znaleźć wyschnięte koryto strumienia, gdzie wypłukane przez wodę ze zmurszałej skały bogactwo zalega najgłębiej, prawie na powierzchni. To złożo wybrano już wiele lat temu i obecnie trzeba było kopać głębiej i oddzielać ciężkie granulki od piasku. Drewniana rama do płukania leżała na miejscu, chociaż przegniła częściowo i wymagała naprawy. Wciąż pokrywały ją czarne drobinki. Jednak wbrew pozorom wydobywanie cyny nie było wcale łatwe, większość surowca uzyskiwano z brył skały, ciężko pracując przy tym młotami. W nawisie powyżej widniały wyraźne zagłębienia i jamy, z których odłupano spore ilości kamienia.

Piece ocalały. To było ważne, jako że tajemnica ich konstrukcji nie była Asonowi znana. Wyglądały jak coś bardzo prostego, zwykle dziury w ziemi z doprowadzonym z boku kanałem stykającym się z podstawą komory, jednak z pewnością wcale takie proste nie były. Jak się je projektowało, jak się budowało, Ason nie miał pojęcia. Wiedział za to, jak należy taki piec załadować i rozpalić. Zatem cynę będzie można zacząć wydobywać, będzie można ją przetapiać. Prędzej czy później Perimedes wyśle statek z ludźmi, by wznowili wydobywanie cyny, a gdy przybędą, znajdą kopalnię pracującą aż miło i czekający już na zabranie nowy transport cennego kruszcu.

- Zabili wszystkich - powiedział Aias i Ason po raz pierwszy zwrócił uwagę na zaścielający teren obozowiska kości.

Kości, szkielety, większość pozbawiona czaszek. Żadnej broni, żadnych pancerzy, co najwyżej spłowiałe kawałki rzemienia czy płótna.

- Tu są Mykeńczycy! - krzyknął młodzieniec. - Pomścimy ich! - Porwany nagłym gniewem dobył gwałtownie miecza i wznosił go nad głową. - Zemsty! - zawył. - Zemsty! - powtarzał raz za



razem, aż wściekłość rozpałała się w nim potężnym płomieniem, aż wykrzywił wargi i zacisnął zęby. Była to zapowiedź śmierci.

Na szczycie wznoszącego się wysoko ponad dolinką wzgórza, w cieniu buka, przycupnął skryty dokładnie w krzewinach mężczyzna. Tkwił w bezruchu, praktycznie niewidoczny, jego twarz ginęła między plamami światła i cieniami drzew.

Siedział w milczeniu. Skórę pomalowaną miał kredą, kredę wtartą miał też w jasne włosy. Gładko wygolony na brodzie i policzkach, hodował pokaźne, sumiaste, wyczesane starannie wąsy, które zostały usztywnione kredą i gliną, aż sterczały niczym rogi czy szable dzika. Uśmiechał się, oblizując łakomie usta. Długą drogę przebył i sporo się naczekał, bliski był już porzucenia posterunku, prawie zrezygnował z nagrody, którą mu obiecano. Teraz jednak złoty dar będzie jego.

Wysoki, muskularny mąż odziany był tylko w długą do kolan, skórzaną spódniczkę z lisią skórą przyczepioną z przodu. Na plecach miał łuk i pęk strzał, w dłoni trzymał włócznię.

Roześmiał się z cicha i powoli wycofał, potem odwrócił i zaczął przedzierać się przez poszycie. Gdy dotarł między drzewa, wyprostował grzbiet i ruszył szybkim krokiem, znamionującym niestrudzonego piechura.

Nazywał się Ar Apa, a jego wodzem był Der Dak z wyżyn.



6.

Zmęczony i spocony Ar Apa ujrzał w końcu mury swego grodziska. Było późne popołudnie, a biegł już wiele dni. Kulał, stopę bowiem skaleczył o kamień, zataczał się z wyczerpania. Dwóch podrostków prowadziło akurat inwentarz do zagrody. Swojski widok wielkookich zwierząt, ich gładkiej skóry kryjącej sprawne mięśnie dziwnie złagodził zmęczenie Ar Apy. Wszedł pomiędzy stado, wołając rozpoznane bydłeta po imieniu, klepiąc w ciepłe boki i opierając dłonie na długich, ostrych rogach. Zwierzaki były już dość tłuste, dochodziły do siebie po długiej zimie, która omal ich nie zgładziła. Uśmiechnął się. Takie stado to piękny widok. Jeden z pastuszków zabiegł mu drogę i zaraz oberwał w głowę tak silnie, że aż nakrył się nogami. Zerwał się i uciekł z płaczem. Ar Apa pomachał na drugiego chłopca, który podszedł z wahaniem. Spoglądał na wojownika podejrzliwie, pełne strachu oczy wyzierały spod strzechy długich do ramion, jasnych włosów.

- Wody! - krzyknął Ar Apa. - Albo dostaniesz dwa razy mocniej niż tamten.

Trzymana przez cały dzień w skórzanym bukłaku woda była ciepła i nieco zatęchła, ale Ar Apa łyknął jej tylko trochę, potem wylał sobie nieco na dłoń, wymieszał z kredą i zaczął poprawiać wąsy, które zwisały mu nieładnie. Musiał przywrócić im poprzednią sztywność. Bydło odeszło tymczasem aż pod mury, zostawiając na drodze tylko kilka parujących placków. Ar Apa rozgarnął najbliższy stopą. Poprawna konsystencja i kształt, znaczy, że zwierzaki dobrze jadły. Znakomicie. Otarł dłonie o spódniczkę, ujął włócznię, łuk i strzały (dzięki którym miał co jeść podczas całej wyprawy i czuwania) i podążył za zwierzętami. Gdy dotarł na tyle blisko, by ci wewnątrz murów mogli go usłyszeć, przyspieszył i wrzasnął:

- Ar Apa przybywa, co za mąż, co za biegacz, jaki myśliwy! Sto nocy biegł bez zatrzymania, zabił sto jeleni w biegu, pił tylko ich krew i jadł ich surowe mięso nie przystając. Co za mąż! Ar Apa, Ar Apa!

Uśmiechnął się radośnie i prawie uwierzył we własne słowa. Truchcikiem pokonał wykop u stóp kredowobiałych obwałowań, skrótem docierając do swego domu. Trudno powiedzieć, czy ktoś słyszał jego przechwałki, tak czy tak nikt się nie pokazał. Ale mniejsza z tym, Ar Apa zwykł wygłaszać podobne tyrady głównie dla podtrzymania własnego morale. Zresztą, typowy dla Dun Der Dak wieczorny zgiełk zagłuszyłby nawet najpotężniejsze zawołanie bitewne. Przeszedł przez swoje pokoje i wyjrzał z balkonu na piętrze na podwórzec.

Na dole kotłowało się bydło. Białe od kredowego pyłu owce przemykały z beczaniem pod brzuchami ociężałych krów. Kobiety doiły krowy i owce, zlewając mleko do pękatek, glinianych



garnków, pokrzykiwały przy tym na małe dzieci, które biegały między inwentarzem i wypatrywały kawałków nawozu, by obrzucać się nim nawzajem.

Ar Apa kiwnął głową z ukontentowaniem widząc taką aktywność, świadectwo jego zamożności. Niechętnie opuścił balkon, ale przecież musiał jak najrychlej przekazać pilną wiadomość. Nałożył pas z włosia i zatknął zań kamienny topór bojowy. Potem powoli ruszył szczytem kredowego muru, który otaczał całe grodzisko. Stąd można było dostać się bez trudu do wszystkich domów zewnętrznego kręgu zamieszkanego przez mężów plemienia. Domostwo Der Daka mieściło się nad głównym wejściem. Jako najważniejsza osoba zajmował najlepsze miejsce, pozwalające doglądać wszystkich wchodzących i wychodzących z grodziska. Jednak teraz gdzieś wyszedł. Ar Apa zerknął do mrocznego wnętrza i zawołał, ale nie doczekał się odpowiedzi. Wolnym krokiem wrócił na górę i szedł z powrotem wzdłuż muru. Z mijanych wejść dobiegały codzienne odgłosy. Przed pobliskim progiem spał owinięty w wilczą skórę mąż o imieniu Cethern. Za stary już jak na wojownika, wciąż jednak straszny w walce. Pod prawym kolanem trzymał odciętą ludzką głowę, poźółkłą już i skurczoną, lśniąca od cedrowego oleju, ale mimo tej konserwacji cuchnąca nieziemsko. Cethern otworzył zaczerwienione, kaprawe oczy i cmoknął kilkakrotnie, jakby próbował pozbyć się paskudnego smaku z ust. Przez cały dzień popijał piwo, co akurat można było odgadnąć tak po jego nieświeżym oddechu, jak i leżącym obok dzbanie i kubku. Ar Apa przysiadł obok na piętach.

- Ar Apy nie było przez wiele nocy - powiedział. - Biegł cały czas, zabijał dziki i polował na jelenie.

- Cethern zabił największego wojownika z Dun Mo-weg - zawołał tamten chrapliwie. - Porąbał go po walce, co trwała bez przerwy piętnaście nocy, pośrodku rzeki Stour. Odciął mu głowę, widziałeś taką głowę? To najlepszy wojownik Mowega.

Ar Apa nie tylko podziwiał już ten łeb, ale wręcz miał dość jego widoku. Pozwolił Cethernowi wygadać się i zajrzał do dzbana, gdzie wciąż było jeszcze trochę piwa, ale nie skorzystał.

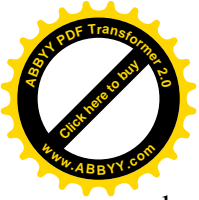
- Der Daka nie ma w domu - powiedział.

Cethern potrząsnął głową i potwierdził tę wiadomość chrząknięciem. Westchnął zaraz i opadł ciężko na ziemię.

- A ten drugi, co jest tutaj... - Ar Apa nie wymówił imienia, tylko pokazał na prawo.

- Jest - powiedział Cethern, też nie mając ochoty rozwijać wątku. Zamknął oczy.

Pora było zająć się sprawą. Ar Apa odetchnął głęboko i wstał. Przetarł wąsy knykciami i ujął stylisko topora. Bardzo wolnym krokiem obszedł całe grodzisko i stanął przed wejściem z



drugiej strony bramy, przed mieszkaniem osoby drugiej rangą, zaraz po Der Daku. Zajrzał do środka. Słońce już zaszło i wewnątrz panował nieprzenikniony mrok.

- Wejdz, mocarny Ar Apo - rozległ się głos przemawiając z dziwnym akcentem, nieco sepleniący. - Przybyłeś, by powiedzieć mi coś, coś istotnego?

Ar Apa jeszcze mocniej zacisnął dłoń na toporze i zamrugał, usiłując przeniknąć wzrokiem ciemność. W pomieszczeniu stały skrzynie, wisiały płócienne zasłony. Roznosiła się tu jakaś dziwna woń, słodka i nie znana mężowi. Na tyłach poruszył się jakiś kształt. Był to człowiek zwany Mrocznym Mężem. Imię to padało jednak w rozmowach rzadko, zwykle dopiero po paru kuflach piwa.

- Dar... - powiedział z trudem Ar Apa.

- Wiele mam darów, wspaniałych, nie znanych ci. I tobie dam jakiś, jeśli mnie ucieszysz. Ale najpierw musisz mnie przekonać, Ar Apo. Jak będzie? Dostaniesz ode mnie bursztynowy dysk obramowany złotem, dzieło złotnika z Dun Uala. Czy chcesz mi powiedzieć, że powędrowałeś na zachód, gdzie zabito tych wszystkich mężów z mieczami, że czekałeś tam, aż któryś z nich wróci? Zrobiłeś to? Widziałeś kogoś?

- Zrobiłem! Sto nocy biegłem i sto dzików zabiłem i zjadłem sto jeleni, wszystko to uczyniłem! Poszedłem do doliny.

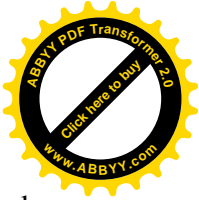
Ośmielony nieco opowiedział o swoich czynach (prawdziwych i tych, które wymyślił lub zasłyszał, że miały podobno zdarzyć się innym). Mroczny Mąż słuchał w milczeniu. Pod koniec Ar Apa wspomniał o dwóch mężczyznach i kobiecie, którzy pojawili się w zburzonej osadzie. Wyciągnął miecz i krzyczał tak głośno, że aż na wzgórzu było słyhać. Potem umilkł, pokaszując i spluwając na podłogę. Co chwila odwracał głowę, by spojrzeć na pierwsze gwiazdy zapalające się na widocznym przez wejście niebie.

- Dobrze, bardzo dobrze się sprawiłeś - powiedział Mroczny Mąż. - Powiedziałeś mi to właśnie, co pragnąłem usłyszeć. Powiedziałeś mi, jak wielkim myśliwym i wojownikiem jest Ar Apa i to też pragnąłem usłyszeć, jestem bowiem dumny, że mogę mieszkać między takimi mężczyznami. A teraz otrzymasz nagrodę.

Rozległ się szcęk zasuw i skrzypienie zawiasów. Ar Apa podszedł bliżej i wyciągnął rękę. Chciwość kazała mu o wszystkim zapomnieć. Poczuł, jak chłodna dłoń dotyka jego palców. Dłoń delikatna jak u dziecka. Podała mu coś ciężkiego.

- To jest ze złota, całe ze złota - powiedział Mroczny Mąż.

Ar Apa wybiegł na zewnątrz i spojrzął na cudo, które lśniło przepięknie w blasku księżyca. Porządne, ciężkie i cenne złoto. Odrobiony w złocie topór, duży jak dłoń, gotowy, żeby zawiesić go na szyi. Cudo nad cudami.



Uradowany Ar Apa skierował się do wielkiego paleniska pośrodku grodu, skąd dobiegały już krzyki i głośne rozmowy, a płomień buchał wysoko ponad kamienny krąg. Wchodząc do środka, Ar Apa musnął dłonią "swoją kamień" wyższy odeń o kilka głów i z wierzchołkiem pomalowanym na czerwono. Dzięki takiemu dotknięciu czuł się silniejszy.

Przez całe popołudnie pieczono nad ogniem zabitego wołu, skóra na nim poczerniała już i popękała, a przebijająca wyraźnie spod osnowy dymu woń pieczystego sprawiała, że ślina napływała momentalnie do ust. Poganiani przez zgłodniałych współbraci, świeżo mianowani wojownicy borykali się z ciężarem drąga, na który danie było nadziane, aż w końcu ułożyli rożen na dwóch drewnianych podpórkach. Starsi wojownicy kłócili się o zaszczyt podzielenia mięsa i wzięcia sobie najlepszego kawałka. Ten akurat obowiązek należał zawsze do Cetherna i nikt tego nie kwestionował, ale przykro byłoby zmarnować taką okazję do wychwalenia własnej osoby...

- Ja jestem najlepszy - powiedział Nair, zrywając się na równe nogi i uderzając toporem w tarczę. Zignorował okrzyki protestu i rozdarł się jeszcze głośniej. - To ja mam największe prawo, by pokroić pieczeń. W wyprawie przeciwko plemieniu Finmoga to ja wywołałem w nocy wojowników, a gdy wybiegli, zabiłem mój toporem pierwszych dziesięciu. Potem zabiłem toporem następnych dziesięciu i jeszcze dziesięciu... - Wyliczając kolejne ofiary podnosił głos, aż w końcu podskoczył, tupnął i poczekał, aż Cethern sam zawyje i uderzy we własną tarczę. Starszy wojownik był głodny i dość miał tego przedstawienia. Pragnął skrócić rytuał do minimum i zjeść swoją porcję, nim żarcie wystygnie.

- Jestem Cethern, jestem najlepszy, zabiłem wielu ludzi, ukradłem ich krowy, handluję śmiercią, moje ręce zabijają, zabija mój topór, mrok podąża za mną.

Wskoczył w środek kręgu i zaczął wymachiwać swym toporem tak, że bliżej stojący wojownicy musieli się cofnąć, a Nair warknął coś tylko i poszedł przysiąść z tyłu.

- Cethern zabójca, stu ludzi ginie z jego ręki w mgnieniu oka, a wszystkie ich głowy mam u pasa. Reszta głów kopiec tworzy wysoki jak mój kamień. Ich krowy są moje, ich byki są moje, ich śmierć jest moim zwycięstwem. Najsilniejszy, Cethern zabójca, Cethern morderca, krew toczy i straszny jest...

- Wielki, nadmuchany worek ze skóry - krzyknął Ar Apa.

Paru krzyknęło z aprobatą, niektórzy się roześmiali, Cethern zaś ryknął wściekle i poszukał spojrzeniem tego, kto go obraził. Ar Apa wyrwał najbliższemu wojownikowi tarczę i przepchnął się przez tłum. Słyszał już przechwałki Cetherna i sam też był w tym dobry. Ale dzisiejszego wieczoru miał wciąż przed oczami blask złotego topora, a ktoś, kto zdobył złoty topór, nie mógł być gorszy od tego starego głupca.

- Kłamca! - krzyknął głośno i wszyscy ryknęli, potakując głośno. Zanosilo się na bijatykę.



- Ja podzielę mięso. Ja jestem najlepszy. Ja biegłem sto nocy, zabiłem sto jeleni, pokonałem sto dzików, a wszystko jednej nocy. - Krążył wkoło Cetherna, któremu piana wystąpiła na usta i popluwał teraz na ziemię.

- Ojciec Ar Apy był wariatem, matki nie miał w ogóle, nie jest mężczyzną, nie ma jaj... -?• Cethern zadławił się śliną.

- Jestem zabójcą - krzyknął Ar Apa, korzystając z okazji. - Mam bursztynowy dysk w złocie, mam złoty topór o dwóch ostrzach, rozmawiałem z Mrocznym Mężem. Nikt mnie nie powstrzyma!

Zamachnął się toporem, ale Cethern przyjął cios na tarczę. Teraz wszyscy już krzyczeli. Wymówienie imienia Mrocznego Męża było aktem odwagi i każdy to doceniał. Nawet Cethern, który znów się odsunął, by uniknąć ciosu. Kobiety i dzieci przemykały w milczeniu za plecami siedzących wojowników, obserwując krzyczących mężczyzn.

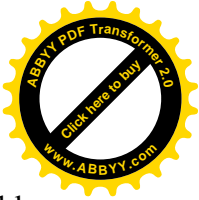
- Ar Apa jest kłamcą! - zdołał wykrztusić Cethern, starając się przejść do ataku.

- Patrzcie! Patrzcie! - zawołał Ar Apa, po czym przytrzymał stylisko topora zębami i wy dobył zza pazuchy zawiniątko ze złotym naszyjnikiem. Podniósł ozdobę wyso- • ko, aż zaślniła w blasku ognia. Wojownicy wydali okrzyk podziwu. Cethern runął na niego, ale trafił na tarczę. Ar Apa wypluł stylisko, łapiąc je w prawą dłoń.

Od tej chwili walka rozgorzała na dobre. Nawet, jeśli Cethern był ogólnie lepszym topornikiem, to dni jego chwały już minęły, na dodatek wciąż odczuwał skutki pijaństwa. Ar Apa był silny i kipiała w nim złość, gdy myślał, jak znieważony został bezcenny dar ze złota. W uszach brzmiał mu wciąż szmer zdumienia, to dodawało odwagi. Zasypał przeciwnika ciosami, parł z taką siłą, jakby był drwalem ścinającym grube drzewo. Cethern mógł tylko zasłaniać się tarczą, nie udało mu się bowiem wyrwać własnego topora z tarczy Ar Apy. Krążyli tak wkoło ognia, odgłos uderzeń płynął w noc przy wtórze przekleństw obu mężów. Czując płomień za plecami, zdesperowany Cethern wyszarpnął wreszcie swój topór i szybkim cięciem zranił Ar Apę w udo. Popłynęła krew, Ar Apa odskoczył, a widzowie krzyknęli jeszcze głośniej.

Coraz bardziej wściekły Ar Apa nie spojrzał nawet na ranę. Czuł, jak noga mu drętwieje, a krew spływa po kolanie. Wrzasnął ogłuszająco, aż nawet Cethern zawahał się i zerknął znad krawędzi tarczy.

Ar Apa odrzucił tarczę, aż przeleciała nad siedzącymi mężczyznami i trafiła kilka kobiet stojących dalej, po czym ujął topór w obie dłonie, uniósł go ponad głowę i rzucił się na Cetherna. Zrobił to instynktownie, bez zastanowienia, wiedziony czystą złością i niczym ponadto. Cethern przysiadł i uniósł tarczę, topór cofając daleko dla zadania ciosu, którego przeciwnik nie mógł uniknąć.



Ostrze spadło z taką siłą, że stopy Ar Apy uniosły się w powietrze. Drewniana tarcza pękła, uderzając Cetherna w czoło. Lekko ogłuszony próbował odtoczyć się na bok i wstać, ale ta sztuka już mu się nie udała.

Ar Apa ponownie uniósł oręż i opuścił go prosto na czerep Cetherna. Czaszka pękła, ostrze wbiło się w mózg, zabijając wojownika na miejscu.

Wojownicy ryknęli na cześć Ar Apy ten zaś uśmiechnął się do publiczności, wymachując zakrwawionym toporem tak, że bliżej siedzących opryskał krwią. Potem stanął nad trupem, odrzucił broń i sięgnął po brązowy sztylet noszony przez poległego na piersi. Była to cenna broń, mało który wojownik tutejszych plemion mógł się pochwalić czymś takim. Nóż był wyjątkowo ostry. Trzymając go w obu dłoniach, powoli odciął głowę pokonanego. Potem stanął na wilgotnej ziemi i przywiązał głowę za włosy do swego pasa. Zakołysała się, upuszczając resztki posoki i barwiąc udo Ar Apy na czerwono.

Oszołomiony jeszcze sukcesem podszedł na sztywnych nogach do pieczystego i zakrwawionym sztyletem wyciął sobie porcję godną mistrza.



7.

- Mam już dosyć - powiedział Ason. - Na węglach nie ma śladu cyny. - Pochylił się i zerknął uważnie na rozjarzoną stertę. Nawet w blasku słońca widać było wyraźnie, jak bucha z niej gorące powietrze.

- Cierpliwości - doradził Inteb, ścierając ślady węgla drzewnego z przedramion i dłoni. - Nie od razu mury Myken postawiono. Potrzeba czasu, żeby wyciągnąć cynę z kamienia. Właśnie dlatego nie udało nam się za pierwszym razem. Nie pamiętasz, że gdy zaczęliśmy rozgrzebywać piec, to węgle w środku wciąż gorzały?

- A skąd pewność?

- Nie ma pewności. Ale co szkodzi poczekać?

Ason nie miał cierpliwości stać beczynnie obok pieca i wypatrywać końca wytopu. Różnił się pod tym względem krańcowo od Inteba, budowniczego zdolnego patrzeć w milczeniu, jak robotnicy obrabiają kamień wedle jego planów. Zostawił Egipcjanina przy piecu i podszedł do miejsca, gdzie dwaj chłopcy rozkopywali niewielką żyłę cyny. W pobliżu na trawie leżał Aias. Wyglądał na śpiącego, ale pozory myliły, ledwie bowiem chłopcy zaczęli poszeptywać coś i przerwali pracę, Aias sięgnął do przygotowanego stosiku kamieni. Rzucił dobrze i miał celne oko, przez co krzyknąwszy raz i drugi z bólu chłopcy zaczęli znów żwawo machać łopatomi zrobionymi z poroża losia. Odgarniali wierzchnią warstwę i odrzucali ją na bok, po czym napełniali kosz ziemią z szaroczarnymi samorodkami. Gdy kosz był już pełen, ciągnęli go i pchali do drewnianego płukadła. Woda ze strumienia rozmywała błoto, oni zaś mieszały jeszcze zawartość dłońmi tak, aby usunąć lżejsze drobiny. Chłopców wciąż było za mało. Normalnie ci tutaj zaraz wracaliby do kopania, inni by płukali, inni jeszcze rąbali kamienie, kolejni rozbijaliby skały na drobny gruz. Widząc Asona, chłopcy zaczęli pracować szybciej. Czym prędzej nakładali wilgotną rudę do koszy, byle tylko nie narazić się Mykeńczykowi. Potem zajmą się kruszeniem kamieni.

Wszystko to była prowizorka, ale nie mając dość siły roboczej, na tyle tylko mogli sobie pozwolić. Gdyby tak przywieźli ze sobą skarby z brązu i złota, to mogliby kupić więcej chłopców. Jak dotąd korzystali jedynie z dobrej woli Naikeri, która nade wszystko pragnęła zemsty. Do spania mieli zbite byle jak prycze, przed deszczem chroniły ich dachy z gałęzi. Gotowali nad ogniskiem, pili zwykłą wodę. Ale ruda była kopana, a węgiel drzewny płonął w piecach tym razem jak trzeba. Jeśli prawidłowo dokonają spustu, będą mieli pierwszy urobek. Ason zwalczył pokusę, by wrócić do pierwszego pieca i ruszył pomóc Intebowi przy załadunku kolejnego wsadu, choć była to brudna robota. Piec tworzyła wyłożona gliną niecka. Na samym dole było wgłębienie duże na dwie stulone



dłonie. Wrzucało się do środka całą masę węgla drzewnego zmieszanego z rozdrobnioną rudą i podpalało całość. Trzeba było zawołać chłopców, by poruszali miechami i pompowali do środka powietrze. Tak robił Lycos, szczęśliwie Ason zapamiętał szczegóły. Jak dotąd otrzymali jedynie mieszaninę węgla i szlaki miast cyny. Głęboko zamyślony Ason usłyszał w końcu, że ktoś go woła. Podniósł głowę. To Naikeri. Stała na szczycie granitowej ściany, która zamykała dolinę.

Była spocona, włosy miała zmierzwione i wilgotne, szeroko otwartymi ustami łąpała ciężko powietrze.

- Ktoś widział Yernich niedaleko naszego domu i ojciec się boi. Nie zostanie tam ani chwili, bierze wszystko i ucieka z ludźmi na zachód. Lęka się, że tym razem zginie i on, i cała reszta. Uważa, że Yerni są opętani jak jeleń w rui i że nie będzie czekał, aż go dopadną. Musicie wrócić ze mną i powstrzymać go.

- Niech sobie idzie. Nie mamy zeń żadnego pożytku.

- Żadnego! - krzyknęła dziewczyna i zacisnęła pięści. - To niby jak uruchomiliście kopalnię, dzięki komu kopiecie cynę? Tylko dzięki hojności mego ojca. To on zapłacił Donbaksho za chłopców. On daje wam żywność, dał wam nawet miedziany toporek. Wykorzystałam jego ślepotę, by dał wam wszystko, czego potrzebujecie. A teraz machasz na niego ręką? Gdzie ci Yerni, których zabiłeś dla zemsty? Gdzie masz ich głowy? Bierzesz wszystko, sam niczego nie dajesz. I jeszcze mówisz, że mój ojciec jest niczym.

Ason odwrócił się do niej plecami i założył ręce na piersi. Patrzył na pracujących, starając się nie słyszeć gniewnych słów. Gdyby nie była tak ważna i potrzebna, zaraz by ją uciszył. Jednak nie mógł. Nie mógł też zniżyć się do kłótni z kobietą. Począł, aż dziewczyna sama umilknie i wtedy znów na nią spojrział.

- A co takiego mógłbym powiedzieć Lerowi, żeby go zatrzymać?

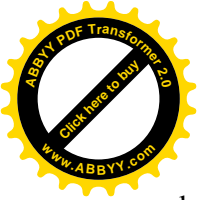
- Powiedz, że go obronisz, że zabijesz Yernich, że pomścisz śmierć jego synów i ludu. Może rozbudzisz w nim złość, ja tego nie potrafię. Wciąż mówi o ucieczce.

Asonowi wcale się to nie spodobało. Potrzebny był tutaj, w kopalni. Kłótnia z Lerem zapowiadała długą wymianę zdań pełną przy tym obietnic, których może nie uda się dotrzymać. Dużo czczego gadania i nic więcej, Ason nie cierpiał marnować czasu w ten sposób. Ale będzie musiał. Jeśli słowa zastąpią wojowników, to dobrze, bo tych drugich wciąż jeszcze nie miał.

- Idę - powiedział niechętnie. - Tylko powiem Intebowi, w czym rzecz.

Nie miał wyboru. Spojrzawszy raz jeszcze na przygasający piec i na obozowisko, ruszył zwawym krokiem. Naikeri została niebawem w tyle. Uśmiechnął się, słysząc jej ciężki oddech.

Gdy byli już dość daleko, tam gdzie ścieżka biegła parowem i omijała porośnięte gęsto mokradła, Ason poczuł na sobie czyjś wzrok. Instynkt myśliwego nie zwodził go nigdy;



młodzieniec wiedział, że jest tu zwierzyna płowa, są dziki, sporo ptactwa i wszelakiego drobiazgu leśnego, ale to wrażenie było inne. Przystanął, ujął miecz i spojrzął przed siebie. Naikeri dogoniła go.

- Czemu przystajesz? - spytała dysząc, a młodzieniec wskazał mieczem na stok.

Na dnie parowu, w trawie tuż przy zaroślach, stał mężczyzna w towarzystwie niezgrabnego psa, który miał w sobie coś z wilka. Obaj stali nieruchomo. Mężczyzna był niski i pękaty, z białą skórą, pod którą widać było obrosłe tłuszczem mięśnie. Za jedyne odzienie służyła mu przepaska z lisiego futra i wodoodporne buty, wysokie ponad kolana, zrobione zapewne z pęciny dzikiego konia. W dłoni trzymał cienką włócznię z kościanym grotem i doczepioną poniżej pętlę siodeł. U pasa widniała sieć, złowiony zajac i ciemnopióra kaczka.

- Kim jesteś? - krzyknął Ason, unosząc miecz. Słyszając ten dźwięk mężczyzna zniknął w gęstwinie, Naikeri odezwała się jednak w dziwnym, chrapliwym języku i pociągnęła Asona za rękę.

- Zostaw miecz - powiedziała. - To jeden z mieszkańców mokradeł, nazywają siebie Myśliwymi. Handlują z nami, nie prowadzą wojen jak Yerni. Musiał mieć jakiś powód, aby tu przyjść. Pójdę pierwsza i porozmawiam z nim.

Ason opuścił miecz, ale nie wypuścił go z dłoni, a Naikeri wyminęła go i ruszyła w dół. Pies warknął i pokazał kły, gdy podeszła bliżej, ale Myśliwy trącił go w bok końcówką drzewca, zmuszając zwierzę do wycofania się za plecy pana. Naikeri przyklękła, zaś mężczyzna spojrzął z dala na Asona, wyszedł na otwartą przestrzeń i przycupnął na piętach. Rozmawiali przez dłuższą chwilę. Ason zaczął się porządnie niecierpliwic, nim Naikeri go zawołała.

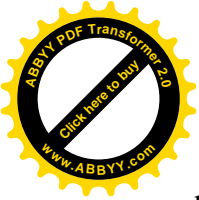
- Odłóż miecz i złaż. Ale powoli. On ma nam wiele do powiedzenia.

Tak Myśliwy, jak i pies podejrzliwie śledzili ruchy Asona, gdy podszedł i siadł ledwie trzy kroki od gromadki.

- Ten Myśliwy to Chaskil - wyjaśniła dziewczyna. - Spotkałam go już nie raz, mówi naszym językiem równie dobrze jak własnym.

Na razie jednak Chaskil wyglądał tak, jakby nie władał żadnym językiem. Wyzierające spod grubych powiek ciemne oczy wpatrywały się uważnie w Asona. Przybysz miał płaską twarz, nos zagłębiony w obliczu i pozbawiony mostka, włosy gładkie i czarne. Po dłuższej chwili oderwał spojrzenie od Asona i wbił wzrok gdzieś w przestrzeń. W końcu odezwał się i chociaż dziwnie akcentował słowa, to można go było zrozumieć.

- Jestem Chaskil, a to jest Naikeri i ty jesteś Ason, tak przynajmniej mi powiedziała. Jestem Chaskil z Myśliwych, którzy polowali tu od zawsze i o tym rozmawiamy. Polujemy, gdy jest zimno i w każdej porze roku i o tym rozmawiamy. Albi przyszli i o tym rozmawiamy. Przyszli na



mokradła i robią swoje, a my robimy swoje i o tym rozmawiamy. Potem przyszli Donbaksho z toporami do ścinania drzew i o tym rozmawiamy. Potem przyszli Yerni na wzgórza z krowami i toporami do zabijania ludzi i o tym rozmawiamy. Rozmawiamy o toporze do ścinania drzew.

Umilkł, wodząc palcami po swym nożu z misternie obrobionego krzemienia osadzonego w goleni jelenia. Naikeri wiedziała, jak rozmawiać z tym skrytym plemieniem samotników, ale Ason gotów był uznać, że ma do czynienia z szaleńcem.

- O tym rozmawiamy - powiedziała Naikeri. - Rozmawiamy o Yernich i rozmawiamy o toporze. Czy rozmawiamy o twoim toporze?

Chaskil poruszył się na te słowa i uniósł lewą stopę, pod którą leżał, jak się okazało, złamany kawałek zielonej skały, rzadki rodzaj jadeitu, który Albi dobywali z ziemi i polerowali jako materiał na topory bojowe oraz siekierki.

- To kawałek pękniętego topora - powiedziała Naikeri. - Topora Albich. Czy to twój topór? Mężczyzna przytaknął.

- Albi są przyjaciółmi Myśliwych. Dajemy im topory, aby mogli dłubać łodzie z pni. Wtedy mogą wypływać na połów. Pomagają nam. Prowadzą podczas wypraw kupieckich. Mówią nam, co widzieli. Czy widziałeś coś?

- Rozmawiamy o Yernich. Rozmawiamy o moim toporze.

- Będziesz miał nowy topór, gdy tylko go zrobimy. Przyjdiesz do domu mojego ojca, jak zawsze przychodziłeś, i porozmawiamy o toporze. Ale ty nie przyszedłeś teraz do domu mego ojca, ale czekałeś na nas tutaj. Czemu tak?

- Rozmawiamy o Yernich.

Asona nagle coś tknęło.

- Czy są w pobliżu? - spytał. Chaskil spojrzał na niego krzywo.

- Rozmawiamy o Yernich, którzy zabili Myśliwego. Którzy obserwują miejsce, gdzie ty kopiesz w ziemi i robisz dym. Rozmawiamy o Yernich, którzy kryją się i obserwują...

- I czekają, aż gdzieś pójde! - krzyknął Ason, zrywając się na nogi. - Przyglądali się tylko, bo widzieli, że mam miecz, czekali, aż mnie nie będzie... - Pobiegnął jak najżywiej z powrotem w stronę kopalni. Naikeri zamieniła jeszcze kilka zdań z Chaskilem i pospieszyła za nim.

Uspokoiwszy się nieco, Ason zwolnił kroku. Nie chciał dobiec do kopalni zdyszany i wyczerpany. Uśmiechnął się nawet myśląc o rychłej walce. Jeśli Myśliwy miał rację, to nadarza się wreszcie okazja do zemsty. Yerni! Tym warto się zająć. Naprawdę pragnął zastać ich w kopalni.

Gdy był już blisko, zwolnił i zaczął poruszać się ostrożniej na wypadek, gdyby kryli się gdzieś w zaroślach. Był już u stóp zamykającego dolinę wzórza, gdy zza szczytu wypadł biegiem



jeden z chłopców. Uciekał, jakby sama śmierć deptała mu po piętach. W tej samej chwili Ason usłyszał wysoki krzyk.

- Tam są! - wrzasnął Mykeńczyk i ruszył pędem, po drodze dobywając miecza. Nie było go tu ledwie kilkanaście minut, ale i to starczyło, by widok dolinki zmienił się diametralnie.

Oslony nad piecami zostały zwalone, ich szczątki płonęły. Chłopcy zniknęli. Ciało Inteba leżało zanurzone do połowy w wodzie, która spływała z płukadła. Obok leżał trup kogoś obcego, nieco dalej drugi.

Wrzeszczący wściekle Aias stał na skalnej półce ściany i ciskał kamieniami w trzech Yernich, którzy usiłowali wspiąć się za nim. Traktowani w ten sposób reagowali dość żywo i głośno, próbując sięgnąć pięściarza toporkami. Jeden, któremu udało się wejść po skalnej ścianie, zaraz pożałował śmiałości, bowiem Aias zeskoczył na skałę tuż obok niego i zanim Yerni zdążył zrobić cokolwiek, dostał taki cios w bok głowy, że spadł bezwładnie na sam dół. Pięściarz zaś wspiął się jeszcze wyżej. Kłął przy tym siarczyście. Oberwał już w walce, tors i ramiona mokre miał od krwi.

Ason podbiegł cicho i był już bardzo blisko sceny zdarzeń, gdy wreszcie go zauważono. Ten strącony przez Aiasa gramolił się na nogi i sięgał właśnie po swój topór, gdy dojrzawszy Asona krzyknął coś ostrzegawczo. Uniósł broń i zginął z przeciętym gardłem. Pozostałych dwóch rzuciło się w stronę Asona, który tylko uśmiechnął się i poczekał, aż zejda na dół.

Mógł zabić ich szybko, ale chciał, żeby najpierw dowiedzieli się z czyjej ręki i dlaczego muszą umrzeć. Spoceni zaatakowali Asona. Wywijali dziko toporami, on zaś obrzucał ich wyzwiskami. Jeden próbował zaatakować, ale zaraz padł z nogami pociętymi tak dokładnie, że ledwie mógł dźwignąć się na kolana.

Powiedziawszy swoje, młodzieniec kilkoma ciosami dokończył dzieła. Potem wrócił i sprawdził, czy pozostałych dwóch też nie żyje. Obaj padli pod ciosami pięści Aiasa. Jeden leżał z otwartymi oczami i głową wykręconą pod dziwnym kątem. Miał złamany kark i najpewniej zginął od razu. Drugi wiercił się i trzymał za głowę. Aias musiał go ogłuszyć, uderzając prosto w nos i łamiąc kości twarzy. Jednak mężczyzna z wolna dochodził do siebie. Trząsał się cały, a gdy poczuł miecz na gardle, otworzył przekrwione oczy.

- Kim jesteś? - spytał Ason.

Yerni spojrzał na niego dziko i chciał chwycić ostrze, ale cofnął dłonie, gdy Ason nacisnął trochę mocniej.

- Nair - wykrztusił, dławiąc się z lekka.

- Skąd jesteś?

- Z teuty Der Daka.



Asonowi nic to nie mówiło. Kopnął mężczyznę w brzuch.

- Czemu tu przyszliście? Czemu napadliście na nas?

- Dla darów od Mrocznego Męża...

Odotoczył się szybko na bok, odtrącając równocześnie ostrze, które wbiło się w ziemię. Zanim Ason zdążył unieść miecz, Nair był już przy nim i wyciągał zza pazuchy brązowy sztylet. Ason złapał nadgarstek napastnika, tamten przytrzymał młodzieńcowi dłoń z mieczem. Siłowali się tak, stojąc twarzą w twarz. Ason czuł śmierdzący oddech tamtego wymieszany z odorem nie mytego ciała. Nad ramieniem Naira dostrzegł Aiasa biegnącego z pięścią uniesioną do ciosu.

- Nie! - zawołał młodzieniec. - Ten jest mój.

Aias zatrzymał się obok, gotów wszakże do natychmiastowej interwencji. Ason nie próbował nawet wykręcić miecza, do takich zadań sztylet nadawał się o wiele lepiej. Powoli i drżąc aż z wysiłku, oddalił ostrze od swej skóry i skierował je w korpus właściciela. Nair spojrzał przerażony. Choć wysilił wszystkie mięśnie, nie mógł już uciec śmierci. Nie pomyślał nawet, by puścić sztylet. Jednym, ostatecznym pchnięciem Ason wbił ostrze głęboko w pierś Naira i przytrzymał je tam, aż Yerni zadrżał konwulsyjnie i skonał. Dopiero wtedy młodzieniec odstał i pozwolił upaść ciało.



8.

Inteb nie zginął. Topór musnął go, zostawiając paskudną szramę na głowie, jednak Egipcjanin oddychał. Naikeri przybyła akurat na czas, by ujrzeć śmierć ostatniego napastnika. Z przejmnością chłonęła widok będący pierwszą ratą zapłaty, zapowiedzią upragnionej zemsty. Teraz po-śpiewywała sobie z cicha i przemywała głowę Inteba zimną wodą ze strumienia.

Ason przysiadł ciężko obok ciała i rozprostował obolałą rękę.

- Zjawili się, ledwie odszedłeś - powiedział Aias. - Chyba musieli nas obserwować. Zbiegli w dolinę wrzeszcząc wniebogłosy, byli bardzo pewni siebie. Wiedzieli, kogo zastaną. Inteb był bez broni, próbował uciekać. Powalili go. Złamałem kark jednemu, zanim zdołał zabić Egipcjanina. Wszyscy chłopcy uciekli. W tego tu najpierw rzuciłem pałką, potem złamałem mu nos. Inny mnie trafił, więc uciekłem na górę. Potem wróciłeś. - Rozciągnął zakrwawione usta w uśmiechu, zaczerpnął dłonią wody i opłukał twarz.

- Odszukaj chłopców i zagoń ich z powrotem do pracy - powiedział Ason. - Zbudujcie nowe osłony.

Podszedł do Inteba, który otworzył już oczy i mrugając w oszołomieniu powoli odzyskiwał przytomność.

- Yerni... - powiedział słabo i spróbował rozejrzeć się wkoło.

- Wszyscy zabici. Ale jeden pogadał ze mną nieco przed śmiercią. - Słyszac to, Naikeri spojrzała z zainteresowaniem na młodzieńca. - Co to jest teuta i Der Dak? To właśnie powiedział.

- Der Dak to byk, czyli wódz jednego ze szczepów Yernich - odparła dziewczyna. - Jednego z pięciu szczepów, to jest teut, które przez cały czas walczą ze sobą. Zawieranie sojuszy pozostaje w wyłącznej gestii byka, czyli wodza. Teuta Der Daka jest jedną z najbliższych i ci mężczyźni musieli przyjść właśnie stamtąd. To cztery dni drogi na wschód. Ale czemu przyszli? Czy to Der Dak ich wysłał?

- Wspomniał coś o Mrocznym Mężu. Czy to jeden z ich wodzów?

- Nigdy nie słyszałam o nim. Ani o nikim o podobnym imieniu. Może to jakiś ich bóg.

Inteb jęknął i usiadł.

- Na czas wróciłeś, dzięki niech będą Horusowi - mruknął. - Nie żyją?

- Wszyscy i wcale nie stało się tak za sprawą Horusa. Pewien człowiek zatrzymał nas po drodze, jakiś tutejszy myśliwy, i powiedział, że widział szpiegujących nas Yernich.

Ason spojrzał na Naikeri.



- A czemu twoi ludzie nie wystawili posterunków, by strzec nas przed napaścią? Świetnie wiedzieliście o zagrożeniu, które zawisło nad waszą wioską, ale o mnie to nie pomyśleliście.

- Moi ludzie mają inne rzeczy do roboty. Ciężko pracujemy i musimy się bronić. A co z moim ojcem? Obiecałeś, że z nim porozmawiasz.

- Twój ojciec! Twój lud! Nie mogę równocześnie bronić i jego, i was, i kopalni! Jeden tylko jestem! Muszę pilnować wytopu cyny i to jest najważniejsze.

- Jeśli nie pomożesz mojemu ojcu, nie dostaniesz więcej żywności ani nie przyślę ci chłopców i nie będzie kopalni. Co wybierasz?

Co mógł wybrać? Pomoc Albich była mu niezbędna. Ale jak ustrzec ich wszystkich przed napadami Yernich?

- A czemu nie powstrzymasz najazdów? - spytał Inteb, odpowiadając na wiszące w powietrzu pytanie. Ason spojrzał zaintrygowany. - Dziewczyna powiedziała, że Yerni nigdy nie zachowywali się w ten sposób. Rozumiem, że dotąd poszczególne ich szczepy walczyły ze sobą i handlowały z Albimi. Całkiem rozsądnie. Ale ktoś pomieszał im w głowach i kazał napadać z dala od domu. Ustal, kto to jest, odszukaj go i zabij. Kłopot sam zniknie.

- Ale kto to jest?

- Der Dak! - powiedziała Naikeri. - Kto by inny? Ludzie z jego teuty nie ruszą do walki bez rozkazu wodza. Owszem, biją się przy lada okazji, ale zwykle w pojedynkę. Żeby ruszyć tak daleko i całą gromadą, musieli dostać taki rozkaz. Idź i zabij go, a będzie po wszystkim.

- Przedrzeć się przez szeregi jego podwładnych? Mogę walczyć z każdym, ale nie z całym tłumem.

- Może nie będziesz musiał - jęknął Inteb, macając guz na głowie. - Ten pomysł z teutą i bykiem mocno przypomina mi porządek panujący w miastach Argolidy...

- Jak śmiesz porównywać szlachetne Mykeny z tymi cuchnącymi dzikusami!

- Cierpliwości, miły Asonie, porównanie dotyczy tylko samej struktury władzy. Mieszkałem w wielu krajach i poznałem tę prawdę, że ludzie wszędzie są mniej więcej tacy sami. Zawsze mają władców i bogów. Jedni z nich zabijają, inni są zabijani. Jedni rządzą, inni słuchają. Skorzystajmy z tej obserwacji.

- Mógłbym wyzwać tego Der Daka i zabić go, żeby napady ustały. - Spojrzał na Naikeri. - Czy mówią tym samym językiem, co wy? Czy mnie rozumieją? Z tym tutaj jakoś się dogadałem.

- Zrozumieją. Języki mamy podobne, różnią się tylko niektórymi słowami, a tych mogę cię nauczyć.

- Z czego są najbardziej dumni? - spytał Inteb.

Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.



- Ze swojej waleczności, zawsze chełpią się, jakimi to są wspaniałymi wojownikami, jacy są odważni, jak szybko biegają, jak wiele zwierza zabili. A, właśnie, no i ile krów mają i ile ukradli. Słyszałam, że bydło milsze jest ich sercu niż kobiety. No i uwielbiają cenne błyskotki, naszyjniki, obręcze ze złota i brązowe noże. Kupują to wszystko. Są bardzo próżni.

Aias podszedł z czterema toporami, trzema skręconymi na kształt obręczy złotymi prętami i jednym sztyletem w rękach.

- Zdarłem z trupów - wyjaśnił.

- Będzie na kopalnię - stwierdził Ason. - Nie musimy już zważać na humory Lera.

- Ja wezmę topory - powiedziała Naikeri. - Zostały zrobione przez Albich. Obręcze i nóż są twoje. Tylko ktoś obwieszony solidnie skarbami wyda się Yernim dość godny, by wyzwąć ich wodza.

- Piec - powiedział Inteb, wstając powoli. - Zapomnieliśmy o nim. Wytop winien dobiec już końca.

Przeglądali się uważnie, jak Inteb wygarnia popioły z przewodu z boku pieca. Zerknął do środka, ale nie dojrzał niczego, poza resztkami węgla. Ason owinał rękę mokrym futrem i sięgnął jak mógł głęboko, chwycił i wyciągnął coś syczącego. Upuścił to zaraz, bo parzyło go w palce.

Był to krąg srebrzystego metalu. Chropawy od spodu, gładki na wierzchu, gruby przy tym i ciężki.

- Cyna - powiedział Ason. - Wreszcie. To nie może być nic innego.

Naikeri i Ason opuścili dom Lera o świcie następnego ranka. Z początku starzec nie chciał ich słuchać i nic, tylko zbierał się gorączkowo do odejścia wraz z całym dobytkiem. Córka nakrzyczała na niego, potem zasypała prośbami, wreszcie przyjął do wiadomości, że jeśli Ason pokona Der Daka, napady ustaną i będzie można żyć w pokoju. Ostatecznie, jako niewidomy, wolał pozostać w znanym mu miejscu. Chciał uwierzyć w powodzenie planu, tak więc w końcu go przekonali.

Przeszukał wykopane spod klepiska skrzynie. Jedna z nich, przywalona rzeźbionym bogato kamieniem, zawierała miedziane topory i siekiery o różnym przeznaczeniu i o różnej wielkości. Znalazł też brązowy hełm osłaniający szczyt głowy. Wyściółkę miał ze skóry i pochodził wyraźnie z czasów, kiedy handel szedł lepiej. Nie był to hełm szlachcica, ale musiał wystarczyć. Ason dostał jeszcze grubą tunikę mogącą osłonić przed ciosami i jedną z okrągłych tarcz Yernich. No i miał swój miecz, który ważniejszy był niż wszystko inne.



Droga wiodła ich przez mokradła, ścieżką wydeptaną przez całe pokolenia kupców. W nocy padało i powietrze było pełne wilgotnej woni ziemi i wrzосу. W górze krążył jastrząb. Nagle zwinął skrzydła i jak kamień runął ku zdobyczy, po czym znów wzbił się w powietrze z jakimś małym zwierzęciem w pazurach. Słońce grzało przyjemnie, ale powietrze wciąż było chłodne, idealna pogoda na poważniejsze przedsięwzięcie. Ason mruzczał sobie coś pod nosem, Naikeri prowadziła, dźwigając na plecach tobolek z prowiantem. Maszerowała równym krokiem, aż mięśnie grały jej pod spódnicą. Idący z tyłu Ason popatrywał raz za razem na opinającą talię i uda materię i coraz bardziej dokuczwała mu wymuszona od dawna asceza.

Gdy słońce stanęło w zenicie, skręcili z głównej drogi i poszli brzegiem niedużego strumienia do polanki, gdzie mogli przysiąść i coś zjeść. Dziewczyna bez słowa wyjęła kawałek suszonego na słońcu mięsa i podała go Asonowi. Przeżuł kęs i popił zaczerpniętą ze strumienia wodą. Nie odzywał się, ale gdy Naikeri podniosła wzrok, napotkała wpatrzone weń oczy Asona. Odwróciła głowę.

Ason wiedział sporo o życiu i świecie, ale zdawał sobie sprawę z tego, że nie poznał jeszcze wszystkich tajemnic. Jedną z większych zagadek były dlań kobiety. Oto dziewczyna, która odepchnęła go w nocy, przyzywała go w pełnym blasku dnia.

Gdy było już po wszystkim, poszedł umyć się w strumieniu. Naikeri uporządkowała powoli odzienie. Ason chciał zaraz ruszać dalej, ale ona nie wstawiała wciąż z kręgu wygniecionej trawy.

- Czy tam, skąd przyszedłeś, masz może żonę? - spytała.

- Pora w drogę.

- Powiedz.

- Nie, nie mam żony. Nie pora gadać o takich sprawach.

- Zawsze jest pora, by gadać o takich sprawach. Jesteś moim pierwszym mężczyzną. Jeśli chcesz, abym...

- Chcę tylko tego, czego chcę i niczego więcej. Nie wyobrażaj sobie za wiele. Gdy wydobędę dość cyny, wrócę do Argolidy. Jeśli się ożenię, to tylko z córą szlchetnego rodu. Tak już jest i tak być musi. Teraz wstawaj.

Cofnęła się ze złością, gdy wyciągnął ku niej rękę.

- Mój ród jest najstarszym wśród Albich. Widziałeś nasz grobowiec. Gdybyśmy mieli królowe, byłabym nią...

- Jesteś niczym - warknął Ason, podnosząc ją na nogi.

- A zatem nie będę twoją królową - powiedziała dziewczyna głosem nagle spokojnym i beznamiętnym. - Ale jestem twoją kobietą. Nikt inny nie będzie mnie już miał. Wiesz, że jestem mocna. Mogę ci pomóc, ogrzać ci łóżę w nocy.



- Jak chcesz - powiedział Ason, ruszając już w drogę. Naikeri spojrzała za nim ponuro, zarzuciła tobolek na plecy i podążyła jego śladem.

Przez pierwsze dni wędrówki szło im się dość łatwo. Zrywali się przed świtem i gdy tylko było dość jasno, by dojrzeć ścieżkę, ruszali w drogę i stawali dopiero po zmroku. Trzeciego dnia jednak Naikeri zoczyła ze szlaku i poprowadziła przez brzezinę na szczycie wzgórza, dotarli do gęstwy tak wielkiej, że z trudem torowali sobie w niej drogę. U stop wzniesienia wyjrzeni ostrożnie zza krzaków. Przed nimi leżała rozległa dolina porośnięta głównie trawą, na której wypasały się doglądane przez chłopców stada bydła. W pobliżu spał mężczyzna, topór i tarczę trzymał pod ręką. Dalej widniał kształt jakiejś okrągłej budowli.

- Yerni - powiedziała Naikeri. - Muszą być z teuty Der Daka, bo to najbliżej, w tamtym kierunku. Jego ludzie kręcą się po równinie wkoło grodziska. Gdyby nas tu zauważono, rychło by o tym wiedział i musiałbyś walczyć ze wszystkimi, skoro nie przybyłeś, żeby pohandlować. Nie lubią, gdy ktoś obcy stąpa po ich ziemi.

- Musimy dotrzeć do grodziska nie zauważeni, żebyśmy mógł wyzwać ich byka na pojedynek. Jak to zrobić?

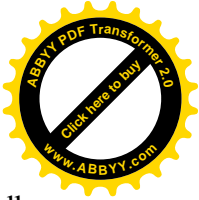
- Musimy wędrować nocą.

Dopóki omijali rzadko rozrzucone domy i zagrody, dopóty wykrycie im nie groziło. Raz pies ich obszczekał, ale psy szczekają przy byle okazji i nic z tego nie wynikło. Potem zza horyzontu wyłonił się sierp księżyca i łatwiej było im wynajdywać krowie ścieżki. Naikeri była tu już kiedyś za dnia i brak dziennego światła zdawał się nie być dla niej żadną przeszkodą. Dobrze przed świtem wskazała na kolisty mur wyrastający przed nimi na równinie.

- Dun Der Dak - powiedziała.

Pod osłoną parowu i kurhanów dopełzli do grodziska na odległość rzutu włócznią. Grodzisko było otoczone pełną śmieci fosą, suchą jednak i będącą niegdyś źródłem surowca do budowy wysokich na wzrost męża murów, które lśniły jasno w blasku księżyca. Na kredowobiałym fundamencie wzniesiono drewnianą część umocnień, Ason widział zarys stromej dachu i mrocznych ścian.

- Zewnętrzny krąg to mieszkania wojowników - powiedziała Naikeri, wskazując na budynek. - Wchodzi się do nich ze szczytu obwałowania. Bydło trzymają wewnątrz grodziska, kobiety i dzieci mieszkają również po tej stronie pierścienia.



- Czy to jedyne wejście? - spytał Ason, wskazując na przerzuconą nad rowem kładkę wiodącą do bramy.

- Tak. Zamykają ją mocno na noc, aby bydło nie uciekło. Der Dak mieszka nad samą bramą.

Ason chrząknął i usadził się wygodnie, miecz położył obok. Miał zamiar czuwać aż do świtu.



9.

Gdy pierwsze szare światło zaczęło rozpraszać mrok, Ason wyjął z tobołka ozdoby zabrane poległym Yernim. Założył największą obręcz i na modłę tubylców zawiesił sobie na szyi brązowy sztylet. Naikeri dała mu hełm, który przetarła w nocy piaskiem, tak że lśnił teraz jak nowy. W lewą rękę młodzieniec wziął tarczę, miecz w prawą i stanął przed grodziskiem.

- Zostań tutaj, lepiej, żeby cię nie widzieli - nakazał dziewczynie, zerkając przez ramię. - Gdybym zginął, wrócisz i powiesz innym, co się stało. Jeśli wygram, sam wyślę kogoś z wiadomością. Tak czy inaczej, siedź w ukryciu i czekaj, aż zawołam cię po imieniu. Bohater w towarzystwie jednej tylko kobiety wzbudzi raczej śmiech, a nie strach.

Trwał nieruchomo i nie oglądał się więcej, tylko czekał, aż słońce wzbilo się ponad horyzont. Z grodziska dolatywać zaczęły odgłosy porannej krzątania, widać było poruszające się postacie. Z nagim mieczem w dłoni ruszył naprzód, sam przeciwko wszystkim wojownikom grodziska.

Zauważono go dopiero, gdy był ledwie kilka kroków od wejścia. Jakaś kobieta w towarzystwie podrostka podnosiła właśnie rygle bramy, by wypuścić bydło na pastwiska. Ujrzała przybysza i pisnęła. Ason zatrzymał się.

- Der Dak! - wrzasnął ile sił w płucach. - Der Dak!

Kobiety i chłopcy uciekli z krzykiem. Ruch zrobił się w grodzisku. Niby wiewiórki z dziupli, wojownicy zaczęli wyglądać ze swych wysoko położonych kwater. Jakiś pies, ciemnowłose, wielkie i zębate bydło wyczuło zapach Asona i pobiegło ku niemu ujadając. Jeden ruch miecza zmienił psa w bezwładny, krwawy ochłap.

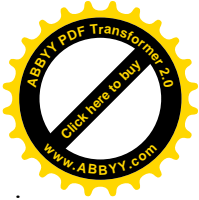
- Wyłaż, Der Dak! - zawołał znów Ason. - Chcę cię zabić, jak zabiłem właśnie twego psa. Z tobą będzie łatwiej. Jesteś tchórzem ulepionym z gówna, jesteś babą kryjącą swą pleć w ukradzonej przepasce ze skóry kozła. Wyłaż i staw czoło Asonowi, mężowi, który cię zabije.

Z najbliższego otworu drzwiowego doleciał ryk złości tak głośny, że aż przebił się przez ogólny harmider. Der Dak chwycił się framugi i wyjrzał na światło dzienne. Włosy miał sztywne i pobielone, wąsy białe, długie do ramion. Właśnie obudził się, był jeszcze nagi.

- Kto tam doprasza się szybkiej śmierci?

- Jestem Ason, Mykeńczyk, pierwszy syn króla Pe-rimedes. Wyłaż, morderco mych braci i stawaj do walki z kimś, kto przybył po twe życie. Wyłaż, tchórz, wyłaż na spotkanie śmierci.

Der Dak bliski był zadławienia, tak intensywnie pluł śliną i przeklinał. Zawrócił pędem, by przygotować się do walki.



Ason nie zwracał uwagi na pozostałych, ale Naikeri obserwowała ich pilnie z ukrycia. Wojownicy gromadzili się z wolna na blankach, większość z bronią, ale żaden nie wyglądał na skorego do bitki. Wrzeszczeli głośno i przepychali się, by zająć jak najlepsze miejsce, ale nie zamierzali się wtrącać. Perspektywa nieoczekiwanego widowiska budziła w nich żywą radość, poganiali kobiety, by przyniosły im miód do picia. Wrzasnęli pod niebiosa, gdy Der Dak pojawił się z tarczą, wielkim, kamiennym toporem i zeskoczył na ziemię. Wtedy dopiero Ason ujrzał, co wódz nosi na głowie.

Był to mykeński hełm. Powygniatany i zaniedbany, z postrzępionym pióropuszem, ale nadal mykeński. W ręce wodza trafić mógł tylko w jeden sposób: jako zdobycz po masakrze w kopalni. Może należał niegdyś do Lycosa, może do kogoś innego.

Der Dak warknął i ruszył do walki.

Zbudowany był potężnie, w zasadzie dorównywał w tym Asonowi. Stoczył już wiele walk i zabił wielu mężów, których głowy wisiały teraz nad jego drzwiami. Miał topór dwukrotnie większy niż inni wojownicy i dość siły, by nim władać. Gdyby Ason osłonięty był zbroją, mógłby nie przejmować się takim orężem, po prostu poczekałby, aż przecwinił podejdzie blisko i rozplątałby go na dwoje. Jednak tym razem to Der Dak był w lepszej sytuacji, miał brązowy hełm i tarczę, jedno i drugie niepodatne na cios miecza.

Ason ciął, ale tarcza odtrącała miecz. Potem musiał cofnąć się i unieść własną tarczę. Cios zadudnił i rękę przeszył impuls bólu.

Krażyli w koło, obrzucali się przekleństwami, wymachiwali orężem szukając luki w obronie przeciwnika. Bez powodzenia. Obaj wiedzieli, że walka toczy się o najwyższą stawkę, żaden nie czekał pardonu. Nie trwało długo, a obaj dyszeli jak psy i spływali potem oraz krwią.

Der Dak pierwszy utoczył krwi Asona, gdy odbity od tarczy topór zahaczył o przedramię młodzieńca. Nie bolało zbyt mocno, ale krew pociekła obficie, wzbudzając żywy aplauz widowni. Zaraz potem Der Dak wyszczerzył zęby i tym żywiej zaatakował. Ason cofnął się, spojrzał na ramię i nieco opuścił tarczę udając, że lewa ręka mu omdlewa. Der Dak uwierzył łącznie i uderzył toporem z taką siłą, że mógłby nawet przerząć tarczę.

Ason jednak tego właśnie się spodziewał i miał zamiar uniku czy nagłego poderwania tarczy, wystawił miecz do przodu.

Stylisko topora trafiło w miecz tuż przy główicy, nie zdążyło nawet dotrzeć do tarczy.

Brąz twardszy jest od drewna.

Miecz przeciął stylisko, sam topór runął z hukiem na ziemię. Der Dak stanął ogłupiały i spojrzał na trzymany w ręku kawałek kija. Nie zauważył nawet, jak ostrze miecza znalazło drogę do jego piersi. Wbiło się głęboko, zatrzymując się dopiero na kręgosłupie.



Der Dak rozrzucił szeroko ramiona. Tarcza odtoczyła się na bok. Krzyknął chrapliwie, padł na twarz i skonał.

Ason stanął nad zakrwawionym ciałem i też odrzucił tarczę. Naikeri powiedziała mu dość o zwyczajach tych ludzi. Ci wojownicy zwykli obcinać zabitym wrogom głowy, właśnie w tym celu wszyscy nosili sztylety z brązu. Ason uznał, że pokaże im lepszy sposób. Jeden zamach uniesionym w obu rękach mieczem wystarczył, aby głowa Der Daka odtoczyła się od tułowia.

Wzburzony Ason zrzucił swe oszczędne nakrycie głowy i zdarł byłemu wodzowi mykeński hełm. Sztywne wąsy nadawały się idealnie na nosidło, zatem ujął je, wziął łeb Der Daka i podszedł do zgromadzonych na obwałowaniu wojowników.

- Der Dak nie żyje! - krzyknął. - Wasz wódz nie żyje. Kto winien zająć jego miejsce?

Wojownicy spojrzeli po sobie, nikt nie chciał odezwać się pierwszy. Wszyscy znali rytuał wyłaniania nowego wodza, ale wiedzieć to jedno, a podjąć próbę objaśnienia czegokolwiek temu rozłoszczonemu przybyszowi, to zupełnie co innego. Ason wskazał zakrwawionym ostrzem na najbliższego widza.

- Zrobi się - mruknął tenże. - Mamy swoje sposoby.

- I dobrze. Zatem to już nie moja sprawa. Teraz zaprowadźcie mnie do Mrocznego Męża. On jako drugi zapozna się z moim mieczem.

Drzwi nie różniły się niczym od innych. Ason otworzył je kopniakiem i wszedł, gotów na wszystko, jednak pomieszczenie było puste. Ktoś opuścił je w pośpiechu, zostawiając po sobie jedynie bałagan. Na podłodze leżał stłuczony dzban. I tyle. Po mieszkańcu pozostał jedynie wiszący w powietrzu odór. Ason dźgnął mieczem futra na posłaniu, ale nic się pod nimi nie kryło. Gniew opuszczał go z wolna i rana zaczynała dokuczać. Uświadomił też sobie, że choć zaplanował dokładnie, jak zabije Der Daka, to nie pomyślał jednak, co pocnie ze zwycięstwem.

Wojownicy rozstąpili się, gdy wyszedł z pustej kwatery i skierował się do mieszkania Der Daka, którego głowy nie wypuszczał wciąż z dłoni. Nad drzwiami widniały pomarszczone łby: szereg ludzkich i jeden niedźwiedzi. Ten ostatni miał osadzone w oczodołach wypolerowane kamienie. Ason zmiotł to wszystko jednym ruchem miecza i zrzucił do rowu za murami. Potem przyczepił nad framugą czerep wodza i siadł dokładnie pod nią.

- Dajcie mi jeść. I coś do picia - zawołał.

Przez chwilę trwała cisza. Ason położył dłoń na mieczu, a wtedy jeden z wojowników przekazał polecenie stojącej w pobliżu kobiecie. Ason rozluźnił mięśnie i sięgnął po kawałek futra, by oczyścić miecz. Nagle tuż przed nim stanęła Naikeri.

- Miałaś poczekać - warknął.



- Widziałam, co się stało. Wygrałeś. Moi ludzie bywali już tutaj. Ci wojownicy w ogóle nie zwracają uwagi na kobiety.

- Siadaj gdzieś z boku, byle nie na oczach.

- Co zamierzasz? - spytała, mijając Asona i wchodząc do wnętrza mieszkania. - Ale tu śmierdzi.

- Najpierw coś zjem.

- A potem?

Jęknął tylko, sam nie wiedział, co potem. Dziewka służebna postawiła przed nim dwie misy i umknęła czym prędzej. W jednym naczyniu było kwaśne mleko, które wypił niemal do dna, nim spojrzął na drugą misę. Zawierała biały ser. Napychał sobie nim usta, gdy pojawił się przed nim jeden z wojowników.

- Jestem Ar Apa - powiedział i zaraz przykucnął. Ason nie przerwał posiłku, zatem po dłuższej chwili milczenia przybysz znów się odezwał. - Jestem zabójcą, jestem myśliwym, biegłem przez sto dni i zabiłem sto jeleni, zabiłem Cetherna w walce, która trwała dziesięć nocy i teraz jego głowa wisi nad moimi drzwiami.

- Zabijałeś ludzi w kopalni? - spytał lodowatym głosem Ason, którego rychło znudziły te przechwałki. Ar Apa rozpostarł puste dłonie.

- Der Dak to zrobił. I inni. Wielu z Dun Uala. Dostali szczodre dary i poszli razem do kopalni. Wielu nie wróciło.

- Czy to Uala ich poprowadził?

- Uala ich poprowadził, ale to nie był jego pomysł. - Wojownik wyglądał, jakby nagle zabrakło mu słów. - On dał im dary, nawet zanim jeszcze wyruszyli. - Mimo ogólnej beczelności, Ar Apa bał się wymówić pewne imię i wolał wskazać za siebie.

- Mroczny Mąż?

Ar Apa przytaknął i znów zaczął zachwalać swoją osobę. Ason nie słuchał, nastawił jednak ucha słysząc szept Naikeri i przytaknął.

- Chcesz zostać bykiem? - powiedział, powtarzając głośno słowa dziewczyny.

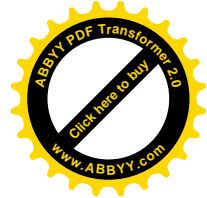
Ar Apa nie odpowiedział wprost na to pytanie. Jednoznaczne potwierdzenie mogłoby zostać odebrane jako wyzwanie, a Ar Apa dobrze wiedział, czym grozi spotkanie z brązowym mieczem.

- Musi być wódz.

- To prawda. Będzie wódz.



KSIĘGA TRZECIA





1.

Lato minęło, noce zrobiły się chłodne i nad ranem szadź zaczęła posrebrzać trawy. Słońce wznosiło się powoli, przeświecając przez korony drzew wkoło kopalni, długie cienie wędrowały po ziemi. Nie było wiatru i pierwsze smugi dymu wzbily się szarym paluchem prosto w bezchmurne niebo. Aias przysunął się do ognia, dołożył suchych drewn i pozgarniał je patykami, by zajęły się jak najrychlej. Ziewnął potem, podrapał się tym samym patykiem pod pachą. Był jeszcze zaspany, a jego okaleczona warga zwisała niżej niż zwykle.

Zaskrzypiały drewniane zawiasy i z krytej bagienną trawą chaty wyszedł Inteb. Pochylił się nisko w niedużych drzwiach, owinięty wciąż kocem przysiadł dokładnie naprzeciwko pięściarza i przysunął się tak blisko ognia, aż skraj koca zaczął się tlić. Egipcjanin trzął się cały i był siny z zimna.

- Nie ma jeszcze zimy, a już przemarzłem do kości - wymamrotał. Aias uśmiechnął się z politowaniem.

- To jeszcze nic. Za dnia wciąż jest ciepło, słońce grzeje. Zimą spadnie śnieg, biały i lodowaty. Czasem może zasypać cię wraz z głową.

- Niech Ra w swej mądrości stopi ten śnieg i nie pozwoli mu spaść. Potem niech przywiedzie tu mykeński statek jeszcze przed zimną porą. Nie da się mieszkać w tym kraju.

- Ja nie narzekam, Egipcjaninie. O wiele lepiej mi tutaj niż w twoim kraju, gdzie byłem niewolnikiem. Masa piasku, upał i zgon w kwiecie wieku. A tutaj codziennie jadam mięso, w życiu tyle go nie miałem. I kobiety. Ta, co gotuje dla chłopców, ma uda i zad jak krowa! - Aż klasnął w dłonie, wspomniawszy te przyjemności. - Jest co złapać. I ryczy jak krowa, gdy jej wkładam. Cudne miejsce.

Inteb aż skrzywił nos, zgorzony i wyciągnął osmalony róg koca z ogniska, zanim jeszcze tkanina zajęła się płomieniem.

- To zostań tutaj, Aiasie. Bez obrazy, ale jesteś prostym człowiekiem, zrodzonym w takim właśnie miejscu. W życiu są jeszcze inne przyjemności, których istnienia nawet się nie domyślasz. Może i lepiej, że ich nie poznasz, taki będziesz szczęśliwszy. Dobre wino, bogaty stół, kochani przyjaciele, cywilizowane rozrywki i wszystko, za czym tęsknię. Zabawa z krową o tłustym zadzie nie jest jakoś szczytem mych marzeń.

- Niektórzy to lubią - powiedział Aias i czknął, dając do zrozumienia, że zamyka temat.



- Bez wątplenia. Pewien mędrzec powiedział jednak kiedyś: mąż do miłości, chłopiec dla przyjemności, kobieta do powinności. Nie poczuwam się do wypełniania obowiązków z tutejszymi kobietami, zaś chłopcy chodzą tu brudni i nijak mnie nie pociągają.

Nie dodał, że znalazł się na tym krańcu świata za sprawą wielkiej miłości, ale o tym nie godziło się rozmawiać z niewolnikiem, który chrząkał właśnie i spluwał w ogień. Słońce wzniosło się wyżej i oblicze Ra zaczęło grzać miło ramiona i głowę Inteba. Lekki wiaterek poruszył gałęziami, liść dębu spłynął prawie do stóp Egipcjanina. Inteb podniósł go i przyjrzał się z podziwem jesiennemu liściowi. Drzwi pisnęły znowu i Ason przyłączył się do towarzystwa przy ognisku. Wciąż pachniał rozgrzanym ciałem Naikeri. Inteb odwrócił się, by nie czuć tej woni i sięgnął po szczapę z ogniska.

- Wspaniale by się dzisiaj żeglowało - powiedział Ason, zerkając na niebo. - Gładkie morze, łatwo wiosłować.

Ostatnio niemal codziennie rozmyślali o statku i Ason przemawiał w imieniu wszystkich.

- Mamy już dość cyny - stwierdził Aias, spoglądając na przybudówkę, gdzie składowali srebrzyste dyski. Było ich ponad czterysta osiemdziesiąt, dowód wytężonej pracy przez całe niemal lato.

- Najpewniej jest już w drodze - powiedział Inteb, by nieco podtrzymać się na duchu.

- Wiesz więcej niż ja - zauważył Ason. - Byłeś przy tym, gdy mój ojciec dostał wiadomość. Pamiętam, jak nieustannie powtarzał, że nade wszystko Mykeny potrzebują cyny. Możemy być pewni, że Perimedes wysłał statek, gdy tylko stało się to możliwe. Ale pogoda potrafi przeciągnąć podróż, sami widzieliśmy, jak groźny jest wzburzony ocean. Przyplynie, a my będziemy już czekać z cyną. Przywiezie specjalistów, którzy zajmą się kopalnią, wojowników do ochrony. My spełniliśmy naszą misję.

- I będziemy mogli wrócić na tym statku - powiedział Inteb głosem mimowolnie rozmarzonym. Ason zawahał się nieco, nim odpowiedział.

- Oczywiście. A po co mielibyśmy zostawać w tej zimnicy na krańcu świata? Wino czeka na nas w Argolidzie. I Atlantydzi czekają, by ich pozabijać. I do jednego, i do drugiego po równi tęsknię. Nic tu po mnie.

Obejrzał się na Naikeri, która wyłoniła się z chaty niosąc tacę na krótkich nóżkach. Taca pełna była mis z rozwodnionym piwem i pasków zimnej dziczyzny upieczonej jeszcze wieczorem. Dziewczyna postawiła tacę obok Asona, który sięgnął pierwszy. Aias pochylił się i wziął miskę, siorbnął głośno i odetchnął szczęśliwy. Inteb wybrał sobie kawałek mięsa i zaczął żuć go powoli.

- Nadchodzi pora Samhain - powiedziała Naikeri.

- Nie mam pojęcia, co to jest - wymamrotał Ason z pełnymi ustami.



- Mówiłam ci. Taka pora roku, kiedy Yerni spędzają bydło z pastwisk do grodziska. Potem część bydła zabijają. Moi ludzie idą wtedy na targ, inni kupcy przybywają nawet z bardzo daleka. Czas bardzo ważny dla wszystkich.

- No to idź i zobacz, jak się szlachtuje krowy. Mnie to nie ciekawi.

- To coś więcej. Właśnie wtedy obiera się nowego wodza. Ar Apa zostanie nowym wodzem-bykiem.

Ason żuł w milczeniu twarde i słodkawe mięso. Ar Apa. Oczekuje najpewniej, że Ason zjawi się, być może nie zostanie nawet wodzem, jeśli Mykeńczyka zabraknie. Ci barbarzyńcy nie wiedzą, co to królewska krew i dziedzictwo tronu. Nie znają prawa. Żeby zostać wodzem, wystarczy być silnym w barach i w gębie. Ale co to za wybór! Jednak najlepiej, żeby to Ar Apa został nowym bykiem, zawsze to ktoś znany. Ar Apa bał się Asona, widział go w walce. Jeśli on będzie władać grodziskiem, nie zagrzeje tam miejsca żaden nowy Mroczny Mąż, nie namówi nikogo, by napadał na kopalnię. Ason walczył w dość wielu bitwach, by pamiętać o zabezpieczeniu skrzydeł i tyłów. Dun i pastwiska teuty Ar Apy leżały pomiędzy kopalnią a terenami pozostałych szczepów Yernich i tędy musiałby maszerować każdy pragnący najechać dobra Mykeńczyków. Ar Apa będzie najlepszy. Pozwoli spokojnie wydobywać cynę, nawet po wyjeździe Asona.

- Pojadę na zgromadzenie z okazji święta Sam-hain - powiedział głośno.

- Nie możesz jechać sam - odparła Naikeri.

- Co ja robię, to nie twoja sprawa, kobieto Albich. Nie zabiorę cię ze sobą, tego możesz być pewna.

Spojrzała na niego hardo, nijak nie speszona gniewnym tonem Asona.

- Ja i tak pójdę tam z moimi, jak co roku. Ale ty jesteś wielkim wodzem i wszyscy tam słyszeli już o tobie. Wielki wódz nie przybywa na takie święto samotnie.

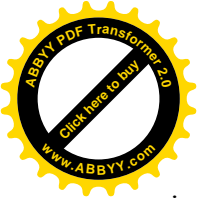
W jej słowach było wiele prawdy, ale młodzieniec nie miał ochoty przyznawać głośno racji dziewczynie.

- Może wybrałbyś się ze mną, Intebie? Zapowiada się interesująco.

- Wątpię, czy dzień spędzony w taniej jatce może być interesujący, ale dobrze. Pójdę z tobą. Król winien otaczać się świtą, ale liczniejszą niż jeden poddany. Aias mógłby nieść twój miecz jako giermek, a ja wystąpię w roli seneszala.

- A kto przypilnuje chłopców, jeśli Aias też pójdzie?

- Nikt, po prostu będą pracować mniej wydajnie. Musimy iść wszyscy, musimy pokazać Yernim, że długie ręce Myken sięgają i do ich grodziska. Lepiej żeby o tym nie zapomnieli. Pójdziemy w zbrojach i z orężem, bo i kto z nich domyśli się, że ja akurat czmycham zwykle na



pierwszy odgłos bitwy? Albo że ten pokryty bliznami ciołek rzuca od razu broń gdzie popadnie i wali wrogów pięścią w pysk? To co, idziemy wszyscy?

- Chyba tak. Chociaż ktoś powinien przypilnować kopalni.

- Po co? Jeśli chłopcy uciekną, pójdziemy do ich rodziców i ściągniemy smarkaczy z powrotem. Cyna sama w sobie do niczego nie służy, może tu sobie leżeć tak samo bezpiecznie jak sterta kamieni. Nikt na tej wyspie nie ma pojęcia, do czego jest nam potrzebna. Widziałem, jak paru nadgryzało dyski i spoglądało potem ze zdumieniem na ślady własnych zębów. Za miękka na broń, nie dość lśniąca jak na biżuterię. Skąd mają wiedzieć, że używamy cyny do produkcji brązu, który tak sobie cenia, zresztą, nawet gdyby wiedzieli, sporządzenie stopu dwóch metali to dla nich czarna magia...

Asonowi przyszło nagle coś do głowy i przerwał Intebowi machnięciem ręki.

- A jeśli statek przyplynie, gdy nas akurat nie będzie? Musimy zostać.

- Moi ludzie pilnują wybrzeża - powiedziała Naikeri. - Zauważą statek i powiedzą załodze, gdzie jesteście. I zabiorą ich do grodziska, gdybyś długo nie wracał.

- Zatem idziemy? - spytał Aias.

- Musimy - odparł Ason.

- Zarzynanie krów i koronacja - mruknął Inteb. - Krew i pijaństwo. Walki i żarcie. Mocna rzecz.

- Brzmi nieźle - uśmiechnął się Aias.



2.

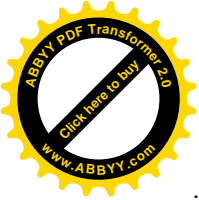
Wyruszyli wczesnym rankiem. Ason z mieczem i w świeżo odmalowanej skórzanej zbroi, z okrągłą tarczą z wypolerowanymi brązowymi ćwiekami na lewym ramieniu. Sztylet, zwyczajem Yernich, zawiesił na szyi. Odzyskany mykeński hełm został gładko wyklepany, nie było tylko czym zastąpić brakującego końskiego włosia. W tym kraju konie występowały jedynie pod postacią dzikich kucyków, na które polowano tak, jak na inną zwierzynę, Ason zabił jednak włócznią dzika, bestię o wiele groźniejszą niż dziki spotykane w kamienistej Argolidzie. Starczyło włosia, by ozdobić nim hełm. Nie był to żaden wstyd, mieszkańcy wyspy cenili dziki równie wysoko, jak Mykeńczycy dumne konie. Wojownicy Yernich bielili i usztywniali wasy, by upodobnić je do kłów odyńca. Z tego samego powodu stroszyli czupryny. W tej okolicy noszenie szczeciniastego hełmu mogło tylko wzbudzać szacunek.

Aias też prezentował się niezgorzej w skórzanym pancerzu i brązowym hełmie, tym samym, który Ason nałożył do walki z Der Dakiem. Jego zbroja nie była, rzecz jasna, równie efektownie pomalowana, jednakże solidny topór z brązu robił wrażenie. Była to broń pochodząca z majątku zabitego wodza i w zasadzie miała służyć do ścinania drzew, jednak Aias uznał, że człowieka też można tym powalić.

Inteb, normalnie ostatni do bitki, wybrał prosty strój i drewnianą tarczę obitą grubo skórą, jednak uzupełnił to kamiennym toporem, nie ustępującym w niczym broni Yernich. Na ramieniu niósł nieduży węzełek z prowiantem, Aias zaś dźwigał większy tobołek z darami dla nowego wodza.

Wieczorem poczuli się na tyle zmęczeni, że przekąsili coś tylko i zaraz zawinęli się w płaszcze, by przysnąć obok ognia. Inteb obudził się tylko raz, gdy Aias wstał i podsycił płomienie. Było tak zimno, że Egipcjaninowi napłynęły łzy do oczu. Nad nim ciemniała misa nieba z jasnymi punkcikami gwiazd widocznymi dobrze nawet tuż nad samym horyzontem. Jasny punkt przeciął czarne tło i zniknął bezgłośnie za wzgórzami. Niczym zabłąkany duch gdzieś w oddali zahukała sowa. Inteb zadrżał i przysunął się bliżej Asona, który oddychał miarowo, emanując wręcz spokojem i siłą. Gdyby nie ten młodzieniec, Inteb byłby wciąż doradcą faraona i żyłby spokojnie na dworze w Tebach, miast błąkać się po tej mroźnej i zapomnianej przez bogów krainie. Co za szaleństwo go tu przywiodło? Egipcjanin uśmiechnął się tylko i rychło zasnął.

Po południu czwartego dnia ujrzeli wyrastające na równinie jasne mury grodziska i kredowy kopiec obok. Dwakroć minęli ostatnio stada bydła gnane ku siedzibie plemienia, jednak budząc niepokój i krów, i pastuszków, którzy woleli schodzić zbrojnym z drogi. Strzegący



zwierzyny wojownicy Yernich pokrzykiwali coś i na wszelki wypadek sprawdzali, czy mają topory pod ręką. W pobliżu grodziska widać było jeszcze więcej bydła; stłoczone w prowizorycznych zagrodach wzbijało całe tumany kurzu.

Zaslana krowimi odchodami ścieżka biegła między niskimi kurhanami, które pierścieniem otaczały grodzisko. Grzebano tu wojowników z całego szczepu, by mogli wrócić w ten sposób do Matki Ziemi i z nadzieją, że Pani Kurhanów zaprowadzi ich do Krainy Obiecanej. Cmentarzysko było równocześnie miejscem dorocznych zebrań, na których podejmowano wszelkie ważne decyzje dotyczące, na przykład, zbójceckich wypraw po bydło czy inicjacji młodych wojowników. Tutaj też wybierano nowego wodza.

Minawszy ostatnią zagrodę ujrzeli wielką ciżbę tłoczącą się pod murami grodziska. Widać już się zaczęło. W powietrzu rozległ się pisk, od którego zęby drętwiały. Przez ten dźwięk przebijał podniesiony głos jakiegoś mężczyzny.

Gdy podeszli bliżej, poznali, że to pogrzeb. Ciało spoczywało przed domem śmierci, który w gruncie rzeczy był tylko pozbawionym ścian szałasem akurat dość dużym, by pomieścić jedno ciało. Kobiety i chłopcy od wielu dni spulchniali ziemię wkoło, jelenimi rogami rozbijając białe bryły na grudki. Ich praca dobiegła końca i teraz wojownicy, mocno już pijani, słuchali wysokiego mężczyzny w odświętnej białej tunice, który wyśpiewywał coś wysokim i czystym głosem. Miał siwe, długie do ramion włosy i bujną brodę, bez wąsów jednak; te przynależały jedynie wojownikom. U jego stóp leżało bezgłowe ciało, sam czerep został starannie wciśnięty pod prawą pachę nieboszczyka, którego namaszczone oliwą i przykryto skórą dzika. Obok siedział ze skrzyżowanymi nogami ktoś inny i dmuchał z poświęceniem w drewniany ustnik podłączony do skórzanego wora. Poczzerwieniał aż cały na twarzy pilnując, by miech nie oklapł. Niemniej powietrze, miał służyć czemuś użytecznemu, jak przy wytopie cyny, uciekało przez pustą kość z wywierconym w niej szeregiem otworków. Stąd właśnie brał się ów przenikliwy pisk, który opadał i narastał, zależnie od tego, które otwory spocony dmuchacz przykrywał palcami. Był to akompaniament do przemowy gościa w bieli.

- Wiódł życie wojownika, dobre życie, które nie ma końca. Zginął w walce, zginął z krzykiem, odszedł walcząc. Ginać nie poczuł śmierci, a wszedł jeno na szlak wiodący do Moi Mell. Teraz my odprawiamy go do Moi Mell i Pani Kurhanów dopilnuje, by tam się znalazł. Wyrusza już do krainy wiecznej młodości, gdzie nie ma bólu ani śmierci, gdzie nie ma smutku, gdzie nie ma początku ani końca. Gdzie nie ma zawiści, nie ma zazdrości, nie ma dumy ani strachu. Tam obfitość wszystkiego panuje, stada się pasą, gdzie sięgnąć okiem. Są tam świny tak wielkie, że czterdziestu mężów ich nie dźwignie, a on dostanie pierwszy kęs. Dostanie dzban, który nigdy nie będzie pusty. Oto gdzie odchodzi, gdzie go wyprawiamy.



Kościanna fujarka zapiszczała jeszcze głośniej i wojownicy podnieśli wrzask i wrzeszczeli tak, aż ochrypli. Tymczasem ciało zostało przeniesione do domu śmierci i kiedy tylko kłody drewna szczelnie otoczyły szłaś, mężowie wzięli jelenie łopaty i zaczęli zasypywać go ziemią. Prześcigali się przy tym, który narzuci więcej białej kruszonki. Kurhan rósł szybko i rychło skrył cały szłaś, a wojownicy przystanęli zdyszani od wysiłku i pijaństwa. Ason patrzył na wszystko zafascynowany i oderwał oczy od kurhanu dopiero wtedy, gdy obok pojawił się Ar Apa.

- Przybyłeś - powiedział wojownik Yernich z wyraźną ulgą. Widać wybór nowego wodza to nie przelewki i obecność Asona mogła zaważyć na ostatecznym wyniku.

- Kogo chowają? - spytał młodzieniec, wciąż jeszcze zainteresowany ceremonią.

- Der Daka. Wodza zawsze chowa się podczas święta Samhain.

Ason spojrział ze zdumieniem na gotowy już kopiec z wypchanym bykiem na szczycie.

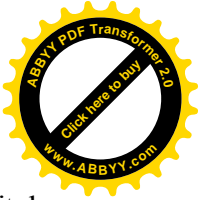
- Przecież zabiłem go latem. Jakim cudem nie rozpadł się do tej pory?

- Nasi druidzi potrafią niejedno. Wiedzą, co było i co będzie, leczą każdą chorobę. Codziennie malowali ciało olejem cedrowym, aby było tak świeże, jak za życia. Musisz przyłączyć się do nas i wypić.

Ason wolałby zostać tu jeszcze i posłuchać, ale Aias cmoknął znacząco, Inteb zaś odwrócił się plecami do całego widowiska. Traktowanie ciała olejem cedrowym nie umywało się do technik balsamowania zwłok, jakie stosowano w Egipcie i jakie nieobce były Intebowi. Wiedział, że po zabiegach kapłanów ciało zmarłego może przetrwać wieki. Minęli długi szereg odartych ze skóry tusz baranich i weszli do grodziska.

Było tu głośno i kolorowo, krzyki ludzi mieszały się z protestami zwierząt. Zamieszanie, tumult. Wojownicy przepychali się przez tłum z tarczami i toporami, z dumą muskając swe białe, sztywne wąsy. Towarzyszyły im kobiety, a nawet dzieci, najmniejsze z nich było całkiem nagie, a wszystkie brudne. Kręcił się ten drobiazg pod nogami tocząc walce z wygładzonego kamienia. Pojawili się też przybysze spoza plemienia. Śniadzi Albi z towarami na handel, Donbaksho z nosidlami obwieszonymi pulchnymi zajacami i dzikim ptactwem. Rozglądali się wkoło, szeroko otwierając oczy. Byli też jasnowłosi mężowie, których Ason nigdy dotąd nie widział. Bez wątpienia wojownicy: w brązowych hełmach z krowimi rogami, z długimi sztyletami, które objęły im nogi. Złote były bransolety na ich nadgarstkach, złote zapinki ich płaszczy, jednak na plecach dźwigali kosze, zupełnie jak niewolnicy. Ich kobiety niosły jeszcze większe tobołki. Postawili wszystko, ale żadnego z pakunków nie otworzyli. Ason zaciekawiał się, jakie towary oferują owi dziwni goście. Potem wciśnięto mu w dłoń pękaty puchar i spragniony młodzieniec zajął się piwem.

- Patrz tylko! - zawołał uradowany Aias. - Tego jeszcze nie widziałem.



Osobliwie ubrany mężczyzna wskoczył na chwiejny pomost spleciony z gałązek i witek wierzbowych. Kobiety, które nie ukończyły jeszcze roboty przy wiklinie, pisnęły nań, ale on ominął ich palce i utorował sobie drogę na sam środek. Pomost ugiął się i zaskrzypiał. Skórzana spódnica sięgała cudakowi niemal do kostek, krótka peleryna kończyła się zaś tuż pod pachami. Zupełnie, jakby chciał strojem zaszydzić z wojowników Yernich, którzy nosili długie peleryny i spódniczki przed kolana. Dłonie i twarz wysmolone miał węglowym pyłem, pył wtarł też we włosy, które sterczały zebrane w szpic. Upadł i przekręcił się na plecy, niczym wielki żuk o czarnych nogach, kopiąc bezradnie powietrze, aż wszyscy wkoło buchnęli śmiechem.

- Kuglarz, kuglarz! - krzyknął tłum i ludzie zbiegli się zewsząd, by nie stracić okazji do zabawy.

Kuglarz stanął lekko na nogi, złapał się za stopę i zawył, udając wielki ból. Zaraz też sięgnął językiem i oblizał sobie podbicie niczym pies próbujący wyciągnąć cierń z łapy. Jakaś kobieta chciała go złapać, ale on wykręcił się, stanął na czworakach, pisnął, zadyszał i zaszczekał na nią, budząc powszechną wesołość i skłaniając kobietę do wycofania się za cudze plecy. Potem jeszcze bardzo realistycznie udawał byka, krowę, cielę szukające matki i wojownika szukającego cielęcia. To ostatnie wywołało najgłośniejszy aplauz, śmiali się nawet zbrojni mężczyźni, gotowi widzieć w parodiowanych postaciach wszystko, tylko nie samych siebie. Gdy wrzawa nieco opadła, kuglarz wyciągnął spod obszernej spódnicy kilka lśniących, czerwonych i żółtych kul z drewna i zaczął podrzucać je nad głowę, aż wszystkie znalazły się w powietrzu. Ledwo ciskał jedną, zaraz musiał łapać następną, aż widzom zamąciło się w głowach i patrzyli tylko z podziwem. Ason i Aias darli się na równi z innymi i tylko Inteb, który nie takie sztuki oglądał na dworze Tutmozisa, popijał w milczeniu piwo.

Jednak i kuglarz znudził ich z czasem, a wówczas Ar Apa poprowadził gości do palenisk, gdzie pieczone tusze owiec i wołów roztaczały już smakowite zapachy. Kobiety odkrawały paski i kęsy mięsa zostały porwane natychmiast przez liczne chciwie wyciągnięte dłonie. Ar Apa odepchnął ciżbę i nakazał ukroić dla Asona i jego towarzyszy najlepsze kawałki z szynki. Potem sięgnął do swojej torby i wydobyl garść białych kryształków wymieszanych z brudem. Posypał wszystkie porcje.

- Sól - powiedział. Ason poczuł, jak ślina napływa mu do ust. Widocznie niektórzy przybysze przywieźli sól na handel, będzie musiał kupić trochę przed powrotem do kopalni. Posolone mięso wywołało znów pragnienie, sięgnął zatem po piwo. Ason zaczynał rozumieć, czemu Samhain uznawano tu za najważniejsze wydarzenie w roku.



Ich uwagę przyciągnęło wściekle szczekanie i warkot. Wzięli kufle w dłonie i podążyli za innymi na drugą stronę grodziska, gdzie musieli przepchnąć się przez tłum, aby stanąć w pierwszym rzędzie.

- Czy to psy? - spytał Inteb kładąc na wszelki wypadek dłoń na stylisku topora.

Były to bestie zajadłe i dzikie, porośnięte ciemnymi kudłami i wielkie jak dziki. Ason słyszał o nich, ale nigdy żadnej nie widział. Wilczury Yernich, używane do polowań na wilki i dziki, tym razem miały wziąć udział w psich wyścigach, jednak najwyraźniej dwa z nich miały coś do siebie. Wyrwały się tak mocno, że właściciele musieli z całych sił przytrzymać je za obroże, co wcale nie było łatwym zadaniem. W otwartych paszczach błyskały jasnoczerwone dziąsła i białe kły, z pysków ściekała ślina. Obaj właściciele obrzucali się przekleństwami, proponując w przerwach zakłady, aż ostatecznie zdołali się dogadać. Widzowie odsunęli się i bestie zostały uwolnione. Z miejsca skoczyły sobie do gardeł.

Najpierw splątały się w jeden kłęb, potem odskoczyły, warcząc rozgłośnie. Znow się zwarty i kotłowały się, aż jeden wilczur zdołał rozorać łapę drugiemu. Krew spłynęła na ziemię i walka skończyłaby się od razu śmiercią rannego psa, gdyby właściciele nie zawołali na pomoc innych i nie rozdzielili zwierząt. Udało się to uczynić za pomocą stylisk toporów i drzewców włóczni. Płacono zakłady, a w tle rozbrzmiewało skamlenie, gdy właściciel pogryzionej bestii okładał bezlitośnie swego psa, karząc go za przegraną.

Wkoło działo się zbyt wiele, aby wszystko zobaczyć. Kupcy Albich przepłynęli morze, przywożąc ze sobą wyroby ze złota i brązu. Wojownicy Yernich tłoczyli się wkoło, gotowi dać wszystko za najmniejszą choćby ozdobę. Rogaci mężowie, których zwano tu Geramani, a którzy pochodzili zza morza na wschodzie, przywieźli o wiele więcej niż tylko drogocenną sól. Kawałki bursztynu, niektóre z zastygłymi w środku owadami, które świetnie było widać gdy spojrzano się na kamień pod słońce, a także całkiem dobrze odpracowane w brązie sztylety. Ason długo obracał w dłoniach jeden z nich, wszystko pod czujnym okiem właściciela, i żałował, że nie ma niczego, co mógłby wymienić na broń. Jednakże okazało się, że mają w sakwach także zabrane jeszcze z Egiptu paciorki. Inteb roześmiał się, gdy Ason wskazał na te ozdoby.

- Daleko nas zanosło - powiedział, kładąc jeden na dłoni i przyglądając mu się z ukosa. Potem oddał go i nie mówiąc już nic więcej, oddalił się z Asonem od zamorskiego kupca. - Poślednia robota, kiepsko wyszlifowane. W Egipcie byś ich nie sprzedał, ale w tej części świata są aż za dobre.

Było też co jeść: świeże jabłka i śliwki, słodkie ciasteczka z plastrami miodu. Kiełbaski miejscowej roboty, których nie mieli jeszcze okazji próbować, równie dobre jak wędliny wytwarzane w Argolidzie, z dużą ilością tłuszczu i mięsa, słone przy tym i zalatujące ziołami,



wędzone nad ogniem aż do stwardnienia. Bardzo pożywne. I jeszcze miód pitny o orzechami, sfermentowany sok z owoców wrzосу i piwo. Całe morze piwa. Zanim słońce dotknęło horyzontu, żołądki całej trójki pełne były ponad miarę. Wszyscy też napatrzyli się do syta dziwów i przygłuchli nieco od hałasu.

- Patrzcie! - powiedział Aias, wskazując na tłum zgromadzony pod murem grodziska i uśmiechnął się nagle czymś uradowany.

Na wysypanej czystym piaskiem ziemi zmagalo się dwóch mężczyzn. Obaj byli spoceni i próbowali powalić się nawzajem. Siłowali się, próbowali różnych chwytów, czasem puszczając w ruch pięści. Oderwali się właśnie i obaj zamachali rękami, jednak większość ciosów chybiała. Aias aż chrząknął z ukontentowania. W końcu jeden z mężczyzn, a byli to wysocy i masywni Geramani, zdołał chwycić drugiego za nogi i uderzając go równocześnie pięścią, powalił konkurenta na piasek. Połowa widzów ucieszyła się głośno, reszta zamamrotała coś niewyraźnie i wzięła się do płacenia przegranych zakładów. Aias podszedł do gromadki i odezwał się głośno w te słowa:

- Beki tłuszczu! Walczą jak baby, co trzęsą cyckami! Położę ich obu. - Jego słowa przybrały praktyczną formę, kiedy trafił jednego w brzuch, a drugiego prosto w twarz. Ci zakipieli złością i rzuciliby się na niego od razu, gdyby widzowie ich nie powstrzymali.

- Wzięło was, co? Chcecie mnie zabić? - krzyknął Aias. - No to dalej, obaj naraz. Załatwię ich, jednego po drugim. Kto się zakłada?

Chętnych było całe mnóstwo, a Inteb z Asonem przyjmowali każdy zakład. Gdyby przegrali, czekałaby ich śmierć niechybna, postawili bowiem nie tylko cały swój majątek, ale także szereg rzeczy, których nie posiadali. Skłonni byli wszakże zaufać przysadzistemu i ciemnemu pięściarzowi, chociaż był o dobrą głowę niższy od każdego z przeciwników.

Podskakiwał teraz energicznie przed nimi i tym bardziej podjudzał, czekając aż zakłady zostaną przyklepane.

Na sygnał rozpoczęcia walki obaj mężowie rzucili się z wyciągniętymi jak szpony palcami na Aiasa, ale ten zaczął przed nimi uciekać. Publiczność jęknęła rozczarowana i wzięła się do szydzenia z pięściarza, który truchcikiem obiegał wciąż arenę, umykając przed zawziętymi usiłującymi go złapać olbrzymami. Cisza jednak zapadła, gdy Aias zatrzymał się nagle i jego pięść mignęła niczym wąż, trafiając pierwszego ze ścigających w żołądek. Tamtemu tchu zaraz zabrakło, zgiął się powoli we dwoje i padł nieruchomo na ziemię.

- Jeden ma już dosyć - zawołał Aias. - Teraz twoja kolej.

Ten drugi nabrał ostrożności. Ruszył powoli na ugiętych nogach próbując objąć boksera w pół, nim ten puści swe zabójcze pięści w ruch. Cios w bok głowy zakołysał olbrzymem, kolejny, w żebra, omal go nie powalił. Wszelako dosięgnął Aiasa i przyciągnął go do siebie. Walka



mogłaby się już zakończyć, ponieważ silniejszy z dwóch Geramani zdołał zablokować również dłoń boksera. Przeginał go powoli do ziemi, ale kiedy upadek był już bliski, Aias wyzwolił jedną rękę.

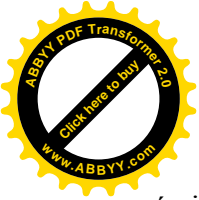
Więcej nie było mu trzeba. Uśmiechnął się krzywo do widzów, zacisnął pięść i uderzył silnie przeciwnika w plecy tuż nad nerkami. Geramani zadrzał i zachwiał się. Zanim doszedł do siebie, pięść wylądowała znów w tym samym miejscu. Mężczyzna jęknął głośno i rozpostarł ręce. Aias odstąpił o krok i ulżył cierpieniom biedaka, dając mu tak mocno w łeb, że Geramani stracił przytomność, zanim jeszcze padł na piasek.

- Teraz wiedzą już, na czym polega atlantydzki boks - powiedział Aias i wrócił do kompanów, aby pomóc im odbierać wygrane. Ci i owi mamrotali coś na temat niezwykłego sposobu walki i podawali zwycięstwo w wątpliwość, ale widok pięści boksera szybko rozproszył ich niepewność. Profity były znaczne i dzień należało uznać za udany.

Święto Samhain nie zakończyło się wraz z zachodem słońca. Rozpalono większe ogniska, aż wewnątrz grodziska zrobiło się całkiem jasno. Z mrocznych kątów dobiegały stłumione piski i śmiech kobiet, tak obcych jak i miejscowych, które same siebie przywiozły na sprzedaż i zarabiały teraz, korzystając z darowanego im przez naturę wyposażenia. Nie chciały wiele, zadowolają się skromnymi podarkami. Nadal można było w blasku pochodni podziwiać wystawy pełne złota i biżuterii, kamiennych toporów i pięknych noży z krzemienia, brązowych sztyletów i bursztynowych dysków. Była też dziczyzna, drób, sól i słodkie owoce. Każdy mógł znaleźć coś dla siebie.

Jednak z wolna zaczęto szykować się już do najważniejszego. W największym zagłębieniu pośrodku grodziska rozpalono ogień, a kobiety zamiotły ziemię wokół usuwając wszystkie zwierzęce odchody i wysypały teren dębowymi i laurowymi liśćmi. Z dwóch dziur po obu stronach paleniska usunięto całoroczne pokłady śmieci i wstawiono tam grube pale, każdy wysokości rosłego mężczyzny. Zgodnie z instrukcjami druida przycięto pale częściowo na szczytach, by osadzić na nich trzecią, poziomą kłodę. Potem druid tak długo omywał konstrukcję rozpuszczoną w wodzie kredą, aż całość była biała niczym kość. Wojownicy Yernich zaczęli gromadzić się wkoło, wszyscy w najlepszych strojach (kupionych od Albich), wszyscy pod bronią. Zanim jeszcze ludzie zdążyli się zgromadzić, jeden nie wytrzymał, zerwał się na nogi i gromkim głosem obwieścił światu o swoich talentach wojownika i nieustraszoneści. Ceremonia wyboru nowego wodza-byka mogła się rozpocząć.

Wkoło buchającego coraz wyżej ognia zrobiło się tłoczno. Wojownicy ociekali potem, zataczali się skutkiem upicia, ale wrzeszczeli wciąż i natrętnie pokazywali wszystkim swe złote bransolety, wisiory i pierścienie. Zgiełk panował okrutny, czasem słychać było krzyki kolejnego



śmiałka, ale nikt się tym nie przejmował. Liczył się sam fakt przemowy przed zgromadzeniem, treść miała znaczenie drugorzędne, ostatecznie, ile można wymyślić nowych przechwałek i kłamstw. Wojownicy obrzucali się wyzwiskami, uderzali toporami o tarcze, nadwierzali płuca. Ciągnęło się to bez przerwy przez całą noc, aż niektórzy zaczęli przysypiać, po czym budzili się i znów zaczęli gardłować, sięgając przy okazji po piwo. Ason przepchnął się do wewnętrznego kręgu i też wykrzyczał swoje, obrażając kogo tylko się dało i pomnażając swe dokonania kilkakrotnie. Nikt, rzecz jasna, nie pomyślał nawet, aby zakwestionować choć słowo. Inteb przyglądał się ceremonii z dala i popijał miód, który nader mu zasmakował. W końcu przysnął. Ucieszony wypchaną sakiewką i nieco sponiewierany Aias starał się odnieść sukces na innym polu. Przez większość dnia podziwiał wysokie, pełnobiustne i jasnowłose kobiety Germanich, aż w końcu zdołał podarunkami zwabić jedną z dala od ognia. Bez wątplenia dziewczyna miała potem co wspominać w lasach na północy.

Przed świtem większość wojowników zległa na ziemi lub przynajmniej przysypiała i tę właśnie chwilę wybrał Ar Apa, by zacząć krążyć przed nimi i zachwalać chełpliwym głosem siłę swego ramienia. Oszczędzał dotąd siły i pozwalał sobie jedynie na krótkie mowy, tak zatem obecnie mógł skakać, krzyżeć, a nawet przekonywać za pomocą tarczy jakiegoś pijanicę, by nie usiłował gadać niczego, w czasie gdy Ar Apa przemawia. Nie był ani trochę lepszym mówcą niż pozostali, ale miał jeszcze dość sił, by wymusić posłuch i wzbudzić szacunek. Ten i ów kiwał z podziwem głową i zasypiał, aż kiedy słońce rozproszyło poranne mgły, Ar Apa pełen był entuzjazmu i wiary we własne siły. Przystanął zadyszany, nabrał powietrza i wrzasnął tak, że wszystkich pobudził.

- Ar Apa abu! Czas na ogniste przejście i oczyszczenie bydła!

Wojownicy poruszyli się, odskrzyknęli radośnie, dopili resztki piwa i ruszyli gromadnie pod zagrody dla zwierząt, by sobie ulżyć. W powietrzu rozniósł się przykry zapach uryny.

Gdy Ason się obudził, Inteb i Aias byli już obok. Razem z innymi wyszli przed grodzisko. Kobiety z dziećmi ciągnęły tu już dwie wielkie plecionki, które przygotowano poprzedniego dnia.

Leżąc na bokach przypominały wielkie kosze dwa razy wyższe od człowieka, dość obszerne, o nieregularnych kształtach. Rzucono je po obu stronach głównego wejścia do grodziska, tymczasem z jakiegoś zamknięcia wewnątrz murów przyprawdzono pięciu mężczyzn. Musieli chyba mieć spętane nogi, potykali bowiem się i padali co chwila, ale ostrze włóczni zmuszało ich do dalszych wysiłków. Dźwigali się na nogi, co też nie było łatwe, jako że ręce związane im na plecach. Bez wątplenia byli to wojownicy Yernich, z pobielonymi wąsami i włosami, chociaż Ason nie widział przedtem żadnego z nich. Krzyknął na najbliższego wojownika pytając, co to za więźniowie, ale żeby usłyszeć odpowiedź, musiał obrócić mężczyznę ku sobie.



- Oni? Złodzieje, tchórzliwi złodzieje. Przyszli w nocy, żeby ukraść nam bydło, ale dojrzeliliśmy ich. Są z Dun Finmog, ale już tam nie wrócą! - roześmiał się i tak jak inni cisnął w mężczyzn krowim plackiem.

Całą piątkę wyprowadzono za mury, gdzie otoczyła ich liczna straż. Tam rozcięto im więzy i wepchnięto trzech do jednej, dwóch do drugiej plecionki. Następnie wojownicy wparli ramiona w wiklinę i ustawili obie konstrukcje prosto, wylotami na ziemi. Teraz było widać, co kosze mają sobą przedstawiać.

Były to łby byków. Nozdrza pomalowano ochrą, oczy na czarno z białymi środkami. Długie, naturalnie wygięte gałęzie służyły za rogi. Odwzorowanie było prymitywne, ale rozpoznawalne. Podparto je drągami, by nic nie mogło ich przewrócić i otoczono szczapami drewna. Wszystkim dyrygował ten sam druid, który poprzedniego dnia prowadził ceremonię pogrzebową. Pomagało mu dwóch młodszych mężczyzn w takich samych, długich szatach. Więźniowie wczepili palce w wiklinę i z przerażeniem spojrzeli na druida. Tłum ucichł.

- Jak węże ciche podpełzliście tu na brzuchach, jak gronostaje podkradliście się pod zagrody. Jak duchy nocy przybyliście z Dun Finmog i wiecie dobrze, co was przywiodło. Bydło z Dun Finmog pada, a wy dzwonicie ze strachu zębami. Wiecie, że najlepsze bydło jest tutaj, tu są najbardziej tłuste krowy, ale nasi wojownicy czuwają! - Podniósł się krzyk i łomot, posypały się wyzwiska. Druid jednak nie przerwał.

- Stu i stu was już przyszło i stu, i stu zostało zabitych. Wasze głowy piętrzą się wyżej niż grodzisko. Ale pięciu wzięto żywcem, bo trzeba kogoś pojmać, bo nadszedł czas Samhain i pora oczyszczenia bydła. Oto czemu jeszcze żyjecie.

Znów podniósł się zgiełk, ale druid uciszył wszystkich. Wstał, uniósł jedną nogę.

- Jedna stopa - zawołał i jeszcze wolniej uniósł rękę.

- Jedna dłoń - powiedział jeszcze głośniejszym głosem i wskazał na uwięzionych.

- Jedno oko! - wrzasnął, pochylił głowę i przyknuął lewą powiekę. - Gińcie, płóćcie, gińcie, gińcie, gińcie!

Druid zakończył swoje wystąpienie i zaczęła się rozrywkowa część imprezy. Wojownicy przynieśli z ogniska płonące głownie i cisnęli je w suche drewno ułożone wokół wiklinowych łbów. Mężczyźni wewnątrz zakaszleli od dymu, potem podnieśli wrzask. Płomienie lizały im stopy. Wspięli się jak najwyżej, usiłując uciec przed gorącym, a widzowie aż popłakali się ze śmiechu, obserwując ich wysiłki. Dzieci i kobiety utworzyły tymczasem szpaler łączący wejście do grodziska z najbliższą zagrodą dla bydła. Otwarto furtkę i pognano ryczące ze strachu krowy drogą między dwoma płonącymi konstrukcjami. Ludzi wewnątrz strawił ogień i już nie krzyczeli. Do



czasu gdy ostatnie sztuki była pokonały oczyszczające przejście i zniknęły w grodzisku, ogień prawie przygasł i zabawa dobiegła końca.

Wojownicy zaczęli wracać do kręgu wokół pełnego popiołu paleniska rady. Dłubali przy tym ostentacyjnie w zębach, wypluwając włókienka mięsa. Starannie omijali jednak miseczki z mlekiem, które kobiety ustawiły przy wejściu do grodziska. Mleko to przeznaczone było dla pożywienia dusz zmarłych, które wraz z nastaniem jesieni nie chciały marznąć na cmentarzu, lecz wrócić z bydłem na zimę do domu. Wojownicy zażądali znów piwa. Ar Apa zjawił się tu przed wszystkimi i stał teraz przed pobielonym łukiem. Nie wybrał tego miejsca przypadkiem. Jeśli tylko jakiś inny wojownik podchodził za blisko, Ar Apa unosił groźnie topór. Tamten wahał się i uznawał ostatecznie za stosowne usiąść wraz z innymi. Jednak gdy Ar Apa dojrzał Asona, zamachał na niego, przyzywając go do siebie.

- Czy usiądziesz obok mnie? - spytał.

- A co to będzie oznaczać?

- Ze skoro siedzisz, to nie chcesz zostać wodzem-bykiem, a tylko mnie popierasz.

Ason zastanowił się przez chwilę.

- Jeśli poprę cię teraz i zostaniesz wodzem, czy nie zapomnisz tego?

- Nigdy! - Ar Apa spojrział ognście na Mykeńczyka i uderzył toporem o tarczę. - Mam najdłuższą pamięć, mam najmocniejsze ramiona. Nie zapomnę!

Nikt nie sprzeciwił się wyborowi Ar Apy, a w każdym razie nikt nie ośmielił się głośno zaprotestować przeciwko sojuszowi topora i miecza. Wieść o rozpoczęciu ceremonii rozchodziła się szybko i tłum rósł z każdą chwilą. Ar Apa siedł przed łukiem i popijał piwo, przytakując od czasu do czasu skinieniem głowy, druid tymczasem chodził tam i z powrotem przed kandydatem, wychwalając głośno jego czyny, i nikomu nie wadziło, że czyny te i rzekome umiejętności, które czyniły go kimś wyjątkowym, to zwykłe bajędy. Był to zabieg czysto rytualny. Druid wyliczył nawet wszystkich przodków Ar Apy, sięgając jakimś cudem aż do zamierzchłej przeszłości. Publiczność reagowała ze zrozumieniem, czasem nawet przyklaskiwała, szczególnie wtedy, gdy mowa była o niezbyt dawnych wydarzeniach, jak na przykład o zwycięskich zmaganiach Ar Apy z tajemniczymi ciemnymi siłami, co odnosić się miało zapewne do Mrocznego Męża. Potem druid opisał potężnych i odzianych w brąz sojuszników kandydata. Na to Ar Apa wstał powoli i podszedł do druida.

- Powiedz nam - krzyknął - czy dzisiejszy dzień jest szczególny?! Czy przychylniejszy jest od innych?! Co może przynieść nam dobrego?!

Zapadła martwa cisza i wszyscy patrzeli, jak druid zamyka jedno oko i zerka na chmury, jak obraca się przy tym na pięcie szukając na niebie znaków. Musiał coś dojrzeć, zatrzymał się bowiem



nagle i zakrył oko dłonią, jakby porażony wizją. Co dzielniejsi wojownicy też spojrzeli na chmury, ale większość nie śmiała podnieść głów. Zapadła niczym nie zmacona cisza.

- Widzę kształt - powiedział druid i dotknął dragów, co miało dodać mu siły. Na Ar Apę nawet nie spojrzął. - Kształt. Kształt ma coś z dwugłowego topora, może być ze złota. Za nim mrok. Ciemność. Jeśli dzisiaj stanie się tak, że wojownik dwugłowego topora stanie w obronie tego ludu, przewyższy w bitwie wszystkich innych. Ale krótkie będzie jego życie, jeśli to uczyni.

Wszystkie oczy skupiły się na Ar Apie, który wykrzyczał teraz rytualną odpowiedź.

- A co mnie to obchodzi? Mam dwugłowy topór. I co z tego, że będę żyć tylko jeden dzień i jedną noc! Wszyscy mnie zapamiętają, ponieważ pamięć o czynach trwa wiecznie.

Powoli, z namaszczeniem, druid sięgnął za pazuchę i wydobył krótką gałązkę pokrytą złocistymi liśćmi. Były to liście dębu. Musnął nimi poprzeczną belkę i niskim głosem zaintonował:

- Dotykam Dobrego Rębacza, Niszczyciela, dotykam go.

Potem odwrócił się, by przesunąć liśćmi po czole Ar Apy.

- Ar Apa Uercinquitrix! - zawołał.

- Ar Apa Uercinquitrix! - odkrzyknął tłum.

Następnie musnął lewą uniesioną dłoń Ar Apy.

- Dotykam Cudownego, on jest naszym stwórcą, Ar Apa Uercinquitrix! - Widzowie znów odpowiedzieli chórem. Druid odwrócił wodza i przesunął mu gałązkę po plecach. Ar Apa zacisnął pięści. Oto było wyniesienie, które dodawało mu sił.

- A teraz dotykam jej, Pani Kurhanów, naszej Matki Ziemi, naszej Opiekunki - zaśpiewał druid, muskając prawą dłoń Ar Apy i jego prawe ramię.

- Ar Apa Uercinquitrix! - krzyknęli wszyscy raz, drugi i trzeci i wiwatowali długo na cześć nowego wodza, nowego byka, który stał teraz przed nimi dumny i szczęśliwy.

Ktoś pociągnął Asona za ramię i młodzieniec strącił niecierpliwie cudzą dłoń. Gdy ta wpiła się znowu, Ason sięgnął ze złością po miecz, ale to była Naikeri. Musiała mocno wyteżać płuca, by Mykeńczyk ją usłyszał.

- Jeden z moich ludzi przybył z wiadomością. Dwa dni temu przybyła do kopalni grupa wielkich mężów z rogami na hełmach, najpewniej Geramani. Zaraz odeszli i już ich tam nie ma.

- Co mówisz? Że jak? - Ason miał złe przeczucia. - Kopalnia...?

- Niczego nie zniszczyli, ale zabrali wszystkie metalowe krażki, które tam trzymaliście.

Wzięli cynę.



3.

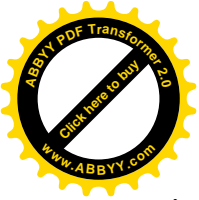
Dnia ubywało, aż zrobiło się go mniej, niż kiedykolwiek na Argolidzie, noce zaś ciągnęły się bez końca. Niekiedy trudno było nawet ustalić, czy słońce już weszło, niebo bowiem zanosilo się grubymi chmurami i przeraźliwie zimna mżawka zraszała ponury las. W ten sposób szare południe niewiele różniło się od północy. Opróżnione przez rabusiów składowisko cyny zapełniało się z bolesną powolnością. Chłód i wilgoć sprawiały, że chłopcy zatrudnieni w kopalni często buntowali się i ledwo spuściło się ich z oka, zaraz uciekali. Nawet węgle paliły się gorzej i przygasały, brakło bowiem suchego drewna na podpałkę.

Od powrotu z Dun Ar Apa, Ason zmienił się znacznie. Nie chciał przyznać się do porażki, przynajmniej głośno i z zimną zaciętością nie ustawał w pracy, wciąż wydobywając i wytapiając cynę. Codziennie wychodził jeszcze przed świtem do lasu, by ściąć dość drewna potrzebnego do podsycania ognia w piecach. Spał niewiele, często przez całą noc pilnował paleniska, jakby to jego własna siła decydowała o wytopie. Robił wszystko, by kopalnia mogła działać, ale nie wspominał już o mykeńskim statku, który miał rychło przyplłynąć. Zima odbierała wszelką nadzieję, bo kto odważy się stawić czoło oceanicznym sztormom, szczególnie silnym o tej porze roku? Jeśli statek nie przybędzie, cała ich praca okaże się daremna. Czy Mykeny jeszcze istnieją? A może zjednoczeni z innymi miastami Argolidy Atlantydy wybili wojowników Perimedesza, a samo miasto zrównali z ziemią? Wszystko było możliwe. Zostaną tu, na krańcu świata, gromadząc cynowe dyski, aż zestarzeją się i umrą. I tyle. Tak się to skończy. Ason nie chciał rozmawiać o podobnych sprawach, nie odpowiadał też na pytania, gdy ktoś poruszał ten temat. Aias wyglądał na całkiem szczęśliwego, nowy tryb życia w zupełności mu odpowiadał, jednak Inteb nie potrafił zapomnieć, kim był kiedyś. Świadomość beznadziei dokuczała mu jak bolący ząb. Wiedział, że martwi się na daremno, ale nie potrafił przestać.

- Umrzemy tutaj i nikt nawet się nie dowie. I nikt po nas nie zapłaci. Paskudne miejsce.

Mówiąc to dyszał ciężko, nieprzywykły do prac tak ciężkich jak ścinanie drzew. Przez ostatnie miesiące wprawił się nieco w operowaniu brązowym toporem i potrafił wbić go w pień pod właściwym kątem. Do lasu wybrał się tego dnia z Asonem, by pomóc młodzieńcowi, no i żeby się rozgrzać. Deszcze ustały, ale pojawił się śnieg. Padał od czasu do czasu. Pokrył cienką warstwą ziemię i było go więcej tylko wokół pni drzew. Palce drętwiały dziwnie, gdy się go dotykało. Inteb nie zdołał polubić śniegu i, co więcej, nienawidził jego czystej bieli.

- Umieraj tutaj - mruknął pod nosem, a Ason nie odpowiedział, tylko wytarł wilgotne dłonie w ubranie i znów zamachał toporem. Pień zaskrzypiał i zaczął pękać, odsunęli się więc i poczekali,



aż drzewo padnie z hukiem. Ason cisnął siekierę na ziemię i pociągnął spory łyk z zabranego do lasu garnka.

- Rozmawiałem z ojcem Naikeri, starym Larem - powiedział Inteb, głównie po to, by zmącić nienawistną ciszę lasu. - Obecnie jest ślepy, ale kiedyś sporo podróżował. Wie wszystko o tej wyspie i o jeszcze jednej, bardziej wysuniętej na północ. Ta druga to Domnann, gdzie żyje większość ich ludu. Wie nawet, skąd przybyli Geramani. Powiada, że oni handlują z Atlantydą, i ja mu wierzę. To stamtąd dostają egipskie paciorki i inne rzeczy. Płyną na wielkich łodziach do wielkiej rzeki na południu, nazywa się jakoś z cudzoziemska, nie pamiętam jak. Mieszkają w górze rzeki. Ler mówi, że jeśli popłynie się tą rzeką dość daleko, to wtedy trafia się na inną rzekę, która wpada do innego morza. Jeśli nie kłamie, co też jest możliwe, albo nie wymyślił sobie sam całej tej historii, to może chodzić o Danube, rzekę która wpada do Morza Wschodniego. Wiemy, że Atlantydzi płaczą się wszędzie wzdłuż koryta tej rzeki, mają tam swoje kopalnie cyny, przez co Geramani znają ten metal. Bo i czemu inaczej mieliby ją kraść? Bez wątpienia sprzedali naszą cynę Atlantydom. A jeśli oni mogli to zrobić, to my też możemy.

Aż się cofnął, gdy Ason spojrzał nań lodowato, pokazując jednak, że słucha.

- Nie, Asonie. Źle mnie zrozumiałeś. Nie, żebyśmy mieli prowadzić taki handel, myślę o naszym powrocie do Argolidy. Tylko o powrocie. Nic tu po nas. Wybieramy cynę z ziemi, ale co z niej mamy? Wiem, że chcesz wrócić do Myken. Możemy to zrobić.

Ason wbił tylko ostrze w kolejny pień i to była jego odpowiedź. Inteb westchnął, wzruszył z rezygnacją ramionami i zajął się obcinaniem gałązek z powalonego poprzednio drzewa.

Było już prawie ciemno, gdy przyciągnęli drewno w pobliże kopalni i ułożyli je obok pieców. Trzęsący się z zimna i wilgoci chłopcy znikali właśnie w swoich kwaterach, gdzie zamykano ich na całą noc. Aias przysiadł przy ogniu i powąchał aromatyczną parę dobywającą się z bulgoczącego kociołka. Naikeri przyniosła bez pytania garniec piwa. Okryta wieloma warstwami odzieży wyglądała dość niezgrabnie.

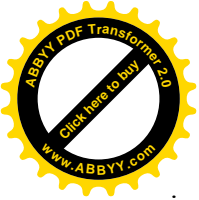
- Zostały tylko dwa - powiedziała, nie kierując tych słów do nikogo konkretnego. Na północy zimą to normalna sprawa. Zapasy kurczą się, aż w końcu znikają i wtedy wszystko zależy od tego, czy uda się cokolwiek upolować.

- Widziałem tropy saren - powiedział Ason i wszyscy pomyśleli o tym samym. - Drewna starczy na jakieś dwa dni. Jutro rano wyruszę na polowanie.

- Też mogę iść. Poniosę mięso - zaproponował Aias.

- Ty pracuj tutaj. Nikogo mi nie trzeba.

I rzeczywiście. Na innych nie zwracał ostatnio prawie żadnej uwagi. Liczyli się o tyle, o ile pracowali. Naikeri złożyła ręce na piersiach i zastanowiła się, czemu od tak dawna już się do niej



nie zbliżał. Wszyscy w gromadce czuli się coraz bardziej obco. Aias splunął w ogień, wpatrzony w płomień Inteb wyobrażał sobie utęsknioną, cieplejszą krainę na południu.

- Syn siostry mego ojca zabił lochę - powiedziała Naikeri. - Były z nią dwa warchlaczki. Teraz ma trzy ciepłe skóry. - Zamieszała gęsty gulasz i oblizwała łyżkę. - Słyszałam też, że wojownicy z Dun Uala przeprowadzili największy ostatnimi laty napad na stada w Dun Ar Apa. Wielu zginęło, stracili wiele krów.

Inteb jako jedyny nastawiał ucha. Zdawkowe wieści i plotki pochodziły od tych Albich, którzy niezależnie od pory roku wędrowali po wyspie. Wiedzieli całkiem sporo i rozgłaszali wszystko, prawdę i kłamstwa. Inteb wolałby jakieś bardziej cywilizowane źródło informacji, ale skoro niczego takiego nie było... Nie cierpiał Naikeri i nie miał najmniejszego zamiaru nawiązywać rozmowy, ale słuchanie to co innego.

- Kolejny chłopak uciekł dzisiaj - powiedział Aias, ale nikt nawet nie mrugnął. Ostatnio zdarzało się to aż nazbyt często.

Pewnego wieczoru, po całym dniu rąbania drewna, Aias i Inteb jak zwykle przysiedli się do Asona przy palenisku. Ason napełnił miskę gorącą strawą, dmuchnął na zawartość i uniósł naczynie do ust. Reszta uczyniła to samo. Danie było sycące i dobre, suszone mięso gotowane z ziarnem, z oczkami tłuszczu pływającymi na powierzchni. Na zewnątrz zawodził wicher, przez szpary między drzwiami a framugą wpadały drobiny śniegu. Szary blask dnia gasł nieodwołalnie i tylko las czernił się wkoło na tle ciemnego nieba. Kto żyw garnął się odruchowo do maleńkiej oazy światła i ciepła.

Coś zaszeleściło na zewnątrz, odgłos był słaby, ledwo przebił się przez wycie wiatru. Wiedziony instynktem myśliwego Ason uniósł czujnie głowę. Wstawał właśnie, gdy drzwi otwarły się gwałtownie i uderzyły o ścianę, omal nie urywając się ze skórzanych zawiasów.

W progu stał mężczyzna w zbroi. Hełm miał z brązu, brodę długą i pochylił się tak, jakby chciał zaraz zaatakować mieszkańców chaty. W dłoni trzymał długi, nagi miecz.



4.

Mężczyźni przy ogniu sięgnęli gorączkowo po broń, tymczasem za pierwszym przybysem w drzwiach pojawili się następni, a wszyscy z mieczami. I wszyscy też zastygli w miejscu, słysząc głos Asona.

- Atroclus!

Pierwszy ze zbrojnych otworzył szeroko usta ze zdumienia, powoli opuścił broń i zamrugał oczami, usiłując dojrzeć coś w mdłym blasku ognia. W końcu pojął, że to nie złudzenie.

- Asonie, bracie! Ale przecież ty nie żyjesz! - Miecz znów uniósł się groźnie, a Ason roześmiał się serdecznie.

- Trudniej mnie zabić niż myślisz, kuzynie Atroclu-sie. Długo by mówić, jak tu przybyłem. Ale po pierwsze, co z Mykenami i moim ojcem? Siadaj i opowiadaj.

Atroclus podszedł do ognia i otrząsnął śnieg z białego, wełnianego płaszcza. Pięciu innych wcisnęło się za nim, aż w chacie zrobiło się naprawdę ciasno. Wypuścili miecze i głośno przywitani się z Asonem, ten poznał ich i pozdrowił każdego z osobna zwracając się doń po imieniu. Na-ikeri podała w milczeniu piwo i wycofała się do wnęki, gdzie sypiała.

- Wiesz, co stało się na Therze? - spytał Atroclus. - Mówili, że tam zginąłś.

- Uciekłem, jak widzisz. Czy wyspa została zniszczona? Czy Atlas zginął?

- Za dużo szczęścia jak na jeden raz. Wielu straciło życie, zatonał niejeden statek, ale Atlas uciekł wraz z dworem na Kretę. Ziemia trzęsła się jeszcze przez osiem dni, płomienie buchały z głębi i popiół pokrył całą wyspę, ale potem się uspokoiło. Ludzie wrócili i życie płynie dalej, chociaż słyszeliśmy, że grunt drga czasem pod stopami. Wszystko to mocno rozwścieczyło Atlasa, który uznał ponoć wybuch za atak na jego osobę. Teraz nawiedza zbrojnie wybrzeża Argolidy. Jego ludzie spustoszyli już Lerne i Nauplion. Pewnie szuka skarbów lub niewolników, by przebłagać swych bogów, nie wiemy dokładnie. Tak czy inaczej, wojuje też z nami i ciężkie dni nastały dla Myken. Kiedy Perimedes usłyszał o twojej śmierci, wpadł w rozpacz i postarzał się w oczach. Ale w potrzebie wojennej poniechał żałoby i poprowadził nas do walki. Wiele krwi popłynęło, wielu przyjaciół nigdy już nie ujrysz. Dopiero późną jesienią daliśmy radę przygotować i statek, i załogę. Długo płynęliśmy, bo wiatry wiały przeciwne i pogoda nam nie sprzyjała. Dwakroć musieliśmy wyciągać statek na brzeg i naprawiać burty, ale przecież dotarliśmy. A teraz opowiedz nam o sobie i o tym, skąd ty się tu wziąłeś?

- Żaden problem, ale mam jeszcze jedno pytanie. Rozumiem, że masz więcej ludzi na statku i że jest między nimi metalurg, który poprowadzi kopalnię?



- Ludzi mam jeszcze siedemnastu, a wśród nich trzech metalurgów!

- Kopalnię ujrzą czynną, jest trochę cyny, piece płoną, a podpałaka leży zgromadzona pod ręką. Nie próżnowaliśmy.

Gadali do późna w nocy. Wypili całe piwo, aż w końcu Mykeńczycy zawinęli się w płaszcze i ułożyli do snu na podłodze. Ason ściągnął koce z Naikeri i wziął ją tak gwałtownie, wręcz brutalnie, że nie mogła powstrzymać okrzyków bólu. On roześmiał się tylko i nie przerwał, a Inteb, który obudził się i słyszał wszystko, naciągnął futra na głowę i próbował nie słyszeć tych obrzydliwych dłań odgłosów.

Ason wstał przed świtem. Gdy tylko się rozwidniło, obudził Atroclusa i razem ruszyli wzdłuż strumienia do morza, gdzie wielki statek spoczywał już na plaży, daleko ponad linią najwyższego przypływu. Przywitał się serdecznie z resztą załogi i przyjął poczęstunek niezwykle zaiste w tym zimnym kraju: ciepłe i słodkie wino z Myken czerpane z przytwierdzonej solidnie w kabinie amfory. Wzięli co trzeba z zapasów i zostawiwszy dwóch ludzi na straży wyruszyli razem do kopalni.

- Teraz będzie inaczej - powiedział Ason, prowadząc kompanię znajomą ścieżką. - Znajdziemy więcej chłopców do pracy, będzie miał kto ścinać drewno i będzie miał kto doglądać wytopu. Do wiosny zgromadzimy tyle cyny, że trzeba będzie wyrzucić balast, aby statek nie poszedł na dno. Wrócimy do Myken i Argolida znów się zjednoczy. Zepchniemy Atlasa do morza i skończymy z nim raz na zawsze.

Mężowie z Myken narzekali głośno na ziąb, ale pracowali. Po raz pierwszy Ason mógł odłożyć swój topór i pokierować jedynie budową nowych chat, tymczasem metalurdzy kiwali głową nad stosowanymi dotąd technikami wytopu i pospiesznie zaprowadzali własne porządki w tej dziedzinie. Dni były jasne, ale słońce grzało jak z łaski. Inteb i Ason znów stali się sobie bliżsi i często rozmawiali o podróży powrotnej, Naikeri zaś posmutniała wyraźnie i nie odzywała się do nikogo. Jeden Inteb zauważył tę odmianę i cieszył się skrycie. Sprawy miały się ku lepszemu. Ósmego dnia po przybyciu mykeńskiego statku strażnicy u wylotu doliny podnieśli alarm. Ason wyszedł sprawdzić, co to za nowy kłopot. Miał na sobie piękną zbroję, lśniącą jaśniej niż blade, zimowe słońce, w dłoni trzymał nowy, ostrzejszy miecz. Ze szczytu obwałowań dostrzegł trzech wojowników Yernich wyglądających niepewnie z lasu. Musieli dojrzeć Asona, wyszli bowiem powoli pomiędzy zarośli. Gdy podeszli bliżej, młodzieniec poznał Ar Apę i dwóch wojowników z jego szczepu.

- Ason Abu - zawołał Ar Apa unosząc dłoń z toporem i spoglądając podejrzliwie na stojących obok w pełnym rynsztunku Mykeńczyków.

- To moi przyjaciele - odrzyknął Ason. - Nie ma powodu do obaw.



Uspokojeni tą deklaracją wojownicy weszli na teren kopalni. Przycupnęli przy ogniu w chacie i przyjęli poczęstunek. Ar Apa opisał najpierw malowniczo (i całkiem nieprawdziwie) podróż z grodziska i przeszedł do rzeczywistych powodów wizyty.

- Ciężka zima nadeszła. Było wiele napadów, straciliśmy wiele sztuk bydła. Najpierw przyszli z północy ludzie z Dun Moweg, potem z Dun Finmog, jeszcze bardziej na północy. Nie napadają na siebie nawzajem ani na Dun Uala, ale przechodzą przez tereny innych szczepów, by kraść nasze krowy i zabijać naszych wojowników.

Ostatnie słowa Ar Apa niemal wykrzyczał i uderzył styliskiem topora w klepisko. Jego kompani tupnęli i jęknęli rozgłośnie. Yerni uwielbiali ostentację, Ason zaś, który widywał już takie przedstawienia, doczekał spokojnie do końca. Kiedy emocje opadły, Ar Apa wygładził na nowo wąsy i przeszedł do konkretów.

- Teraz już wiem, czemu tak się dzieje. Teraz wiem, kto za tym stoi, wiem, kto zamieszkał w Dun Uala i daje ludziom błyskotki, by robili to, co chcą. Teraz już wiem. - Spojrzał na Asona i szybko odwrócił wzrok.

- Mroczny Mąż. - Ason wypowiedział głośno imię, którego Ar Apa nie mógł wciąż wykrztusić. - Znów burzy ludzi? Skąd wiesz?

Ar Apa wbił wzrok w sufit i udał, że po raz pierwszy widzi coś tak fascynującego jak dziura dymnika. Potem poskrobał tarczę, zdrapał nieco zaschniętego błota. Inteb przystanął milcząco z tyłu.

- Ktoś przyszedł do mnie - odparł w końcu Ar Apa. - Sam Uala przyszedł z kilkoma wojownikami i nie chciał walczyć, tylko rozmawiać. Druid przygotował wszystko co trzeba do spotkania wodzów-byków, obwiesiliśmy drewniane łuki naszymi skarbami i porozmawialiśmy. Pokazał mi dary, które dostał od... od tego, którego imię wymówiłeś. Rozmawialiśmy...

Ar Apa zastygł z otwartymi ustami, jakby zabrakło mu słów. Pot wystąpił wodzowi na czoło. Może zrobiło mu się gorąco od ognia, Ason jednak podejrzewał coś. Ar Apa wiedział coś, czego jednak nie mógł głośno powiedzieć.

- Zamierzają napaść znów na kopalnię? Jak ostatnim razem, wojownicy z wielu szczepów. O to chodzi, prawda?

Ar Apa przytaknął i odwrócił głowę.

- Słusznie robisz, przychodząc z tym do mnie, miast przyłączyć się do nich. Gdzie jest Mroczny Mąż?

- W Dun Uala.



Dla Asona wszystko było jasne. Kopalnię mógł zostawić pod opieką fachowców, a wojowników poprowadzić do boju. Trzeba zająć się tym Mrocznym Mężem, duch to czy człowiek, bo inaczej nie będzie kresu kłopotom. Ason wiedział, jak to uczynić.

- Mam zbrojnych pod swoją komendą - powiedział. - Pancernych i niezwycięzonych. Pójdziemy na Dun Uala, by zabić Mrocznego Męża. Czy zbierzesz wojowników ze swego szczepu, by pójść z nami?

- Mroczny Mąż... - Ar Apa był na tyle wstrząśnięty, że aż zapomniał się i wymówił głośno straszne imię.

- Uala i jego ludzie nie dotrzymają nam pola. Zabijemy ich. Twoje będzie bydło, zemsta, złoto i skarby.

- Pójdę z wami - powiedział Ar Apa podejmując w jednej chwili decyzję. Teraz myślał już tylko o łupach czekających nań w Dun Uala, największym, najbogatszym i najpotężniejszym z wszystkich grodzisk Yernich. Ślina napłynęła mu do ust, gdy wyobraził sobie przyszłe zdobycze. Splunął w ogień i roześmiał się głośno.



5.

Nadeszło święto Imbolc, czas wesołości i pierwszy znak, że uścisk zimy zaczyna z wolna słabnąć. Stłoczone w zagrodach pod mieszkaniem kobiet bydło pożerało ostatki paszy zgromadzonej w grodziskach jeszcze jesienią, a na pastwiskach pojawiały się pierwsze źdźbła trawy. Rodziły się cieleta i jagnięta. Świat budził się znów do życia i było co świętować, tym bardziej że nastawiono świeże mleko na fermentację. Piwo uwarzone z zeszłorocznego zboża dawno już się skończyło. Teraz wojownicy, znów radośnie zalani, mogli wylegiwać się w słońcu i zerkać z murawy na kobiety wyprowadzające inwentarz. Zwierzęta były osłabione; skutkiem skąpych, zimowych racji pożywienia i braku przestrzeni w oborach ledwo powłoczyły nogami, ale świeża zieleń trawy gwarantowała, że szybko odzyskają siły.

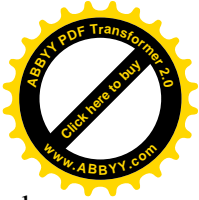
Dun Moweg było typowym grodziskiem Yernich. I tutaj mieszkania wojowników wzniesiono na obwałowaniach, zaś przestrzeń na szczycie była idealnym miejscem, by wygrzewać się w miłym słońcu, szczególnie wobec obfitości świeżego napitku. Wojownicy zlegli zatem, wódz między nimi. Moweg wspominał barwnie minione wyprawy, zdobycze i rzezie, kiedy w grodzisku pojawili się zbrojni.

Mimo metalowych strojów i broni podeszli po cichu, za nimi skradały się pobielone postacie wojowników Ar Apy. Gospodarze byli wstrząśnięci wizytą. Przecież wszyscy wiedzieli, że Imbolc nie jest czasem wojen ani napaści.

- Ty jesteś Moweg - powiedział Ason, spoglądając spod okapu hełmu na ciężko zdumionego męża siedzącego wciąż na ziemi przed progiem domu.

- To on - wtrącił się Ar Apa podchodząc bliżej. Kopnął Mowega w zębra i dźwignął jęczącego na nogi. Przewrócił przy tym miskę, z której tamten popijał. Napitek z mleka od kradzionych krów. Ason odsunął Ar Ape, zanim doszło do bitki.

Mowega nie trzeba było długo przekonywać i rychło zrewidował swoje dotychczasowe sojusze. W zasadzie lojalny był jedynie w stosunku do własnej osoby. Owszem, dostał to i owo od Mrocznego Męża i dokonywał napadów, ale to było kiedyś. Wobec perspektywy zdobycia Dun Uala wszystkie dotychczasowe dary bledły. Nawet najbogatsze i największe grodzisko nie obroni się przed wojownikami dwóch szczepów i tymi ludźmi w twardych zbrojach. Wódz dobrze pamiętał (i było to przykre wspomnienie), ile szkód spowodowało trzech tylko pancernych mężów, gdy zaatakował ich w kopalni. A teraz było ich nie trzech, ale o wiele więcej, więcej niż palców u obu rąk. I tym razem mieli walczyć po tej samej stronie.



Przybysze zostali na noc w grodzisku. Przy okazji wypili świeżo sfermentowane mleko do ostatniej kropelki. Aias, który mógł wreszcie zostawić nadzór nad kopalnią innym, też wybrał się tym razem na wojnę i obiecał nawet, że będzie używał nie pięści, ale miecza. Inteb wyglądał wspaniale w pożyczonej zbroi i choć nie miał serca do walki, to chciał jednak być blisko Asona i jak najdalej od Naikeri. Siedli razem przy ogniu. Popijali umiarkowanie, inni jednak w pełni zażywali rozkoszy święta.

- Bez wątpienia zwyciężymy - powiedział Inteb.

- Musimy nie tylko zwyciężyć, ale trzeba jeszcze pojmać i zabić Mrocznego Męża. Jeśli znów ucieknie, to zacznie się wszystko od nowa na północy. Żywy zawsze będzie nam sprawiał kłopoty. Tym razem ma zginąć.

- Jaki masz plan?

Ason narysował na ziemi koło.

- Powiadają, że Dun Uala to zwykłe grodzisko, tyle że większe. Jedno lub dwa wejścia, pokoje wojowników znajdują się na murach. Musimy ich zaskoczyć, atakując ze wszystkich stron jednocześnie i zatrzymać te szczury w dziurach.

- Ale jak? Atak w nocy czy o świcie?

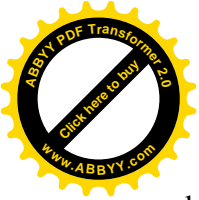
- Nie, to niemożliwe wobec takiej liczby. Usłyszą nas albo zobaczą i ostrzegą grodzisko. Musimy działać szybko. Podobno to jeden dzień marszu. Jeśli wyjdziemy o świcie i ruszymy żwawo, to wyprzedzimy wieść o naszym pochodzie.

Inteb spojrział wkoło na pijanych wojów.

- Im się to nie spodoba.

- To ich sprawa. Wygranie bitwy i wzięcie grodziska to tylko połowa roboty. Muszę mieć Mrocznego Męża.

Niebo było jeszcze całkiem czarne, gdy Ason zarządził pobudkę. Rozległy się jęki pijanych mężczyzn, teraz budzonych. Pozwolono im jeszcze zjeść coś i wypić, tak że o pierwszym brzasku oddział wyruszył w drogę. Yerni narzekali na stan swych wąsów i czupryn, ale Ason obiecał, że da im jeszcze chwilę przed bitwą, by mogli pobielić je należycie. Prowadził miarowym krokiem, czasem lekkim truchtem, czasem zwalniając do marszu, ale nie przystawał. Rozpadał się deszcz, który utrudniał im wędrówkę aż do południa, kiedy przekroczyli rzekę wyznaczającą granicę między terenami dwóch szczepów. Pagórki zmalowały, ustępując miejsca rozległej równinie widocznej aż po horyzont. Tylko gdzieniegdzie rosły skromne kępy drzew. Dotarli do chaty zamieszkannej przez byłego wojownika. Próbował uciec do grodziska, ale dogonili go i ścięli. Podczas krótkiego postoju zjedli wszystko, co znaleźli w gospodarstwie i pospieszyli dalej. Przed nimi rysowały się już koliste mury grodziska, nad nim unosiły się smużki dymu z kuchennych



palenisk. Tutaj Ason zarządził jeszcze jeden postój. Niecierpliwie odczekał, aż wojownicy Yernich pobielią co trzeba i ruszył na dun.

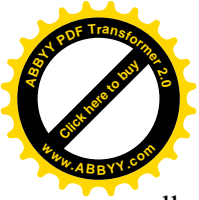
Gospodarze oczekiwali już na murach, widać jednak zostali ostrzeżeni. Atakujący Yerni przystanęli i zaczęli obrzucać przeciwników obelgami, Ason jednak nie miał ochoty czekać, aż obyczajowi stanie się zadość. Mykeńczycy utworzyli tyralierę na tyle rzadką, by każdy mógł swobodnie poruszać mieczem. Ason poprowadził do ataku. Przeszli rów i zaczęli wspinać się na mury. Wojownicy ciskali w nich kamieniami, których zdawali się mieć całkiem spory zapas, ale te odbijały się od tarcz i zbroi nie czyniąc nikomu krzywdy. Po chwili Mykeńczycy byli już na szczycie.

Zabijali każdego, kto stanął im na drodze. Cały czas parli na wroga, zostawiając za sobą tylko trupy. Nawet Inteb, który pozostawał w tle, zbliżył się do Asona i zza jego pleców wyskoczył z mieczem na jednego z obrońców. Wbił ostrze w żołądek tamtego. Trafiony jęknął upiornie, wypuścił topór, runął na ziemię i przycisnął dłonie do silnie krwawiącej rany. Intebowi zrobiło się niedobrze i nie pchał się już więcej do przodu. Potem omal nie został zdeptany przez Yernich, którzy zachęceni trwającą masakrą też postanowili czym prędzej dołożyć swoje.

Walczący rozproszyli się, tworząc rozwrzeszczane grupki, coraz mniejsze wszakże. Wojownicy Dun Uala byli nader liczni, liczniejsi niż Yerni z obu atakujących szczepów i walczyli o życie. Gdyby nie pomoc ciężkozbrojnych Mykeńczyków i uczyniona przez nich na początku jatka, odparliby nieprzyjacielski atak bez trudu. Walczyli dzielnie, ale ginęli kolejno, tak zatem rychło niedobitki wpadły w panikę i rzuciły się do ucieczki. Niektórzy próbowali skryć się w pokojach kobiet, ale wyjący wściekle prześladowcy i tak ich dopadali. Ason pogonił za jednym z takich przerażonych wojowników, dźgając go przy tym jedynie w plecy i zmuszając w ten sposób do szybszego biegu. Pognali przez puste kwatery na balkon. Piszczące kobiety pierzchały im z drogi. Ranny Yerni skoczył na ziemię. Odziany w ciężki pancerz Ason musiał zejść za nim powoli po pociętej karbami belce. Chciał wznowić pogoń, ale wojownik tylko skulił się za jednym z wysokich, niebieskawych kamieni na dziedzińcu. Jęcząc z bólu odrzucił topór jak najdalej i padł na ziemię błagając, aby go oszczędzić.

Ason obrócił się i ujrzał, że inni czynią to samo. Walka dobiegła już prawie końca, toczyło się jeszcze kilka pojedynków, odosobnione postacie miały się pomiędzy podwójnym półkolem głazów pośrodku grodziska. Kiedy jednak i ci ujrzeni, co się dzieje, też rzucili swoje topory.

- Zaprowadź mnie do Mrocznego Męża - powiedział Ason do leżącego przed nim wojownika i przycisnął mu zakrwawione ostrze do skóry. Ten zerwał się błądy ze strachu i ruszył ku wyjściu z grodziska. Ason za nim. Przepchnęli się przez tłum radosnych Yernich, którzy zdążyli już poobcinać całkiem sporo głów. Po bokach zawodziły miejscowe kobiety. Jeden z wojowników,



dla którego nie starczyło już widać zdobyczy, odnosił właśnie pomniejsze, niejako zastępcze zwycięstwo nad dziewczyną, którą powalił na ziemię między rannymi i zabitymi. Wkoło stały kręgiem dzieci. Ssały brudne paluchy i przyglądały się widowisku.

We wskazanym wnętrzu panował taki sam mrok i taki sam jak poprzednio, obcy zapach. I tym razem również brakowało lokatora.

- Musi gdzieś tu być! - krzyknął Ason, obalając wojownika na ziemię i uderzając go bokiem tarczy w twarz. Ten zawył i bełkocząc coś odpełził na bok.

- Był tu. Wiem, że był. Ale ktoś nas ostrzegł, wiedzieli, że idziecie, powiedzieli nam, to wzięliśmy topory. Może wtedy uciekł, nie bij mnie, nie wiem.

Asonowi rychło przeszedł pierwszy gniew i młodzieniec zebrał myśli. Mroczny Mąż nie mógł być daleko. Ostrzeżenie przyszło tuż przed walką, zatem pościg ma szansę powodzenia. Ale gdzie poszedł? Do następnego grodziska na północy, do Dun Finmog. Nigdzie indziej nie znajdzie schronienia. Da się go złapać. Ason kopnął jeńca i kazał mu wstać.

- Pokaż mi drogę do Dun Finmog. Tę najkrótszą.

Równina nie dawała żadnej osłony. Ason rzucił się biegiem, przed sobą gnał rannego Yerni. Wystarczyło wspiąć się na niewielkie wzniesienie, by dojrzeć w dali trzy maszerujące na północ postacie. Ason wrzasnął radośnie, odepchnął wojownika i mimo ciężaru zbroi pobiegł, jak mógł najszybciej. Zapomniał nawet o zmęczeniu. Byle tylko dopaść tych trzech; Mroczny Mąż musi być jednym z nich.

Będąc już bliżej poznał, że wśród uciekających są dwie kobiety. Spódnice powiewały im wkoło łydek, gdy biegły niezgrabnie z ciężkimi tobołami na plecach. Jedna obejrzała się i pisnęła ze strachu, przez co obie przystały po chwili, cisnęły bagaże na ziemię, krzyknęły i uciekły, każda w innym kierunku. Mężczyzna próbował ścigać jedną z nich, zawahał się, wrócił do tobołków, w końcu zamarł w miejscu i skłonił się głęboko, widząc zdyszanego Asona tuż obok siebie. Wyprostowawszy grzbiet złożył obie dłonie na piersi i przemówił wysokim głosem. Nieco przy tym seplenił.

- Witam cię, szlachetny Asonie, synu Perimedesza, któregoś dnia królu Myken. Wszyscy czczą Asona!

Był to mężczyzna stary i tłusty, z siwymi, długimi do ramion włosami, skreconymi w namaszczone starannie kudły. Ubrany był bogato i kolorowo, w sięgającą kostek ciemnoniebieską, obszytą czernią szatę i wyszywaną czapczkę bez ronda. Podobnie ciemne naszytka widniały na pasie tkaniny, którą niczym pelerynę narzucił na ramiona. Z pasa zwisał misternie zdobiony klejnotami miecz. Ason uniósł ostrze, gdy mężczyzna sięgnął po swoją broń, ale Mroczny Mąż tylko odpiął miecz i odrzucił go od siebie.



- Kim jesteś? Skąd mnie znasz? - spytał Ason.

- Wszyscy znają Asona i wiedzą o jego czynach. Jestem Sethsus i mogę ci być pomocny.

- Jesteś Mrocznym Mężem, tym który podburzał Yernich przeciwko mnie. Pora ci umierać.

- Ason uniósł miecz i postąpił krok, ale Sethsus padł na twarz. Był naprawdę przerażony, skóra poszarzała mu niczym popiół.

- Nie, Asonie, panie z Argolidy, posłuchaj. Mam ci wiele do powiedzenia, mogę ci pomóc. Możesz mieć złoto, możesz zdobyć wielkie skarby. - Przypadł do najbliższego tobołka i rozwiązał go drżącymi palcami. Ze środka wyciągnął garść złotej biżuterii. Podał ją Asonowi. - To może być twoje. Będę ci wsparciem.

- Skąd przybyłeś? Co tu robisz ze swoim złotem?

Sethsus uspokoił się nieco widząc, że nie umrze od razu.

Wstał. W dłoni ścisnął wciąż złote topory i dyski.

- Jestem zwykłym kupcem, który kupuje, sprzedaje i czerpie z tego małe dochody, akurat by przeżyć. Moim miastem jest Troja, tak strasznie odległa, ale tam już mnie nie chcą. Są takie rzeczy na tym świecie, którymi wielcy wojownicy powinni pogardzać, jedną z nich jest polityka, walka o władzę. Jedno przekleństwo. Teraz rządzą tam inni, którzy nie lubią Sethsusa i musi on przez to błąkać się po krańcach świata, bo tam tylko może przeżyć. Daleko podróżowałem, z wieloma handlowałem nad rzekami, w obozach i miastach. Do Dun Uala przybyłem, bo leży na skrzyżowaniu szlaków. Ze wschodu i południa płynie tu bursztyn, jest też brąz i inne jeszcze świetne towary. Z północy przychodzą Albi i przynoszą czerwone złoto z zielonej wyspy. Zostałem tutaj i pracowałem, by mieć z czego żyć.

- Kłamiesz i tyle, grubasie ze zgniłej Troi. Znam was, Trojańczyków, znam wasze języki giętkie jak grzbiet węża. Prawda nie chce ci przejść przez gardło. To, co mówisz, to wierutne kłamstwo. Masz mnie za głupca? - Wyjął z rąk Trojanina kawałek złota. - Topór o dwóch ostrzach, topór Atlantydy. Jesteś na ich żołdzie.

- To prawda, że handluję z Atlantydami, każdy stara się jak może...

- Bzdury. Mówisz, że przybyłeś tu po złoto. Czy po to właśnie sam tyle złota przyniosłeś? - Sethsusa zatkało na chwilę, a Ason uśmiechnął się ponuro. Wiedział, że jest blisko prawdy. - Byłeś w Dun Der Dak, aż tam przybyłem. Nie handlowałeś, ale pilnowałeś kopalni. Na co ci cyna? - Ason przypomniał sobie o napaści i weszła w nim gniew. Przycisnął ostrze do policzka Trojańczyka, aż tamtemu krew spłynęła po twarzy.

- Tak! Niech mnie wielki Baal ratuje, prawdę mówię i tylko prawdę. Słaby jestem, wiem, ale nie zabijaj mnie miłosierny Asonie. Sprzedałem informację Geremanim, aby mogli wziąć cynę z doliny, bo oni wiedzą, jak ten metal obrabiać. Tak, przyjmowałem dary od Atlantydów, biedak



musi nagiąć się do ich woli. Nie podobało im się, że w kopalni dobywają cynę dla Myken. Nie możesz mnie przecież za to winić, prawda? To kwestia polityki. Źle czyniłem pomagając im, teraz to widzę. Ale mogę się zmienić, już teraz mądrzejszy pełzam przed tobą, potężny Asonie. Mogę ci pomóc, bardzo pomóc, wiem niejedno.

- Nie - odparł Ason chłodno wznosząc miecz. - Czyżbyś tak szybko zapomniał o śmierci moich pobratymców? To przez ciebie Yerni ich wymordowali. Giń, Trojaninie.

Sethsus pisnął jak kobieta i odskoczył, osłaniając głowę rękami. Świsnął miecz i na ścieżkę spadła ucięta w nadgarstku dłoń. W zaciśniętych palcach tkwił wciąż zakrwawiony, złoty dysk. Ranny spojrział na kikut, krzyknął jeszcze głośniej i krzyczał tak aż do chwili, gdy ostrze wbiło mu się w kark.



6.

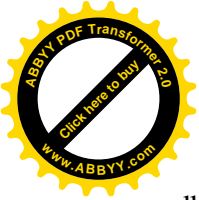
Było już ciemno, gdy Yerni przywlekli ciało Sethsusa do grodziska. Obwiązali mu kostki u nóg skórzanymi linami i pospieszali jak tylko się dało, nawet bowiem martwy Mroczny Mąż budził w nich sporo lęku. Przewleczone po białym pyłe równiny ciało zległo w końcu samotnie obok ogniska rady; nikt nie chciał usiąść obok.

Łupienie grodziska postępowało w najlepsze. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się tubylcom ujrzeć takiej masy skarbów zgromadzonych w jednym miejscu. Niektórzy wojownicy bili się o złoto, inni cichaczem uchodzili ze zdobyczą w noc. Ason położył kres chaotycznej grabieży, każąc Mykeńczykom zagonić wszystkich, zwycięzców i pokonanych, do kręgu wewnątrz grodziska. Przekrzykując zebranych zarządził rekwizycję łupów. Napastnicy mieli zachować odcięte głowy wrogów oraz osobiste skarby zdarte z pokonanych przeciwników, cała reszta utworzyła rychło wielki stos przed Asonem. Ten usiadł przy ogniu, skrzyżował nogi na wielkiej niedźwiedziej skórze i sięgnął po piwo. Pogryzał przy tym zimną i tłustą baraninę. Wyczerpany wypadkami całego dnia Inteb przysiadł obok. Z niedowierzaniem spoglądał na bursztynowe krążki, kubki, złote obroże, naramienniki, spleciony drut, gwiazdki, pierścienie, miedziane sztylety, kawałki brązowej zbroi, paciorki i figurki.

- Pracują tu w złocie i miedzi - powiedział Asonowi. - Zajrzałem do tej okrągłej chaty pod przeciwległym murem. - Wskazał ponad niepełnym kręgiem wysokich, niebieskich kamieni. - Mają tam piec, narzędzia i cały warsztat podobny do tych, które pamiętam z Egiptu, chociaż nie tak wielki i gorzej wyposażony, rzecz jasna. Pracują też w kamieniu, spójrz tylko, co zrobili z jednym z tych wielkich, stojących pionowo głazów.

Ason nadal żuł baraninę. To był dobry dzień. Mroczny Mąż nie żył, podobnie jak większość wojowników grodziska, nawet ich wódz zginął w pojedynku z Ar Apą, który paradował teraz ze świeżo odciętą głową i podtykał ją pod nos każdemu napotkanemu. Uala był już wiekowy, zatem nie sztuką było go pokonać. Jednak grodzisko nie miało teraz swojego wodza i członkowie rodziny Uali już zaczęli się klócić zażarcie o prawo sukcesji. Mniejsza z tym, na razie to Ason był wodzem wszystkich Yernich, którzy mogli albo uznać jego zwierzchnictwo, albo zbuntować się i umrzeć. Ason nie miał się czym martwić.

Inteb podszedł do wielkiego kamienia. Przesunął palcami po jasno oświetlonej powierzchni. Dobrze ją wygładzono, jak na tak duży głaz to robota była przednia. Był wyższy od Inteba i zdawał się wyrastać prosto z ziemi. Egipcjanin przymrużył jedno oko, by zbadać pion. Tak, całkiem nieźle. Zaokrąglony wierzchołek został pomalowany na czerwono, chociaż zimowe deszcze zmyły



całkiem sporo barwnika. Dwa szeregi takich kamieni tworzyły niepełny podwójny okrąg. Całe lata pracy. Na dodatek surowiec nie był chyba miejscowego pochodzenia. Wprawnym okiem budowniczego Inteb wcześniej już zauważył, że jedynymi sporymi kamieniami na tej równinie były gigantyczne głazy narzutowe, innego zresztą koloru niż te tutaj, bo szarawobiałe. Egipcjanin obszedł kolumnę; omal się przy tym nie przewrócił o człowieka, który siedział po drugiej stronie obelisku.

- A ty co tu robisz? - spytał ostrym tonem.
- To mój kamień, mój - wymamrotał tamten.
- Wyłaź, żebym mógł cię zobaczyć.

Mężczyzna wyczołgał się na światło. Jedną nogę ciągnął bezwładną i upadł, ledwie spróbował się na niej wesprzeć. Był to wojownik Yernich, jeden z pokonanych ludzi Uali. Wąsy miał połamane, nogę pociemniałą od zakrzepłej krwi.

- Co to znaczy "twój" kamień? - spytał zaciekawiony Inteb.

- Mój! - odparł wojownik z nieco większą pewnością siebie. - Jestem Fan Falna, jeden z tych, którzy zabijają ale sami nie giną, to ja zjadłem niedźwiedzia, jelenia, dzika i konia, i sam je wszystkie zabiłem. Mój kamień. Kamień wojownika. Gdy odciąłem pierwszą głowę i położyłem ją tutaj razem ze złotem, sam, go pomalowałem. Kobiety boją się na niego spoglądać, bo jest wielki, czerwony i mocny jak ja. - Wojownik uderzył się w piersi, ale zaraz powietrze z niego uszło, widać przypomniał sobie o niedawnej klęsce. - Jestem Fan Falna.

- Czy wszyscy wojownicy mają takie kamienie?

Nie odpowiedział, aż Inteb musiał złapać go za kołtun i stuknąć głową o kamień.

- Tylko najlepsi, najwięksi - westchnął tamten. - Widziałem, że Uala zginął. Będzie pogrzeb, ale jego głowa przez wieczność będzie spoglądać na inny dun.

Inteb wrócił do Asona, który siedział ze wzrokiem wbitym w ogień. Oczy mu się świeciły, widać wypił już sporo sfermentowanego mleka.

- Zostaniemy tu do wiosny, aż statek będzie gotowy do powrotu z cyną - oznajmił. Inteb tylko uniósł brwi i nic nie powiedział.

- W kopalni są już inni, mnie tam nie trzeba.

- Twoje miejsce jest tutaj - powiedział Inteb kładąc Asonowi dłoń na twardym udzie. Wolał nie wracać tam, gdzie była Naikeri. - Jesteś wojownikiem, na tej wyspie nie śniło się jeszcze nikomu, że można prowadzić wojnę w taki sposób, jak ty to robisz. Zdobyłeś królewski zaiste skarb. Teraz masz za sobą trzy szczepy. Możesz zrobić z nimi, co zechcesz i nikt cię nie powstrzyma, oni już cię uwielbiają. Zostań tutaj, zapobiegiesz dalszym knowaniom. Mroczny Mąż nie żyje, ale to są wciąż wielkie dzieci, zdolne do wszystkiego. Zostań tutaj.



Z mroku dobiegły krzyki i zawodzenie. Widać było ciemne sylwetki na tle mniejszego ogniska rozpalonego nieopodal.

- Co się dzieje? - spytał Ason.

- To Nemed, druid. Wzywa Matkę Ziemię - powiedział Ar Apa. - Woła, by wzięła zmarłych, którzy należą teraz do niej. Martwi idą do niej i Pani Kurhanów prowadzi ich do Moi Mell.

- Daj mi tu tego druida - rozkazał Ason.

Wojownicy Yernich odwrócili głowy i udali, że nie słyszeli polecenia. Na ten widok Mykeńczycy wybuchnęli śmiechem i dwóch pobiegło, by sprowadzić wyjca. Nemed zjawił się natychmiast, nie miał zresztą wyboru, jednak oczy gorzały mu nienawiścią. Był siwy, a pod białą szatą rysowało się wielkie brzuszysko. Ciężka, złota obręcz przytrzymywała mu włosy, musiał być bogatszy od innych druidów, tamci bowiem nosili tylko skórzane opaski. Nikt nie ośmielił się zabrać druidowi skarbu. Stał przed Asonem i spojrzał nad jego głową gdzieś w ciemność.

- Znam cię - powiedział nagle i wszyscy bliżej siedzący ucichli. - Przybyłeś zza wody z długim, brązowym nożem. Zabiłeś Mrocznego Męża i to było dobre i dlatego nie przeklinam cię za to, co tutaj uczyniłeś...

- Nigdy nie próbuj mnie przeklinać - powiedział cicho Ason, wysuwając dłoń z mieczem. - Masz być mi posłuszny. Nie jestem jednym z tych twoich szczerbatych wojów. Jeśli tylko zaczniesz sprawiać mi kłopoty, bez wahania wypruję ci flaki.

Druid nie odpowiedział. Jednak w tej sytuacji nawet milczenie starczało za odpowiedź.

- Wasz wódz-byk nie żyje. To grodzisko nie nazywa się już Dun Uala, ale Dun Trupa. - Słuchacze ryknęli śmiechem słysząc ten wątpliwej jakości żart. Druid ani drgnął, wciąż wpatrywał się w przestrzeń.

- Będzie nowy wódz - odparł po chwili. - Zostanie wybrany z rodziny Uali. Tak będzie, tak my to robimy.

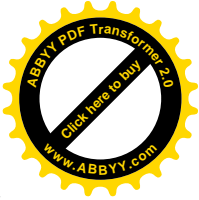
- Robiliście, stary, robiliście. Ale koniec z tym. Może to ja, Ason z Myken wyznaczę nowego wodza. Mogę to uczynić. A teraz wracaj do swoich pisków.

Druid był wściekły. Stał na jednej nodze.

- Jedna stopa! - zawołał i cisza zapadła, w grodzisku w oczekiwaniu na proroctwo, w oczekiwaniu na klątwę...

- Jedna dłoń. Jedno oko...

- A teraz moja kolej! - krzyknął Ason i wciągnął miecz w kierunku druida, aż zatrzymał się o włos od białej szaty.



- Teraz gadaj sobie, ale bacz pilnie na każde słowo. Nie rzucisz na mnie klątwy. Ten miecz zgładził już dzisiaj ludzkie istoty i chętnie pozbawi żywota następnych. Wobec niego jesteś bezsilny, druidzie. Pamiętaj o tym, gdy się odezwiesz.

Zaległa dłuższa chwila ciszy. Druid stał cały czas na jednej stopie. W końcu przemówił.

- Istnienie tego szczepu dobiegło kresu. Teraz nadejdzie początek. Początek, co będzie też końcem.

- Ason uśmiechnął się i opuścił miecz.

- Dobrze powiedziane, siwowłasy. Akurat, więc nie próbuj przedobrzyć. Wszystko ma swój kres, to prawda. A teraz idź.

Druid zniknął i nawet się nie obejrzał. Ason uśmiechnął się chłodno i opadł z powrotem na futra.

- Ludzie są coraz bardziej pijani - powiedział Inteb. - I wlewają swe nasienie w kobiety. Trzeba coś zrobić, bo inaczej w nocy zaczną się kłopoty.

- Jesteś mądrym doradcą, mój Egipcjaninie. Potrzebuję ciebie.

- Cieszy mnie to, mój Asonie.

Tej nocy niewiele spano, roznoszeni wciąż entuzjazmem zwycięzcy pili bowiem nieustannie, jedli i przechwalali się, który więcej dokonał. Pokonanych duch opuścił do szczętu, znikali po kolei w swoich mieszkaniach, gdzie matki i siostry brały się za kurowanie rannych. Ason zasiadł do rozmów z wodzami obu szczepów, które tu przyprowadził, ale ci, zgodnie z obyczajem, zaczęli chełpić się swymi niezwykłymi czynami i do niczego innego chwilowo się nie nadawali. Pospieszny atak na Dun Uala, radość i łupienie podbitych to jedno, a obrządek to drugie. Zwyczaj określał sposób robienia każdej rzeczy i kolejność omawiania różnych spraw. Gdy niebo zaczęło szarzeć, posłano znów po druida, a on z kolei kazał przyprowadzić pracujących w lesie cieśli. Oczyszczili oni ze śmieci dziury przewidziane na łuk wodza. O świcie konstrukcja stała już na miejscu. Wódz-byk zasiadał zawsze na najbardziej zaszczytnym miejscu, w ten sposób, aby pierwsze promienie wschodzącego słońca grzały go miło w plecy, zmuszając równocześnie wszystkich jego rozmówców do mrużenia oczu przed blaskiem. Ponieważ w grodzisku obecnych było jeszcze dwóch wodzów innych szczepów, trzeba było przygotować łuki i dla nich, mniejsze oczywiście, i ustawić je po obu bokach głównego siedziska. Wykopano stosowne dziury, z magazynu pod piętrowym domem przyniesiono okorowane kłody. Były oblepione odchodami zwierząt, ale biała farba szybko dodała im powagi.



Podczas gdy inni pili, Inteb przespał całą noc i teraz został obudzony przez dwóch Mykeńczyków z porannej zmiany warty. Obaj mieli podkrążone oczy. Egipcjanin przyjrzał się z zainteresowaniem budowie łuków. Jak dotąd wszystkie budynki, które widział na tej wyspie, były gorzej niż prymitywnie wzniesione; w Egipcie od biedy mogłyby się nadać ledwie na kurniki. Grodziska nie wyglądały wcale lepiej. Drewniany szkielet wspierał się na wbitych w ziemię palach wzmocnionych dodatkowo ziemnym obwałowaniem. Odstępy między palami wyznaczały szerokość mieszkań na szczycie. Ta niepewna w sumie konstrukcja nie rozsypywała się głównie dzięki drewnianym podłogom pierwszego piętra. Wyższe ściany pleciono z wikliny, co wyglądało masywnie i solidnie, ale nijak nie wzmacniało struktury. Dun Uala wzniesiono tak samo, tyle że znacznie wszystko powiększając. Jak wszędzie, tak i tutaj, mieszkanie wodza znajdowało się na piętrze ponad szeroką bramą. Nawisający dach chronił przed deszczem. Dodatkowo poza murami stały jeszcze dwa okrągłe budynki zamieszkałe przez licznych złotników, cieśli i szewców.

W odróżnieniu od innych szczepów, ci tutaj znali się także na obróbce kamienia. Ich dziełem były wprawdzie tylko zwykłe, wygładzone dokładnie głązy osadzone w dziurach wrytych w twardej, kredowej skale, ale już i to było osiągnięciem. Z drewnem radzili sobie jeszcze lepiej. Inteb śledził uważnie ruchy cieśli obrabiających kłody do budowy łuków.

Za pomocą kamiennych młotów i klinów rozszczepili kłodę i wygładzili miedzianymi toporkami jedną z płaszczyzn, inni tymczasem obrabiali końce żerdzi. Wyróżniał się wśród nich starszy mężczyzna z opuchniętymi stawami. Szybkimi, precyzyjnymi uderzeniami osadzonego na krótkim stylisku toporka wyciął czop wielkości męskiej pięści. Potem podsunęto mu żerdź mającą tworzyć poziomą część łuku. Zmierzywszy wszystko starannie, wziął do ręki ułamany brązowy sztylet i używając go w charakterze dłuta wyłobił stosowne zagłębienie. Bolec wchodził w nie niczym mały palec w ucho.

Pod nadzorem druida ustawiono pale pierwszego łuku i zabezpieczono je kawałkami kamienia. Dużo było przy tym pokrzykiwania i przekleństw. Umieszczenie poziomych żerdzi było nieco trudniejsze, w przypadku głównego łuku najpierw wzniesiono rusztowanie ze zwykłych kłód. Element wtoczono na sam szczyt, potem cieśle wspięli się obok i pod dyktando Nameda unieśli drąg nad głowami i dopasowali zagłębienia do bolców na szczytach pali. Ukończywszy pracę zanieśli się radosnymi krzykami, widać bardzo z siebie dumni.

Wojownicy Yernich schodzili się tymczasem niespiesznie. Gdy pojawiły się drewniane wiadra z wodą i kredą, wojownicy odsunęli budowniczych, złapali przygotowane uprzednio wiązki trawy i wzięli się za pobielanie konstrukcji. Nemed wskazał każdemu szczepowi jego łuk. Wojownicy wyklócali się przy pracy o wiązki trawy, w przerwach używając farby do pokrycia swych włosów i wąsów.



Na samym początku zebrania, czyli już wczesnym popołudniem, Ason dał wszystkim jasno do zrozumienia, kto właściwie wygrał bitwę. Uroczyście doprowadził Ar Apę do łuku po prawej stronie i zawiesił jego tarczę na żerdzi. Potem to samo uczynił z Mowegiem, usadzając go po lewej. Yerni, Mykeńczycy, druidzi i cieśle spojrzeli na największy, środkowy łuk przynależny zgasłemu już Uali. Ason podszedł doń i zapanowała głucha cisza, gdy sięgnął po miecz, obrócił się ku widowni i nagłym ruchem wbił ostrze w belkę. Gdy cofnął dłoń, miecz zawisł, lekko przy tym drgając.

- Mój - powiedział Ason i siadł przed łukiem.

Nikt się nie odezwał, nikt nie rzucił wyzwania, nie zakwestionował prawa młodzieńca do zajętego miejsca i przemawiania w imieniu wojowników pokonanego szczepu. Aż do dnia wyboru nowego wodza w grodzisku rządy przejął Ason.

Wojownicy zanieśli się krzykiem dopiero wtedy, gdy wodzowie zaczęli prezentować swoje zdobycze. Żerdzie zapełniły się głowami zabitych wrogów, na palach zawisły ozdoby poległych. Zanim usiedli, wodzowie zawiesili jeszcze na łukach swoje topory, każdy zaczepiony na pasie z włosów. Topory były ostre, sztylety lśniły jasno, złoto przyciągało oczy. Największe wrażenie wywarł wszakże skarb Asona. Na łuku zawisła brązowa zbroja, tarcza i miecz. Ponad tym wszystkim pojawiła się potargana głowa Mrocznego Męża. Większość obecnych wołała omijać ją spojrzeniem.

Ceremonia ciągnęła się przez wiele dni, ledwo tylko przygasając w nocy czy nad ranem, wciąż bowiem pojawiali się kolejni chętni gotowi stanąć przed zgromadzeniem i wychwalać swe niebywałe czyny. Wojownicy pokonanego szczepu też mieli swój czas. Hańba porażki poszła w niepamięć i wszyscy znów byli pełnoprawnymi wojownikami. Miejscowi przywoływali podczas przemów nawet epizody z ostatniej walki i ich niedawni wrogowie nie widzieli w tym nic dziwnego.

Przy podziale łupów doszło do niejakiej przepychanki. Wojownicy każdego szczepu twierdzili uparcie, że to oni właśnie wykazali się największym męstwem i to im należy się większa część. Gdy od słów przeszli do czynów, Ason dał znać dwóm czuwającym przy nim Mykeńczykom, aby rozdzielili obie strony i przypomniał wszystkim, czyj oręż przysłużył się w tej walce najbardziej. W przypadku sporu o szczególnie pociągający kawałek złota trzeba było wszakże zezwolić na pojedynek, który skończył się krwawo.

Ason pomyślał o igrzyskach towarzyszących pogrzebom w Mykenach. Tam podobne spory uśmierzano organizując wyścigi rydwanów, które skutecznie wyłaniały zwycięzcę, a ten z polecenia miejscowego króla otrzymywał dobra zabitego szlachcica. Ojciec Asona wprowadził ten zwyczaj w całej Argolidzie, zmieniając tym samym krwawe spory między miastami w igrzyska



sportowe. Miecza należało dobywać tylko przeciwko Atlantydom. Może gdyby zarządzić tu wyścigi biegaczy... Ale nie, żaden z tutejszych wodzów nie miał dość władzy, by wyznaczać podobne nagrody ani autorytetu, który uczyniłby taką decyzję ostateczną i niepodważalną.

Całość trwała tak długo, aż stracono w końcu rachubę dni i nocy. Wtedy też doszło do wydarzenia, które zakłóciło niemile tok uroczystości. Pierwszy rwetes podniosły kobiety i dzieci przy bramie. Rozdrażnieni hałasem wojownicy w dalszych rzędach zaczęli przeklinać i wyciągać szyję, by zobaczyć, czemu tamci uciekają. Ostatecznie rozgardiasz dotarł do środka kręgu, gdzie Ar Apa żądał właśnie zwrotu trzydziestu dwóch krów skradzionych z jego grodziska. Zacisnął zęby i tupnął gniewnie, żądając posłuchu. Bezwładny tłum został opanowany przez wojowników, którzy rozstąpili się z wolna robiąc przejście dla postępującej niepewnie dwójki ludzi.

Pierwsza szła Naikeri, brudna i podrapana przez gałęzie. W rękę trzymała rzemień, którego koniec ginął w dłoni prowadzonego przez dziewczynę mężczyzny. Miał tylko jedną dłoń, prawa ręka kończyła się kikutem. Amputacja musiała mieć miejsce niedawno, bowiem rękę okrywała wciąż skorupa zaschłej krwi. Mężczyzna został również oślepiony. Szkarłatne ślady na czole i policzkach wskazywały, że wypalono mu oczy gorącym, metalowym prętem. Stopy miał bose i pokaleczone, kilka szmat za cały strój. Ason nie od razu go rozpoznał, a kiedy dotarło doń, kogo widzi, zerwał się na nogi.

- Atroclusie! - krzyknął.

Mykeńczyk zatrzymał się i obrócił głowę w kierunku Asona.

- Atlantydzi przybyli - powiedział chrapliwie i zachwiał się, jakby zaraz miał upaść.



7.

Ason zabrał okaleczonego Mykeńczyka do swojej kwatery, czyli mieszkania byłego wodza. Nie pozwolił, aby choć jedno słowo więcej padło w obecności całego zgromadzenia. Zamknął się tam z przybyszem. Atroclus leżał bez ruchu, był bardzo wymizerowany i oddychał tak ciężko, jakby zaraz miał skonać. Naikeri chciała coś powiedzieć, ale Ason uciszył ją gestem dłoni. Ukłękł przy Atroclusie, uniósł go lekko i przytknął mu kubek do warg, cicho ponaglając, by choć trochę wypił. Tamten, jak się okazało był bardzo spragniony. Potem Ason opuścił go delikatnie na posłanie z futer.

- Umieram, bracie - powiedział Atroclus spokojnie.

- Wszyscy umrzemy. Ale najpierw powiedz mi imię tego kto to zrobił.

- Właśnie dlatego tu jestem. Nie ma na świecie miejsca dla mykeńskiego wojownika bez prawej dłoni i oczu. Gdy powiem ci już wszystko, skrócisz mieczem me cierpienia. - To ostatnie nie było pytaniem i Ason też przyjął rzecz jako oczywistą.

- Będzie, jak chcesz. Co z naszymi ludźmi w kopalni?

- Nie żyją lub są w niewoli. Choć to była bitwa jak się patrzy. Kilka dni po twoim odejściu Albi z lasu ostrzegli nas, że do brzegu dobiły dwa statki pełne zbrojnych, którzy są już w drodze do kopalni. Wysłaliśmy umyślnego do ciebie, ale było już za późno. Widziałem, jak zginął. Złapaliśmy za broń i uformowaliśmy szereg. Wróg podszedł na odległość rzutu włócznią. Od razu zauważyliśmy, że mają nad nami liczebną przewagę. Zawołałem do ludzi, by, zanim zginą, uśmiercili jak najwięcej Atlantydów. Odkrzyknęli twierdząco, uderzyli mieczami o tarcze, gotowi do walki. Bili się mężnie, nawet ci, którzy nie byli wojownikami. Zginęli wszyscy, został tylko jeden, który znał się na pracy w kopalni i wytopie cyny. Atlantydów było tylu, że mogli wybierać, kogo zabijają, a komu darują życie. Włócznie spadły na nas jak deszcz. Gdy ostatecznie podeszli pod nasz krąg tarcz, wielu z nich padło. Mnie nie chcieli zabić, otoczyli mnie tarczami i przytrzymali włóczniami, aby pojmać żywcem. Nie chciałem tego. Wtedy przywiązali mi ręce z tyłu do drzewca i zabrali do jednego, który siedział z bronią z dala od bitwy, sam nie walczył. Nazywał się Themis.

- Themis, syn Atlasa nie żyje - powiedział Ason spoglądając na swoje dłonie. - Sam go zabiłem.

- Nie, on żyje. Wymówił twoje imię i powiedział, że uderzyłeś go kiedyś jak tchórz. Ledwo o tym wspomniał, poczerwieniał od razu na twarzy, piana wystąpiła mu na usta. Wściekły zerwał hełm i pokazał mi swoją głowę, bezwłosą, bo włosy z niej usunięto, ze złotą płytką przymocowaną płóciennymi opaskami. Z jego przemowy zrozumiałem tylko trochę, ale zapewniam cię, że on żyje.



- Czy ta jego rana była gdzieś tutaj? - spytał Ason, przesuając lekko palcami po głowie Atroclusa.

- Dokładnie.

- A więc to naprawdę Themis. Takie uderzenie powinno go zabić.

- Mówił o tym wzburzony, a nawet krzyczał o swoim cierpieniu i że nie może się już boksować ani walczyć i że gdy idzie, to powłóczy nogami, że się postarzał i że omal go nie zabiłeś. Było też coś o chirurgach z Atlantydy i o tym, jak usunęli połamane kawałki kości, ale tego akurat dokładnie nie zrozumiałem.

- Powinienem wałnąć go mocniej. Normalny człowiek już by nie żył.

- Powinieneś. Ale co się stało, już się nie odstanie. Nie sądzę, aby Themis przybył tu po naszą cynę, zdaje się, że kopalnia go nie obchodzi. Tym zajmie się niejako przy okazji. Nade wszystko chce dostać ciebie...

- A ja chcę dostać jego - powiedział cicho Ason i wziął Atroclusa za rękę.

- ...i resztę spraw ma gdzieś. Jako syn króla Atlasa to on dowodzi statkami. Pokonał wiosenne sztormy, by cię znaleźć. Związał mnie i torturował, zrobił, co widzisz, bym tylko zaczął mówić. Zrobił to, pomimo że jestem mu równy szlachetnym urodzeniem i nie zwykłem kłamać. Nie wierzył mi. Zagroził, że obetnie mi dłoń, jeśli nie powiem prawdy, a ja powtórzyłem te same słowa. Wtedy jeden z jego ludzi wziął wielki topór, obwiązał mi rękę rzemieniami i ciął. Themis dalej upierał się, że go oszukuję, ale ja nie chciałem z nim więcej rozmawiać. Gdy podszedł blisko, przygryzłem język i wyplułem mu krew i ślinę na twarz na znak, że więcej się nie odezwę. Wtedy mnie oślepił i kazał dziewczynie, by mnie do ciebie zaprowadziła. Miałem powiedzieć, że Themis przybył na wyspę i że znajdzie cię i zabije. Chociaż ja mam nadzieję, że to ty odzujesz Themisa i położysz kres jego istnieniu.

- Tak zrobię! - przysiągł Ason i ucałował poparzony policzek krajana.

- Powiedziałem już, co miałem powiedzieć. - Atroclus opuścił stopy na podłogę i stanął prosto. - Pora na dzieło miecza, Asonie. Czy powiesz w Mykenach, że zginałem bohaterską śmiercią?

- Nikogo nigdy nie spotkał chwalebniejszy koniec.

Ason ujął miecz i naprowadził palce Atroclusa na ostrze, by pokazać właściwy kierunek. Niewidomy mąż uniósł głowę, krzyknął "Mykeny" i gwałtownie rzucił się na miecz. Umarł, zanim jeszcze Ason zdążył ułożyć go na podłodze.



Gdy Ason wyszedł przed próg, nakazał dwóm swoim wojownikom wziąć ciało Atroclusa i przygotować je do pogrzebu. Potem stanął na obwałowaniu i spojrzął ponad równiną na krwistoczerwony dysk popołudniowego słońca kryjącego się z wolna za czarnymi zwałami chmur. Obok przeleciały dwa gawrony, zakrakały do siebie, przysiadły na strzesze i zaczęły spoglądać na śmietnik. To był znak, ale Ason nie .wiedział, jak go odczytać. Gdy się odwrócił, ujrzał siedzącą pod ścianą Naikeri. Czekwała na niego. Teraz wstała i przycisnęła obiema dłońmi materię sukni do wyraźnie zaokrąglonego brzucha.

- Atlantydzi walczyli tylko z twoimi wojownikami. Powiedzieli, że nie potrzebują niewolników, więc nas nie zabili. Gdyby wiedzieli, że noszę twoje dziecko, pewnie by mnie nie puścili.

Ason wpatrzył się w dal i nie zareagował nawet wtedy, gdy dziewczyna przysunęła się obok i wzięła go pod ramię.

- Wiem, że dziecko nie znaczy dla ciebie zbyt wiele, ale dla mnie jest ważne, słyszysz?

Uniósł wolną dłoń, by ją uderzyć, ale powstrzymał się, gdy go puściła.

- Słuchaj. Posłuchaj mnie wreszcie. Jestem kobietą, więc mało znaczę w twoich oczach, a że nie pochodzę z Myken, to jakby mnie wcale nie było. Ale mogę ci pomóc, urodzę ci syna, który tak jak ty, też będzie wojownikiem. Atroclus nie wie wszystkiego o Atlantydach. Ja to wiem i mogę ci powiedzieć.

- On nie żyje.

- Żywy też by ci nie powiedział. Z Atlantydami przyszedł pewien mężczyzna, którego widziałam już wcześniej. Prowadził ich od plaży, a podczas walki stał obok Themisa. Był już wcześniej w kopalni razem ze swymi pobratymcami. To nie jest kupiec z Atlantydy, ale Geramani. Wcześniej widziałam go z tymi, którzy zabrali cynę.

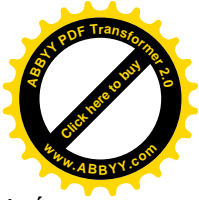
Ason obrócił się, chwycił dziewczynę za szczękę i przyciągnął do siebie.

- Wiesz, co mówisz? - krzyknął. Ona uśmiechnęła się krzywo, ale nie mogła nic powiedzieć, póki jej nie puścił.

- Jasne, że wiem. Wszyscy słyszeliśmy, że Themis przybył, aby cię zabić, pół świata przebył, aby dopiąć swego. Krzyczał o tym przez cały czas. Przywiódł go tu ten Geramani, który dowiedział się, gdzie cię szukać i wiedział też, gdzie jest cyna.

- Za szybko zabiłem Sethsusa. Powinien umierać powoli. Nawet martwy nadal kąsa. Nie tylko cynę zabrał, ale zabił też tych, którzy ją wydobywali. Cyna trafiła na Atlantyde, a wraz z nią wiadomość, że ja tu jestem.

- Jestem przy tobie - powiedziała Naikeri, obejmując młodzieńca. - Jesteś wciąż moim królem.



- Themis musi umrzeć. Trzeba odzyskać kopalnię. - Ason jakby przestał zauważać dziewczynę.

- Pomogę. Albi mogą ich obserwować, powiedzą ci o ich odejściu albo uprzedzą, kiedy siły wroga będą osłabione.

- Mam Mykeńczyków. Mam pod sobą mężów trzech szczepów.

- Masz mnie.

- Musimy atakować. Teraz, zaraz.

- Zawsze będę z tobą.

Odepchnął ją nieprzytomnie i wybiegł. Dziewczyna oparła się o ścianę i spojrzała za Asonem. Czy nie będzie końca zabijaniu? Czy nie ustanie, aż zginą wszyscy mężowie na wyspie?

Gawrony z krzykiem zerwały się do lotu i dziewczyna osłoniła oczy, by ich nie widzieć.



8.

Letnie słońce prażyło niemiłosiernie, a wiatr znad równiny niósł gorące powietrze niczym z pieca. Nocą było chłodniej, ale niewiele i tylko w krótkiej chwili przedświt można było odczuć miłe, przynoszące ulgę podmuchy. Zaraz potem wschodni nieboskłon okrywał się bladością, gwiazdy nikły i wielka, rozedrgana kula słońca wyrastała ponad horyzontem. Nie padało już od trzydziestu dni, spalona trawa pożółkła, strumienie zamieniły się w małe strumyki. Bydło dwa razy na dobę odwiedzało wąskie koryto rzeki Avon, gdzie pokonawszy brzegi taplało się w błocie mącąc cały nurt. Kobiety musiały teraz chodzić spory kawał drogi w górę rzeki, żeby znaleźć czystą wodę. Wracały spocone i ugięte pod ciężarem pełnych dzbanów. Inteb słyszał, jak narzekały wysokimi, płaczliwymi głosami. Egipcjanin ułożył się w cieniu na obwałowaniu grodziska. Przez większość dnia panowała teraz cisza. Zwierzęta zległy przeżuając trawę, nawet dzieci nie dokazywały. Upał nie pozwalał rozpalić pieców do przetopu miedzi, zatem i rzemieślnicy korzystali z cienia, pogryzali słomki i pogadywali sobie leniwie. Jeden z murarzy rozpiął na rusztowaniu plandekę i siedząc w jej cieniu wyglądał kamienną kolumnę. Wznosił młot ponad głowę, uderzał w jakiś oporny widać zadziór, odpoczywał chwilę i znów unosił młot...

Stuk, cisza, stuk, cisza, stuk... Tylko to i nieustanne brzęczenie much. Inteb ziewnął i odpędził owady od twarzy. Chwilami żałował, że nie zabrał się z wojownikami do kopalni. Jednak Ason wolał zostawić Egipcjanina na straży grodziska. Inteb zgodził się chętnie, nie przepadał za walką i nigdy tego nie krył. Z drugiej wszakże strony, w grodzisku nie było wiele do roboty. Wojownicy poszli z Asonem i życie płynęło leniwie, jak zawsze, dzień nie różnił się od dnia. Drzwi skrzypnęły, to Naikeri wyszła z kwatery Asona, niegdysiejszego mieszkania wodza Uali. Dziewczyna też została na miejscu i wyglądało na to, że wszyscy są z takiego obrotu sprawy zadowoleni. Naikeri podeszła bliżej i Inteb niezwłocznie odwrócił głowę udając, że pilnie obserwuje pędzone przez bramę krowy. Usłyszał, jak siada obok i zamknął oczy.

- Powinniśmy porozmawiać - powiedziała. Nie odezwał się.

- Wiem, że mnie nie cierpisz. Mimo to powinniśmy porozmawiać.

Inteb spojrział na nią zaciekawiony. Nieduża kobieta o ciemnej karnacji, czysta i zadbana, zupełnie różna w tym od kobiet Yernich. Nawet atrakcyjna, szczególnie w tych brązowych spódnicach i złotej biżuterii. Nie szkodzi, że piersi miała teraz ciężkie, a brzuch nabrzmiąły rosnącym dzieckiem.

- To nie tak, żebym cię nie cierpiał, kobieto Albich. Powiedziałbym, że raczej nie budzisz we mnie żadnych uczuć.



- Ale kochasz Asona. Widziałam, jak go całowałeś i obejmowałeś.

- Że go kocham to nie tajemnica. Ale że ty o tym mówisz, to niestosowne. Nie chcę poruszać z tobą tego tematu.

Zakaz tylko bardziej zachęcił Naikeri.

- Nie cierpisz mnie, ponieważ ja też go kocham. Kocham go w taki sposób, w jaki ty go nigdy nie pokochasz. Noszę jego syna.

Inteb uśmiechnął się i pacnął muchę.

- Jak na dzikuskę z końca świata, to całkiem niezłe władasz słowem, a mimo to jesteś tylko ciekawostką. Kobiety zawsze są zazdrosne o męską miłość. I nic dziwnego, bo same nie są do niej zdolne. Twoim zadaniem jest rodzenie dzieci i wprowadzanie ich w życie i tyle akurat potrafisz. Taki już jest porządek rzeczy.

- Nie tutaj, przybyszu - syknęła dziewczyna. - Może w tym dziwnym kraju, z którego przypląnąłeś, ale nie tutaj. Wśród mego ludu kobiety i mężczyźni znaczą tyle samo, a kobiety mojej krwi wyżej stoją od innych z rodu Albich. Gdy ja mówię, to słuchają, moje rozkazy są prawem. A my jesteśmy właśnie tutaj, a nie nad tym twoim Nilem, o którym wciąż opowiadasz. Ason też jest tutaj. I potrzebuje pomocy. Razem możemy zdziałać dla niego więcej, niż gdy będziemy podzieleni nienawiścią. Możemy...

- Nic z tego. Raz tylko ci odpowiem, potem zamknę oczy, a ty odejdziesz. Jesteś kobietą, masz rodzić młode i karmić je mlekiem. Twoje miejsce jest wśród bydła, winnaś chodzić tam na czworakach, zamiast przekonywać mężczyzn, że potrafisz mówić.

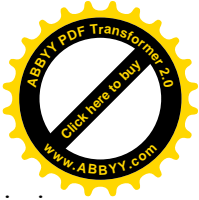
I przymknął powieki, ale nie do końca. Wolał nie tracić Naikeri z pola widzenia na wypadek, gdyby chciała go uderzyć. Miał już do czynienia z kobietami i wiedział, do czego są zdolne. Ona jednak wstała i odeszła w milczeniu. Inteb uśmiechnął się i już chciał odetchnąć, gdy na dole rozległy się pokrzykiwania pastuszków. Podskakiwali i próbowali wspiąć się na grzbiety krów, by móc dojrzeć coś w oddali. Wyżej usadzony Inteb bez trudu dostrzegł rosnący tuman kurzu i drobne figurki nadchodzących ludzi.

- Forus! - krzyknął i załomotał w sąsiednie drzwi. - Wskakuj w zbroję. Ktoś tu ciągnie.

Egipcjanin poszedł po własną zbroję. Przez cienką ścianę słyszał, jak Mykeńczyk oddycha ciężko i klnie pod nosem z bólu. Topór Yernich zgruchotał mu rzepekę w kolanie. Razem z Intebem stanowili teraz jedyną zbrojną obsadę grodziska.

Grotowi stanęli na obwałowaniu. Forus oparł się o ścianę, by choć trochę odciążyc nogę.

Jasne słońce odbijało się od brązowych pancerzy. Intebowi serce załomotało w piersi. To mogą być Atlantydzi... Czyżby Ason został pokonany? Czy wszyscy zginęli? A teraz Atlantydzi przychodzą, by dobić pozostałych... Upał sprzyjał snuciu podobnych domysłów, a rozgrzane,



drgające powietrze nie pozwalało rozpoznać coraz bliższych sylwetek. Forus osłonił oczy dłonią i chrząknął.

- Mykeńczycy - powiedział i usiadł czym prędzej. Inteb upewnił się jeszcze, czy tak jest w istocie, po czym zdjął ciężką zbroję i ruszył na spotkanie.

Mykeńczycy byli sami i mniej ich wracało, niż wyruszyło. Ściągnięte ze zmęczenia twarze, hełmy zawieszane na tarczach... Ason szedł pierwszy, na końcu zaś podążał Aias. Wspierał jednego z rannych.

- Yerni już wrócili? - spytał Ason, pomijając wszelkie powitania.

- Jesteście pierwsi - odparł Inteb.

Ason skinął głową i w milczeniu poszedł prosto do własnej kwatery. Naikeri otworzyła mu drzwi i Inteb poczuł nagle, jak bardzo nienawidzi tej kobiety. Obrócił się do Aiasa.

- Inni mu pomogą - powiedział i wskazał na rannego. - Chodź ze mną, napijemy się świeżego mleka.

- Na rogatego byka, w życiu nie słyszałem lepszej propozycji - zakrakał bokser. Strumyki potu poznały jego zakurzoną! twarz brudnymi szlakami. W progu zdarł z siebie zbroję i wylał sobie na głowę cały dzban wody. Pierwszą miskę mleka wypił jednym duszkiem, potem dopiero opadł z westchnieniem na legowisko pod ścianą i zajął się dolewką. Inteb usiadł obok.

- Nawojowaliśmy się, Egipcjaninie - powiedział Aias. - I niewiele z tego wynikło. Zupełnie jak podczas spotkania dwóch silnych bokserów. Dużo ciosów, dużo siniaków, brak zwycięzcy. Gdyby było nas dwakroć więcej, to owszem. Ale każdego ranka okazywało się, że znów jest mniej Yernich. Mieli już głowy, by zanieść je do grodzisk, mieli skarby, walka się przeciągała. Nie pragnęli nijak rzucać się na atlantydzkie miecze. Do ataku poszło z nami kilkunastu ludzi ze wszystkich szczepów, a i oni uciekli, ledwie dojrzeli błysk brązu. Nie mogliśmy złamać linii wroga. Tak więc skryliśmy się w lasach. Zaatakowaliśmy znów, gdy Atlantydzi wyszli poza teren kopalni. Zepchnęliśmy ich, ale nie było zwycięzcy ni przegranego. Ason pojął, co się dzieje i wróciliśmy forsownym marszem do grodziska przed tubylcami.

Aias pochylił głowę i zasnął. Nie obudził się nawet wtedy, gdy miska wysunęła mu się z palców i gęsty napój pociekł po nogach boksera. Inteb zamyślił się głęboko. Siedział tak jeszcze, gdy o zachodzie słońca pojawił się Ason.

- Aias już mi wszystko powiedział - stwierdził Egipcjanin i przeciągnął zdętwiałe kończyny.

- Zbyt wielu Atlantydów, a Yerni uciekli. Nie cenią sobie kopalni i boją się mieczy. Nie odnieśliśmy zwycięstwa.



- Ale klęska też was nie spotkała - powiedział Inteb starając się rozproszyć ponury nastrój Asona. Jednak mówiąc to pojął, że świętą prawdę mówi. I pojął też wagę tych słów. Znów zamyślony wędrował z Asonem do kręgu rady, gdzie rozpalono tylko mały ogienek, a i tak wszyscy siedli jak najdalej od płomieni. Ason na swoim miejscu, pod łukiem.

- Wiele myśleliśmy o kopalni - odezwał się Inteb. - Za wiele. I niepotrzebnie tylko o kopalni. Jej obraz stoi nam wciąż przed oczami niczym mgła, zasłaniając sprawy ważniejsze.

- Nie ma nic ważniejszego. Mykeny potrzebują cyny. Cyna jest w kopalni.

- To słowa twojego ojca. Słuszne słowa, ale to nie wyczerpuje sprawy. Mykeny nie upadną nie dostawszy tej odrobiny cyny, przynajmniej nie od razu. Ty zaś będziesz miał cynę dopiero wtedy, gdy zrozumiesz, że rzeczy nie są takimi, jakimi zdają się być.

- Zagadkami dziś gadasz, Egipcjaninie, a mnie łeb oli od słońca.

- No to pomyśl, a serce zabije ci żywiej. Oto kraina Yernich, bogata kraina, pełna krów i owiec, ludna i żyzna, obfitująca w zboże i piwo, barcie i miód, mleko i ser. Centrum handlu przyciągające kupców z nader odległych krain. Spośród wszystkich szczepów tej krainy Yerni są najbardziej wojowniczy i rządzą się jak chcą, ale jeden szczep jest silniejszy od pozostałych. A grodzisko tego szczepu największe jest i najbogatsze, bo tutaj krzyżują się szlaki kupców. A ty, Asonie, jesteś królem tej krainy.

- Mów dalej, Egipcjaninie - zawołał Ason, gdy In-teb umilkł. Młodzieniec wydawał się żywo zainteresowany przemową przyjaciela.

- Powiedzieć można jeszcze wiele. Możesz zostać wo-dzem-bykiem tego grodziska i nikt ci się nie przeciwstawi. Gdy zostaniesz już wodzem, będziesz mógł uczynić to samo, co uczynił twój ojciec z miastami Argolidy.

- Zjednoczyć wszystkie szczepy Yernich?

- To da się zrobić. I ty możesz tego dokonać. Niejako wódz-byk, ale jako król. Król będzie mógł odebrać kopalnię Atlantydom. Król będzie władał bogatym krajem, poprowadzi swoje oddziały na pomoc Perimedesowi. Daj Mykenom nie tylko cynę, ale i nowego sojusznika.

- Ale jak? To tak daleko!

- Setnsusowi odległość nie wadziła, gdy chciał zaszkodzić Mykenom. Ty możesz zrobić to samo, ale odwrotnie. Geramani nie są przyjaciółmi Atlantydy, nie są przyjaciółmi Myken, jak wszystkie ludy, myślą tylko o sobie. Być może potrafiliby dostarczać cynę do Myken. Może zaprowadziliby ciebie do kopalń Atlantydom. Może... Może gdybyś był królem. To wszystko jest twoje, wystarczy wyciągnąć rękę.



- Biorę! - krzyknął Ason i roześmiał się głośno. My-keńczykom rozjaśniły się nieco oblicza. Jeśli ich wódz jest w takim nastroju... Z mroku wyłonili się pierwsi wojownicy Yernich, wszyscy zdumieni takimi odgłosami.

- Musisz zjednoczyć szczepy - powiedział Inteb uniesiony wspaniałą wizją. - Uczynić je jednym plemieniem, stworzyć naród, dać im miasto, wkoło którego będą mogli się skupić, tak jak Mykeńczycy garną się do kamiennych murów wielkich Myken.

Ason uśmiechnął się na to wspomnienie.

- Obaj jesteśmy z dala od domu, Intebie. Daleko są Mykeny, Thera i Teby. Tutaj miasta buduje się jeno z ociosanych bali.

- No to zburz miasto drewniane i postaw kamienne.

- Ot tak? Przecież gdybyśmy nawet wykorzystali wszystkie kamienie z tych dwóch kręgów, to czy starczyłoby na fundament choćby jednego odcinka muru?

- Nie, w tym masz rację - roześmiał się Inteb. - Myken tu nie postawimy. Ale jeśli nie miasto, to może chociaż wielki krąg. Każdy tutejszy wódz ma swój kamień, my możemy zbudować wielki kamienny krąg, może i podwójny, jak te kanały na Therze. Niech każdy wielki wojownik ma swój kamień, ale kamienie wodzów będą tutaj i tutaj będą musieli wszyscy wodzowie się zbierać. A ty staniesz się królem ponad nimi.

- Muszę mieć własną kamienną kolumnę.

- I będziesz ją miał, potężny królu. Największy, najwspanialszy kamień, jaki kiedykolwiek tutaj widziano. Ludzie będą przybywać z dala i gapić się nań z podziwem. Wyciosam go tak, jak tylko w Egipcie potrafią i ustawię przy ognisku rady, dokładnie za tobą.

Inteb obrócił się i wskazał na ubitą ziemię za Asonem, gdzie sterczał drewniany łuk. Zamarł nagle, otworzył usta i coś wyraźnie zaświtało mu w głowie. Twarz się rozjaśniła, klasnął rozgłosnie w dłonie i chwycił Asona za ramiona, obrócił go twarzą ku drewnianej konstrukcji.

- Patrz! - krzyknął. - Ten lichy drewniany łuk, który tubylcy tak sobie cenią, pobielony i czczony, godzien jest raczej krowy niż byka. To marnota. Ale wyobraź sobie, jak ten łuk rośnie coraz wyżej i szerzej, jak sięga do nieba. W końcu będzie tak wielki, że nikt go nie obejmie, nikt nie sięgnie szczytu. Tchu im zabraknie, gdy będą podziwiać ten nowy łuk, "henge", jak to tutaj mówią, oczy wyjdą im z orbit.

Dłońmi rysował już na tle nieba nowy kształt. Ason prawie go widział.

- No i nie zrobimy go z drewna - dodał Inteb. - ale z kamienia, porządnego kamienia. Tutaj stanie twoje miasto, tu będzie twoje królestwo, Asonie. Łuk z kamienia (Stonehenge), łuk, jakiego jeszcze tu nie widziano. Zbuduję go dla ciebie, Asonie!





KSIĘGA CZWARTA
ROK 1477 P.N.E



1.

Inteb tak niecierpliwie rwał się do dzieła, że obudził Asona już o pierwszym brzasku. Wytrząsnął go z pośłania, zdzierzył pełne wyrzutu spojrzenie milczącej Naikeri i poprowadził przyjaciela przez chłodny świt. Na wschodzie jaśniała gwiazda poranna. Zatrzymali się w miejscu, gdzie leżały w beładzie wielkie bloki kamienia. Inteb podszedł do najbliższego, obejrzał go ze wszystkich stron, podkopał się nawet podeń jak pies. Ason przyglądał się temu z uśmiechem, przysiadł obok i ziewnął szeroko.

- I co widzisz? - spytał Egipcjanin.

- Kamień.

- I tyle tylko, ale to nic dziwnego, bo jesteś wojownikiem. Potrafisz zatem ocenić szybko, czy twój przeciwnik dobrze włada mieczem. Tak samo ja umiem wejrzeć pod powierzchnię kamienia. Pamiętasz mury Myken i Lwią Bramę?

- Nigdy ich nie zapomnę. Pamiętani też, kto je zbudował.

- Jam to uczynił, tak i teraz wiesz, że mówię prawdę. Zauważ, jak te wielkie głazy tkwią w ziemi. Zupełnie tak, jakby na nas czekały.

- Wielka to zagadka.

- W żadnym przypadku. W Egipcie widzimy to samo. Często pod powierzchnią ziemi kryje się skała, wystarczy zedrzeć wierzchnią warstwę. Tutaj zrobiły to za nas wiatry i deszcze. Spójrz na te ostre krawędzie i drobne rysy.

- Nic mi nie mówią.

- A mi mówią wiele. Skała ma słoje jak drewno i gdy uderzyć w nią umiejętnie, tak samo się rozszczepli. Weźmiemy te dwie największe kolumny i nadamy im stosowny kształt, a potem zabierzemy do grodziska. Osadzimy je zaraz za kamieniem obrad. Wszyscy będą je podziwiać i zastanawiać się, jak te głazy tam zawędrowały.

- A jak tam zawędrują? - spytał Ason patrząc sceptycznie na olbrzymie bloki. Wiedział, że muszą być niesamowicie ciężkie.

- Sposobem, Asonie. Tym samym, dzięki któremu wyrosły mury Myken. Zaczniemy jeszcze dzisiaj.

Ason położył się na chłodnym jeszcze po nocy kamieniu. Drzemał, Inteb zaś krążył między głazami niczym myśliwy tropiący zwierzynę. W końcu obudził Asona krzykiem i doprowadził do długiego, wysokiego do piersi bloku kamienia.

- To jest to - powiedział klepiąc obiekt. Ason spojrzał nań pytająco.



- Jesteś wspaniałym budowniczym, Intebie, nikt temu nie zaprzeczy, ale co można uczynić z głazem wielkim jak okręt? W murach Myken nie ma czegoś tak dużego.

Inteb uśmiechnął się i skłonił Asona do wejścia na górę. Głaz faktycznie przypominał sporą galeryę: nie tylko wielkością, ale i zarysem. Wybrzuszał się pośrodku, zwężał na końcach. Inteb obmierzył go krokami.

- Długi jest na pięciu ludzi, a może nawet dłuższy - stwierdził z zadowoleniem. - Wierzch ma płaski i niewiele trzeba go będzie wygładzać. Miejmy nadzieję, że od spodu wygląda podobnie. Pozostanie jeszcze naprostować boki i usunąć ten wielki występ.

- Starczy nam życia? - spytał z niedowierzaniem Ason. - Chcesz ruszyć te kamienie bez narzędzi? Czy to możliwe?

- Zrobię to, Asonie. Jeśli zapragniesz, zrobię to nawet dzisiaj.

Ason tylko pokiwał głową, ale gdy pojął w końcu, że to nie żart, krzyknął z radości i porwał Inteba w ramiona.

- Jeśli faktycznie możesz to uczynić, wielce ułatwisz mi sprawy. Ustanowię tu moje królestwo. Yerni jeszcze tego nie wiedzą, ale świta dla nich nowy dzień.

- Będę potrzebował wszystkich silnych mężów do pomocy. I kamieniarzy z grodziska.

- Bierz ich wedle potrzeb. Rozkazuj w moim imieniu.

Wrócili do grodziska, zjedli trochę i popili, uzgodnili plany. Naikeri obsłużyła ich na wzgórkę przed domostwem. Słuchała rozmów, ale nic z nich nie pojmowała. Potem Ason nałożył świeżo wypolerowaną zbroję i poszedł zebrać ludzi. Inteb nakreślił patykami na ziemi kilka rysunków i poszedł szukać miejscowego kamieniarza.

- Twoje imię? - spytał. Starszy mężczyzna obejrzał się przez jedno ramię, potem przez drugie, a gdy upewnił się, że to o niego chodzi, wbił spojrzenie w klepisko i Inteb musiał powtórzyć pytanie, tym razem ostrzejszym tonem. Mężczyzna ścisnął zniekształcone pięści.

- Dursan - odparł niechętnie.

- Kto jeszcze tu potrafi obrabiać kamienie?

Dursan rozejrzał się, jakby szukał czyjejs pomocy, nie rozumiał bowiem zbyt dobrze tego śniadoskórego przybysza. Ale niczego ani nikogo nie wypatrzył. Wybąkał, że jest jeszcze dwóch, którzy pomagają mu w pracy. Inteb posłał po nich. Czekaając, przesunął dłońmi po błękitnym kamieniu, który Dursan akurat obrabiał.

- Skąd pochodzi? - spytał. - W okolicy takich nie ma.

- Z daleka.

- To wiem, inaczej bym nie pytał. A teraz zbierz myśli i powiedz więcej.



Nagabywany Dursan zeznał w końcu, że błękitne kamienie przywozi się z dalekiej góry, gdzie jest ich dużo. Trudno je jednak ruszyć z miejsca. Jeden silny wojownik musi wziąć ze sobą pięciu mężów, zaciągnąć kamień na kłodach na brzeg, a potem załadować na solidną tratwę. Później zwykle długo trzeba wiosłować, by wypłynąć z zatoki, a następnie podążać wzdłuż brzegu. Jest to trudne, bo ocean burzy się w różnych porach roku. Podróż dobiega końca u ujścia pewnej rzeki. Z opowieści wynikało, że dalszy transport przebiega w górę nurtu owej rzeki, dalej lądem i znów rzeką, tym razem z nurtem. Tą drugą była rzeka Avon. Przepływała niedaleko grodziska. Inteb zastanowił się, jak ważne muszą być owe kamienie dla tubylców. Tyle pracy...

- Ale czemu właśnie z tamtej góry? - spytał. - Bliżej też musi być sporo dobrego kamienia.

- Zawsze tak robiono. Oni też tak robili, póki ich nie przegoniliśmy. To było za czasów mojego ojca.

- Oni?

- Donbaksho. Wypasali tu bydło, ale nie wiedzieli, jak walczyć. Teraz my mamy bydło, a oni dają nam ziarno. Handlowali tutaj, teraz my tu handlujemy. Zawsze trzymali straż na szczycie góry, tej od kamieni, i patrzyli, czy Albi nie płyną rzeką Domnann. Widać stamtąd cały kanał. Teraz Albi przyplývają do nas z brązem i złotem, i handlują z nami. Nie musimy wystawiać straży na górze. - Dursan chrząknął z satysfakcją. Znaczą, Yerni byli lepszymi wojownikami. Potem pokazał na wielki kamień niemal całkowicie zagrzebany w ziemi. - Widzisz, to nasz kamień narad. Wiesz, jak się tu znalazł? Mój ojciec to zrobił. To był najwyższy stojący kamień plemienia Donbaksho, wszyscy przychodzili, żeby go dotknąć i zobaczyć. Mój ojciec wykopał dół, przewrócił kamień i pogrzebał go. Teraz stoimy na nim, stoimy na Donbaksho.

Niebawem przyszli obaj pomocnicy kamieniarza, zaś pierwsi wojownicy zaczęli opuszczać swoje mieszkania i schodzić na dół.

Zaroilo się jak w mrowisku. Yerni wymachiwali toporami i przyglądali węży, kobiety krążyły w pewnym oddaleniu ciekawe, jaki też może być powód takiego rozgardiaszu w środku dnia. Mykeńczyk obszedł wszystkich i łomocząc mieczem w drzwi wezwał na naradę, tak więc przybyli. Ci, którzy mieli własne kamienie, siedli w ich cieniu lub przytulili się do chłodnej powierzchni, bo dzień był upalny. Ason zjawił się na czele oddziału odzianych w brąz Mykeńczyków i jak zwykle przyciągnął wszystkie spojrzenia. Podprowadził wojowników do kamienia narad, za którym ich rozstawił, sam stając przed nim. Gdy uniósł miecz, gwar rozmów ucichł z miejsca.

- Stoję przy kamieniu narad i chcę wam coś powiedzieć. Zobaczycie dziś coś, czego jeszcze nie widzieliście. Zobaczycie dziś cud, o którym będziecie opowiadać swoim dzieciom. One



opowiedzą także swoim dzieciom i tak dalej bez końca. Zobaczycie, jak robi się coś, co nie jest do zrobienia. A gdy to już się stanie, to powiem wam coś, czego jeszcze nie słyszeliście.

Tłum zaszemrał, zakołysał się. Nikt nie pojmował, o czym mowa, ale wszyscy bardzo chcieli ujrzeć to coś. Poznali już nieco Asona i jeśli on twierdził, że coś zrobi, należało mu wierzyć. Ponownie uciszył okrzykiem tłum.

- Idźcie za mną - powiedział i skierował się do wyjścia z grodziska. Mykeńczycy pomaszerowali za nim, Yerni nie kazali na siebie czekać. Ruszyli hałaśliwą cizbą, kobiety, dzieci i drwale pociągnęli w ogonie pochodu. Nawet druidzi nie wytrzymali i też poszli sprawdzić, co to za nowy pomysł. Ason zaprowadził całe towarzystwo na pole kamieni, wspiął się na ten jeden wybrany przez In-teba. Egipcjanin też wszedł na górę i poprosił Dursana, aby ten podał mu ciężki odłamek głazu.

- A teraz słuchajcie Inteba, który zrobi to, co mi obiecał.

Inteb przekulał nogą okrągły i zielonkawy kamień i wskazał nań palcem. Wszyscy wojownicy posłusznie wbili wzrok w otoczek.

- To jest maul! - zawołał, a ludzie przepychali się i wyciągali szyje, jakby nikt tu w życiu nie widział kamienia. - To twardy kamień, twardszy niż inne. Wasi kamieniarze obrabiają za jego pomocą inne kamienie. Robią to tak.

Schylił się, uniósł odłam, a ważył on jedną trzecią tego, co sam Egipcjanin, i puścił. Rozległ się znajomy huk. Inteb przetoczył ciężar na bok i zebrał na palec trochę białego pyłu.

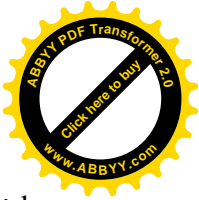
- Właśnie tak to się dzieje. Za każdym razem, gdy twardy kamień upadnie na biały kamień, ten drugi kruszy się trochę. Wieloma uderzeniami można go wygładzić, wyłobić albo nawet wydrążyć. Zawsze trwa to wiele dni. Ale koniec z tym, od dzisiaj zaczniemy pracować po nowemu. Powoli przeszedł całą długość głazu w jedną stronę, potem z powrotem, następnie wskazał na wielki monolit.

- Dzisiaj rozłupimy go na pół. Ja i wojownicy. Gdy zaciągniemy go do grodziska, stanie się on kamieniem Asona. Obrobimy go i ustawimy. Żaden wojownik nie miał jeszcze równie wspaniałego kamienia. To będzie dopiero początek, ale teraz zajmijmy się tylko tym gładem...

Ktoś się roześmiał. Ason skoczył do przodu i wyciągnął miecz ku gapiom, aż co bliżsi się cofnęli.

- Inteb mówi w moim imieniu - zawołał gniewnie. - Jego słowa to moje słowa. Jeśli ktoś się z niego śmieje, ze mnie się śmieje. Zetnę głowę każdemu, kto będzie się ze mnie śmiał. Słyszycie?

Usłyszeli i zrozumieli. Kobiety zakryły twarze, sporo dzieci uciekło. Mężczyźni zostali, byli przecież wojownikami, ale twarze mieli teraz, nomen omen, kamienne.



- Będę potrzebował tylko najsilniejszych - powiedział Inteb z zapadłej ciszy. - Każdy wojownik weźmie zielony kamień. Im będzie silniejszy, tym większy kamień sobie wybierze i tym większego zaszczytu dostąpi. Kilka kamieni już tu jest, a Dursan szuka następnych.

Skoro w grę zaczęły wchodzić siła i honor, wojownicy zatknęli topory za pasy i przystąpili do wyszukiwania jak największych "narzędzi". Większość otoczków w pobliżu nie nadawała się do niczego i mężowie musieli je wyrzucać. Głośno przeklinali, ale w końcu wszyscy wrócili z zielonymi odłamkami. Gdy zebrała się już grupa ponad dwudziestu stosownie wyposażonych wojowników, Inteb kazał przerwać poszukiwania.

- Więcej się nie zmieści. Nigdy jeszcze nie spotkało was większe wyróżnienie.

Wspięli się za nim na górę, przechwalając się swą zręcznością i siłą. Przy pomocy Mykeńczyków Inteb ustawił Yernich w jednej linii wzdłuż krawędzi. Stali ramię przy ramieniu. Słuchali Egipcjanina i ze wszystkich sił próbowali pojąć jego słowa. Zadanie było proste, ale Yerni nigdy jeszcze nie pracowali w zespole, nie wiedzieli, że można zjednoczyć wysiłki grupy. Na górę podano małe kamienie, każdy wielkości pięści, i za ich pomocą wojownicy ćwiczyli uderzenie tak długo, aż wykonywali je prawie jednocześnie. Inteb wyrysował węglem drzewnym dwie linie, obie biegingy przez całą długość głazu, pierwsza odległa o krok od drugiej. Niektórzy zaczęli narzekać na zmuszanie mężów do tak głupich zajęć, ale nikt się nie śmiał. Inteb cierpliwie powtarzał instrukcje, chociaż z wolna zaczęła łapać go chrypka.

- Właśnie, wszyscy stają stopami na tej linii. Nie przed czy za, ale dokładnie na linii. Dobrze. Unieście kamienie nad głowę... trzymać, aż powiem... potem, wszyscy w tej samej chwili... puścić!

Kamyki zagrzechotały nierówno, nie wszystkie trafiły w linię, część stoczyła się aż na ziemię. Mykeńczycy odsunęli gapiów, ale paru chłopców pobiegło zebrać kamyki i podać je z powrotem na górę. Przynajmniej oni bawili się dobrze.

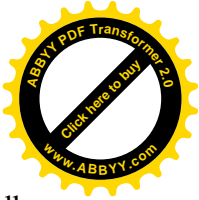
- Nie, niech tam zostaną - powiedział Inteb. - I wyrzucicie pozostałe. Teraz weźmiemy zielone.

Wojownicy ożywili się i sięgnęli po większe ciężary. Osobliwy to był widok, ponad dwudziestu spoconych mężów, każdy tulący spory kamień do piersi. Tłum ucichł.

- Unieść! - zawołał Egipcjanin i szereg posłuchał. - Trzymać! - Niektórzy byli wolniejsi, a jeden nawet upuścił sobie kamień na stopę i zaklął. - Jeszcze wyżej! A teraz... puść!

Zadudniło, wojownicy odskoczyli.

Nic się nie stało.



- Nie dość dobrze, nierówno, nie na samej linii! - Inteb przekrzyczał szmer tłumu. - Albo zrobicie to jak trzeba, albo nic z tego nie będzie, bydlaki. Unieść razem, trzymać razem, puszczać razem... puść!

I znów bez efektu. Tubylcy zaczęli się burzyć i Mykeńczycy musieli dobyć broni, a Ason zaczął krążyć za plecami wojowników.

- Psie syny! - krzyczał. - To trudniejsze niż zabijanie. Tu trzeba się postarać, albo zatłukę was wszystkich. Nie żartuję.

Zmusił ich jakoś, by sięgnęli po kamienie. Protestowali głośno, ale posłuchali. Płazem miecza Ason potraktował jednego, który próbował się odwrócić, przeklął wszystkich w trzech językach. Poskutkowało.

- Nad głowę! Dalej, gównojady! - zawołał. - Jeszcze wyżej, trzymać, wszyscy, co mówię!? I równo, wszyscy razem, bo teraz kamienie mają spaść dokładnie na linię... Teraz!

Pomagając sobie wrzaskiem, Yerni puścili ciężary i głaz zadrżał.

Z jękiem, chrzęstem i hukiem pękł dokładnie wzdłuż wyrysowanej przez Inteba linii. Wielki odłam runął na ziemię, pod stopy rozkrzychanego tłumu.

Wojownicy patrzyli ogłupiali na swoje dzieło.



2.

Wojownicy nie wierzyli własnym oczom. Skała pękła, ale czemu? Przecież nie za sprawą dwudziestu mężów, z których każdy upuścił swój kamień. Taki związek był nie do zaakceptowania. Łatwiej było już uznać, że to grom spadł z nieba. Tubylcy widzieli szczątki zwierząt i drzewa połamane od uderzeń piorunów, znali wielką moc błyskawic. Znali też własną siłę, a ta nie kojarzyła im się nijak z kruszeniem skał. Zeskoczyli na dół, odepchnęli tłum, z otwartymi ustami zaczęli oglądać świeżą biel w miejscu pęknięcia, zbierali odłamki i przypatrywali się im, próbowali nawet je rozgryzać, jakby mogło kryć się w nich coś tajemniczego, niewidzialnego dla oka. Jednak były to tylko kamienie i nic ponadto. Nie dawały się złamać w żaden sposób.

- Słuchajcie! - zawołał Ason stając samotnie na głazie. - Oto dzień wart zapamiętania. Dzisiaj rozłupano wielki kamień Asona. Rozpalimy wielkie ognisko, upieczemy woły i owce, wypijemy, a wszyscy wojownicy zasiądą przy moim boku.

Propozycja spotkała się z rykiem aprobaty.

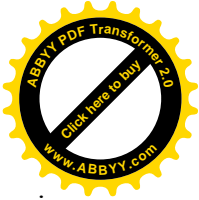
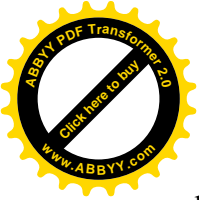
- Dziś wieczorem zostanę nowym wodzem grodziska, które zwać się teraz będzie Dun Ason.

Rozległy się jeszcze głośniejsze krzyki i tylko rodzina zgasłego przedwcześnie Uali spojrziała spode łba. Nowy wódz powinien zostać wybrany spośród nich. Nie odważyli się powiedzieć tego głośno, inni wojownicy bowiem mieli nadzieję na liczne zwycięstwa i zaszczyty, które staną się ich udziałem pod przywództwem Asona. On był tu najsilniejszy, był najgroźniejszym wojownikiem, a teraz wystarczyło jedno jego słowo, by pękły wielkie kamienie. Za takim wodzem-bykiem wszyscy pójną nawet w ogień.

- Teraz zrobimy to samo z drugiej strony - powiedział Inteb uradowany, że znów może obrabiać głazy.

- Może raczej nie - mruknął Ason. - Starczy atrakcji na jeden dzień. Kobiety muszą przygotować ucztę, druidzi też mają sporo do roboty. Jutro wrócimy do pracy.

Nawet podczas nieobecności wojowników Donbaksho dostarczali do grodziska ziarno, a kobiety przygotowywały piwo, które za sprawą upałów fermentowało błyskawicznie w płaskich i szerokich garnkach. Obecnie chłodziło się w mrocznym i zimnym kącie. Przyciągnięto tłustą krowę i pierwszy rzeźnik grodziska, muskularny niewolnik, narzucił brudny od krwi skórzany fartuch, wziął do ręki kamienny młot i ugodził nim precyzyjnie w czaszkę zwierzęcia. Dwóch pomocników trzymało w tym czasie krowę za rogi. Ta padła natychmiast martwa i starsze kobiety rozcięły jej



podgardle, aby złapać jak najwięcej juchy. Potem przywleczono jeszcze inne zwierzęta i przygotowania ruszyły pełną parą. Do wieczora było jeszcze daleko, gdy pierwsi wojownicy siedli już na swych miejscach i dobrali się do piwa.

Rytualnemu mianowaniu wodza przewodził druid Ne-med. Wciąż żywił sporo pretensji do Asona, ale starał się tego nie okazywać. Wdział swe najlepsze szaty i wysokie nakrycie głowy, które zwiężało się ku czubkowi. Prawdziwe cudo pokryte złotem, długie na łokieć i ozdobione wzorami w linie i koła. Stanął między ogniskiem a Asonem, złożył ręce na piersi i poczekał, aż zgromadzenie umilknie. Potem zaczął swoje zawołanie głosem wysokim, z początku matowym, potem coraz żywszym. Z wolna zaczął nawiązywać do tematu, przy czym wykorzystywał stare teksty, które zmieniał tylko tu i ówdzie. Jednak wojownicy i tak siedzieli zasłuchani i potakiwali, gdy słyszeli znane partie tekstu.

Grzmot i wycie wichru,
Skrzypienie i łomot,
Głuchy jęk pękającej skały,
Uszy puchną od takiego zgiełku.

Usłyszałem wielkie dudnienie,
Jakby tarcza o tarczę uderzyła.
Spadające topory, miażdżące topory
Skruszyły czaszki.

To z bitwy się wyłoniła.
Pieśni bohaterów,
Pieśń wojowników, szalejących ze złości,
Pojawili się groźni mężowie, wielcy wodzowie.

A pośrodku stał Ason,
Ason, jak orzeł szybki,
Ason, co wrogów patroszył, krew toczył,
Mąż z długim ostrzem, szarżujący byk.

I gdy się spotkali,
Gdy uderzył Ason,



Uali pękła głowa.
Pepek mu się otworzył.
Przy drugim uderzeniu
Rozpadł się na troje.

Nemed wciągnął powietrze głęboko i prawie jednym tchem wyśpiewał:

Czerwoni od krwi i szarzy od mózgów,
Odcięli
szczęki od głów,
głowy od szyj,
ręce od ramion,
nadgarstki od rąk,
pięści od nadgarstków,
kciuki od pięści,
paznokcie od kciuków,
nogi od bioder,
kolana od nóg,
łydki od kolan,
kostki od łydek,
stopy od kostek,
palce od stóp,
paznokcie od palców,
I rzucili kawałki ciał w górę,
Aż wleciały jak rój pszczół,
I zabrzęczały w blasku słońca.

Tłum krzyczał i zaczął naśladować brzęczenie, które umilkło dopiero, gdy Nemed złapał oddech i raz jeszcze odśpiewał fragment o pszczolach. Reszta była podobna, powtarzała się niczym refren. Tubylcy słuchali tego z o wiele większym zainteresowaniem niż Ason, który nie widział żadnego sensu w opowiadaniu oczywistych bajek, skoro przecież i tak nikt nie dawał im wiary. Nemed długo budował napięcie, aż w końcu obrócił się i wskazał na Asona.

- Macie jakieś pytania? - krzyknął.



- Ja mam pytanie - stwierdził Ason i stanął przed łukiem. - Co szczególnego ma się dzisiaj zdarzyć? Czym ten dzień będzie różnił się od innych?

Ledwo to powiedział, innych dwóch druidów przyciągnęło szamoczącego się słabo mężczyznę. Zapewne jakiegoś jeńca. Ason nie zwrócił nań większej uwagi. Ustawiono go przed druidem i na dany znak puszczono, a Nemed wbił mu w plecy ostry sztylet. Ostrze dosięgło serca i jeniec padł wijąc się na ziemi. Po chwili znieruchomiał. Nie żył.

Gdy jeszcze konał, Nemed stanął nad nim i przyjrzał się uważnie położeniu kończyn. Ze śmiertelnych drgawek wróżyło się o wiele lepiej niż z chmur czy lotu ptaków. Druid musiał być zadowolony z tego, co dojrzał, wyprostował się bowiem i wskazał z szacunkiem na Asona. Zgodnie z obrzędem zdawał pytania i udzielał odpowiedzi. Był to wstęp do uczynienia Mykeńczyka wodzem-bykiem.

Dokonało się.

- Wstałeś wraz z jutrzenką, Egipcjaninie - zawołał Aias z kładki nad bramą, gdy Inteb wychodził z grodziska. Nad równiną snuła się jeszcze mgła, ptaki dopiero się budziły.

- W takim świetle można wyczytać w kamieniu rzeczy, których gdzie indziej nie dojrzysz.

- Wiem. To kwestia cieni.

Inteb zatrzymał się i ciekawie zadarł głowę.

- Jak na pięściarza sporo wiesz o obróbce kamienia.

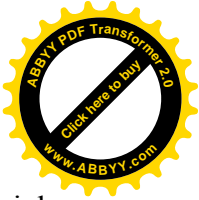
- Jako niewolnik nauczyłem się wielu rzeczy, krzepki byłem i nie myślałem za wiele. Dopiero walka na pięści to odmieniła, ale przedtem pływałem na galerach, pracowałem też w kamieniołomie na wzgórzu Karatepe.

- Tam jest tylko piaskowiec - zachnął się Inteb. - Zębami można go rozłupać. Chodź ze mną, a pokażę ci, jak twardy jest prawdziwy kamień.

Poranne słońce rozproszyło opary i rozjaśniło powierzchnię głazu. Inteb krążył wokół niego i czynił jakieś znaki kawałkiem zwęglonego drewna. Aias przyglądał się i poziewywał; nie spał wcale tej nocy.

- Z tej strony pójdzie nawet łatwiej - powiedział Inteb. - Przede wszystkim tutaj kamień nie jest tak gruby i odłamie się gładko. Yerni wiedzą już, że to możliwe i może uda się ich zapędzić do wspólnej pracy.

- Bat ze skóry konia wodnego byłby dobrym argumentem.



- To działa tylko na niewolników i wieśniaków, Aiasie. Też mi ich brakuje. Gdybym chciał tak potraktować jakiegoś tubylca, skończyłbym z toporem w głowie. Myślę jednak, że przyjdzie czas, kiedy trzeba będzie kogoś poszukać, może tych Donbaksho. Wystarczą silne ramiona i upór w codziennym powtarzaniu tej samej roboty.

Chłopcy wyganiający bydło na pastwiska dojrżeli Inteba przy głazie i wieść o tym szybko ściągnęła co trzeźwiejszych wojowników. Prym wiedli ci, którzy poprzedniego dnia nie mieli okazji pracować kamieniami. Ze śmiechem wspięli się na górę, zignorowali narzekającego na ścieranie znaków Inteba i niczym doświadczeni kamieniarze zaczęli oglądać zielone otoczaki. Gdy ekipa była już w komplecie i tłum zebrał się wkoło, Aias poszedł po Asona.

- Jedno cięcie z każdego boku - wyjaśnił im Inteb. - To opłacalna metoda, oszczędza siły i czas, ale nie każdy to potrafi. - To nie była przechwałka, tylko stwierdzenie faktu i Mykeńczyk dobrze o tym wiedział. - Kamień będzie szeroki u podstawy i coraz węższy ku szczytowi, podobnie jak świątynia Niweserre nad Nilem czy kolumny na podwórku Sahure. To ciekawsza linia, wolę ją znacznie bardziej niż proste płaszczyzny. Zresztą, to i tak nie dla ciebie, twój kamień będzie żywy, jakby dopiero co wyrósł z głębi ziemi. Zaczynamy.

Tym razem wojownicy słuchali uważnie i starali się wszystko zrozumieć. Wiedzieli już, że porywają się na rzecz możliwą. Tłum cofnął się i obsiadł inne głazy. Aias pomógł Intebowi ustawić stosownie ludzi i skoordynować ich działania. Ćwiczenie z kamykami zajęło o wiele mniej czasu niż poprzednio. Gdy kazano im podnieść maule, jeden z wojowników krzyknął "Ason abu!", inni przyłączyli się do zawołania.

Unieśli ciężary wysoko. Gdy padła komenda, opuścili je jednocześnie.

Skata pękła z suchym trzaskiem i wielki złom runął na ziemię.

Widzowie zamarli. Pamiętali, ile razy trzeba było uderzać wczoraj, nie oczekiwali tak szybkiego efektu. Potem wybuchnęli krzykiem i pobiegli obejrzeć cudo. Między pokruszonymi odłamkami leżała gotowa kolumna.

- Teraz musimy ją ruszyć - powiedział Inteb. - Żadnych uczt dzisiaj, musimy skończyć, co zaczęliśmy.

- Będzie, jak mówisz - zgodził się Ason. - Ale nie pojmuję, jak zamierzasz dźwignąć tę górę.

- Ty nie, a ja tak. Dlatego ci służę. W Egipcie pracujemy w kamieniu od niepamiętnych czasów. Najstarsze zapiski nie mówią, kiedy to się zaczęło. Nikt inny nam nie dorównuje, a mało kto dorównuje mojej sztuce. Jednak muszę mieć dobry materiał i ludzi do pracy.

- Tych jest dosyć. Wojownicy kłócą się o miejsca. Zmęczą się w końcu i znudzą, ale znajdziemy następnych. Masz na to moje słowo. Czego jeszcze potrzebujesz?



- Tego akurat nie ma na tej bezdrzewnej równinie. Pni grubych jak twoja noga albo i grubszych. Wielu, naprawdę wielu. I jeszcze lin. Więcej lin niż widziałem dotąd na tej wyspie.

- O drewno jest łatwo. Całe grodzisko zrobiono z bali, a nad bramą są całkiem długie dźwigary. Potem możemy rozebrać jeszcze ściany i podłogi. Kiedy będą ci potrzebne?

- Jak najszybciej.

Następne polecenia wszyscy przyjęli z radością. Wszyscy, prócz cieśli i Naikeri. Klęła i ciskała przedmiotami w ludzi, którzy przybiegli rozbierać ściany mieszkania. Ucichła dopiero wtedy, gdy Ason kazał się jej wyprowadzić razem z majątkiem. Cieśle nie pomagali, niektórzy z nich wznosili to grodzisko w pocie czoła. Jednak dzieło zniszczenia postępowało, chociaż nie było to proste burzenie, a planowy demontaż.

Inteb kierował tymczasem kopaniem jam pod głazem. Jak wszędzie, tak i tutaj, pod cienką warstwą gleby zalegała wapienna skała, którą trudno było usunąć. Trzeba było sięgnąć po ostre, jelenie rogi, potem wybierać przeszkodę po kawałku. Proces powtarzano aż do skutku. Gdy przyniesiono pierwsze kłody, otwory były już gotowe. Belki spoczęły na uszykowanych kamieniach.

- Posłużą za dźwignie - wyjaśnił Inteb. - Nie musisz wiedzieć czemu, ale tak już jest, że dźwignia zwiększa siłę mięśni i pozwala przemieszczać ciężary, których innym sposobem byś nie ruszył. Teraz podniesiemy kamień. Powoli. Co uniesiemy go trochę, to podeprzemy tymi krótszymi kłodami. Potem przesuniemy je pod nim i to będzie pierwszy krok. Do roboty.

Raz jeszcze korzystając z pomocy Aiasa, Inteb pokazał wojownikom, jak mają chwycić belki i wyjaśnił, czego od nich oczekuje. Aias i dwaj Mykeńczycy przygotowali kliny. Do ich wciskania Yerni byli zbyt powolni i nierozgarnięci.

Przy trzech dłuższych drągach było dwunastu ludzi, ośmiu przy czterech krótszych. Czekali niecierpliwie, aż Inteb skończy ostatnie przygotowania. Potem, na rozkaz, zawiśli na kłodach, jednak nierówno, pchając czasem w złym kierunku. Jedna z belek okazała się przegniła i pękła, a kilku ludzi spadło na ziemię. Zastąpiono ją inną, wyjaśniono wszystko raz jeszcze, sześciu Mykeńczyków pokazało nawet, jak prawidłowo obciążyć drąg. Yerni popluli w dłonie i spróbowali raz jeszcze.

Tym razem głaz zadrzał wyraźnie i wkoło podniosła się wrzawa. Wciśnięto kliny i praca ustała, bo każdy chciał obejrzeć powstałą szczelinę. Z niedowierzaniem wsuwano tam dłonie, łapano nawet spłoszone żuki i inne owady. Inteb poczekał, aż tubylcy się napatrzą i zagonił ich z powrotem do roboty. Nowe, wyższe podpory dźwigni ustawiono bliżej i po jakimś czasie skała wyraźnie oddzieliła się od podłoża.

- Starczy! - krzyknął Egipcjanin. - Podajcie mniejsze kłody!



Yerni bali się podejść zbyt blisko do głazu. Byli pewni, że przy lada dotknięciu runie na ziemię lub wręcz się przewróci. Aias i Mykeńczycy musieli wsunąć kłody pod spód, aż wystawały z obu stron przyszej kolumny dwoma regularnymi szeregami okrągłych pni.

- Teraz powoli - zawołał Inteb. - Po trochu będziemy go opuszczać. Nie od razu, bo wtedy zmiądzły rolki i będziemy musieli zaczynać od nowa.

Trzeszczące drągi znów uniosły monstrualny ciężar i kliny zostały wyjęte. Gdy zniknął ostatni, brzemię przejęły pnie. Jęknęły, kilka pękło skutkiem nierówności podłoża, inne jednak trzymały.

Inteb nie chciał marnować czasu i protestował, gdy Yerni rozbiegli się, aby podziwiać dzieło z różnych stron. Jednak na próżno. Przyklękali, żeby zajrzeć pod głaz, dziwili się widząc światło po drugiej stronie prześwitu. Ostatecznie Egipcjanin zdołał nakłonić ich, aby ułożyli kolejne bale przed cieńszym końcem głazu, a sam wspiął się na górę. Ason zaraz do niego dołączył.

- Teraz ruszymy kamień - rzekł Egipcjanin. - Dzisiaj tylko o kilka kroków, aby pokazać wam, że to możliwe i byśmy jutro rano mogli ruszyć z nim do grodziska. Dajcie tu żerdzie.

Tym razem zahaczono je pod grubszym końcem. Na dany znak wojownicy zawisli na balach i kamień zadrżał.

- Raz jeszcze, mocniej!

Zaparli się z całych sił i głaz nasunął się na kolejną kłodę, potem na następną. Przeniesiono drągi i powtórzono manewr. Ostatnia kłoda wyrzała z wolna na światło dzienne. Głaz został przesunięty o dwukrotną rozpiętość rąk mężczyzny.

- To początek drogi - stwierdził z dumą Inteb.



3.

Wiadomości o tym, co dzieje się w Dun Ason, szybko dotarły do innych szczepów, potem do przemieszkującego w lasach plemienia Donbaksho, a nawet do odizolowanych osiedli Albich. Trwała akurat sucha pora roku, zboża już zebrano i zwierzęta miały co jeść, zatem nic nie stało na przeszkodzie, aby wybrać się i obejrzeć ten nowy cud świata. I wielu to czyniło. Codziennie wkoło głazu zbierał się spory tłum gapiów, nigdy też nie brakowało ochotników do pomocy. I bardzo dobrze, transport Asonowego kamienia wymagał bowiem ogromnego wysiłku.

Wyrównano drogę wiodącą z równiny do grodziska, które schudło zresztą znacznie, drewniane bale były bowiem niezastąpione przy niwelowaniu bagnistych zagłębień i wszelkich wybojów. Kamienny olbrzym wędrował obecnie najkrótszym szlakiem.

Zebrano wszystkie skrawki skóry pozyskanej z uboju bydła i dzikich koni, zrobiono z nich solidne rzemieńne sznury i opleciono wkoło kamienia. Zbiegały się tworząc dwie grube i długie liny nasmarowane tłuszczem, by nie twardniały. Dodatkowe liny i splecione pędy roślin przymocowano na przodzie kolumny, by i tam móc zaprząć dodatkowych ludzi do pracy. Masa głazu była tak wielka, że można go było poruszyć, podważając skałę od tyłu, i równocześnie ciągnąć z przodu. Gdy ostatecznie kamień ruszył, pracowało przy nim tylu ludzi, iż Yerni nie potrafili ich wszystkich zliczyć.

- Ja też nie wiem, jak ich porachować - stwierdził Ason. - Czy naprawdę trzeba ich aż tylu?

- Tak - odparł Inteb spokojnie, chociaż nie pozbył się jeszcze wątpliwości. Czy tylu starczy?

Przeliczał wszystko wiele razy i miał nadzieję, że szacunki są akurat-ne. - Aby ciągnąć kamień bez przystanków, potrzebować będziemy przynajmniej pięciuset ludzi przy linach.

- Niewyobrazalna liczba.

- Ja ją widzę. Jeden człowiek ma łącznie dwadzieścia palców, a pięciu ludzi ma sto palców.

Potrzebujemy ich tylu, ile palców ma dwudziestu pięciu ludzi.

- To wciąż bardzo wiele.

- A będzie więcej. Do przetaczania głazu potrzebujemy ludzi, którzy będą przenosili kłody z tyłu do przodu, po dwóch na jedną. Wszystko musi być dokładnie zorganizowane. Ja będę czuwał nad ciągnącymi, Aias będzie pilnował kłód, a ktoś musi jeszcze jechać na kamieniu i nadzorować całość.

- To moje miejsce.

- Najwyższe miejsce, Asonie, nikt inny nie ośmielił się tam stanąć. Możemy zaczynać?



Chociaż przygotowania rozpoczęto o świcie, to właściwa praca ruszyła dopiero blisko południa. Inteb osobiście ułożył liny na drodze: chciał mieć pewność, że zostaną pociągnięte w odpowiednim kierunku. Przed głazem widniały liczne bale, z tyłu czuwali już ludzie wyznaczeni do przenoszenia następnych. Inteb dał znak Asonowi.

- Ruszamy.

Mężowie ujęli liny w dłonie, przerzucili je przez ramiona i zastygli w oczekiwaniu. Egipcjanin wdrapał się na górę, zerknął, czy szeregi stoją prosto i zaczął komenderować.

- Mocno trzymajcie liny. Pochylcie się. Nie ciągnijcie jeszcze, ale przenieście swój ciężar na liny. Poczujcie, jaki opór stawiają. Nie ciągnijcie dłońmi, one mają tylko trzymać liny, to wasze nogi mają pracować. Ugnijcie kolana i przygotujcie się, by na znak rozprostować kolana... Teraz!

Liny napięły się, bale pod głazem zaskrzypiały, ten zadrżał i ruszył.

Niektórzy upadli, inni odwracali się z ciekawością, jeszcze inni próbowali dalej ciągnąć, bez skutku, rzecz jasna. Ason kazał wszystkim stanąć spokojnie i powtórzono operację.

Po wielu nieudanych próbach udało się w końcu skoordynować wysiłki i kamień ruszył powoli. Krok za krokiem był coraz bliżej grodziska. Wyznaczeni ludzie uwijali się przenosząc kolejne kłody, ci przy linach stękali i pocili się, aż do chwili gdy Ason wpłynął na pokładzie tego osobliwego statku przez bramę. Zatrzymali się nad wykopem przygotowanym obok ogniska narad. Na dany sygnał liny zwiotczały i część ludzi padła wyczerpana na ziemię, inni zaś zaczęli dopominać się piwa.

Ason też przysiadł w cieniu osobistego kamienia i zjadł, co mu przyniosła Naikeri. Dziewczyna chciała porozmawiać o poszukaniu jakiegoś nowego mieszkania, ale zbył ją machnięciem dłoni. W tej chwili nic, tylko kamień miał w głowie.

- I co, działamy dalej? - spytał Inteba, który wygramolił się z dołu i opadł ciężko tuż obok.

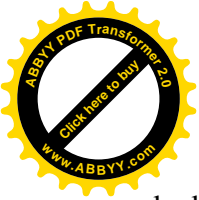
- Tak, i to zaraz, póki zapal w ludziach nie osłabł. Sprawdziłem jeszcze raz wymiary. Wszystko się zgadza. Zauważ, że Dursan z pomocnikami zaokrąglili nieco podstawę, co ułatwi nam manewrowanie kamieniem, gdy osiądzie już w wykopie.

- A jak się tam znajdzie? Magia?

- Żadna magia. Sztuka. Jak widzisz, z tej strony zbocze jamy to rodzaj nasypu, z drugiej jest pionowe i wzmocnione kłodami, które nie pozwolą głazowi przewrócić się, gdy stanie już pionowo. Musimy powoli nasunąć go nad jamę, a gdy ciężar przeważy, sam obsunie się na dno.

- I będzie sterczeć do połowy schowany w ziemi.

- Dobrze to sobie wyobrażasz. Wtedy ustawię go całkiem pionowo przy drugim zboczu, gdzie trzeba będzie go przytrzymać, aż inni zasypią szybko stok kamieniami. Wtedy nasze dzieło



będzie już bezpieczne. Twój pierwszy kamień. Pierwsza podpora kręgu Matki Ziemi, jak to tutaj nazywają.

Inteb dopilnował też, aby w miarę zbliżania się do jamy podsuwać pod głaz coraz większe kłody, tak by kamień znalazł się jak najwyżej nad powierzchnią gruntu. Egipcjanin z doświadczenia wiedział, że to niezbędne, obliczył też przedtem wszystko i teraz pilnował, aby kamień zbliżał się do wykopu lekko po kątem. To było trudniejsze niż zwykle ciągnięcie i wiele przekleństw padło, nim Inteb poczuł się usatysfakcjonowany i kazał ruszać.

Cały czas trzymał jedną dłoń na skale. Gdy koniec zawisł nad wykopem, polecił na chwilę przerwać pracę. Przyniesiono dwa grube drągi i ułożono je na skraju wykopu zaraz po tym, jak usunięto przednią kłodę, aby nie spadła do środka. Znow kazał ciągnąć. Następna kłoda dotarła do drągów i zatrzymała się, kamień jednak sunął dalej. Tłum zaszemrał i cofnął się, gdy cieńszy koniec kolumny odskoczył w górę. Ludzie stojący przy linach uciekli złękniemi, ale głaz osiadał, teraz już pod własnym ciężarem. Kłody strzelały jak żdzbla, aż nagle kamień runął i z wielkim hukiem uderzył w dno wykopu.

Ziemia zatrzęsała się, chmura kurzu przesłoniła na moment słońce.

Kamień sterczał nieruchomo niczym gigantyczny pochylony palec.

Niektórzy zaczęli radośnie tańczyć i śpiewać, jednak robota jeszcze nie była skończona. Inteb musiał uciec się do pomocy Aiasa, by wyciągnąć pomocników z tłumu i ustawić ich z powrotem na miejscu. Przyniesiono przygotowaną jeszcze poprzedniego dnia krzyżową podporę i położono ją przy stromym boku dołu. Była zrobiona z dwóch pni, przy czym pnie związane razem w miejscu przecięcia i wzmocniono jeszcze poprzecznymi drągami: krótszymi, tuż poniżej krzyżówki, i długimi na końcach. Właściwe ich umocowanie miało decydujące znaczenie. Dół podpory ulokowano w specjalnie wykopanych zagłębieniach.

Teraz Inteb musiał wykonać to, czego nikt inny tu nie potrafił. Z jednej strony głazu, trochę poniżej wierzchołka, umocowano ciężką kłodę drewna i poprowadzono od małej poprzeczki na górze liny, które objęły kłodę i po przejściu przez krzyżową podporę opadły na ziemię. Miały posłużyć do ustawienia konstrukcji. Wcześniej jednak dowiązano na szczycie liny nośne.

Podniesienie drewnianej ramy też nie było łatwe. Dwie grupy mężów ciągnęły za sznury obejmujące kłodę na szczycie głazu, inni podpierali pnie od dołu, najpierw rękami, potem za pomocą drągów. W końcu całość stanęła pionowo nad wykopem. Pierwszą wiązkę lin przymocowano do kłody i można było zaczynać.

Każdą z lin ciągnęło stu siedemdziesięciu pięciu ludzi. Jedne miały odciągać górę wspornika od głazu, drugie przesunąć kamień, aż do pozycji pionowej. Inteb sprawdził wszystko raz jeszcze.



- Jesteśmy gotowi - powiedział do Asona.

- Zaczynać.

Rama zaskrzypiała pod obciążeniem. Ludzie wiedzieli już, jak trzeba ciągnąć. Głaz poruszył się i wyprostował powoli.

- Stać! - krzyknął Inteb, gdy skała dotknęła pionowego zbocza. - Trzymać tak, nie ustawać!

Czekali, spoceni i drżący, aż Inteb podejdzie do głazu i dobędzie dziwnego instrumentu, który kazał wcześniej wykonać miejscowym rzemieślnikom. Nikt poza Egipcjaninem nie wiedział, do czego rzecz ma służyć. Było to małe i pełne wody drewniane korytko wydrążone w kawałku gałęzi. Z boku miało przymocowaną niedużą, pionową deszczułkę. Inteb przycisnął ją do kamienia i spojrzął na powierzchnię wody, która miała pokazać mu coś tajemniczego. Wszyscy dziwowali się tym zabiegom, nawet mężowie przy linach rozwarli ze zdumienia usta.

Inteb wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu, musiał jednak ustawić kolumnę pionowo jeszcze przed zasypaniem dołu. Lustro wody wystarczało za wskaźnik, szczególnie że wcześniej wyskalował urządzenie i wyźłobił stosowne znaczki na wysokości lustra wody. Najpierw kazał zakołysać kamieniem, potem obrócić go nieco w jedną stronę, w drugą. Wykrzykiwał polecenia, które Aias przekazywał dalej ubarwiwszy komendy przekleństwami. Słabsi opadli z sił, ale zaraz zastąpili ich następni.

- Teraz! - krzyknął w końcu. - Zasypywać dół!

Z krzykiem zaczęto wrzucać w dół kamienie, jakie tylko nawinęły się pod rękę. Wykop zapełnił się. Potem ubito jeszcze ziemię kłódami i dosypano kamieni dla wyrównania. Po drugim ubiciu gruntu Inteb kazał puścić liny.

Kolumna ani drgnęła. Stała pionowo i mierzyła w niebo, a jej cień zaległ nad grodziskiem. Czegoś takiego jeszcze tu nie było.



4.

Zaraz po zmroku wzeszedł księżyc. W dole trwała już od dłuższego czasu wystawna uczta. Nowy blask z nieba wyzwolił jeszcze większy podziw dla kolumny i dla cienia, który ta rzucała. Najodważniejsi wojownicy podchodzili nawet blisko i dotykali skały. Ason stał oparty o nią plecami; w tej chwili nie bał się niczego. Przyniesiono mu tutaj piwo. Kobiety pojawiły się na uczcie tylko w roli służących, okazja była zbyt ważna, aby mogły świętować wraz z mężczyznami. Ason ignorował początkowo wzywający go głos, ale nie mógł udawać, że nie widzi Naikeri, gdy ta pojawiła się obok.

- Odejdź - powiedział i unióś dłoń, aby uderzyć dziewczynę, gdyby chciała podejść bliżej.
- Musisz coś wiedzieć, coś ważnego.
- Innym razem.
- To ważne. Mam iść do ciebie czy poczekać poza kręgiem narad?

Ason skoczył, by ją złapać, ale uciekła. Zły odszedł za Naikeri od ogniska. Tam zatrzymała się i spojrzała mu w twarz. Pod ubraniem pęczniał coraz większy brzuch. Na ten widok Asonowi złość nieco przeszła, pomyślał o swym przyszłym synu.

- Mam wiadomość o Atlantydach - powiedziała Naikeri. - Chociaż to chyba nie takie ważne, jak twój kamień.

Ason zerknął przez ramię, by spojrzeć na kolumnę z nowej perspektywy. Że dziewczyna gada? I co z tego, one zawsze gadają.

- Co słyszałaś o Atlantydach?
- Wymaszerowali z doliny, żeby cię tutaj zaatakować. Prowadzi ich mój pobratymiec.

Po raz pierwszy od wielu dni Ason zapomniał na chwilę o kamieniu. Spojrzał uważnie na dziewczynę. Atlantydzi rzeczywiście wywietrzeli mu ostatnio z głowy.

- Powiedz wszystko, co wiesz.
- O, teraz chcesz mnie słuchać? Gadasz ze mną tylko wtedy, gdy czegoś potrzebujesz, na co dzień traktujesz mnie jakbym była głupia niczym ten tam głaz.

- Mów o Atlantydach, kobieto - syknął Ason. - Będziesz się popisywać innym razem. Co zaszło?

Kierując się impulsem, Naikeri podeszła do niego, objęła i przytuliła mu twarz do policzka.

- Chcę tylko pomocy - powiedziała. - Wszystko, co robię, robię dla ciebie, mój królu. Nie było nikogo przed tobą i nikogo innego nie będzie, to obiecuję. Noszę twego syna i tego właśnie chcę.



Ason nie był z drewna, zatem położył stwardniałą dłoń na jej włosach. Były miękkie. Stojąc tak blisko wyszeptała mu wszystko, co wcześniej usłyszała.

- Ludzie z Atlantydy są głupi i wciąż szukają jedynie niewolników. Większość okolicznych Donbaksho uszła. Teraz, jak tylko łapią któregoś, zakładają mu obrozę i zamykają, żeby nie uciekł. Ale wiedzą, że Albi to kupcy i że mogą im pomóc sprzedając informacje i żywność, więc ich w niewolę nie biorą. Jeszcze nie. Pomaga im kuzyn mego ojca, Turi. Widziałeś go raz w naszym domu. Ale mówi cały czas, co robi, tak i ja się dowiedziałam. Obcy, imieniem Themis, żądał, aby zaprowadzić go do ciebie, ale Turi bał się, że zginie. Teraz dali mu wiele podarków i zgodził się. Pójdzie z nimi, ale rodzinę wyśle jak najdalej na północ. Inni Albi też odejdą. Turi poprowadzi Atlanty-dów w zasadzkę, gdzie ty będziesz czekać ze swoimi ludźmi. Będzie szedł pierwszy i musisz dać mu uciec. Potem zabijesz wszystkich innych.

- Kiedy? - spytał cicho Ason. Najchętniej zaczęłyby krzyczeć.

- Za trzy dni, w dolinie, którą znasz, za pastwiskami Dun Ar Apa. Kiedyś tam odpoczywaliśmy. Mój krewniak spotka się tam z tobą i pokaże ścieżkę. Opiszę też tego, któremu masz darować życie.

- Nic mu nie zrobię, ale Atlanty-dów zabiję z przyjemnością. Jeśli zdołamy ich zaskoczyć, wyjmemy drani jak ryby z saka. Musimy wyruszyć jeszcze dzisiaj.

Ason wrócił do kręgu i stanął pod kamieniem. Planował bitwę. W grodzisku byli wojownicy z jego teuty i wielu innych Yernich, nawet sam Maklorbi przybył z północy w towarzystwie jedenastu zbrojnych. Wszyscy pomagali przy ustawieniu kamienia. Zjawił się też Ar Apa z wieloma swoimi i wojownicy z Dun Finmog. Wszyscy gotowi byli do wspólnej walki, razem tworzyli liczną armię. Ason był pewien, że za nim pójdą. Da wodzom wspaniałe prezenty, powie o kolumnie żołnierzy wkraczających do lasu, objaśni, jak ich zaatakować i pozabijać. Na razie nawet jeden na dziesięciu Yernich nie mógł pochwalić się brązowym ostrzem do obcinania głów. A przy tej okazji będą mogli zdobyć nawet miecze! Powinno się udać.

- Słuchajcie! - krzyknął i wystąpił przed ciżbę. - Słuchajcie, co wam powiem.

Kiedy uciszyli się, wyłożył im cały plan.

Do Dun Moweg dotarli o pierwszym brzasku, odpoczęli tam i ugasili pragnienie. Gdy Moweg zobaczył tylu mężów i usłyszał, co się szykuje, też zatknął topór za pas i wziął tarczę, a wraz z nim wszyscy jego wojownicy. Byli to wprawni myśliwi i dobrze wiedzieli, że co innego potykać się z pancernym mężem w polu, a co innego wziąć go z zasadzki. Z grodziska



wymaszerowała znacznie większa grupa. Pierwsi szli Mykeńczycy, za nimi wojownicy z Dun Ason. Pozostali podążali wedle swego upodobania, samotnie lub po kilku, gadając w drodze i ganiając wzdłuż kolumny. Wielki, nijak nie zorganizowany tłum złączony jedynie nadzieją na bitwę i zabijanie.

Na skraj doliny dotarli następnego dnia. Tutaj, pod lasem, czekał na nich smagły mężczyzna, który spojrzał trwożnie na topory i miecze, i podszedł do Asona.

- Jestem Gwyn, syn ciotki Naikeri - powiedział pospiesznie. - To ja miałem na was czekać.

- Nie ma się czego bać, niech Atlantydzi drżą ze strachu. Idą tu?

- Są dzień drogi za mną. Nadejdą tą ścieżką. W lesie są powolni. Turi ich prowadzi. Boi się, że go zabijecie.

- Zadbam, aby uszedł cało.

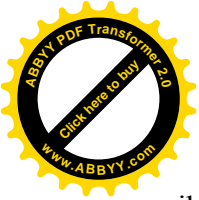
Gdy armia nadciągnęła w całości, Ason zebrał wojowników wkoło wielkiego głazu, a sam wszedł na szczyt.

- Atlantydzi nadejdą tędy - powiedział i wszyscy spojrzeli na przerwę w ścianie lasu. - Drzewa rosną tu gęsto, jest też wzgórze, na które trudno się wspiąć, strumień i moczary poniżej. Atlantydzi będą iść ścieżką, nie zobaczą nas, bo przyczaimy się w lesie po obu stronach. Jesteście myśliwymi i potraficie się dobrze schować. Poczekacie tutaj, ale zaatakujecie dopiero na mój znak. Nie tylko dlatego, że zabiję każdego, kto jest zbyt chciwy i uderzy za wcześnie, ale dlatego że tylko przez zaskoczenie zgładzimy ich wszystkich. Przejdą między nami, a gdy czoło ich pochodu dotrze to tego kamienia, krzyknę i wybiegniecie. Każdy, kto usłyszy krzyk, ma też wrzasnąć i zaatakować.

Podniosły się wiwaty, wojownicy zamachali toporami. Ason poprowadził ich do lasu. Szmery i przechwałki ustały w jednej chwili, teraz ci ludzie robili to, co potrafili najlepiej. Poruszali się cicho jak wielkie koty, groźni i śmiertelnie niebezpieczni, pozbawieni lęku, gotowi do bitwy. Cała ta wielka wyspa należała do nich, nikt nie mógł zagrozić ich supremacji. Nawet odziani w brąz mężowie, którzy budzili wprawdzie respekt, ale nie strach, bo śmierć w walce nie była Yernim straszna.

Posłusznie zajmowali wskazane przez Asona stanowiska między drzewami. Ason doszedł aż do mokradła u stóp wzgórza, tutaj jeszcze łatwiej było schować się między paprociami. Wojownicy odsuwali je łagodnie na bok i przykucali w mętnej wodzie. Ason poczekał, aż ostatni zniknie z widoku i wrócił do punktu wyjścia. Mykeńczycy czekali w lesie tak rozstawieni, aby móc w pojedynkę wyrządzić jak najwięcej szkód Atlantydom. Mieli też przyciągnąć uwagę atakujących, by Yerni mogli w spokoju dopełnić dzieła.

Zapadła cisza, tylko wiatr kołysał gałęziami. Nic nie zdradzało ukrytej armii. Widać było tylko czekających na Asona, Aiasa i Gwyna. We trzech weszli między drzewa i przysiedli w



wilgotnym mchu za wielkim pniem dębu. Aias zdrzemnął się trochę, mruzczał coś przez sen, potem, ocknął się i rozejrzał wkoło. Ason siedział z mieczem w dłoni i wsłuchiwał się w leśne szmery. Dzień chylił się z wolna ku wieczorowi.

Nagle ktoś krzyknął w oddali.

Ason podniósł czujnie głowę. Nie miał pewności, czy naprawdę coś usłyszał, ale inni też wyraźnie się ożywili. Odgłos powtórzył się, tym razem uzupełniony niewyraźnym odzewem.

- Nadchodzą - wyszeptał Aias i pogładził palcami kamienny młot. Widział, jak rzeźnik powalił za jego pomocą wołu i uznał, że dobrze będzie mieć taką broń. Zapłacił za nią miedzianą szpilą. Młot przypominał mu pięść i bardziej odpowiadał niż miecz.

Cała trójka podkraśla się bliżej ścieżki i skryła za płataniną głogu. Znow dał się słyszeć czyjś głos, a chwilę później dobiegło ich szuranie stóp. Na przedzie szedł odziany w brąz Albi, za nim stapał jeden z atlantydzkich wojowników.

- Ten pierwszy to Turi - szepnął Gwyn.

Wróg nadciągał nieświadom niebezpieczeństwa, co znaczyło, że kolumna musiała wejść już między szpaler ukrytych wojowników. Pułapka mogła się zatrzasnąć. Gdy tylko pierwszy zbrojny go minął, Ason poderwał się i wybiegł na ścieżkę.

Był już w połowie drogi, z Aiasem za plecami, gdy jeden z przeciwników go dostrzegł. Krzyknął ostrzegawczo i wyciągnął miecz. Słyszając to, Ason nie czekał już dłużej.

- Uciekaj, głupcze! Uciekaj!

Albi zerwał się do biegu, zanim jeszcze to usłyszał, ale przecież oczekiwał zasadzki. Pilnujący go zbrojny był odrobinę wolniejszy i jego miecz przeciął tylko powietrze. Chciał ścigać przewodnika, potem zrozumiał, że ma Asona już na karku i obrócił się, by spróbować obrony. Mykeńczyk opuścił miecz i krzyknął jak najgłośniej:

- Ason abu!

Potem miecz uderzył w tarczę Atlantyda. Między drzewami krążyło jeszcze echo zawołania, gdy podchwycił je następny wojownik i poniósł wzdłuż ścieżki.

- Ason jest tutaj! - krzyknął Atlantydz i jęknął, gdy ostrze trafiło go w brzuch pod napierśnikiem. Zginął od razu.

Z lasu dobiegły wrzaski i szcęk oręża. Ason wycofał miecz, teraz musiał walczyć o życie. Wszyscy pobliscy Atlantydzi zignorowali zupełnie Yernich i runęli na Mykeńczyka. Pięciu, sześciu jednocześnie, z mieczami, włóczniami i tarczami. Ason cofał się walcząc, aż w końcu oparł się o drzewo.



To jego śmierci pragnął wróg, to do niego Temis pałał nienawiścią, to po niego przy płynęli na ten kraniec świata. Mieli przewagę, ale najpierw padł jeden, potem drugi. Ktoś atakował ich od tyłu. Po chwili padło kilku kolejnych.

Wciąż jednak niezbyt wielu. Ason zablokował mieczem cios, w który ktoś włożył nie dość że całą siłę, to jeszcze masę swego ciała. Chciał przydusić Mykeńczyka. Tarcza powstrzymała następnego.

Znad ich ramion wystrzeliła włócznia. Ason cofnął głowę, jednak zrobił to za późno.

Ostry, brązowy grot ugodził go w szyję i przyszpilił do pnia.

Krew wypełniła mu krtań, nie mógł krzyżeć.

A potem wszystko zniknęło.



5.

Na tle białych obłoków krążyła leniwie para jastrzębi. Każdy kreślił własne koła, ale pozostawały blisko siebie. Samiec dojrzał jakiś ruch w trawie i zawisł w miejscu bijąc skrzydłami. Obracał głowę, aż zobaczył, że coś poruszyło się ponownie. Wtedy runął w dół jak kamień. Skrzydła rozpostarł dopiero nad samą ziemią, której nawet nie dotknął i zaraz zerwał się do lotu z czymś ruchliwym i drobnym w pazurach. Jego partnerka podleciała, żeby spojrzeć na szamoczącą się mysz i oba ptaki niczym liście gnane wiatrem zniknęły w szarawej dolinie.

Liście też były. Spadały czerwone i żółto-brązowe z drzew naznaczonych barwami jesieni. Niektóre dolatywały aż do rżysk pozostałych po letnich pokosach i kratownicy murów samotnie stojącego na równinie grodziska. Wiatr nie był jeszcze chłodny, ale czuło się w nim nadciągającą zimę.

Nawet delikatny powiew i jasne niebo wyciskały Asonowi łzy z poczerwieniałych oczu. Leżał na miękkich i ciepłych futrach, inne futra go przykrywały. Wciąż pamiętał mękę tych nie kończących się dni i nocy choroby, kiedy to ból nie opuszczał go ani na chwilę, kiedy to budził się i znów zasypiał nie mając nawet kiedy oprzytomnieć. Rozległ się cichy śpiew. Obrócił ostrożnie głowę, by spojrzeć na siedzącą obok Naikeri. Ubranie na piersiach miała rozpięte i karmiła dziecko. To ssało gorliwie i poruszało rytmicznie rączkami. Naikeri kołysała lekko niemowlę i nuciła mu jakąś melodię bez słów. Nagle cień przesłonił drzwi. To Inteb.

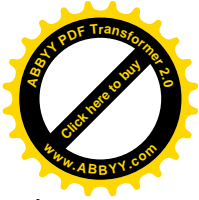
- Obudziłeś się, Asonie? - spytał widząc otwarte oczy Mykeńczyka. Ason przytaknął i wskazał na stojącą na drewnianej skrzyni miskę z kleikiem. Inteb podał mu naczynie i chory podparł się na łokciach, by wypić parę łyków.

- Wczoraj doszedłeś do drzwi - stwierdził Egipcjanin i wziął pustą miskę. - Może dziś spróbujemy dotrzeć na balkon?

- Nie powinien jeszcze wstawać - powiedziała Naikeri potrząsając gniewnie ramionami. Sutek wypadł z ust dziecka, które zaczęło ssać powietrze, aż zaniósło się płaczem.

- To głos lwa - mruknął Inteb. Krzyk umilkł, gdy dziecko znów dostało pierś.

Ason, podtrzymywany przez Inteba wstał. W głowie mu zawirowało i musiał poczekać, wsparty na ramieniu Egipcjanina, aż pokój znieruchomieje. Dopiero wtedy uczynił najpierw jeden niezgrabny krok, potem następny. Nogi miał jak z waty; wiedział, że to skutek długiego leżenia. Oblał się potem z wysiłku, ale dotarł w końcu do wewnętrznych drzwi. Inteb otworzył je kopnięciem i wyszli na powietrze. Przed nimi rozciągało się tętniące życiem centrum grodziska. Zwierzęta, rozbawione dzieci, rzemieślnicy pracujący przed warsztatami i sto jeden innych osób.



I jeszcze coś, coś nowego. Ason słyszał o tym, ale jeszcze nie widział. Mykeńczyk aż wczepił ciasno palce w ramię Inteba.

Tam, gdzie latem wyrósł jeden kamień, teraz stały dwa. Dwie fantastyczne kolumny wyrastały z głębi ziemi i mierzyły wysoko w niebo. Stały tak blisko, że prawie stykały się podstawami, ale pochylone boki oddalały się ku wierzchołkom. Mocarne, potężne i majestatyczne.

- Tak - powiedział Ason chrapliwie i dotknął krawędzi czerwonej blizny, wielkiej szramy na szyi.

Chciałby powiedzieć o wiele, wiele więcej, jednak gardło bolało go wciąż przy każdym słowie. Znacznie słabiej niż kiedyś, ale i tamten ból tkwił ciągle gdzieś w pamięci. Był też zmęczony. Inteb pomógł mu usiąść powoli na skrzyni. Mykeńczyk oparł się plecami o ścianę. Cieszył się ciepłem jesiennego słońca.

- Zrobiliśmy więcej, niż możesz ujrzyć - powiedział Inteb wskazując na wierzchołki kamieni. - Gdy przypatrzysz się szczytom, to zauważysz, że zostały obrobione. Stary Dursan siedział tak długo na rusztowaniu, aż zaczął narzekać, że nie ma już sił tkwić tam niczym ptak na gałęzi. Ale tylko on mógł mi pomóc. Zrównał i skrócił nieco oba kamienie, zaś na środku każdego szczytu zostawił wypustkę; tak samo, jak w drewnianych ogrodzeniach.

Ason zamrugał i spojrzał raz jeszcze. Pośrodku wierzchołków widniały wycięte w kamieniu bolce.

- Poprzeczny kamień jest już prawie gotowy, pracują nad nim tam pod murem. Wyrównaliśmy go jeszcze przed transportem i teraz trzeba tylko wyrobić wgłębienia na bolce. Kazałem zrobić formę z wikliny. Musiałbyś słyszeć, jak tutejsze baby wrzeszczały, gdy powiedziałem im, że mają wejść na górę i zrobić plecionki dokładnie według wzoru, pilnując jeszcze odległości między kamieniami. Pracują zielonymi kamieniami i niedługo skończą. Będzie pasować.

- A jakie czary... uniosą go w powietrze?

- To istotna kwestia. - Inteb złożył dłonie przed sobą i przeszedł się po balkonie. - W Egipcie nie byłoby kłopotu. Czego jak czego, ale piasku jest w mojej ojczyźnie pod dostatkiem. Można nagarnąć go dość, aby zrobić nasyp i wciągnąć po nim kamień. Tutaj jest to niewykonalne. Ta kredowa skała jest twarda prawie tak samo jak granit i budowa samej pochylni trwałaby z rok. Można też inaczej, ale do tego potrzeba dużo drewna, prawie całego lasu.

- Albo kłód z całego grodziska?

Inteb obrócił się powoli i spojrzał na ściany.

- Tak, drewno jest. Ale, jeśli weźmiemy je w całości, to gdzie będzie mieszkać twój lud?



- Zbudują sobie w pobliżu nowe domy, tak jak starsi wojownicy, gdy się żenią. Żaden problem. Ale zanim rozbierzesz moje grodzisko do szczętu, powiedz, po co te belki?

- Nazywamy to podnoszeniem i stosujemy wewnątrz grobowców i budynków, aby ustawiać posągi na miejscach. Podważa się blok, ale zamiast rolek wpycha się pod niego solidną platformę z drewna. - Pokazał dłonią, jak to przebiega. - Potem znów podważamy i dodajemy następną platformę w poprzek. Tak. - Położył poprzecznie drugą dłoń na pierwszej. - To ciężka robota i czasem trzeba ułożyć wiele platform. Gdy blok znajdzie się już na pożądanej wysokości, przepycha się go na miejsce. Ale, jak sam widzisz, to wymaga olbrzymich ilości drewna.

- Będziesz je miał. Jeśli będzie trzeba, rozwalimy całe grodzisko. Potem będę miał mój własny wodzowski łuk, moją bramę i zaproszę na zebranie wodzów wszystkich szczepów. Będę już dość silny, by z nimi rozmawiać, a kamienie przemówią same za siebie. Nawet głośniejsze niż ja. - Oblicze spoważniało mu nagle. - A co z Atlantydami? Są jakieś wiadomości?

- Od Albich nic. Trzymają się z daleka od tamtej okolicy, bo Atlantydzki wielu z nich wymordowali. Niektórzy mówią, że to twoja wina.

- Słyszałem już od Naikeri. Powiedziała też, że to nieważne.

- Zapewne nie, ale jesteśmy odcięci od źródeł informacji. Wojownicy, którzy podeszli pod budynek kopalni i podrażnili załogę kamieniami, przekazali, że zewnętrzny mur jest teraz chyba nawet wyższy i wzmocniony drewnianą palisadą.

- Fortyfikują się. Wiedzą, że przez coś takiego Yerni nie przejdą. - W przypiływie złości uderzył pięścią o ścianę. - Gdybym nie był ranny, poszedłbym do kopalni, zaskoczył ich i wykończył wszystkich.

- Nikt nie wyruszy bez ciebie, ale nie zapominaj, że tamtych Atlantydwów wybiliśmy do ostatniego. Ścigano ich potem po lesie. Starczyło głów dla każdego wojownika, dość było mieczy i pancerzy. To było twoje zwycięstwo, Asonie i oni tu dobrze o tym wiedzą. Pójdą za tobą wszędzie, gdzie ich poprowadzisz.

- A poprowadzę, poprowadzę. Ciało mi się wzmocni, a wtedy zbiorę wszystkich Yernich, zjednoczę ich. Czy mój łuk będzie gotów na święto Samhain, kiedy to zjeżdżają kupcy?

- Będzie. Nawet, gdybyśmy znów musieli pracować na zmiany, przy świetle pochodni.

- No to trzeba wysłać umyślonych. Zebranie wszystkich Yernich ze wszystkich szczepów odbędzie się tutaj. Przed kamieniami. To będzie początek dzieła. Przybędą?

- Czekają tylko na twoje słowo.

- No to niech je usłyszą.



6.

Z zarośli dobiegł groźny odgłos kryjącej się tam dzikiej świni. Cały krąg mężów ugiął kolana, wszyscy napięli mięśnie i nastawili włócznie. Dzik mógł wyskoczyć na nich w każdej chwili, szybki, czarny i przysadzisty. Najgroźniejszy mieszkaniec lasów. Jednym ciosem kłów potrafił rozpruć człowiekowi brzuch czy rozwalić głowę. Wypędzili go właśnie na otwarty teren, gdzie chwilowo schronił się w wielkiej kępie krzaków.

- Jest ranny - powiedział czujny jak wszyscy Aias, który dzierzył swój młot miast włóczni.

- Powierzchnie - odparł zadyszany Ason. Było to krótkie polowanie, ale jego pierwsze od czasu choroby. Gardło bolało go jeszcze przy każdym oddechu, ale już się tym nie przejmował. Z każdym dniem wracały mu siły i tylko to jedno było ważne.

- Dzik, dzik! - krzyknął ktoś z drugiej strony kępy. Rozległy się wrzaski i pofukiwania i niczym czarna błyskawica zwierzę wypadło z zarośli na myśliwych. Kluczyło, by uniknąć ukłucia włócznią, ryło ostrymi kopytami ziemię, aż w końcu nastawiło szable do ataku i runęło na Asona.

Ten zdążył jedynie odskoczyć. Poczul, jak szorstka szczecina drapie mu skórę i usłyszał ostry krzyk Aiasa, który zabiegał bestii drogę.

Dzik był szybki, ale nie dorównywał bokserowi. Młot zatoczył krótki łuk i uderzył zwierzę w bark. Trzasnęło, dzik padł na grzbiet, zamachał nogami. Ason wbił mu włócznię w bok i prawie przyspilił bestię do ziemi.

Dzik ryknął ze strachu i bólu, spróbował złapać drzewce zębami, ale zaraz otrzymał następne ciosy. Chwilę później było po wszystkim.

- Kły są twoje - powiedział Aias do Asona i przysiadł na ziemi obok ubitego zwierza. Dyszał ciężko.

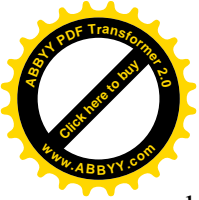
- Ty pierwszy... uderzyłeś - odparł Mykeńczyk między jednym a drugim haustem powietrza.

- Ale ty zabiłeś, królu. Na co takie szable niewolnikowi? Wezmę ogon, to bardziej mi przystoi.

Aias wyciągnął nóż, odciął ogon u nasady i wygładził chwost na końcu. Potem zatknął zdobycz za pas w okolicy kręgosłupa.

- Teraz będę bezpieczny w puszczy - powiedział. - Wezmą mnie za swojego.

Yerni wybuchnęli śmiechem, zaczęli uderzać dłońmi w uda i klepać się wzajemnie po plecach. Nawet Ason uśmiechnął się lekko, oddech z wolna mu się uspokajał. Coś trzasnęło w



popobliiskim gaiku, to jeden z wojowników przygotowywał drzewce do niesienia zdobyczy. Inny pętał rzemieniem nogi bestii. Aias dźgnął zwierzaka w bok palcem.

- Pełen żołądźi i tłusty. Juź mi ślinka leci. Placki, piwo i pieczeń z dzika. Dobrze się żyje tam, gdzie ty rządzisz, wielki Asonie.

Wspierając się na włóczni, Ason wstał i ruszył z powrotem do grodziska. Wojownicy dźwignęli zwierzę i podążyli za swym wodzem. Tubylcy wciąż jeszcze śmiali się i z dumą porównywali swoje białe wąsy z szablami dzika. Podchodząc pod grodzisko, zachwycali się po raz kolejny zaszłymi tu zmianami. Lata ich życia upływały zwykle monotennie, jeden rok był podobny do drugiego, właściwie były identyczne, a każda nowa rzecz wymagała przemyślenia i długich dyskusji, nim ostatecznie została zrealizowana.

A zmiany były. Palisada zniknęła, podobnie jak mieszkania powyżej. Grodzisko otaczał sam ziemny wał z jedną przerwą na wejście. Z dawnych domów pozostał tylko warsztat z piecem, mieszkańcy zaś gnieździłi się w szałasach wzniesionych u stóp nasypu. Było im tam ciasno i ciągle wybuchały jakieś kłótnie, ale wojownicy nie narzekali. Ason obiecał, że zbuduje solidne mury i wygodne mieszkania. Teraz ważne było co innego, to, co odróżniało Asona od innych wodzów-byków, wywyższało ten jeden szczepek: wielka konstrukcja pośrodku grodziska. Dwa sięgające nieba kamienie i trzeci, mniejszy, widoczny na samej górze. Jak zwykle ostatnimi czasy, wojownicy zaczęli pokrzykiwać z dumą, chociaż stos drewna prawie całkiem skrywał kolumny.

Inteb czekał u stóp rusztowania z belek.

- Jesteśmy gotowi - oznajmił Asonowi.

Mykeńczyk wspiał się po długiej drabinie na ostatnią z wielu platform, gdzie leżał podłużny, starannie obrobiony gładz. Dwa bliźniacze zagłębienia nie były teraz widoczne. Obok siedzieli kamieniarze. Ason przesunął dłonią po gładkiej powierzchni bolców na szczytach kolumn i pojął, ile kamienia trzeba było usunąć, aby je wyrzeźbić.

- Jak widzisz zwińczenie osiadzie pewnie na górze. Nie będzie się kołysać - stwierdził Inteb.

- Wielkie to dzieło - powiedział Ason z przekonaniem.

Niewiele kamienia widać było spod drewnianych wsporników. Ostatnie trzy platformy zmontowano po drugiej stronie kolumn, gdzie wznosiło się, podpierające je rusztowanie. Zasadniczą podporą były jednak same kolumny, dzięki czemu platforma na szczycie mogła być całkiem rozległa.

- Teraz przesuniemy zwińczenie - oznajmił Inteb kaźąc podać na górę skórzane wiadra z tłuszczem. Łój był przetapiany dopóty, dopóki nie zgęstniał niczym błoto. Egipcjanin sam cisnął pierwsze garście.



- Smarować tutaj - pokazał. - Nie na brzegach, bo pospadacie. Kamień ma się ślizgać, nie wy.

Ason i Inteb cofnęli się, zaś robotnicy podsunęli pod kamień żerdzie, zablokowali je przymocowaną do platformy kłodą i gdy wszystko było już gotowe, Inteb zaczął śpiewać. Pieśń miała ułatwić wspólną pracę.

- Wepchnij dźwignię, głęboko wepchnij...

- Bu! - odkrzyknęli robotnicy.

- Przyciśnij żerdź i czekaj gotowy...

- Bu!

- Ciągnij, ciągnij, ciągnij, ciągnij!

- Bu!

Nie przestając śpiewać naparli na żerdzie, drewno zaskrzypiało i kamień przesunął się ku kolumnom. Nie ustawali dopóty, dopóki dźwignie miały się na czym oprzeć. Raz poruszony kamień ślizgał się coraz łatwiej, skoro znalazł się już na natłuszczonych belkach. Gdy przerwali, Inteb kazał przynieść piasek i posypać nim platformę pod stopami robotników. Upadek z tej wysokości mógł skończyć się fatalnie. Potem powtórzyli operację. Poprzeczka powoli nasuwała się na właściwe miejsce. Inteb biegał wkoło, zaglądał tu i tam, wydawał polecenia robotnikom. Podważono kamień najpierw z jednej, potem z drugiej strony, a Inteb wpełzł pod spód i sprawdził raz jeszcze dopasowanie elementów. W końcu zadowolony kazał wziąć żerdzie.

- Ostatni krok - powiedział Asonowi ocierając przedramieniem pot z czoła. Ręce miał czarne od tłuszczu i brudu. - Teraz musimy usunąć podpory z obu końców kamienia i przenieść jego ciężar na deski. Będziemy podważać końce i usuwać kolejne deski, a gdy wyjmemy wszystkie, kamień osiadzie lekko na bolcach. To identyczna operacja jak przy podnoszeniu, tylko na odwrót.

Mrucząc pod nosem modlitwę do jakiegoś półzwierzęcego, egipskiego bóstwa, zajął się wydawaniem ostatnich poleceń. Ta część dzieła wymagała największej precyzji.

Gdy głaz oparł się już na deskach, wyciągnięto spod niego kłody i rzucono je na ziemię. Potem podważono ostrożnie kamień, wyciągnięto jedną deskę i opuszczono kamień na następną. To samo zrobiono z drugiej strony.

Nic nie zapowiadało wypadku. Poprzeczny kamień był już bardzo nisko, bolce prawie ginęły w otworach. Jeden mężczyzna zawisł na żerdzi dźwigni, dwóch przytrzymało deski, a czwarty usuwał najwyższą.

Trzask pękającego drewna i pełen przerażenia krzyk rozległy się niemal w tej samej chwili.



Człowiek przy żerdzi runął na platformę, a dźwignia przesunęła się na stos desek i wypchnęła tę prawie już usuniętą. Przez jedną, bardzo krótką chwilę nic się nie działo, a potem deski z jednej strony rozjechały się i posypały na ziemię. Kamienna poprzeczka runęła na szczyt kolumny. Uderzyła z hukiem, odłamki kamienia strzeliły wkoło i kolumna zadrżała. Grunt zafalował jak podczas trzęsienia ziemi. Ludzie rozbiegli się z krzykiem pewni, że zaraz wszystko się zawali.

Czas zaczął płynąć dziwnie wolno. Zupełnie jak krople wody spływające z topniejącego kawałka lodu. Cały świat zdawał się rozpadać.

I nagle wszystko znieruchomiało. Przerażeni ludzie spojrzeli po sobie, ale nic już się nie działo. Otepiali zwrócili oczy na kolumny.

Jeden ze stosów desek zniknął zupełnie i kamień trwał chwiejnie podparty z jednej strony na szczycie kolumny. Wyglądało na to, że boleć siedział pewnie w otworze.

Pełen cierpienia krzyk wezwał ich do powrotu. Inteb skoczył pierwszy.

- Podpory! - zawołał. - Tutaj. Zanim reszta się posypie. Dalej!

Krzyk nie ustawał. Ason zobaczył, że jeden z robotników został przyciśnięty przez kamień do platformy. Ten milczał. Umilkł na zawsze.

Drugi jednak żył i darł się z całej siły. To on usuwał deski, ale nie zdążył wyciągnąć własnej ręki, która uwięzła między kamiennymi powierzchniami. Ciężar zmiażdżył ją doszczętnie.

Ludzie byli jeszcze niespokojni i nieustanny krzyk nie ułatwiał im pracy, a przecież czekało ich trudne zadanie zapobieżenia jeszcze większej tragedii. Ason nie zastanawiał się długo. Podszedł do nieszczęśnika i wyciągnął miecz, po czym uderzył go rękojęścią w głowę.

Wobec strasznego bólu takie stuknięcie było niczym ukąszenie komara, ale Ason starał się być ostrożny. I przesadził z tą ostrożnością, ranny bowiem nie przestał krzyczeć. Drugi, bardziej zdecydowany cios załatwił sprawę.

Spod kamienia wyciekło tylko trochę krwi, tak ciasno przylegały do siebie obie powierzchnie. Ręka tkwiła między nimi aż do łokcia. Ason wydarł ze swego odzienia pasek skóry i obwiązał ciasno przedramię biedaka.

- Trzymaj go, żeby nie spadł - rozkazał najbliższemu mężczyźnie, sprawdził, czy nie stoi na tłuszczu i uniósł miecz nad głowę.

Ciął dokładnie w łokciu. Nieprzytomny ranny zadygotał.

- Weźcie go na dół - polecił.

- Chyba już nic nam nie grozi - powiedział wciąż blady Inteb i Ason otoczył go ramieniem.

- Zawsze coś może się zdarzyć. Nie przejmuj się.

- Przez chwilę myślałem, że wszystko...



- Ale tak się nie stało. Dobrze budujesz, Intebie. Dzieło prawie skończone.

- Ta krew i szczątki ręki zostaną tam na zawsze.

- Nie jest źle, gdy krew spaja kamienie. Pod każdą z kolumn bramy w Mykenach leży jeden niewolnik, by mur dobrze trzymał. Nie przejmuj się. Dokończymy?

Inteb odsunął się i ścisnął razem roztrzęsione dłonie.

- Tak, oczywiście. Trzeba. Zaraz. Mało zostało.

Niektórzy nie chcieli wracać do pracy, ale widok zakrwawionego miecza Asona przekonał ich całkiem skutecznie. Powoli i z licznymi przerwami usunięto deski z drugiej strony, aż kamień stuknął o kamień. Inteb z ulgą położył nań dłonie.

- Oto twój łuk, Asonie. Gotowy na święto Samhain. Czegoś takiego nigdy jeszcze tu nie widziano. Będziesz królem, Asonie.

Wojownicy wkoło nie pojęli wiele z tych słów, ale widok przemawiał do ich wyobraźni. Zanieśli się krzykiem aż do ochrypnięcia i tylko ten jeden, który spadł ze szczytu, leżał cichy i martwy.



7.

Ciemna sylwetka kamiennego łuku pośrodku kręgu obwałowań widoczna była już z daleka. Budyńki wkoło tylko podkreślały jej majestat. Wojownicy z innych szczepów witali widok okrzykami, ich wodzowie zaś kręcili węża i przygryzali wargi. Albi z tobołami też podziwiali dzieło. Pamiętali grobowce zbudowane przez przodków i tym bardziej doceniali kunszt Egipcjanina. Ludzie z plemienia Donbaksho wędrowali często wiele dni, z towarem albo i bez, żeby tylko rzucić okiem na nowy cud. Nawet myśliwi z leśnych plemion podkradali się w pobliże grodziska i przez wiele godzin wpatrywali się w to coś, by potem wrócić do puszczy.

Geramani nadeszli z zachodu, gdzie wylądowali na wyspie. Tworzyli jedną grupę. Ich kobiety dorównywały wzrostem mężczyznom i wszyscy nieśli wielkie paki, czasem większe niż oni sami. Też słyszeli już, że jest tu coś do obejrzenia.

Święto Samhain. Rok miał się ku końcowi, nadciągała zima. Pora spędzania bydła z pastwisk, pora uboju, uczt, handlu i picia. Pora na obieranie nowych wodzów i uroczyste palenie jeńców. Czas dobry na wszystko.

Również i na zebranie wszystkich szczepów Yernich. Czegoś takiego nigdy jeszcze nie było i wszyscy wciąż zastanawiali się, czemu ma służyć takie zgromadzenie. Jednak wodzowie chcieli się pokazać w pełnej gali. Każdy z nich usłyszał, że pozostali już się zgodzili. To ostatnie wynikało z podpowiedzi Inteba, który dość długo obracał się w świecie polityki i wiedział, jak przekonać niezdecydowanych. Bo i jaki wódz-byk chciałby stanąć sam przeciwko sojuszowi reszty wodzów? Tak zatem wypolerowali wszystkie swe brązy i ozdoby na wysoki połysk i przyszli. Do Dun Ason ściągnęło też wielu innych, a wciąż zjawiali się następni. Nigdy jeszcze za ludzkiej pamięci nie było takiego święta Samhain.

Po obu stronach kamiennego łuku zbudowano po dwa łuki drewniane dla pozostałych wodzów. Ason był szczodry. Wykorzystano najdłuższe belki, pobielono je i wbito solidnie w ziemię, tak że każdy z wodzów zasiadł pod łukiem dwukrotnie większym, niż kiedykolwiek dotąd, a i tak konstrukcja Mykeńczyka była najwyższa.

Łuk z białego kamienia górował zdecydowanie. Oto była brama do Moi Mell, Ziemi Obiecanej. Na szczycie pysznił się wypchany byk obwieszony złotem, orężem i odciętymi głowami. Nie do wiary, że to był kamień, a nie drewno. Kamień twardy jak głowica topora. Skała. Wodzowie siedzieli i popijali w milczeniu. Ile razy próbowali podnieść oczy, tak zawsze wcześniej czy później ogrom kamieni przyciągał ich spojrzenie.



W nowym, okrągłym domu tuż za obwałowaniem Ason nakładał świeżo wyczyszczone pancerze. Gdy wiązał je rzemieniami, leżące w futrach na podłodze dziecko za-szczebiotało na widok błyszczących blach. Ason przysunął tarczę bliżej, by mogło musnąć ją rączkami.

- Wódz Maklorbi rozmawiał w nocy z druidem Ne-medem - powiedziała Naikeri. - Sama nie widziałam, ale kobiety mi powiedziały.

- Nie obchodzi mnie babskie gadanie.

- A powinno. Nemed ciągle trzyma z rodziną Uali. Odczytuje dla nich znaki.

- Martwy Uala nie może mi zaszkodzić.

- Ale żywi owszem. Wystarczy, że dogadają się ze zmarłym.

- Nie boję się ani żywych, ani martwych. Gryzę lepiej od nich. - Pokazał ostrze miecza, po czym zatknął broń za pas.

- Ale nie zaszkodzi wiedzieć. Zostałeś wodzem, chociaż zgodnie z tradycją powinien nim zostać ktoś z rodziny Uali. Nie zapomną tak łatwo, że kiedyś byli na szczycie. Teraz nic nie znaczą.

Ason nałożył hełm i nawet nie odpowiedział. Chłopiec rozplakał się, gdy zabrał mu tarczę. Naikeri podniosła i przytuliła syna.

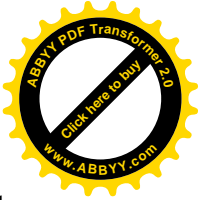
Ason pojawił się, w chwili gdy przyniesiono pieczone. On miał prawo odciąć sobie pierwszą porcję, taką godną bohatera. Potem miała zacząć się właściwa uczta. Zapachniało smakowicie przypieczoną skórą i topionym tłuszczem. Tusza zawisła na żerdziach. Lochę złapano jeszcze latem, potem tuczono ją, aż zrobiła się okrągła niczym kłoda. Jej potomstwo zjedzono już dawno. Ason wyciągnął nóż i sprawdził kciukiem ostrze.

- Jestem Maklorbi - odezwał się nagle wódz plemienia z północy i wstał. - Szedłem sto i sto mil, aby być na uczcie i przywiodłem stu ludzi. Nad moimi drzwiami wisi więcej głów, niż stu ludzi może zliczyć. Zabiłem stu wojowników w bitwie. To ja utnę pierwszy kęs.

Zapadła cisza. Maklorbi przesunął palcami po wąsach, uderzył się w muskularną pierś. Przypominał mocarne drzewo, doświadczone przez liczne wichury. Ramiona miał grube jak nogi zwykłego wojownika. Znany był z waleczności. A teraz wyzywał Asona przy jego własnym ogniu. Naikeri miała rację, szykowały się kłopoty. Ason rozejrzał się. Wszyscy wpatrywali się w niego i wiedział, że nie może zignorować zaczepki. Nie chciał rozlewu krwi, ale cóż miał uczynić? Maklorbi będzie musiał umrzeć.

- Ja potnę mięso - powiedział Ason, unosząc sztylet. Maklorbi dopiero teraz na niego spojrział.

- Jestem Maklorbi i moje imię budzi strach. Sypiam z głową wodza pod kolanem. Tej nocy zasnę z głową Asona.



Teraz wszystko było już jasne. Ason odłożył nóż i sięgnął po miecz. Maklorbi wskazał na siebie, na swój łuk.

- Mam złoto i każdy może je zobaczyć. Zdobyłem w walce hełmy i zbroje i też każdy je widzi. Walczyłem z ludźmi zza morza i zdobyłem to wszystko. Walczyłem jak walczą Yerni, ze sznurem z włosów na szyi, z moim nożem i toporem w dłoni, z tarczą mą na ramieniu. Ręce miałem nagie, pierś nagą i nogi nagie, a wąsy i włosy białe. Tak się walczy. Tak walczy wódz-byk Yernich. Zwiemy się Yerni.

Jego wojownicy poparli wodza krzykiem. Maklorbi klasnął dłońmi o uda. Kilku mężów w kręgu uczyniło to samo, większość jednak zaszemrała i rozejrzała się na boki.

Ason stał nieruchomo. Nagle zrobiło mu się zimno. Za późno już, by uczynić cokolwiek. Wrogowie dobrze wszystko zaplanowali. Nie przyszedł jeszcze w pełni do siebie po chorobie, a Maklorbi był najsilniejszym ze wszystkich Yernich. W zbroi i z mieczem Ason mógł stawić czoło każdemu, ale teraz sam się pokonał. Skoro został wodzem

Yernich, musiał walczyć, tak jak oni. Nie miał wyboru. Oni stawali do boju nadzy, jedynie we włosianej przepasce na biodrach, nie używali wtedy zdobytych pancerzy. Jeśli Ason miał pozostać wodzem tego szczepu, też przyjdzie mu walczyć bez blach. Przyszły król Yernich nie może postąpić inaczej. Tak, nagi jak heros, wrogowie niczego nie przeoczyli, pomyślał Ason. Wódz-byk nie może okazywać słabości, zatem choroba to żadna wymówka. Nie ma wyjścia, trzeba walczyć.

- Maklorbi podchodzi do mego ogniska, wywieszając jęzor jak pies rozgrzany - powiedział Ason. - Maklorbi chce usiąść przy moim ogniu i zjeść moją porcję, porcję bohatera. Powiem wam, co dostanie Maklorbi. Nigdy już nie zje ani nie wypije, bo zabiję go i utnę mu nożem głowę i dziś w nocy ułożę ją sobie pod kolanem.

Mówiąc to Mykeńczyk rzucił na ziemię miecz i tarczę i zdarł pancerze z ciała. Na bok cisnął także hełm, zostawił tylko zawieszony na szyi sztylet. Potem podjął tarczę, wsunął dłoń w pętlę.

- Jestem Ason z Myken - zawołał. - Jestem Ason z Yernich z Dun Ason i to mój łuk. Jak dotąd zabijałem, tak i Maklorbiego zabiję toporem. Wzywam mego przyjaciela Ar Apę z Dun Ar Apa, by wyświadczył mi przysługę i pożyczył mi swój topór do tej walki.

Ar Apa zerwał się na nogi i cisnął topór nad ogniskiem. Ason złapał go w locie.

- Maklorbi abu! - krzyknął wódz, uderzył toporem o tarczę i postąpił krok.

- Ason abu! - zawołał Ason i uczynił to samo.

Zaczęła się walka.



Już po pierwszych ciosach wiadomo było, kto wygra. Maklorbi przewyższał siłą Asona. Gdy jego topór uderzył w tarczę Mykeńczyka, temu ostatniemu ramię zdrętwiało. Jego własne cięcie zostało odparowane. Nie otrząsnął się jeszcze po pierwszym wstrząsie, gdy nadszedł drugi i trzeci. Ason cofał się, a Maklorbi postępował za nim machając toporem, jakby ścinał drzewo. Z każdą chwilą Mykeńczyk czuł, że siły go opuszczają. Odpowiadał coraz wolniej, dyszał z wysiłku. Przy kolejnym ciosie topór rozciął mu skórę na ramieniu, popłynęła krew.

Na ten widok widzowie ryknęli głośno. Maklorbi odstał, potrząsnął nad głową tarczą i toporem i wydał jakiś wojenny okrzyk.

Ason czuł, że rana nie jest głęboka, ale krwawi obficie. Każda spadająca na ziemię kropla osłabiała go jeszcze bardziej. Śmierć była blisko, a on nie chciał umierać. Maklorbi splunął i znów wrzasnął. Ason wysunął rękę z pętli i chwycił tarczę dłonią.

- Ason abu! - krzyknął chrapliwie i skoczył do ataku.

Maklorbi stał pewnie na szeroko rozstawionych nogach i uśmiechał się ukazując pojedyncze sztuki żółtych zębów. Ason zamachnął się szeroko, aż powietrze zaświszczało, i wymierzył cios w bok przeciwnika. Tamten osłonił się tarczą, a wtedy Ason pchnął go własną tarczą w twarz.

Wzmocniona krawędź ugodziła Maklorbiego w usta, aż ten zachwiał się z bólu i cofnął. Ason czym prędzej uderzył go toporem w prawą rękę. Nie ostrzem wprowadził, ale masa kamiennej głowicy starczyła, by wytrącić Maklorbiemu broń z dłoni.

Zanim Mykeńczyk zdołał wyprowadzić nowy atak, przeciwnik odrzucił własną tarczę i runął na Asona, łapiąc go za gardło.

Ból był tak potężny, że przez chwilę przyćmił wszystko inne. Jak przez mgłę Ason ujrzał przed sobą rozwartą paszczę Maklorbiego z krwawymi pieńkami zębów. W głowie mu huczało, nie mógł się nawet zamachnąć toporem, zresztą, przeciwnik był za blisko. Puścił broń i ścisnął dłonie w pięści, ale nie na wiele to się przydało. Wkoło wybuchła wrzawa, z której Ason mało co rozumiał, nagle dotarł jednak do niego jeden głos, który krzyczał coś ledwie zrozumiałego, podpowiadał coś. Ason z początku nie rozumiał, potem nagle pojął w czym rzecz i sięgnął nie do gardła Maklorbiego, ale do jego twarzy. Zatopił kciuki głęboko w oczach przeciwnika.

Wiedział, że tak walczą tylko niewolnicy, wojownik nigdy nie wpadłby na podobny pomysł. Jednak dalej oślepił wroga.

Triumfalny krzyk Maklorbiego ustąpił miejsca jękowi bólu. Wielkie łapska odskoczyły od szyi Asona i przywarły do krwawych oczodołów.

Ason schwycił sztylet i jednym ruchem wbił go przeciwnikowi pod żebra, aż w końcu sięgnął serca.



Ciężko łapiąc powietrze i mało co widząc z bólu, Mykeńczyk pochylił się nad trupem. Widzowie nie milkli ani na chwilę, krzycząc cały czas "Ason abu", on zaś powoli odciął głowę od karku. Ręce miał po łokcie czerwone od krwi, gdy uniósł w końcu czerep za jeden z długich wąsów i podszedł powoli, krok za krokiem, do swego wielkiego, kamiennego łuku. Tam cisnął głowę w szczelinę między kolumnami, martwym obliczem do ogniska narad.

- Jestem Ason, wódz-byk Yernich - wychrypiał i oparł się plecami o chłodny kamień, by nie upaść.



8.

Ason łyknął łąpczywie piwa i zapił miodem, który łagodził nieco cierpienie. Ból gardła ustępował powoli. Pozostali trzej wodzowie popijali w milczeniu, zaś wielka świnia stygła na żerdziach. Gdy wojownicy zabitego wodza przyszedli zabrać jego ciało, Ason nie pozwolił go ruszyć i kazał im wracać na miejsca. Sam dźwignął się, by ukroić pierwszą porcję mięsa. Bezgłowy zezwłok pozostał przy ogniu na całą resztę wieczoru jako milczące memento.

Mimo to humory poprawiały się szybko. Jadła i piwa było pod dostatkiem, niebawem rozległy się krzyki i coraz głośniejsze przechwałki. Po zmroku podsycono ognisko żywicznymi kłodami i płomień strzelił wysoko. W jego blasku kamienny łuk zdawał się potężnieć i przytłaczał swym ogromem. Gdy wodzowie podeszli doń, żaden nie oparł się pokusie, by musnąć skalną powierzchnię. Ason jakby nie zauważał tego wszystkiego, ale we właściwej chwili wstał i sam dotknął kamienia. Wszyscy umilkli.

- Jestem Ason. Zabiłem sto razy po stu wrogów. Zabiłem dwóch wodzów-byków. Zabiłem Atlantydwów. Zabijałem wszystkie zwierzęta, co żyją na tej ziemi, łapałem każdą rybę, co pływa w tym morzu. Jestem wodzem-bykiem grodziska. Zbudowałem kamienny łuk.

Prawda działała silniej niż czcze przechwałki. On naprawdę to wszystko uczynił. Łuk był dowodem. Nie odezwał się żaden głos sprzeciwu.

- Po raz pierwszy pięć szczepów Yernich spotkało się dzisiaj z okazji święta Samhain. Przyszliście jako wodzowie własnych teut i zawsze nimi będziecie. Ale jest jeszcze coś więcej. Wszyscy jesteśmy jednym ludem i gdy staniemy razem, nikt nas nie pokona. Proszę was, abyście przyłączyli się do mnie, aby wszystkie szczepy zjednoczyły się. Proszę was o to tutaj, w grodzisku Yernich, grodzisku, jakiego nigdy jeszcze nie widzieliście. Kamiennym. Jeśli się do mnie przyłączycie, wasze drewniane łuki zostaną rozebrane i na ich miejscu staną łuki kamienne, takie jak ten. Tak będzie.

Spojrzeli wszyscy najpierw na swoje konstrukcje z bali, potem na kolumny Asona. Oczami wyobraźni ujrzeni nowe znaki swych godności. To było coś! Ar Apa aż krzyknął z wielkiej radości.

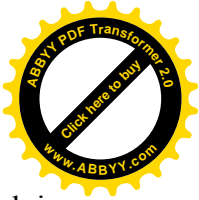
- Ar Apa abu! Ason abu!

- Ason abu - powtarzało coraz więcej głosów, a gdy ucichły, Ar Apa znów się odezwał.

- Ason, czy będziesz wodzem-bykiem wszystkich Yernich?

Ason przycisnął z namaszczeniem dłoń do kamienia.

- Będę.



Znów rozległy się krzyki i można było odnieść wrażenie, że wszyscy są przychylni planowi. Wodzowie nie mieli nic na tym stracić, a mogli sporo zyskać. W lasach na dalekiej północy żyły jeszcze inne plemiona, które napadały na stada bydła. Teraz da się im stosowny odpór. Będzie wiele łupów. A kamienne łuki zostaną na zawsze. W chwili największego wybuchu entuzjazmu Ason poprosił o ciszę i wskazał na Inteba.

- To Inteb, Egipcjanin, budowniczy. To on ociosał i ustawił dla mnie te kamienie. Powie wam teraz, co jeszcze tu stanie.

Z początku Ason odniósł się do planu Inteba z rezerwą, jednak im dłużej nad nim myślał, tym bardziej zapalał się do pomysłu. Potrzebował czegoś więcej niż tylko godności głównego wodza, musiał mieć pod ręką dość wojowników. Inteb wiedział, jak to załatwić.

- Tutaj będzie pięć łuków dla pięciu wodzów. - Wszyscy spojrzeli tam, gdzie Inteb wskazał.
- Wokół stanie kamienne grodzisko dla wojowników. Krąg kamieni połączonych na górze, z drzwiami do mieszkań.

Inteb musiał odczekać chwilę, aż słuchacze się uspokoją.

- Tak jak każdy wojownik z Dun Ason ma swój kamień, tak i najdzielniejsi wojownicy z innych szczepów będą mieli swoje drzwi w tym kamiennym kręgu. Nad nimi to będą wieszać głowy, a podczas uczt też zdobycze i broń. Takie będzie właśnie to grodzisko Yernich. Kamienne.

Teraz nikt już nie siedział cicho. W ogłuszającej wrzawie Ar Apa podszedł do Asona i usiadł obok. Wypili razem i Ason oddał wojownikowi jego topór.

- Byłeś przy mnie, gdy cię potrzebowałem.

- Dobrze sprawiłeś się tym toporem i to będzie ci pamiętane. Ale chcę cię o coś spytać. Twój Egipcjanin nie powiedział, ile drzwi będzie w grodzisku.

- Nikt go o to nie spytał.

- To prawda. Ale jak pomyślałem o drzwiach w moim grodzisku i o wszystkich wojownikach, którzy są tutaj, to wydało mi się, że krąg będzie musiał być bardzo wielki.

- Będzie, ale nie aż taki. Błękitne kamienie zostaną przestawione. Powstanie krąg z trzydziściorgiem drzwi. Przynajmniej tak mówi Inteb. Wielka praca.

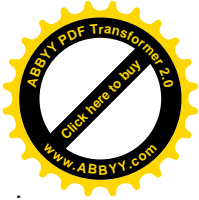
- Trzydzieści to wiele?

Ason pokazał palce prawej dłoni.

- To jest pięć. Jest pięć szczepów. - Dodał kciuk lewej dłoni. - To jest sześć. Będzie po sześć drzwi na każdy szczep. To daje razem trzydzieści.

Ar Apa zmarszczył czoło i podłubał palcem w ziemi.

- W moim szczepie jest więcej niż sześciu wojowników.



- Owszem. Ale tylko sześciu spotka ten zaszczyt. Najsilniejszych. To będzie wyróżnienie. Wojownicy zaczną się starać, aby znaleźć się w tej szóstce. Będziesz mógł na nich zawsze liczyć.

Ar Apa pomyślał o tym, przytaknął i prawie się uśmiechnął. Czasem niełatwo sprawować władzę, zawsze zjawiają się jacyś rywale i wewnątrz-plemienne spory nigdy nie milkną. Możliwość wyróżniania przyda się, żeby ich ułagodzić. Ar Apa wrócił przed swój łuk, popił jeszcze, rozejrzał się i uznał, że to grodzisko to całkiem dobre miejsce na zebrania wszystkich Yernich.

Ason z ulgą oparł się o kamień i też sięgnął po napój. Był zmęczony, gardło znów zaczynało go boleć. Ale Inteb miał rację. Zdobyć ich wszystkich. Kamienny krąg będzie mógł powstać.

Noc zapadała coraz głębsza, wojownicy upijali się radośnie i Ason chętnie by się położył już spać, ale nie mógł zostawić gości. Dużo później Inteb dołączył doń z kubkiem piwa w dłoni.

- Doszło do przykrego wypadku - powiedział. - Druid Nemed nie żyje.

- To miła wiadomość. - Ason dotknął szyi. - Jak to się stało?

- Znalezione go leżącego na ziemi. Musiał się chyba przewrócić, ale tak nieszczęśliwie, że trafił głową w kamień.

- Słabe czaszki mają ci druidzi. A może ktoś pomógł mu wyruszyć w tę ostatnią podróż?

- Nie można wykluczyć, ale trudno kogoś podejrzewać. Nemed spiskował z Maklorbim, chcieli cię zabić. A tu proszę, sami zginęli i to obaj jednej nocy. Myślę, że chwilowo knowania mamy z głowy.

- Też tak sędzę. Trzeba będzie urządzić druidowi uroczysty pogrzeb.

Ason spojrzał ponad ogniskiem na Aiasa. Nie pamiętał, czy pięściarz siedział na swoim miejscu przez cały wieczór. Popijał coś z kubka, który prawie ginał mu w olbrzymiej dłoni. Jednym ciosem potrafił złamać szczękę i zabić. Czy rozłupałby głowę? Może lepiej nie wiedzieć. Najważniejsze, że kapłan już nie będzie dybał na jego życie.

- Mam bursztyn z północy, wielki Asonie. Przebyłem mroczne lasy i popłynąłem rzeką zwaną Ren i dalej przez Morze Wąskie, by cię ujrzeć.

Ason podniósł wzrok. Przed nim stał jeden z Geramanich. Kłaniał się nisko i wskazywał rozpostartą na ziemi skórę. Potem przykucnął obok i zaczął demonstrować grudki i płytki bursztynu w różnych odcieniach.

- Jestem Gestum i przewodzę memu klanowi. Ason obejrzał uważnie jeden z kawałków. Zerknął przezeń na ogień.

- Dobre. Moi mistrzowie muszą je zobaczyć.



- Wiem. Pokazałem ci je tylko po to, byśmy mogli porozmawiać. Tutaj zbyt wiele oczu na nas patrzy. Nie sięgaj, proszę, po swój krew splamiony sztylet, gdy powiem ci, że handluję z Atlantydami.

Ason spojrział ponownie na obcego. Tym razem dostrzegł, że to wysoki mężczyzna w porządnym i długim płaszczu spiętym cenną złotą kłamrą, która przebijała materię i odsuwała nieco odzienie od ciała. Na rękach nosił złote bransolety, złoto też zdobiło jego brązowy, rogaty hełm. Przy pasie nosił krótki miecz, topór z brązową głowicą położył obok na ziemi. Błękitne oczy patrzyły bez lęku na Asona.

- Wiesz, że wojuję z Atlantydami?

- Dlatego właśnie tu jestem, chociaż innym się to nie podoba. Powiedziałem, że układamy się z Atlantydami, ale robimy to z konieczności. Mają w naszych dolinach swoje obozy i kopalnie cyny, i są zbyt silni, by z nimi walczyć. Pomagając im, sporo z tego mamy. Teraz sami

już pracujemy w brązie, a nasi kupcy pływają rzekami na wschód i na zachód. Wiemy o wojnie między Mykenami i Atlantydą. To dobrze, że tak się dzieje. Wiemy też, że jesteś Mykeńczykiem i że właśnie zjednoczyłeś szczepy Yernich.

- Sporo wiecie - stwierdził chłodno Ason. - Pewnie dowiedziałeś się tego od Trojańczyka Sethsusa. Może nawet mu pomagaliście?

- Owszem.

Gestum wstał w tej samej chwili co Ason.

- Nie zamierzam kłamać - powiedział przybysz. - Prawdą jest, że działałem tylko na korzyść Germanich. Sprzedawaliśmy informacje Trojańczykowi, pomagaliśmy mu, w zamian on dawał nam cynę. A teraz on nie żyje. Ty rządysz obecnie na tej wyspie i z tobą będziemy się układać. Możemy sobie pomóc.

Wolałbym jednak nie być królem, pomyślał Ason. Przynajmniej czasem. Zwykły wojownik nagrodziłby takie słowa pchnięciem miecza. Ason władca musiał się pohamować. Ten człowiek mówił prawdę. Mogli sobie pomóc i razem na tym zyskać. Może da się nawet splawiać rzeką Danube cynę dla Myken. Ason miał dość złota, by za to zapłacić.

- Siadaj i wypij ze mną - powiedział Mykeńczyk. - Podobają mi się twoje bursztyny.

- Wypiję. Podobają mi się twoje słowa.



9.

- Ar Apa abu!

Krzyk wojowników rozległ się dokoła, gdy stos drewna runął i odsłonił nowy, biały łuk. Stał na prawo od kamienia Asona, równie gładki i wyniosły, chociaż trochę niższy. Niewiele, akurat tyle, by zaznaczyć prawa gospodarza. I tak obie konstrukcje nie miały sobie równych w tej krainie. Po drugiej stronie zagaszzonego ogniska narad wyrastały kolejne rusztowania. W zimnym powietrzu wyraźnie słychać było suchy trzask kamienia uderzającego o kamień. Okoliczne zagłębienia pokrywał już śnieg i w każdej chwili brudnoszare niebo mogło przynieść go więcej.

Ar Apa nie wiedział, jak okazać swoją radość. Tańczył, wymachiwał toporem nad głową jak szalony. Zimą praca nie ustawała, ale tylko robotnicy narzekali, dla wojowników nie skończył się jeszcze czas nieustannych cudów. Przychodzili z innych grodzisk i prowadzili obładowanych prowiantem tragarzy, byle tylko raz jeszcze ujrzeć kamienne łuki. Zabijano zwierzęta, suszono mięso, warzono piwo. Mężczyźni wyruszali na polowania, ale obróbka skały pobudzała ich wyobraźnię znacznie żywiej niż największe nawet łowy. Tak więc kiedy nie polowali, pomagali chętnie kamieniarzom. Co rusz ktoś obtłukiwał sobie palce, miażdżył stopy, czterech ludzi już zginęło, ale walka trwała i skała musiała ustąpić.

Teraz jednak trzeba było pomyśleć jeszcze i o innej batalii.

- Atlantydzi wysyłają myśliwych do lasu - powiedział Ason. - Mam pewne informacje od Albich, którzy obserwują kopalnię.

- Będą dobrze uzbrojeni i gotowi na wszystko - stwierdził Ar Apa, nie mogąc jeszcze oderwać wzroku od wielkich kamieni.

- W puszczy nie mogą równać się z wami. Możemy ich zaskoczyć, ale poczekamy, aż będą wracać do kopalni.

Ar Apa roześmiał się.

- Tylko ty mogłeś tak pomyśleć, Asonie. Nie tylko miecze i pancerze im odbierzesz, ale jeszcze i upolowaną zwierzynę.

To miała być pamiętna i radosna zima. Pracę przy kamieniach przerywano tylko na czas wypadów przeciwko drużynom Atlantydów, które szukały zwierzyny dla załogi kopalni. Intruzi byli coraz słabsi i zastawianie pułapek przychodziło coraz łatwiej. Profity były znaczne, bo i głowy dla wojowników i pieczone dla wszystkich. Mroźny czas upłynął tym razem dziwnie szybko i pogodnie, a gdy wróciły cieplejsze, wiosenne dni, wojownicy nie mieli wcale ochoty wracać do



swych grodzisk. Nie chcieli porzucać okolicy, lecz pozostać wśród wielkich kamieni tak długo, jak tylko możliwe.

Prace posuwały się z wawo. Gdy pięć łuków stało już w całym majestacie, z równym entuzjazmem zaczęto wznosić zewnętrzny krąg. Nie były to drzwi, ale właściwie bramy, których kształt dopiero się zarysowywał. Każdy wojownik wybrał sobie miejsce, w którym miało być wejście. Ustawiono w niesymetrycznym kręgu dwadzieścia cztery kamienie. Trzy w jednej grupie i dwadzieścia jeden kamieni w drugiej. Na razie ukończono tylko sześć nadproży, ale stawiano już następne rusztowania, by przystąpić do wznoszenia kolejnych kamiennych bram.

Praca nie ustawała, jeden poranek mało różnił się od drugiego, aż do czasu, kiedy pewnego dnia z oddali dobiegły Asona jakieś krzyki. Mykeńczykowi zdało się najpierw, że ktoś woła jego imię i że odgłos ten jest coraz bliższy. Umieszczano właśnie kolejny poziomy kamień, co wymagało wybitnej precyzji, tym razem bowiem nie tylko bolce miały zaskoczyć w wyżłobienia, ale nacięcia na końcu musiały zazębiać się z nacięciami następnego zwieńczenia. Gdy krzyk podniósł się znowu, imię Asona dało się słyszeć całkiem wyraźnie. Obrócił się, otarł spoconą twarz i spojrzał na podejście do grodziska.

Trzech mężczyzn biegło ku wejściu. Dwóch wojowników z jego własnej teuty pomagało poruszać się trzeciemu. Mężczyzna wyglądał na krańcowo wyczerpanego. Ason poznał go. Był to Turi, Albi, kuzyn Naikeri. Podtrzymujący biedaka wojownik dojrzał Mykeńczyka. Przyłożył dłoń do ust i krzyknął:

- Atlantydzi!

Ason zbiegł po drabinie skacząc po dwa szczeble naraz. Cała trójka podbiegła doń dysząc ciężko. Ledwo się zatrzymali, Turi runął na ziemię.

- Znaleźliśmy go rano - powiedział wojownik. Na równinie. Włókł się ku nam. Powiedział tylko twoje imię i że Atlantydzi nadciągają.

- To by było dobre - mruknął Ason. - Dość ludzi straciliśmy szturmując ich wały. Przynieście mu wody i poczekamy, co powie. - Ason wiedział, że Atlantydzi nie mogą mu zagrozić, jednak wciąż coś go gryzło. Czemu Turi biegł jak szalony? Coś tu było nie tak...

Albi łyknął wody, wypił połowę miski, resztę wylał sobie na głowę.

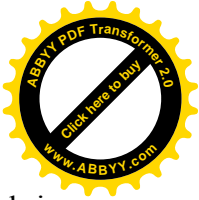
- Atlantydzi... tu maszerują - wykrztusił w końcu. - Obchodzą lasy przez wrzosowiska.

- Zgotujemy im powitanie - powiedział Ason.

- Nie... więcej ich... wylądowało. Zaraz ruszyli.

Sprawa zaczynała się komplikować. Ason chciał znać szczegóły.

- Więcej? Ilu więcej? Czy przyplłynęły nowe statki? Ile tych statków?



- Tyle - powiedział Turi podnosząc rozłożone palce jednej dłoni i dodając jeszcze kciuk i palec wskazujący z drugiej.

Ason zaczął rozmyślać. Siedem statków. Ilu ludzi w każdym? Wszyscy z bronią, w pancerzach, doświadczeni wojownicy morskiego ludu. Pod dowództwem Themisa. To dlatego odesłali przejęty mykeński statek z tak niewielką załogą. Ason nie zwrócił wtedy na to uwagi. Tymczasem Atlantydzi odsyłając statek z cyną, wezwali posiłki. Ason zauważył nagle, że wszyscy patrzą na niego w martwej ciszy.

- Ty. - Pokazał na najbliższego wojownika. - Idź na miejsce, gdzie dobywamy kamienie i powiedz wodzowi Ar Apie i wodzowi Mowegowi, że chcę zaraz ich tu widzieć.

Mężczyzna pobiegł natychmiast. Ason spojrzał wkoło i szybko podjął decyzję. Zawołał jeszcze dwóch wojowników.

- Comn, ty najlepiej tropisz ludzi i zwierzynę. Kornii, słyszałem, że biegasz jak jelen. - - Uciszył ich, gdy zaczęli zachwalać swe cnoty. - Oto, co musicie zrobić. Usłyszałem, że Atlantydzi nadciągają, więcej Atlantydów, niż dotąd widzieliście. Będą chcieli zaatakować nas zniecka, ale nie damy się zaskoczyć. Podobno obchodzą lasy przez wrzosowiska. Znać tę drogę?

Obaj przytaknęli. Wypytywał ich tak długo, aż dowiedział się, co to właściwie za szlak.

- Taką wielką grupą nie mogą maszerować szybko przez nieznaną kraj. Zatem weźcie bukłaki z wodą i zapas mięsa i zapadnijcie przy szlaku cicho jak polujące lisy. Nie mogą was zobaczyć. Pójdziecie potem za Atlantydami i poczekacie, aż rozbiją się na noc obozem. Wtedy ty, Comn, będziesz ich pilnować, a Kornii przybiegnie tutaj i powie, gdzie są. Pójdziemy na nich. Rozumiecie?

Gdy obaj powtórzyli dokładnie instrukcje, kazał im ruszać w drogę. Przez tłum przepchnęli się tymczasem Ar Apa z Mowegiem. Inteb skończył ustawianie kamienia i zszedł z rusztowania. W grodzisku nie było żadnych sekretów, wszystkie decyzje dotyczące szczepu zawsze podejmowano publicznie.

- Co z Atlantydami? - zawołał Ar Apa.

- Nadchodzą wielką siłą - odparł Ason. - Przyplłynęli siedmioma statkami, a teraz idą, żeby zaatakować nas w grodzisku.

Reakcja była dość burzliwa i buńczuczna, pełna oburzenia, że ktoś ośmielił się zagrozić Yernim. Ason dał im się wygadać i przeszedł do rzeczy.

- Długą drogę przebyli w poszukiwaniu śmierci - powiedział i przeczekał kolejny wybuch entuzjazmu. - Idą przez wrzosowiska, a to ciężka droga. Nie dotrą tu pewnie przed nocą, zatem rozbiją obóz. Wysłałem ludzi, by mieli ich na oku. Musimy też wysłać wieść do wszystkich wojowników, aby do nas dołączyli, a sami jak najszybciej musimy zebrać mężów z grodziska i



ruszyć bez zwłoki. Znajdziemy miejsce ich noclegu i jak wilki zaatakujemy w nocy. Jesteśmy myśliwymi, co polują na ludzi, zabijamy jak wilki...

Jego dalsze słowa utonęły we wrzawie i łomocie toporów bijących o tarcze. Yerni unikali zwykle nocnej walki, ale tym razem byli zdecydowani.

Wysłano umyślnych, a Ason zaprosił wodzów do swojego domu. Inteb poszedł za nimi. On jeden martwił się o przyszłość. Naikeri czekała już na nich. Ason kazał jej podać świeże piwo, mięso i sól. Dostawszy swoje miski, obtaczali kawałki mięsiwa w soli i przeżuwali. Wypili z jednego, puszczonego w koło, kubka. Dopiero teraz, z dala od tłumu, Inteb pojął, że Ason myśli o przyszłości tak samo jak on.

- Themis pragnie zabić mnie jednego - powiedział Mykeńczyk i reszta przytaknęła. Walka i ucieczka Asona była już legendą okolicy. Wszyscy słyszeli ją wiele razy, ale ciągle chętnie nastawiali uszu. - Wywołam go do walki na ubitym polu.

- Nie - odezwał się Ar Apa. - On prawie nie chodzi, nie jest już mężczyzną. Nie będzie walczył. Musimy zabić ich wszystkich.

- To moja bitwa.

- To nasza bitwa - warknął Moweg. - Najechali naszą ziemię, atakują nasze grodziska, chcą zabić wodza-byka. Nasza bitwa. - Ze złością wgryzł się w tłusty kawałek mięsa. Ar Apa przytaknął. Sprawa była przesądzona.

- Na ilu statkach przypłynęli? - spytał Inteb.

- Turi mówił o siedmiu.

- To bardzo źle.

- Właśnie.

- Czy musimy walczyć teraz? - spytał Inteb.

- Oczywiście! - zdumiał się Ason. - A co innego można uczynić?

- Wiele rzeczy - wtrąciła się Naikeri i odstąpiła krok, gdy Ason machnął, by umilkła. - Jeśli nie chcesz, aby cię znaleźli, to ta wyspa jest dość duża. Prędzej śmierć znajdą niż ciebie. Co za szaleństwo każe ci iść na pewną zgubę...

- Zamknij się, głupia kobieto.

- ...bo niczego innego nie znajdziesz. Masz wybór.

- Zrobimy tak, jak postanowiono.

Wodzowie żuli mięso i spoglądali na drzwi. Kobiety nie miały prawa odzywać się przy takich okazjach. Naikeri zwróciła się do Inteba.

- Pomóż mi, Egipcjaninie. Chociaż nie mnie, dla mnie nic nie zrobisz, pomóż Asonowi. Znasz różne fortele. Wymyśl inny sposób walki z Atlantydami. Wiem, że to potrafisz.



Inteb przytaknął niechętnie.

- Wprawdzie dla Yernich i dla Mykeńczyków słowo kobiety nie ma żadnej wagi - powiedział do Asona, - ale u nas, w Egipcie, słuchamy kobiet, choć mówią innym językiem. Nie tylko walką wręcz można pokonać Atlantydów.

- Zaskoczmy ich i zabijemy - stwierdził Ar Apa.

- Nawet jeśli, to krwawym trudem i niewiele nam z tego przyjdzie. Ale czy możesz mieć pewność? Jeśli nie zabijecie wszystkich, to potem przyjdzie ranek i...

- Tym razem nie mogę skorzystać z twoich rad - powiedział Ason. - Tym razem szykujemy się do bitwy.

Wodzowie przytaknęli gorliwie.

- Zabijanie! - krzyknęła Naikeri i cisnęła dzbanem o podłogę, aż piwo trysnęło wkoło. W sąsiednim pokoju zapłakało dziecko. - Zabijać. Nigdy nie myślisz o niczym innym? Tylko to jedno potrafisz? Albi żyją bez tych twoich wojen i bez zabijania. Dla nas świat nie ogranicza się do mieczy, toporów i mordowania. Czy naprawdę nie dostrzegasz niczego więcej?

Ason poczuł się dotknięty do żywego i odwrócił się do dziewczyny tyłem. Wodzowie znów wyrazili osobliwe zainteresowanie drzwiami. Inteb poczuł, że musi się odezwać. Też był zły.

- Owszem, świat to coś więcej, więcej niż myślimy, ale człowiek wzniósł się wyżej niż jakiegokolwiek zwierzę. A szczyty dostojności osiąga jako wojownik. Tego akurat ty, kobieta, nigdy nie zrozumiesz. - Ostatnie zdanie wypowiedział wręcz z obrzydzeniem.

- Tu nie ma nic do zrozumienia. To zwykłe szaleństwo. Walczycie jak jelenie, ile razy przychodzi wiosna, zawsze zabijają się rogami. To wy nie chcecie zrozumieć. Gińcie...

Ason zerwał się na równe nogi, w ślepym gniewie złapał dziewczynę, wypchnął ją za próg i zatrzaskał drzwi. Jej słowa brzmiały mu w uszach niczym klątwa.

- Jesteś wojownikiem Asonie - powiedział cicho Inteb. - Wojownik stoi wyżej niż inni ludzie. Ty jesteś największym z nich. Setki pójdą za tobą, gdy ich poprowadzisz. Gdzie ruszysz?

Ason musnął palcami rękojeść miecza.

- Do bitwy, oczywiście. Jeśli już musimy umrzeć, zginiemy jak mężczyźni.



10.

Ze szczytu obwałowania widać było drobne postacie nadciągające równiną. Niebo zwieszało się nisko ciemnymi chmurami, od czasu do czasu migała błyskawica i grom przetaczał się aż po horyzont, ale deszcz nie chciał spaść. A byłby się przydał: duchota panowała niemilosierna.

Gdy podeszli bliżej, dało się rozróżnić poszczególnych wojowników. Niektórzy dźwigali łupy, inni szli ranni, a wszyscy zmęczeni. Ledwo dotarli do obwałowań, padli ciężko w cieniu budynków, domagając się piwa.

- Co to była za bitwa - wydyszał jeden, widać nieco silniejszy.

- Zabiliśmy stu, ucieliśmy sto głów - dodał inny, chociaż on akurat za jedyną zdobycz miał krwawy sztylet wsunięty za włosiany pas.

Potem rozległo się jeszcze więcej przechwałek, jak to zwykle między tubylcami. Inteb nie słuchał, czekał na Asona i pozostałych wodzów, którzy maszerowali na samym końcu. Zbliżyli się do kamieni, każdy dotknął własnego, by odzyskać siły.

- Nie było ani zwycięstwa, ani porażki - stwierdził Ason zlizując złoście krople piwa z ust.

- Zwycięstwo - uznał Ar Apa. Inteb usiadł obok Asona i podał mu kolejny dzban piwa.

- Zwycięstwo jest wtedy, gdy wróg ginie lub ucieka - zaprzeczył Mykeńczyk. - Zabiliśmy wielu, ale więcej ich ocalało i teraz idą za nami.

- Gdybyśmy mieli więcej mężów - mruknął ponuro Finmog. Ason przytaknął.

- Gdybyśmy ich mieli, wtedy wynik nocnej walki mógłby być inny. Ale wielu jeszcze nie przybyło. Zaskoczyliśmy Atlantydów, to prawda. Ale ciemności i nam pomieszały szyki, tak więc nieprzyjaciel zdołał się pozbierać. Nasi pogubili się w mroku, zaczęli zbierać łupy, obcinać głowy i atak stracił impet. Musieliśmy się wycofać, a nieprzyjaciel nadciąga. To są fakty.

- Ale walka była dobra, setki ich zginęły - mruknął Ar Apa i reszta się zgodziła.

- Najważniejsza walka dopiero przed nami - powiedział Ason. Z tym też się zgodzili. Musieli się zgodzić, chociaż wcale im się to nie podobało. - Zostanie stoczona tutaj, w wielkim grodzisku Yernich i wielu zginie.

- Następnymi wojownicy są już w drodze - zauważył Ar Apa. - Będą wściekli, że ominęła ich nocna bitwa, ale może też będą walczyć bardziej zajadle i wytrwale bronić grodziska.

Nikt nie mógł temu zaprzeczyć i opinie zostały ostatecznie uzgodnione. Kto mógł, zasnął w ciągu kilku minut. Asonowi też głowa opadała. Inteb otoczył go ramieniem, wyczuwał kwaśny odór potu.



- Zwycięzymy? - spytał.

Ason spojrział ukradkiem na pozostałych wodzów.

- Nie ma mowy o zwycięstwie - szepnęła. - Możemy tylko zabrać ich jak najwięcej ze sobą. To pomoże Mykenom. Odejdź stąd, Egipcjaninie. Turi zabierze cię do Albich, z nimi będziesz bezpieczny.

- Pójdiesz ze mną?

- Nie mogę.

- To i ja nie odejdę - powiedział Inteb przyciskając drżące dłonie do kolan, by nie pokazać po sobie przerażenia. - Tak daleko zawędrowaliśmy razem i nie zostawię cię teraz. Potrafię władać mieczem.

- Niespecjalnie ci to wychodzi.

- Prawdę mówisz, Asonie, choć bolesna to prawda Kiepski jestem w fechtunku, ale zawsze to jeden miecz więcej. Stanę przy tobie. Nie chcę cię opuszczać.

- Ani ja ciebie, Egipcjaninie - odparł Ason i objął przyjaciela. Chwilę potem już spał. Inteb poszedł po swoją zbroję i oręż. W drzwiach spotkał Aiasa.

- Widzę, że szykujesz się do walki, niewolniku. Nie powinienes uciekać?

- Może myślę tak jak ty? Co robi ten miecz w twojej dłoni?

Inteb potrząsnął ostrzem, aż zabłysło w bladym świetle.

- Sam chciałbym wiedzieć. Winienem pracować dla faraona, wznosić świątynie ku jego chwale. Cóż ja tu robię, zbrojny, w dalekim kraju?

- Podążasz za swym losem. Tak jak ja. Za nim. Wysoką cenę musiałeś zapłacić. Mnie nic to nie kosztowało. Byłem niewolnikiem, teraz jestem człowiekiem wolnym, mam swą godność. Zdarza mi się nawet pogwarzyć z egipskim dostojnikiem.

- Śmierć skończy to niebawem. Dziwny z ciebie niewolnik, Aiasie. Twarde masz pięści. Waham się powiedzieć to głośno i zaprzeczyłbym, gdyby kto spytał, ale dobrze było cię poznać.

Nie zostało już praktycznie nic więcej do powiedzenia. Weszli na obwałowanie i patrzyli, jak równiną nadchodzą Yerni z innych grodzisk. Napływali coraz mniejszym strumykiem, aż nadeszło późne popołudnie i nikt więcej się nie pojawił. Gdzieś z daleka dobiegał odgłos gromu, na horyzoncie pokazała się wroga armia. Z dała zabrzmiały rogi. Inteb i Aias zeszli do wojowników, którzy skupili się wkoło wodzów przy kamieniach. Ason stanął przed swoją bramą i zapadła cisza.

- Nadchodzą. Zatrzymamy ich tutaj. Nie mamy murów, by ich bronić, ale staniemy na wałach. Będą musieli się do nas wspinać, prosto pod topory. Ar Apa, weź swoich ludzi i zablokujcie kłodami wejście. Reszta za mną.

- Ason abu! - odpowiedzieli mu wojownicy.



Ruszyli na pozycje i spojrzeli na coraz bliższe szeregi Atlantydwów.

Wróg nadciągał trzema kolumnami, najwyżsi wojownicy na przedzie każdej kolumny. Złoto i szlachetne kamienie lśniły na ich zbrojach. Yerni wskazywali je sobie i krzyczeli, że przed nocą to oni będą nosić te kosztowności.

Zagrzmiało i zaczął padać deszcz. Yerni z ulgą obracali twarze tak, by złapać wodę w usta. Wiedzieli też, że na mokre i śliskie obwałowanie o wiele trudniej jest wejść. Atlantydzi zmierzali wprost na grodzisko, pokrzykiwali i pokazywali sobie stojące na wałach postacie i wielkie kamienie za ich plecami. Rośli i ciemni mężowie z mieczami w dłoniach byli już bardzo blisko, gdy nagle błysnęło i huknęło, aż stanęli oślepieni, ogłuszeni.

Piorun trafił w łuk Asona i spłynął po nim, ale nie uszkodził kamienia. Para uniosła się nad rozgrzаныmi kolumnami. Krowa, która kręciła się w pobliżu, leżała martwa na ziemi.

- Znak! - krzyknął Ason przez szum ulewy. - Znak! Nawet błyskawica nie może zniszczyć łuków Yernich!

Wojownicy uderzyli toporami o tarcze. To był dobry znak, nic ich nie zmoże. Zaczęli obrzucać przeciwnika wyzwiskami i groźbami, a gdy Atlantydzi podeszli jeszcze bliżej, w ślad za słowami poleciały kamienie. Niektórzy runęli do wykopu, inni skoczyli za nimi, a potem, przy wtórze rogów, Atlantydzi zaatakowali.

Szeregi wojowników stawily im czoło, aż rozległ się huk niemal równie donośny, jak grzmot burzy. Zderzyli się tarczami.

Zaczęła się rzeź.

Z początku Atlantydzi nie mogli przełamać obrony, bo jak tu walczyć, gdy nogi rozjeżdżają się na białym bloku. Jednak szeregi Yernich wykruszyły się szybko i zbrojna horda wlała się do wnętrza grodziska. Bitwa rozpadła się na indywidualne pojedynki i wojownicy krok za krokiem cofali się ku centralnemu kręgowi kamieni. Ginęli obróceniem plecami do skalnych łuków.

Inteb też tam był. Nie z nadmiaru sił, ale przez ich brak. Stał blisko Asona, ale inni wypchnęli go z pierwszego szeregu, przez co przypadła mu w tym pandemonium rola jedyne go chyba obserwatora.

Widział, jak pośród oddziału straży kilku ludzi dźwiga lektykę. Domyślił się, że pewnie siedzi w niej Themis, okaleczony i niezdolny do walki. Aias też musiał go ujrzeć; natychmiast poznał swego niegdysiejszego pana.

Wymachując młotem runął przez szeregi Atlantydwów. Nie próbował ich pozabijać wszystkich, torował sobie tylko drogę. Dotarł na odległość kilku kroków od lektyki.

- Chodź tu, Themisie, tchórzliwy pięściarzu. Mogłem zabić cię za każdym razem, gdy walczyliśmy, chociaż nawet o tym nie wiedziałeś. Chodź tu, żebym mógł cię zatłuc!



Themis tylko machnął dłonią. Niewolnik to tylko niewolnik. Atlantydzi otoczyli Aiasa i chociaż paru padło z rozłupanymi czaszkami, to w końcu dokonali dzieła mieczami. W ostatnim geście pięściarz uniósł jeszcze zaciśniętą dłoń, ale po chwili i ona opadła.

Coraz mniej obrońców walczyło wśród kamieni. Inteb doczekał się swojej chwili. Przepchnął się do przodu. Nie raz zatapiał swój miecz w ciałach atakujących, aż krąg Yernich poszedł w rozsypkę i nagle wkoło Inteba zrobiło się pusto. Przymierzył się do nadbiegającego Atlantyda, ale ten bez trudu odparował cios. Był to olbrzym z czarną brodą, zbroję miał mokrą od krwi. Jednym ruchem wytrącił Intebowi broń z dłoni, zranił go w ramię i obalił tarczą na ziemię. Rąbnął go jeszcze ostrzem po nogach i pobiegł ku Asonowi.

Ason. Atlantydzi walczyli prawie między sobą, aby się do niego dopchać. Inteb miał usta pełne krwi, ranna noga omdlewała boleśnie, ale widział poprzez deszcz, jak osaczony Ason przycisnął plecy do swego kamienia. Ani na chwilę nie opuszczał miecza. Walczył, sięgał ostrzem ciał nieprzyjaciół, ale przegrywał wobec wielkiej ich liczby.

Nagle wśród masy pancerzy i mieczy Inteb stracił go z oczu.



11.

Leżąc na dnie statku Ason widział jedynie błękitne niebo i spocone ciała, głównie nogi galerników. Ręce miał pętane drewnianymi kajdanami na plecach, jeszcze cięższy kawał drewna obejmował jego nogi. Deszcz zraszał ego nagie ciało, słońce je paliło, morska woda obmywała otwarte rany. Broda mu urosła, a długie włosy miał splecione i brudne. Leżał tak przez całą drogę z wyspy Yern na Atlantyde.

To galernicy utrzymywali go przy życiu. Niezbyt daleko siedzieli pojmani w walce niewolnicy z Argolidy. Pilnowali, by Ason dostawał swoją porcję wody i choć odrobinę jedzenia. W nocy przemywali mu rany i szeptali o tym, co wiedzieli. Ason mało co z tego rozumiał, trawiony gorączką, wycieńczony i obolały.

Krzyki i uderzenie burty statku o kamienie sprawiły, że ocknął się z półprzytomnej drzemki. W gardle mu zaschło, rana na szyi bolała ze zdwojoną mocą. Atlantydzi stanęli nad nim, unieśli i zakłęli szpetnie na widok brudu. Wylano na niego kilka wiader zimnej wody. To otrzeźwiło Asona. Przekrecono go na brzuch, by zdjąć pęta. Po raz pierwszy od niezliczonych dni mógł poruszyć nogami. Gdy go podniesiono, w głowie mu zawirowało. Ledwo czuł, jak ktoś ciągnie go po trapie i ciska na kamienne nabrzeże.

Po chwili zaczął coś widzieć. Statek cumował przy solidnym moło wybiegającym daleko w morze. Nad brzegiem wznosiła się wysoka skarpa z wyciętymi w skale schodami, a wyżej widniał pałac z czerwonymi kolumnami, zielonymi gontami i byczymi rogami na dachu. Ponad wejściem lśnił w słońcu podwójny topór Atlantydy. Kilku ludzi oddalało się z lektyką.

- Wstawaj - warknął ktoś. - Nie będziemy cię nieść.

W końcu jednak musieli. Ason był za słaby, pozbawione przez długi czas ruchu nogi nie chciały go dźwigać. Gdy nie pomogło klucie włóczniami, Atlantydzi ponarzekali trochę i pociągnęli jeńca po schodach. Przed pałacem stali strażnicy, kręcili się różni ludzie. Ason ledwie zdążył zerknąć na mury, gdy znalazł się w mroku wnętrza. Potem znów ujrzął słońce. To megaron z fontanną. I Themis na leżance. Strażnicy puścili Asona. Zatoczył się, ale ustał, chociaż chwiało się przy tym jak źdźbło na wietrze.

- Podobała ci się podróż? - spytał Themis popijając wino ze złotego kielicha.

Ason odchrząknął i splunął w kierunku prześladowcy. Nie dosięgnął.

- Co za barbarzyńskie zwyczaje. Myślałeś, że jesteś księciem wśród swoich i królem dla Yernich? Dzikus.

- Czemu mnie nie zabiłeś? - spytał chrapliwie Ason.



- Raz już zacząłem, ale Posejdon mi przeszkodził - zapiszczał Themis tracąc zimną krew. -
A ty uderzyłeś mnie tchórzliwie. Zapłacisz za to, jak nikt nigdy jeszcze nie zapłacił.

Mówiąc to dostał drgawek i uрониł kilka kropli napoju. Te nieliczne włosy, które widać było obok złotej płytki, miał całkiem siwe. Niezbyt przypominał niegdysiejszego pięściarza i atletę. Wychudł, zaś noga, którą powłóczył, była wyraźnie bardziej patykowata. Ason spojrzał na niego zimno.

- Niewiele zostało w tobie z mężczyzny - powiedział. - Też żałuję, że jeden z nas nie zginął tego dnia, bo twoje życie już nic nie jest warte. Jeśli chcesz mnie zabić, to dalej, ale przestań gadać.

- Zrobię co zechcę! Będę cię torturował, zaznasz cierpienia, o jakim nawet jeszcze nie słyszałeś. Połamię ci kolejno wszystkie kości, obedrę skórę po kawałku, uszy zaleję płynnym metalem... - Zachłysnął się i musiał przerwać dla nabrania oddechu.

- I kto tu jest barbarzyńcą? - spytał spokojnie Ason. Z całych sił starał się nie upaść. - Potrafisz tylko jak baba gadać o torturach i zemście. Mimo bielonych wąsów i skłonności do przechwałek, Yerni lepsi są od ciebie. Pogardzam tobą, Themisie, tobą i twoją Atlantyda.

Ason odwrócił się plecami do Themisa i spojrzał na morze. Było ciepłe, błękitne, pachniało ojczystymi stronami. Coś zastękało z tyłu, ale Mykeńczyk nawet nie spojrzał. Całą uwagę skupił na wielkiej, białej mewie, która bez poruszania skrzydłami szybowała nad urwiskiem. Rozglądała się na boki. Przeleciała blisko, spojrzała na Asona i zniknęła gdzieś w dali. Czyjaś dłoń dotknęła ramienia Mykeńczyka.

- Siadaj na ławie - polecił Atlantydy, młodzieniec w obłożonej złotem zbroi. - - Mój krewniak, dobry Themis, dostał ataku duszności, ale wkrótce dojdzie do siebie. Nie chciałbym zanosić mu wiadomości, że rzuciłeś się do morza. Gdyby tak się stało, to chociaż jestem tu domownikiem, zapewne musiałbym zająć twoje miejsce w sali tortur.

Słowa te wypowiedziane zostały całkiem spokojnie i Ason bez sprzeciwu padł na wyściełaną ławę. Dwóch lekarzy pochyliło się nad Themisem i obmyło mu skórę octem i wodą. Coś zagrzmiało w oddali, słabo, ale zaraz potem gruntuł. Ason znów spojrzał na morze, a Atlantydy wskazał na północ.

- To Thera jęczy, pluje dymem i popiołem. Gdy byłeś tu poprzednio, odezwała się po raz pierwszy i od tamtej pory już nie milknie. Ludzie wrócili, ale znów zaczynają uciekać. - Zmarszczył brwi. - Niektórzy mówią, że to zły znak, bo Thera to królewska wyspa. Ale Kreta jest o wiele większa i teraz tutaj jest nasz dom. Tak się rzeczy mają.

- To znak, że Atlantyda nie jest już tak silna jak kiedyś. Macie kłopoty z Argolidą...



- Zamilcz, przybyszu z gór! Nie wszystko, co usłyszałeś od niewolników na galerze, musi być prawdą. Owszem, przegraliśmy kilka bitew, ale wciąż panujemy na morzu. Nasza flota jest nawet jeszcze większa. Jesteśmy górą.

Rogi zagrały i umilkły. Służba rozbiegła się i w pole widzenia wkroczyło dziesięciu ludzi w znakomitych zbrojach. W dłoniach trzymali nagie miecze. Themis poruszył się i medycy odeszli. Ktoś dźwignął Asona na nogi. Do pomieszczenia wkroczył ciężko król Atlas, za nim wyspała się jego świta. Król miał plwociny na płaszczu. Smagnął cholewkę buta biczykiem, jakiego używa się przy powożeniu rydwanem.

- Proszę, mój syn Themis wrócił z wojny. Dostrzegłem twój statek i pospieszyłem, by cię powitać. Bałem się o ciebie, gdy byłeś w tej dalekiej krainie. I o twoje zdrowie. Ojciec wita cię z radością.

Themis wstał z wysiłkiem i objął ojca. Tylko stary, tłusty i pomarszczony Atlas mógł dostrzec w tym koślawcu ukochanego syna. Themis opadł ciężko na leżankę, król zasiadł obok. Spojrzał tam, gdzie wskazywał drżący palec.

- Wyspa Yern jest nasza, ojcie. Wojownicy, którzy jej bronili, nie żyją, kopalnia dobywa szary metal dla nas. A ten, co sprzeciwiał się Atlantydzie, został moim jeńcem.

Atlas obrzucił Asona chłodnym spojrzeniem i odwrócił oczy.

- Godna to zdobycz, Temisie, chociaż wielkiej siły potrzebowałeś by go pokonać. Ale jesteś księciem Atlantydy i kapitanem floty. Zrobiłeś co trzeba. Zabij to ścierwo i wracaj do pałacu, gdzie wszystkim nam brakuje twojej obecności.

- On umrze powoli. Całe lata będzie umierał.

- Jak chcesz - mruknął Atlas i wzruszył ramionami uznając, że to nie jego sprawa. Spojrzał raz jeszcze na Asona, obecnie z niesmakiem. - Chętnie widziałbym tu tego pirata, jego ojca.

- Jakieś kłopoty z Argolidą, wielki Atlasie? - spytał z uśmiechem Ason. - Czyżby barbarzyńcy z gór zdołali zająć ci cierniem za skórę?

- Twoi barbarzyńcy nauczyli się walczyć, dość mieli czasu, gdy wojowali we własnym gronie. Ale poradzimy sobie z nimi. - Odwrócił się.

- Albo to oni poradzą sobie z Atlantydą - zawołał Ason i roześmiał się głośno. - Jak dotąd musiałeś walczyć z nami w Argolidzie i na wyspie Yern. Niedługo spotkasz nas w innych miejscach. Aż któregoś dnia umrzesz, Atlasie, a wtedy rządy obejmie ta kreatura, twój syn. I to będzie koniec Atlantydy.

- Zaraz go zabiję - warknął Atlas i sięgnął po miecz.

- On jest mój! - wrzasnął Themis.



Ason znów się roześmiał i jakby w odpowiedzi grunt zadrżał im pod stopami. Tym razem jednak łoskot nie zamarł od razu, tylko narastał, aż posadzka zakołysała się niczym statek podczas sztormu, tynk i malowane kafelki sypnęły się z sufitu. Ktoś blisko okien wskazał bez słowa na morze. Przerazenie odebrało mu głos. Wszyscy pobiegli zobaczyć, nawet podpierany przez lekarzy Themis. O Asonie zapomniano, zatem i on pokuśtykał za resztą.

Z wysokiego klifu wszystko było widać jak na dłoni. Szarą skałę opadającą do wody i statek, który dopiero co przyplłynął z północy i cumował przy moło. Ludzie na jego pokładzie pokazywali sobie na horyzont, gdzie leżała wyspa Thera. Błękitne i spokojne morze pełne było białych żagli królewskiej floty.

Nic więcej. Żadnych płomieni, żadnego dymu i łomotów. I zupełnie nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, odległa wyspa eksplodowała. Urosła tumanem czerwonego dymu, który błyskawicznie wzbił się ponad najwyższe góry i puchł dalej pod niebiosa.

Dopiero po dłuższej chwili rozległ się huk godny końca świata. Zerwała się wichura tak silna, że niektórzy runęli na podłogę. Ason zdołał się oprzeć atakowi. Fala przeszła i znów zrobiło się cicho. Ktoś jęczał, ktoś krzychał jeszcze ze strachu, ale większość dźwigała się na nogi. Atlas stał błądliwy, dłoń przyciskał do piersi. Themis wołał lekarzy. Ktoś krzyknął i wskazał na horyzont.

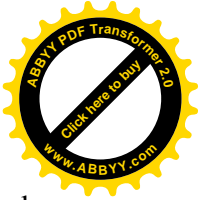
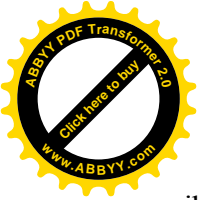
Nadchodziła fala. Fala, jakiej świat jeszcze nie widział. Fala zrodzona w sercu wulkanu.

Pośrodku Thery wznosiła się góra, która była wulkanem i to on właśnie w jednym, gargantuicznym spazmie wyrzucił z siebie bezmiar skał na pola, ludzi, drzewa i całą resztę, miażdżąc i zasypując zaraz szczątki. Jezioro lawy wykkipało gwałtownie, niosąc zagładę wszelkiemu żywemu stworzeniu na wyspie.

Po pierwszym wybuchu w miejscu wulkanu pozostało jedynie olbrzymie zagłębienie, płynna skała wylewała się prosto na pobliskie dno morza i spływała pod wodą jeszcze niżej. Powietrze wypełniły trujące gazy.

Ale to nie trwało długo. Zaatakowane płomieniami morze wlało się z sykiem w ognistą depresję. Woda parowała, ale jej napływ nie ustawał. W końcu z hukiem opanowała całą nieckę, a jej impet był tak wielki, że odbitym echem runęła na morze fala tak wysoka, że trudno było właściwie nazwać ją tylko falą. To ocean uniósł się w powietrze. I ta fala pognęła przez świat szybciej niż jakakolwiek żywa istota.

Z początku była tylko białą kreską, ale rosła gwałtownie, aż pokazała się pod postacią białej ściany. Ciągnęła się od horyzontu do horyzontu i nie zwalniała. Nikt nie mógł oderwać od niej oczu, ludzie zastygli w bezgranicznym przerażeniu. W tej strasznej chwili może tylko Themis myślał o czym innym, jako że ból chorego ciała nie opuszczał go ani na moment. Wyrwał



najbliższemu wojownikowi miecz i krzyżąc coś wykrzywionymi ustami próbował podejść do Asona. Nogę ciągnął za sobą jak kawał drewna. Mykeńczyk spostrzegł go w porę.

Bez większego wysiłku kopnął syna Atlasa w zdrową nogę, aż ten padł na posadzkę. Nikt nie zwrócił uwagi na incydent.

Fala huczała, potężniała, ogarniała świat. Piana i zielona woda rosły coraz wyżej i wyżej zbliżając się do brzegu. Próbująca ucieczki galera zniknęła w mgnieniu oka. Żaden statek nie miał szans wobec takiego żywiołu. Z początku wydawało się, że fala sięga wysokości masztu, po chwili jednak urosła ponad szczyt klifu, ponad dachy pałacu... Zawisła nad nimi. Na jej zwieńczeniu błysnęły barwy tęczy.

Ziemia zadrżała w posadach.

Ason roześmiał się, chociaż nikt go nie słyszał.

Nieskończona, czarna ściana przesłoniła słońce.

Ason nie ustawał w śmiechu. Ludzie padali ze strachu, ale on stał wyprostowany i śmiało spoglądał śmierci w twarz. I krzyczał, choć krzyk jego ginął bez reszty w huku. Krzyczał, aż fala go dosięgła i w jednej chwili ucięła nić Asonowego żywota.

- Giń, Atlantydo!



WYŚLANNIK

Pierwszy szedł śniadoskóry mężczyzna w odzieniu równie brunatnym, jak kora puszczańskich drzew. Obok stapał mąż nie pierwszej już młodości, ale wciąż prosto noszący głowę i ciężki hełm z końskim ogonem. Miał też zdobiony napierśnik i nagolenniki oraz długi miecz w dłoni. Za nimi ciągnęło więcej zbrojnych, ich długi szereg z wolna wyłonił się na bezdrzewnej równinie. Szli luźnym szykiem, prócz broni nieśli jeszcze sporo pakunków, rozmawiali, śpiewali.

W południe przystanęli, by się posilić i po krótkim odpoczynku ruszyli dalej. Późnym popołudniem przewodnik wskazał przed siebie, gdzie zza kurhanu unosiły się nitki dymu z palenisk i szarzały jakieś monstrualne kształty. Ludzie zaczęli pokrzykiwać i pokazywać palcami owe dziwne konstrukcje wyrastające z ziemi na prawie całkiem pustej równinie. Podeszli do przerwy w ziemnym wale i weszli na teren grodziska.

Do wewnętrznej strony nasypu przylegały liczne domy z drewna. Ludzie stali w drzwiach i spoglądali na przybyszy z przerażeniem. Nadeszło kilku mężczyzn z kamiennymi toporami, ale cofnęli się na widok zbrojnych. Dowódca zatrzymał oddział i podszedł do kręgu kamiennych kolumn. Było ich pięć, wszystkie masywne i przytłaczające. Nawet rosły mąż czuł się przy nich karzełkiem.

- Niczego takiego nie ujrzyście w całym świecie - rozległo się nagle i dowódca obrócił się gwałtownie, uniósł miecz.

Kuśtykał ku niemu odziany w szmaty, niewysoki i śniady mężczyzna, dziwnie podobny do przewodnika z lasu. Miecz opadł. Policzek obcego szpeciła ukośna szrama, drugą, jeszcze głębszą i większą bliznę widać było na jego nodze. Mężczyzna wyraźnie kulał.

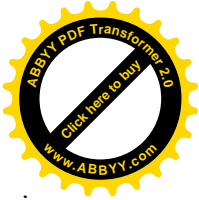
- Nie jesteście z Atlantydy - powiedział obszarpaniec czystym głosem, z dykcją nijak nie pasującą do tego dziwnego miejsca na ziemi. - Powiedzcie mi, kim jesteście i co was tu przywiodło, jeśli łaska.

- Jestem Phoros z Myken. Ci ludzie to też w większości Mykeńczycy, chociaż kilku pochodzi z Tyrynsu i innych miast Argolidy.

- Zatem witam was gorąco. Wydawało mi się, że poznaję twoją twarz. Spotkaliśmy się już kiedyś. Jestem Inteb, Egipcjanin.

- Ten budowniczy? - Phoros przyjrzał się bliżej rozmówcy i potrząsnął głową. - Przypominasz go trochę, ale...

- Ale wiele lat minęło i dziwne były moje losy. Usiądziemy? Noga nie służy mi najlepiej. Może tutaj, na tym długim kamieniu. Kiedyś zwano go kamieniem narad, zatem możemy na nim porozmawiać. Nawet powinniśmy.



Phoros znowu potrząsnął głową, ale poszedł za kuśtykającym Intebem. Egipcjanin przemawiał tak, jakby nie tylko noga, ale i głowa jego doznała uszczerbku. Usiedli i spojrzeli na górujące nad nimi kamienie.

- Jam to uczynił - powiedział Inteb znacznie mocniejszym głosem. - Wzniosłem te kolumny dla Asona. To miejsce to Dun Ason, grodzisko Yernich.

- A gdzie Ason? Szukamy go. Kupcy z południa, Gera-mani, przynieśli królowi Perimedesowi wiadomość od syna.

- Spóźniliście się.

- Trwały wojny, a i podróż nie była łatwa.

- Zawsze są jakieś wojny, to akurat wychodzi ludziom najlepiej. Tu też mieliśmy wojnę, z Atlantydami. Też walczyłem i odniosłem te chwalebne rany. Była wielka bitwa, wielka, chociaż przegraliśmy.

- Ason zginął?

- Nie, został uprowadzony, chociaż sam zabił wielu, nim go pojмали. Widziałem, jak unosili go rannego i nieprzytomnego. Słyszałem później, że żył jeszcze, kiedy odpływali. Wzięli go ze sobą na statek. Pewnie już od dawna nie żyje.

- Kiedy to się stało? - spytał Phoros cicho, by nie pokazać podniecenia.

- Kiedy? Straciłem ostatnio rachubę miesięcy. - Spojrzał wkoło. - Teraz mamy niechybnie suchy miesiąc Payni, wedle egipskiej miary, oczywiście. To musiało być trzynaście miesięcy temu.

Phoros wstał i zaczął krążyć przed kamieniem.

- Mieliśmy nadzieję ujrzeć go żywego, ale chyba nawet Perimedes domyśla się już, że Ason zginął. Wiemy, że Atlantydzi przyплыnęli tu w znacznej sile, dlatego i my przybyliśmy aż na siedmiu statkach. Ale oni już dawno odpłynęli, a ci, co byli w kopalni, też już nie żyją. Ason musieli zabrać na Atlantyde.

- A niby gdzie indziej mógł popłynąć statek Atlantydów? - spytał z ciekawością Inteb i pomasaował chorą nogę.

- Zaiste, gdzieżby indziej? Przy dobrych wiatrach winni dotrzeć akurat na czas. Mój kuzyn Ason nie żyje zatem, ale zginął chwalebną śmiercią. Zginął wiedząc, że Atlantyda ginie wraz z nim.

- Zagadkami przemawiasz, a ja jestem zmęczony.

- Zatem słuchaj, Egipcjaninie, znałeś go...

- Kochałem go.

- Zatem wiedz, jak zginął. Świat się odmienił. Był dzień ognia, słońce poczerwieniało najpierw, a potem poczerniało w Mykenach, popioły spadły z nieba. Oto, co odkryliśmy, gdy



zeszliśmy nad brzeg morski: woda wezbrała i zmyła wszystkie porty, fale, jakich nie widział jeszcze żaden człowiek, zniszczyły miasta nawet tak dalekie, jak Troja. Wszystkie statki, co były na morzu, zatoneły, wszystkie miasta portowe obróciły się w ruinę. Ale zbudowaliśmy nowe statki i pożeglowaliśmy na Kretę. Nie ma już Thery, atlantydzkiej stolicy. Mykeny rządzą teraz Atlantydą i Argolidą. Potężne, na skale usadowione Mykeny, które daleko leżą od morza, przejęły wszystko i wszystkim władają.

- Nie wiedziałem.

- Nie? Czyż nie rozumiesz, że Ason, gdy wzięli go na Atlantyde, zdążył niechybnie ujrzeć zagładę swych nieprzyjaciół? Wiedział, co to znaczy dla Myken. Wiedział, że zwyciężył.

- Nie żyje i mało znaczy dla mnie, jak odszedł. Zostawił po sobie ten oto kamienny krąg. Ta pamiątka po nim żyć będzie wiecznie. Kto ją ujrzy, ten pojmie, że zdarzyło się tu coś wielkiego. Wracacie do Myken?

- Tak, wkrótce. Trzeba powiedzieć Perimedesowi.

- Zabierzecie mnie ze sobą? Myślę, że dobrze służyłem Mykenom, a teraz chciałbym jeszcze raz ujrzeć zielony Egipt. Zapłacę za podróż skarbem największym, a dla Perimedesza wręcz bezcennym. Jego wnukiem.

- Naprawdę? Ason się ożenił?

- Wedle miejscowego zwyczaju i z tutejszą księżniczką - uśmiechnął się krzywo Inteb. - Oboje kochaliśmy Asona, przez co nauczyliśmy się z czasem nie żywić do siebie nienawiści. To ona pielęgnowała moje rany. Ocaliła mi życie, ale ja nie mogłem odpłacić jej tym samym. Zmarła rodząc córkę, która, gdyby żyła, też byłaby dzieckiem Asona. Ale jego syn żyje. Tam, wygląda zza kamienia i nas obserwuje. Jest śmielszy niż dzieci Yernich. Atreusie! - zawołał Inteb. - Chodź, przywitaj swego krewniaka.

Chłopiec wyszedł z wolna zza kolumny. Jeśli nawet bał się, to umiejętnie skrywał lęk. Już był szeroki w ramionach i silny, z podobnie zdecydowanym spojrzeniem jak ojciec.

- Nauczyłem go języka mykeńskiego na wypadek, gdybyście kiedyś jednak przyплыли.

Myślami powędrował bardzo, bardzo daleko. Teraz odejdzie z tej wyspy i wróci do kochanego Egiptu, ale jakaś część jego osoby zostanie pośród wielkich kamieni. Bo tutaj był Ason. Jeśli cokolwiek po nim pozostało, to właśnie te kamienie. Inteb obszedł je wkoło, dotknął chłodnej skały, przypomniał sobie wojenne okrzyki Yernich, szczęk ich oręża.

Już po wszystkim. Pora odejść. Wrócił do kamienia, nad którym tak długo pracował. Wspaniały gład. Przesunął palcami po wzorze na licu kolumny. Sam to wyrzeźbił, otoczaka używając jako młota, złamany miecz posłużył za dłuto. Poobijał sobie przy tym palce do krwi. Na



koniec wygładził płaszczyznę piaskiem. Ale to dobrze, że ciężko szło rzeźbienie. Twardszy kamień dłużej zachowa ślad jego pracy.

- Asonie - szepnął. To tutaj właśnie powalono Mykeńczyka.

Inteb powiódł opuszkami po misternych liniach przedstawiających sztylet o kanciastej rękojeści i długim, wąskim ostrzu. Mykeński sztylet. Królewski sztylet Asona.

Słaby i zmęczony odszedł od kolumny. Maleńka sylwetka na tle wielkich kamieni. Obrócił się i pożegnał je na zawsze.

Pożegnał Dun Ason i wyspę Yern.

Pożegnał rozproszonych i przetrzebionych Yernich, których czas już minął.

Ciemność zapadła i trwała bardzo, bardzo długo.



POSŁOWIE

Powieść ta ocieka krwią i pełna jest wszelkiej przemocy, i słusznie, można powiedzieć, jako że dotyczy ona europejskiej historii w epoce brązu. Świat około roku 1500 p.n.e. był właśnie taki, a w każdym razie tak przedstawia go Homer w swoich eposach. Warto też zaznaczyć, że chociaż gloryfikowani przez Homera wojownicy nie byli jedyną godną uwagi grupą wchodzącą w skład ówczesnych społeczeństw, to rzeczywiście uchodzili za klasę najbardziej znaczącą. Tak i nic dziwnego, że w jednym grobie z epoki mykeńskiej znajduje się dwadzieścia lub trzydzieści mieczy. Powstaje pytanie: cóż ta osoba robiła za życia? Odpowiedź narzuca się sama. Owszem, w epickich opowieściach jest wiele przesady i koloryzują one niejedno, jako że powstawały na zamówienie królewskich patronów (niekoniecznie związanych z mykeńskim dziedzictwem), jednak nadal pozostaje oczywistym, że epoka Stonehenge była czasem herosów.

Powieść zaczyna się cytatem z Kritiasa, platońskiego dialogu, a konkretnie z tego fragmentu, który odnosi się do wydarzeń mogących całkiem słusznie nosić miano pierwszej wojny światowej. Z jednej strony stały wówczas greckie miasta-państwa Argolidy, z drugiej król Atlantydy, tutaj zwany Atlase. To on był twórcą imperium Atlantydy, przez historyków umieszczonym w okresie minojskim. Imperium owo uległo najpierw Mykeńczykom, potem falom Morza Egejskiego, którym wcześniej władało.

Wojna ta objęła prawie cały świat starożytny, od murów Troi po rzeki Centralnej Europy. Małe, ufortyfikowane garnizony Mykeńczyków stanęły przeciwko majestatowi Atlantydy.

Powód walki był prosty. Starano się przejąć kontrolę nad źródłami surowców, które dziś nazwalibyśmy "strategicznymi". Wtedy jednak nie chodziło o ropę, ale o cynę. Cynę, bez której nie mogłaby zaistnieć kultura brązu. Jednym z pierwszych osiągnięć metalurgii było odkrycie, że sama miedź jest zbyt miękka, by robić z niej narzędzia i broń, jednak gdy dodać do niej cyny (w proporcji jeden do dziewięciu) zmienia się w twardy brąz. Wystarczy dodać jej za wiele, a brąz robi się kruchy. Gdy da się jej za mało, mamy brąz niemal równie miękki, jak miedź. Jednak powierzchniowe złoża cyny to rzadkość. Starożytnym, którzy nie kopali głębokich sztolni, tym trudniej było ją znaleźć. Korzystali tylko z otwartych pokładów, których dzisiaj już nie ma. Wszystkie powierzchniowe żyły tlenku cyny zostały doszczętnie wybrane tysiące lat temu.

Opisane w tej powieści sposoby dobywania i wytopu cyny są autentyczne, nic nie zostało wymyślone; podobnie jak i obróbki kamienia. Znajomość podobnych szczegółów zawdzięczamy dzisiaj przede wszystkim archeologii eksperymentalnej.



Motywacja bohaterów też zdaje się być typowa dla owej epoki. Uzyskanie rzadkiego metalu mogło być zadaniem godnym herosa, kwestią życia i śmierci dla króla i jego wojowników. Obie strony zapuszczały się wówczas coraz dalej i wciągały w swój konflikt coraz to nowe ludy. Atlantydzki podążyli nad Morze Czarne i dalej w górę Dunaju (dotarli do połowy długości rzeki), gdzie znaleźli swoje pokłady cyny. Druga strona pożeglowała na zachód, pokonała Cieśninę Gibraltarską i wzdłuż brzegów Europy trafiła do Brytanii. Kopalnie Mykeńczyków mieściły się w obecnej Kornwalii.

Wtedy też, prawie trzy i pół tysiąca lat temu wzniesiono Stonehenge. Było ono potrzebne do skutecznej obrony przed Atlantydami.

Czy to prawda historyczna? Tak. Czy ta opowieść jest autentyczna? Tak, przynajmniej w warstwie merytorycznej.

Fabula nie zawiera zafałszowań ani przemilczeń, opiera się w całości na posiadanej przez nas obecnie wiedzy. Zaś jeśli chodzi o osoby bohaterów, cóż, to nie jest praca naukowa tylko powieść historyczna. Operuje na obszarze zdarzeń prawdopodobnych, toteż postacie zostały utworzone wedle wzorów kulturowych charakterystycznych dla epoki brązu. Pora przyjrzeć się teraz tym wzorom.

W roku 1953 odkryto w Stonehenge rzeźbę przedstawiającą sztylet znany jako grecki i pochodzący z epoki brązu, spotykany w królewskich grobach Myken. Rzeźba znajdowała się na zwróconej do wewnątrz kręgu płaszczyźnie kolumny współtworzącej jeden z pięciu trylitów. Odkrycie to stało się wówczas sensacją, trafiło na pierwsze strony gazet. Znaną rzeźbę datowano, nie bez sensownych powodów, na rok 1500 p.n.e.

Po pierwsze, znano dokładnie okres, z jakiego pochodził jeden z grobów na królewskim cmentarzu położonym w Mykenach wewnątrz murów miejskich, blisko Lwiej Bramy. W grobie tym znaleziono bardzo podobne sztylety. Leżały wspólnie z fragmentami towarów egipskich, w tym ceramiki, której datowanie nie nastrecza już żadnych kłopotów. Na podstawie widocznych na niej wzorów (odnoszących się do słonecznego kalendarza Egiptu) ustalono, że pochodzą z około 1500 roku p.n.e. Takie ustalenia pasowały do odkrycia na licu kamienia numer pięćdziesiąt trzy. Jednak to nie wszystko. Krótko potem potwierdzono wyniki metodą badania zawartości węgla aktywnego: posłużył do tego rylec z jeleniego rogu znaleziony u podstawy innego kamienia. Gdy kilka lat później zrewidowano metodą węglową precyzując kalibrację chronologiczną, daty przesunęły się, wskazując w tym przypadku na rok 2000 p.n.e. Miało to znaczyć, że Stonehenge wzniesiono

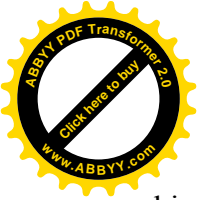


prawie pięćset lat przed powstaniem pałacu w Mykenach (i innych pałaców w Argolidzie, które zwano później mykeńskimi). Pozostało uznać kamienne kręgi za wytwór typowo lokalny. Jednak jak wytłumaczyć obecność greckiego symbolu?

Ostatnio wszakże archeologowie zatoczyli w swych rozważaniach, że tak powiem, pełny krąg i wrócili do punktu wyjścia. W tym samym regionie południowo-zachodniej Brytanii odnaleziono dodatkowo prawdziwy mykeński sztylet, a jakby tego było mało, trafiono też na sztabę cyny z pieczęcią Myken oraz złoty kubek z Rillatonu - identyczny z tymi widywanymi w grobach w Argolidzie. Zatem pozostaje uznać, że metoda znakowania węglem aktywnym tym razem zawiodła i że Mykeńczycy faktycznie pojawili się w Stonehenge około roku 1500 p.n.e.

Mniej więcej w tym samym czasie miała miejsce erupcja wulkanu na wyspie Thera. Fale Morza Egejskiego pochłonęły królewskie miasto minojskiego imperium zwane Atlantydą. Mimo wszelkiej mgły tajemnicy, która zdaje się otaczać legendę Atlantydy, platoński przekaz nie stanowi większej zagadki dla archeologów. Od 1909 roku wiadomo, że dotyczy on minojskiej tesołokracji. To odkrycie też w swoim czasie trafiło na czołówki gazet, potem zostało jednak prawie zapomniane, uległo kolejnej erupcji, tym razem erupcji nonsensów i modnych, okultystycznych teoryjek. Faktem wszakże pozostaje, że centrum imperium Atlantydy znajdowało się na dwóch wyspach, najpierw na Therze, później na Krecie (mała, okrągła wyspa i duża prostokątna wyspa, jak opisuje je Platon). Istniało w tym samym czasie, co lądowe królestwo Myken i oba twory rywalizowały zawzięcie.

Wyżej wspomniane fakty były inspiracją do napisania powieści, w której rzeźba sztyletu w Stonehenge została powiązana z wiele wieków trwającą wojną między Mykenami a Atlantydą. Wyobraźnia? Niezupełnie. Uwaga Platona o egipskich zapiskach relacjonujących dawną wojnę nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością i wynika z pomyłki w datowaniu. Może zdarzyła się ona przy przepisywaniu tekstu, może kiedy indziej (o tym niżej). Tak chętnie wykorzystywana przez siewców tajemnicy wzmianka lokuje wysoką cywilizację Atlantydy w czasie, gdy raczkująca ludzkość trudniła się polowaniem i zbieractwem. Platon usłyszał historię od Solona, ten zaś od egipskich kapłanów. Oni to mieli powiedzieć, że Atlantyda została zniszczona dziewięć tysięcy lat przed jego wizytą w Egipcie. Solon gościł wówczas w Sais w delcie Nilu, stolicy Dolnego Egiptu, gdzie była świątynia ze znaczącą biblioteką. W ten sposób zagłada imperium musiałaby mieć miejsce gdzieś pod koniec plejstocenu lub w epoce lodowcowej. Człowiek nie biedził się wówczas nad prymitywną obróbką kamienia, trudnił się zbieractwem i daleko mu było jeszcze do zaawansowanych technologii, produkcji żywności (czyli hodowli i uprawy), o rolnictwie kultury neolitu nie wspominając. Dziewięć tysięcy lat wcześniej nie było jeszcze Egiptu, nie było kapłanów, którzy mogliby cokolwiek spisać. Atlantyda, tak jak Egipt, należała do kultury brązu,

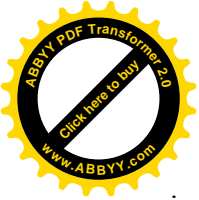


kiedy to kwitły handel, żegluga, metalurgia i sztuka dworska. Budowano wyniosłe pałace i świątynie, podejmowano liczne prace publiczne. Solon musiał po prostu pomylić tysiące z setkami, o który to błąd łatwo, gdy odczytuje się egipskie liczby porządkowe. Kapłani rozmawiając z Solonem wspominali zapewne o kontynencie, który istniał dziewięćset lat wcześniej, co lokuje interesujące nas wydarzenia około roku 1477 p.n.e. Geologowie potwierdzają tę datę jako mogącą dokładnie odpowiadać wybuchowi wulkanu na Therze.

Opowieść zaczyna się rok wcześniej, kiedy to mykeński heros, Ason, bierze się za budowę Stonehenge, aby pomóc ojcu w wojnie z Atlantydą.

Egipcjanie żyjący w delcie rzeki mieli swoje powody, aby dobrze zapamiętać zagładę Atlantydy. Też musieli odczuć wstrząsy ziemi, a fale i opad pyłu były zapewne znacznie większe niż podczas znanego nam wybuchu wulkanu Krakatau. Podejrzewa się nawet, że armia faraona ścigająca wychodzących z Egiptu Izraelitów była właśnie armią Tutmozisa III, a cudowne przejście przez Morze Czerwone zdarzyło się właśnie wtedy, gdy nadeszła olbrzymia fala (dzisiaj nazywamy takie fale z japońska "tsunami"). Egipt ocalał, ale obie najważniejsze wyspy Atlantydy zostały zniszczone. Runął pałac w Knossos i dalszą historię Krety tworzyli już Mykeńczycy, co można poznać po nagłej zmianie charakteru pisma w pałacowych kronikach. Dla Mykeńczyków upadek Atlantydy stworzył wspaniałą okazję, by zająć i odbudować Knossos i rozciągnąć swoje wpływy na wschodnią część Morza Śródziemnego, co zaowocowało ostatecznie upamiętnionym przez Homera zdobyciem Troi.

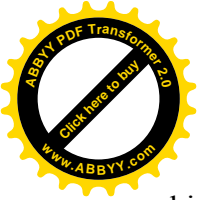
Poza opisanymi przez Homera istniały w Europie jeszcze inne kultury brązu. Jedną z nich była kultura unietycka (obecne Czechy), to stamtąd przybywali nasi Geramani, drugą kulturą ludów z Wessex w południowej Brytanii (czyli nasi Yerni, ostateczni twórcy ostatecznej postaci Stonehenge). Mykeńczycy na południu, ludy kultury unietyckiej na południowym wschodzie i ludy kultury Wessex na północ od Alp - to były centra kultury europejskiej. Minojska kultura Atlantydy przypominała mykeńską, tyle że bez wątpienia Atlantydzi stali nieco wyżej. Z drugiej wszakże strony, jak pisze Platon, Mykeńczycy radzili sobie z nimi w walce. Obie strony sporządzały wtedy zapiski na tabliczkach z nie wypalanej gliny, jednak wszystkie dotyczyły tylko spraw codziennych, czyli prowadzenia interesów. Tylko kultura Myken wraca echemi w dziełach Homera, które powstały około 750 roku p.n.e., czyli paręset lat po upadku dawnych Myken, w początkach epoki żelaza i u świtu klasycznej Grecji. Na północy nie zachowało się nic podobnego, wszelako relacja Homera ma cechy uniwersalne. Wszystkie te plemiona żyły podobnie i podobnie czciły bohaterów,



niezależnie czy ich bronią były brązowe miecze (Mykeny, Czechy), czy kamienne topory (Wessex). Te ostatnie miały zresztą naśladować metalowy oręż. Yerni używali specjalnych rodzajów kamienia i polerowali dwusieczne topory tak długo, aż metalicznym połyskiem przypominały brąz.

Równoległe z kulturami europejskimi rozwijały się kultury Bliskiego Wschodu, szczególnie sumeryjska w dolinie Tygrysu i Eufratu. To też była kultura brązu, chociaż odmienna. Wszystkie wszakże wywodziły się z neolitu, kiedy to zaczęto uprawiać zboża i udomawiać zwierzęta, co prowadziło do powstania albo szczepów osiadłych rolników, albo plemion wędrownych, ale też trudniących się rolnictwem, nomadów. Ci drudzy byli potomkami dawnych mieszkańców Europy, wojowników-pasterzy ze Wschodu, tak zwanego "ludu topora bojowego" pochodzącego z tej samej okolicy, z której wywodzą się wszystkie ludy indoeuropejskie, czyli rozległych stepów dzisiejszej Ukrainy. Tenże lud prowadził z początku głównie życie osiadłych rolników, potem zaczął wędrować. Powód tego był złożony, po części odpowiedzialne za odmianę było stepowanie tych terenów. Wycięte lasy nie odrastały, co położyło kres uprawie roli, ale nie wypasowi zwierzyny. W tym samym czasie pasterze ulegali wpływom kultury z południa, czyli kultury Sumerów ze starożytnej Mezopotamii, którą zresztą o mało co zniszczyliby w okresie, gdy przekształcali się w lud nomadów. Za broń obrali topór bojowy, który był kamienną kopią brązowego topora Sumerów, a dokładniej, kopią metalowej głowicy topora sprzedawanej Sumerom przez bogatą społeczność kowali zamieszkujących na Kaukazie, gdzie mieściło się jedno z pierwszych światowych centrów metalurgicznych (drugie znajdowało się na stokach wschodnich Alp, które obfitowały w złoża tak cyny, jak i miedzi).

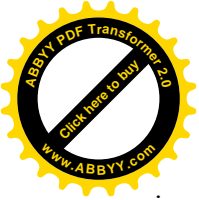
Skutkiem licznych migracji i podbojów, w czym nader pomocne były z początku wozy ciągnięte przez konie, a później rydwany, lud ten dotarł do zachodniej Europy i Brytanii. Wciąż używał wspomnianych toporów, nawet wtedy, gdy opanował sztukę topienia metali. Ale dotarł nie tylko tam. Władzał pierwotnie jednym językiem indo-europejskim, który z czasem zróżnicował się, dając początek sanskrytowi, językom takim jak grecki, celtycki i ze sto innych. Ludy te dały początek kulturze Indusu, stając się burzącymi miasta Ariami (ich dziełem jest epos Rigweda). W Grecji zostali ostatecznie Mykeńczykami (których "naczelnym" poetą był Homer), a w reszcie Europy utworzyli plemiona Protaceltów. W ten sposób i Mykeńczycy i lud z Wessex (Yerni) mieli wspólnych przodków. Ci drudzy wszakże, osiedliwszy się na wyspie, nie zaczęli stosować rydwanów wcześniej, jak dopiero w epoce żelaza. Przybywając do Europy nowy lud dał początek arystokracji wojowników władających wcześniej tu osiadłymi wieśniakami i stworzył podwaliny pod dwuwarstwowy system plemienny. Owe dwie warstwy to, z jednej strony, dostojni wojownicy, z drugiej zaś, grupa producentów rolnych. Ostatecznie wytworzył się z tego system wodzowski, z



obieralnym wodzem, a nie system dynastyczny z królem jako władcą państwa. Władza opierała się na autorytecie. Król Perimedes nie był w gruncie rzeczy królem, podobnie jak Mykeny nie były naprawdę miastem (w gruncie rzeczy nie znaczyły więcej niż grodzisko Yernich). Mykeny składały się głównie z pałacu-siedziby "redystrybutora" wszelkich dóbr, który dzielił łupy wojenne i pirackie, zagarniając większą ich część dla siebie, resztę zaś rozdając w uznaniu zasług podległym wojownikom czy innym wodzom. To ostatnie nazywało się dyplomacją. Ponieważ Perimedes był w niej biegły, doszedł do rangi prawie królewskiej i mógł zaprowadzić porządek dynastyczny. Zmiany te zostały niejako wymuszone trwającą już dość długo wojną z Atlantydą i koniecznością zjednoczenia Argolidy pod jednym politycznym kierownictwem. Jedno "imperium" rządzone przez jednego "prawie króla". Nigdzie indziej w Europie sprawy nie zaszły aż tak daleko, inne plemiona ograniczały się do zawierania co najwyżej kruchych sojuszy. Wszędzie jednak zdobycie "strategicznych" metali było kwestią najwyższej wagi. Wodzowie posyłali po nie swoich wojów, którzy okrywali się sławą w walce i na tych dokonaniach budowali swój autorytet.

Barbarzyństwo europejskich wodzów kontrastowało silnie z cywilizowanymi zwyczajami i systemem monarszym Bliskiego Wschodu. Tamci królowie i faraonowie też szukali cennych metali, ale czynili to z pozycji przedsiębiorców prowadzących interesy na wielką skalę. Może wynikało to z faktu, że na terenie Egiptu i Sumeru nie było pokładów cyny i miedzi, przez co trzeba było penetrować Europę, i to tam narodziła się metalurgia brązu. Królowie musieli pilnować szlaków komunikacyjnych i dostaw surowca dla własnych rzemieślników, przez co organizowali dalekie i nierzadko zbrojne wyprawy. Rzemieślnicy, rzeźbiarze, cieśle i żołnierze skupiali się zatem wkoło dworu. W Europie było inaczej. Wojownicy byli tu jedyną uprzywilejowaną grupą, zaś rzemieślnicy krążyli od osady do osady, tak samo jak niegdyś wędrowni majstrowie od wszystkiego. Jeszcze znaczniejszą różnicę stanowił fakt, że królowie Sumeru i Egiptu mieszkali w prawdziwych miastach, które roiły się od ludzi prowadzących różną działalność. W Europie w osadach mieszkała prawie wyłącznie arystokracja, która żyła z podatków ściąganych od neolitycznych wieśniaków mieszkających w szeroko pojmowanej okolicy. Można zaznaczyć, że w ten sposób powstał system podatkowy. Miejskie życie, struktura władzy, tworzona dla elit dworskich sztuka - tego wszystkiego brakowało systemowi wodzowskiemu. I ci właśnie mieszkańcy Europy przegrali ostatecznie, gdy potomkowie dawnych królów z epoki brązu przystąpili w epoce żelaza do podbojów terytorialnych, miast jedynie handlować z Zachodem.

W ten sposób trafiamy do Galii zdobywanej przez Cezara i jego Rzymian. Tam to bohaterscy wojownicy napotkali dobrze zorganizowane oddziały wyćwiczone nie tyle w honorowej walce, ile w szybkim mordowaniu. Cezar pozostawił po sobie nader przydatne nam notatki dotyczące owych wojen, zacytował nawet kilka relacji naocznych świadków zapisanych przez



innych autorów. Wśród tych ostatnich był grecki "etnograf Posejdonios z Apamei, który zmarł w 51 roku p.n.e., kiedy to Cezar pisał własne komentarze. Posejdonios opisuje galijski lud Keltoi, w klasycznej literaturze historycznej zwany ludem Celtów. Dla archeologów stanowią oni ostatni etap przedromańskiej kultury żelaza, badacze określają ich inaczej jako lud kultury lateńskiej.

Epoka żelaza w wydaniu rzymskim oznaczała nie tylko produkcję taniego żelaznego oręża i narzędzi, ale także upowszechnienie alfabetu, systemu monetarnego. Powstawały gildie rzemieślnicze i "sieci informacyjne". Szybcy posłańcy przemierzający kraj na koniach znacznie przyczyniali się do wzmocnienia władzy centralnej i państwa. Tanie, masowo produkowane miecze i zbroje utraciły dawny monopol szlachty na drogi oręż z brązu, zaistniała możliwość tworzenia regularnych armii. Powszechna (stosunkowo) umiejętność zapisywania słów za pomocą znaków alfabetu zniszczyła z kolei monopol kapłanów, którzy dotąd jako jedyni służyli w tym zakresie swą wiedzą królom epoki brązu. System monetarny (masowe bicie monet) umożliwił rozwój drobnego rzemiosła niezależnego od królewskich szkatuł. Tanie narzędzia dały początek tworzeniu cechów chroniących niezawisłość rzemieślników. Nowi władcy epoki żelaza rządzą zupełnie innymi metodami, metodami, które zapowiadały nadejście prawdziwych monarchii.

Europa kultury lateńskiej, która pozostawała poza granicami Imperium Rzymskiego, przypominała wciąż wszakże społeczeństwa epoki brązu. Posejdonios opisuje celtyckich wojowników uzbrojonych w żelazne miecze, jednak nie znających nowoczesnych metod walki. W Brytanii Cezar ujrzał ich jeżdżących na rydwanach tak samo, jak czynili to bohaterowie Homera. Nie trafiono nawet na ślad systemu dynastycznego, o żadnej monarchii nie wspominając, rzemieślnicy utrzymywali niezależność nie dzięki własnym organizacjom, ale dzięki wędrownemu trybowi życia. Pracowali dla tych wodzów, których sobie akurat wybrali. Druidzi pełnili funkcje kapłanów, ale nie znali pisma. Mieli za to monopol na tradycję ustną, przekazywali sobie opowieści oraz genealogie wodzów. Gdybyśmy odjęli z tego obrazu wszystko to, co wiązało się z żelazem, otrzymalibyśmy homeryckie Mykeny. Nawet zawiązany ostatecznie sojusz wielu wodzów powstał tylko dlatego, że pojawiło się zagrożenie z zewnątrz. Zupełnie, jak w Mykenach za czasów wojny z Atlantydą i fikcyjnego króla Perimedesa (którego "prototypem" był walczący pod Troją Agamemnon). Tylko to jedno mogło powstrzymać ich od podkradania sobie bydła i wzajemnych najazdów. Tacy sami wojownicy-pastuszkowie wzniesli Stonehenge. Na dzisiejszych wyspach Brytyjskich trwała wówczas epoka brązu. Ich dwusieczne topory z kamienia i liczne łupy wojenne spoczywają teraz u boku właścicieli w grobach rozrzuconych w promieniu dwóch mil od kamiennych kręgów. Grobów tych jest ponad 460. Jeśli Celtowie zwykli urządzać wielkie narady plemienne pośrodku cmentarzysk, nad grobami bohaterów, wówczas zapewne i Stonehenge zostało wzniesione w podobnym celu. Wojownicy z okolicy Wessex należeli dokładnie do tej samej grupy,



co pochowani w kurhanach w Czechach; w literaturze archeologicznej nazywa się ich Protoceltami. Yerni i Geramani to ubodzy krewni herosów Homera. Wywodzenie sposobu życia Celtów z epoki żelaza jeszcze z dziedzictwa epoki brązu nie jest bezzasadne. Przyglądając się Celtom możemy dowiedzieć się sporo o Protoceltach z Wessex (Yerni), którzy nie zostawili po sobie żadnych ustnych ni pisanych świadectw.

Naoczni świadkowie życia Celtów rekrutują się spośród Greków takich, jak geograf Strabon i historyk Diodor Sycylijski, najcenniejsze zaś są etnograficzne obserwacje

Posejdoniosa. Strabon tak pisze o Celtach: "Do szaleństwa uwielbiają wojnę, odważni są i skorzy do walki". Bez wątpienia Yerni byli tacy sami i tak właśnie zostali przedstawieni w tej powieści.

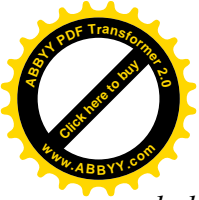
Ostatnie warowne centrum kultury Celtów znalazł święty Patryk w Irlandii w piątym wieku naszej ery. Była to typowa społeczność indoeuropejska podobna do tej, którą opisuje Homer, którą odnajdujemy także w eposie Rigweda. Rydwany, kradzieże bydła, wojowniczość i skłonność do chełpienia się zasługami, odwaga i uwielbienie przemocy oraz tradycja ustnych przekazów na dokładkę. Chrześcijańscy mnisi spisali wiele z tych opowieści, między innymi Tain Bo Cualnge. Tytuł ten można przełożyć jako Zagnanie krów z Cualnge lub Uprowadzenie stad z Cualnge.

Podobnie jak u Homera, tak i tutaj mało co opisywano poza walkami i innymi czynami wojowniczej arystokracji. Zresztą, obserwujący galijskich Celtów Diodor też pokorzył ich z bohaterami Homera:

Obok nich płoną paleniska, a na nich kotły i rożny z wielkimi kawałami mięsa. Najdzielniejszych wojowników nagradza się najlepszymi kęsami, tak jak pisał Homer o Ajaksie, który pobiwszy Hektora uhonorowany został: "Zaszczycił Ajaksa całym grzbietem".

Posejdonios widział to samo i opisał rzecz, chociaż nie tak barwnie, jak czyniono to w irlandzkich opowieściach:

Celtowie urządzają sobie pojedynki w trakcie obiadu. Biją się na niby, udając ciosy i obronę, chociaż czasem zdarzyć się może, że który ranę w trakcie otrzyma, a wtedy irytacja do walki prawdziwej pobudza i rzeczywiście zabić przeciwnika może, jeśli go widzowie w porę nie powstrzymają. W dawniejszych czasach, gdy największą porcję z zadu otrzymywał największy



bohater, bywało i tak, że gdy ktoś inny zażądał tego zaszczytu, to wstawać musieli i walczyć do śmierci.

W irlandzkich opowieściach porcja dla bohatera to curadmir, najlepszy kęs mięsa. Sprawa wyglądała poważnie i było się o co kłócić. W opowieści zatytułowanej Świnia mac Datha, wojownicy kolejno zgłaszają pretensje do dzielenia dania obiadowego, każdy zachwala najpierw swe prawdziwe i fikcyjne zalety, potem wyzywa poprzednika. Ostatecznie zaszczyt ten przypada mistrzowi z Connachtu, Cetowi mac Magachowi, który zawstydził kilku Ulsterczyków. Wtedy do sali wkracza Conall Cernach i dochodzi do sceny niemal identycznej z tą, którą opisał tysiąc lat wcześniej Posejdonios. Trudno o lepszy dowód stałości irlandzkiej tradycji. Kultura lateńska wiecznie żywa, można powiedzieć.

Gdy z nożem w dłoni kwapił się już ku świni, ujrzał Conall Zwycięzcę, jak wchodzi do domu i wprost ku niemu bieży. Skoczył na podłogę, a mężowie z Ulsteru zgotowali Conallowi huczne powitanie. Wtedy to Conchobar cisnął hełm na ziemię i wstrząsnął się cały.

- Cieszymy się - powiedział Conall - że porcja nasza już na nas czeka. Kto dla was wytnie?

- Mąż nad męża z Irlandii wygrał ten zaszczyt. Cet mac Magach.

- Naprawdę, o Cecie? - spytał Conall. - - Czyżbyś ty pociąg miał prosiaka?

- A prawda to, prawda - powiedział Cet.

- Wynoś się od tego świniaka, Cecie!

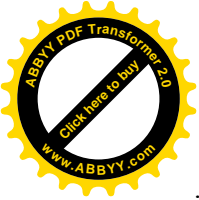
- A to czemuż?

- Bo wyzywam cię i zaraz pokonam - powiedział Conall. - Bo przysięgam ja i ludzie moi przysięgną, że od chwili, gdym po raz pierwszy ujął włócznię i miecz, nie było dnia, kiedy bym nie zabił kogoś z Connachtu. Nie było nocy bez plądrowania, nigdy spać się nie kładł bez głowy connachtczyka pod moim kolanem.

- To prawda - odparł Cet - żeś większy wojownik niż ja, ale gdyby Anluan mac Magach, brat mój, był tutaj, nie równałbyś się z nim i to sromota wielka, że mego brata nie ma dziś z nami.

- Ależ jest - powiedział Conall wyjmując zza pasa głowę Anluana i Cetowi na pierś ją ciskając, aż krew trysnęła na usta tamtego. Zaraz też Conall zabrał się do świni, a Cet odszedł jak niepyszny.

Świnia mac Datha to klasyczna opowieść o bohaterach. Razem z Tain i innymi jeszcze historiami tworzy tak zwany cykl ulsterski. Elementem łączącym wszystkie jest postać króla Ulsteru, Conchobara, odpowiednika króla Myken Agamemnona z eposu Homera. Jego



wojownikiem jest Cuchulain, taki irlandzki Achilles. Rolę Trojan grają ludzie króla Connachtu, a jednym z nich jest Cet mac Magach. Iliada to wspaniały przewodnik nie tylko po życiu Achajów, ale również Celtów z Galii i Irlandii. Homeryckie Mykeny to kultura indoeuropejska przesadzona w realia śródziemnomorskie, wszelako nie kultura miejska. W cyklu ulsterskim miarą bogactwa jest stan posiadania bydła, które jest celem wielu wypraw łupieżczych. U Homera oręż wojownika wart jest od dziewięciu do stu par rogów, a dla takiej zdobyczy warto nadstawiać karku w bitwie.

Zapewne zasadnicza różnica sprowadza się do tego, że chociaż i Homer, i opowieści cyklu ulsterskiego wiele miejsca poświęcają opisom dworskich uroczystości, to Achajo-wie cieszą się nimi, Irlandczycy zaś uwielbiają psuć zabawę. Najwięksi nawet bohaterowie porzucają maskę godności i radośnie rzucają się w wir brutalnych bijatyk, szczególnie chętnie zaś czynią to podczas dworskich uczt. I Posejdonios i irlandzcy bardowie opisują ich jako wodzów ogólnie niechlujnych, ale silnych w rękach i gębie, otoczonych uwielbieniem wszelkiego elementu, szybkich w chwytaniu za miecz, ile razy zda im się, że ktoś ich obraża. Skłonni do pieniactwa i bombastycznych przechwałek. Barbarzyńscy budowniczo Stonehenge mogli być tacy sami. Oczywiście, irlandzkie opowieści bliższe są tamtej rzeczywistości niż wiersze Homera, ale przecież ten Hellen też był przedstawicielem wielbiącego herosów społeczeństwa.

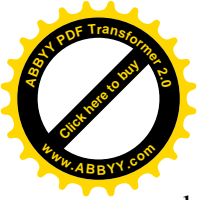
O wiele okrutniejszy był znany pośród Yernich obyczaj składania ofiar z ludzi. Celtowie rzeczywiście zwykli tak czynić, Cezar zaś opisuje następująco obrządki praktykowane w Galii:

Niektóre szczepy budują nadnaturalnych rozmiarów wyobrażenia zwierząt z nogami z plecionych gałęzi, gdzie wsadzają żywych ludzi. Podpalają je następnie i ofiary giną w morzu płomieni.

Strabon podaje, że ofiary składano zarówno zabijając je ciosem ostrza, jak i paląc:

Zwykli zabijać przeznaczonego śmierci człowieka ciosem sztyletu w plecy i następnie przepowiadali z jego konwulsji przyszłość. Ofiarę składano zawsze w obecności druida. Istnieją relacje jeszcze o innej formie składania ludzkich ofiar. Albo ustrzeliwali ich z łuków, albo powalali ciosem w skroń, albo robili wielki posąg ze słomy i drewna, wrzucali do niego bydło i wszelką dziką zwierzynę oraz ludzi i podpalali.

Podobne masakry na jeńcach wojennych pojawiają się w rozmaitych irlandzkich opowieściach, gdzie pali się całe domy z mieszkańcami w ramach zemsty rodowej. W jednym przypadku składanie ofiary przerywa pojawienie się nadnaturalnej kobiety prowadzącej krowę i



nakazującej złożyć bydłatko w ofierze zamiast ludzi. Tradycja indyjskich Ariów przedstawia się w tej materii podobnie, tam jednak z czasem zaczęto składać ofiary wyłącznie ze zwierząt. W Irlandii zostało po staremu. Dla Cezara nie było to nic nowego, podobne praktyki funkcjonowały w jego rodzinnej Italii aż do pierwszego wieku naszej ery, chociaż Cezar nie mógł wiedzieć, że to właśnie indoeuropejscy wojownicy zaprowadzili je podczas wcześniejszej inwazji. Na ich zwyczajach wyrosła potęga Rzymu.

Celtyccy łowcy głów też byli zjawiskiem dość typowym. Oto jak Diodor opisuje zachowanie Galów podczas bitwy:

Do podróży i do bitwy używają dwukonnych rydwanów z wojownikiem i rydwannikiem. Gdy spotykają się z jazdą, najpierw rzucają oszczepami, a potem wysiadają z rydwanu, by walczyć z mieczem w dłoni. Niektórzy żywią tak wielką pogardę dla śmierci, że stają do bitwy jedynie w przepasce na biodrach. Gdy dobędą już broni i gotowi są walczyć, najpierw wyzywają się i najdzielniejsi staczają pojedynki między liniami, a reszta tłucze w tarcze, by przestraszyć wroga. Gdy kto przyjmie wyzwanie, wtedy mówią głośno o czynach wszystkich jego przodków i chwalą się własną walecznością pomniejszając walory oponenta. Próbują w ten sposób osłabić jego wolę walki. Odcinają głowy pokonanych wrogów i wieszają je na karkach swoich koni. Zakrwawione łupy wręczają swoim giermkom i każą wynosić jako zdobycz, sami zaś śpiewają peany na swą cześć lub pieśni zwycięstwa, potem przybijają wszystkie te owoce nad drzwiami swych domów podobnie jak robią to z powalonymi dzikimi zwierzętami.

Fragment ten dokładnie pasuje do treści irlandzkich sag. Wojownicy w Tain Bo Culange jadą do walki w rydwanach, zaś wyzywanie do pojedynków zostało wyczerpująco opisane w Iliadzie. Heros Cuchulainn, który ma dwukonny rydwan i rydwannika Laega oraz tarczę, włócznię i miecz to postać żywcem wyjęta z zapisków Posejdoniosa.

Zwyczaj obcinania głów pojawia się ponownie u Strabona, który pisze o tym następująco:

(...) to znak barbarzyńskiej dzikości, w której celują szczególnie ludy północy, co gdy opuszczają pole bitwy, to uwiązują na karkach koni głowy swoich wrogów, a potem przybijają je ku powszechnemu widowisku nad wejściami swoich domów.

Społeczeństwo celtyckie określić można jako "heroiczne, skupione wkoło arystokratycznej kasty wodzów-wojowników, których jedynym zajęciem była wojaczka, a zdobyczą: odcięte głowy, temat dominujący w celtyckiej sztuce. Podobnie wygląda irlandzka epika.



W świetle odkryć archeologicznych, wiedzy historycznej i przekazów literackich, możemy śmiało identyfikować Celtów kultury lateńskiej z Irlandii z epoką brązu charakterystyczną dla Brytanii około roku 1500 p.n.e., kiedy to Protoceltowie (Yerni) budowali Stonehenge. W Galii kultura lateńska zniknęła na początku naszej ery, w Brytanii pod koniec pierwszego wieku. Irlandzcy Lateńczycy, galijskiego zresztą pochodzenia, wyginęliby zapewne już około roku 150 n.e., gdyby rzymski podbój sięgnął aż tak daleko. Jednak nie sięgnął, Rzymianie nie dotarli do Irlandii, przynajmniej nie dotarły tam ich legiony. Ostatni rezerwat zamierchłej, przedromańskiej kultury żelaza zachował się aż do piątego wieku, kiedy to ostatnich prawdziwych Celtów napotkał święty Patryk.

Potem jednak Rzym zaczął wysyłać do Irlandii mnichów, ci zaś spisali ustne przekazy bardów sięgające nawet czwartego wieku p.n.e. Celtowie byli pierwszym odrębnym ludem, który wyłonił się z fal indoeuropejskich migracji i wywalczył sobie zwierzchnictwo nad miejscowymi przedstawicielami neolitycznych rolników. Z czasem zdobyli od mieszkańców Chorwacji informacje o wytopie brązu. Oni to, podobnie jak ludy kaukaskie, handlowali od dawna z obywatelskimi społeczeństwami Bliskiego Wschodu. Tak zatem epoka brązu zaczęła się w Europie wraz z pojawieniem się Protoceltów, chociaż same wytwory z metalu były jeszcze wtedy rzadkie (Yerni nosili tylko brązowe sztylety i ozdoby) i jako broń preferowano ciągle kamienne topory. Krótco przed rokiem 1500 p.n.e. nowo uformowani Celtowie wkroczyli na teren południowej Brytanii i zdominowali miejscowych rolników (w tej powieści jest to neolityczne plemię Donbaksho), a ich ośrodkiem władzy stało się Stonehenge, które możemy oglądać do dziś. Przedchrześcijańska Irlandia znana z opowieści bardów pojawiła się tysiąc lat później, a w skali historycznej tysiąc lat to nie tak wiele, szczególnie gdy dotyczy społeczności wybitnie konserwatywnych. Dystans między opowieściami bardów a relacją Posejdoniosa był nawet mniejszy. Pozostaje nam tylko ująć z opisu celtyckiej codzienności elementy doszłe w wieku żelaza aby otrzymać społeczeństwo Protoceltów. W Ulsterze i Conall, i Cuchulainn używają żelaznych mieczy, pojawia się też jedna wzmianka o staroirlandzkim alfabecie wynalezionym pod wpływem Rzymian. Ale obaj herosi wciąż walczą na rydwanach, nie konno i są to takie same rydwany, jakich używali wojownicy epoki brązu. Spróbujmy odebrać im jeszcze rydwany, a otrzymujemy plemiona Protoceltów z południowej Brytanii, na przykład Yernich.

Jak wspomniałem wcześniej, Stonehenge leży pośrodku wielkiego cmentarzyska. Pod osobnymi kopcami grzebano tu miejscowych bohaterów, razem zresztą z ich toporami, brązowymi sztyletami, dzbanami z piwem i zrabowanymi przez nich ozdobami. Taka lokalizacja podpowiada, że budowla służyła głównie naradom plemiennym. Podobnie bowiem postępowali klasyczni Celtowie, którzy bez wyjątku zawsze naradzali się na cmentarzach. Takie spotkania, wiemy to z

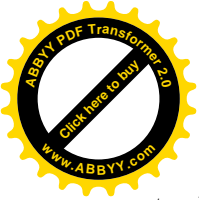


irlandzkich przekazów, polegały nie tylko na rozmowach, ale obejmowały także jarmarki, uroczyste ogłaszanie praw, poetyckie opiewanie cnót wodzów, igrzyska sportowe, handel, a nawet wyścigi konne. Były to imprezy otwarte dla wszystkich i wielce cenione przez wiejską ludność. Często odbywały się pośród dawnych kurhanów, w których składano odcięte głowy.

Zwyczaje wojowników i cel ich zebrań są dość jasne. W wypadku zgrzybiałości starego wodza lub jego śmierci w walce, ich zadaniem było wybrać spośród siebie nowego przywódcę. W najstarszej wersji irlandzkiego Kodeksu Brehona zaznacza się, że pod uwagę należy brać przeszłość kandydata aż do czwartego pokolenia włącznie! Do genealogii przywiązywano wagę tak wielką, że istnieli specjaliści zajmujący się tylko tą dziedziną. U Galów byli nimi druidzi, już w czasach Cezara (co ów autor zaznaczył) pełniący tę funkcję jakby "od zawsze". Oni też pilnowali właściwych terminów i kolejności dorocznych świąt i zebrań, zgrywając wszystko z rytualnym kalendarzem. Porządek roku taki, jaki uznawali Yerni, mógł z powodzeniem znaleźć odbicie w zwyczajach późniejszych Celtów.

Celtowie rozróżniali dwie zasadnicze pory roku: zimną i ciepłą, znacząc ich granice świętami Samhain (angielska wymowa: sahin) oraz Beltaine. To drugie było świętem pasterskim związanym z wyprowadzaniem bydła z zimowych kwater na pastwiska. W naszym kalendarzu odpowiadało dniu pierwszego maja, jednak Celtowie świętowali je w następującą po nim noc. Ten celtycki zwyczaj przetrwał do dziś i za jego to sprawą świętujemy wigilię Bożego Narodzenia, Nowego Roku, Wszystkich Świętych. Beltaine znaczy "ogień Bela", czyli jednego z najstarszych celtyckich bogów, Belenosa, znanego też na kontynencie. Przebieg święta Beltaine opisany został przez Cormaca. Cormac był w dziewiątym wieku arcybiskupem Irlandii, który spisał znaczenia zdezaktualizowanych słów języka gaelickiego (celtyckiego). W drodze na letnie pastwiska bydło i ludzie przechodzili między dwoma ogniskami rozpalonymi przez druidów, którzy uważali to za dobry sposób uchronienia od chorób przez cały rok. Ogniska te palono podczas Samhain, służyły zaś celom ofiarnym i palono w nich dzieci i zwierzęta, przynajmniej jeśli dać wiarę słowom Cormaca. Jeśli tak, to w opisach Cezara i Stra-bona (tych dotyczących ofiar całopalnych) nie ma ani trochę przesady.

Pozostałe dwa święta irlandzkie związane z porami roku to Imbolc (1 lutego) i Lughnasad (1 sierpnia). Imbolc odpowiada chrześcijańskiemu dniu świętej Brygidy. Imię to wywodzi się z sanskrytu i znaczy "ta wyniesiona", co jest jeszcze jednym przykładem powiązania z indoeuropejskim dziedzictwem, jednakim począwszy od Ariów, na Irlandii skończywszy. Imbolc znaczy "owcze mleko" i jest równocześnie nazwą pory narodzin jagniąt i laktacji owiec. Lughnasad to "uczta Luga", boga związanego ze zbiorami zbóż, ale nie z okresowym przeganianiem bydła, chociaż święto wypada właśnie wtedy. Wyraźnie miało ono spore znaczenie dla późnych,



trudniących się rolnictwem osadników na terenie Irlandii. Ług jest imieniem znanym nawet na kontynencie.

Wszelako najbardziej znaczącym świętem było Samhain, wielki spęd pod koniec pory wegetacji. W przedchrześcijańskiej Irlandii spotkania takie zwały się oenach i stanowiły co roku najważniejszy element Samhain, były jesiennym odnowieniem jedności tuath, czyli szczepu. Należąca do cyklu ulsterskiego Księga Dun Cow powiada, że jenach było:

(...) tym czasem, kiedy Uladowie co roku organizowali na równinie Murthemne jarmark i niczego innego wtedy nie robili, jak tylko bawili się i ścigali, przyjemność i rozrywkę czerpiąc z jadła i świętowania.

Na jarmarki przybywali członkowie wszystkich klanów szczepu, a czasem także ludzie spoza plemienia. Nieustanne wojny wygasły na ten krótki czas mocą uświęconego zawieszenia broni, czyli "paktu miecza", podobnie jak było to podczas igrzysk olimpijskich i istmijskich w Grecji. Jeśli tak, to plemienne forum Stonehenge było również miejscem handlowania. Uczty były nieodłącznym elementem jesiennego uboju bydła, jednak handel miał szczególne znaczenie, jako że Stonehenge leżało na skrzyżowaniu prehistorycznych szlaków kupieckich. W społecznościach plemiennych często obserwuje się takie skojarzenie handlu z zabawą, w naszej obecnej kulturze prawie nieobecne. Co więcej, sama ciągnąca się latami budowa podobnej konstrukcji dodatkowo jednoczyła szczep. Całością kierował silny, pijany piwem i obzarty wołowiną wódz-wojownik wsparty przez druidów zapewnieniami o boskich atrybutach jego siły i władzy. Otaczały go zaś duchy pogrzebanych wkoło przodków. To ostatnie wiąże się nawet ze znaczeniem staroirlandzkiego słowa oenach. Jego pierwsze znaczenie to "ponowne zjednoczenie" (czyli zebranie czy narada), drugie zaś to "teren grzebalny", czyli to miejsce, gdzie odbywały się owe narady. Pominiecie w naszych rozważaniach faktu, że Stonehenge stało pośrodku rozległej nekropolii, byłoby równoznaczne wyrwaniu monumentu z jego kulturowego kontekstu. Kontekstu istotnego i stanowiącego punkt wyjścia do dalszych spekulacji.

Z tego, co dowiedzieliśmy się od Homera o Celtach i barbarzyńskiej Europie na północ od Alp, wynika, że Stonehenge mogło być jedynie "pomnikiem społeczeństwa heroicznego", nie zaś obserwatorium astronomicznym, jak utrzymuje to Gerald Hawkins w wydanej w 1965 roku pracy Stonehenge rozszyfrowane. Autor sugeruje, że służyło do obliczania czasu letniego i zimowego

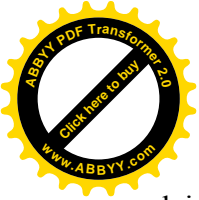


przesilenia i przewidywania zaćmień. Takie twierdzenie nie jest niczym innym, jak próbą przeniesienia dokonań Babilończyków z czwartego wieku p.n.e. (lub naszych własnych odkryć) w nader archaiczną przeszłość.

Poza tym ludy pasterskie wczesnej Europy szukały raczej znaków na ziemi, nie na niebie. Największe znaczenie miał dla nich wzrost trawy: jego ustanie w przededniu zimy i świeża zieleń w przededniu lata. Tym wydarzeniom odpowiadają święta Samhain i Beltaine w kalendarzu Celtów i wiosenne, obecnie po części chrześcijańskie święta w naszym. Samhain oznaczał wówczas początek nowego roku, początek jesieni i ubój tej nadwyżki zwierząt, której nie byłoby jak wyżywić przez zimę. Karnawał (czas gdy dusze umarłych wracają w gości pod rodzinny dach) został w tradycji chrześcijańskiej przekształcony na wigilię Wszystkich Świętych dopiero około 813 roku naszej ery. Wigilię Nowego Roku przesunięto zaś rzymskim przykładem na pierwszy dzień stycznia. W ten sposób w miejsce kalendarza "przyrodniczego" wprowadzono kalendarz astronomiczny typowy dla społeczeństw zinstytucjonalizowanych. Biorąc te różnice pod uwagę mamy prawo sądzić, że Yerni zwoływali swoje zgromadzenia w czasie Samhain, obecnie wigilii Wszystkich Świętych, w tradycji kultury Zachodu - Halloween. Tak właśnie umieszczono w tej powieści wielkie zebranie wodzów pięciu szczepów Yernich.

Uznanie silnego związku Stonehenge z Mykeńczykami posłużyło za okazję, by ubarwić postać Asona, dla którego owa megalityczna konstrukcja miała być środkiem służącym zjednoczeniu wszystkich plemion wojowników. Byłoby to centrum władzy, miejsce spotkań i symbol wspólnoty. Ason pragnął powstrzymać Yernich od napaści na kopalnię ojca na zachodzie Kornwalii. Heroiczny epizod wojny Myken z Atlantydą zakończył się jednak fatalnie dla Achajów i o ostatecznym wyniku konfliktu przesądziła erupcja wulkanu na Therze. Nie dokończone Stonehenge popadło w ruinę i takim możemy widzieć je dzisiaj.

Ale co to za ruiny! Są drugą (po Tower) atrakcją turystyczną Wielkiej Brytanii, co roku odwiedza je prawie milion ciekawskich. Przybywa ich regularnie od roku 1740, kiedy to antykwariusz William Stuckeley opublikował książkę Stonehenge. Świątynia przywrócona brytyjskim druidom. Praca ta nie tylko jako pierwsza spopularyzowała obiekt, ale uświadomiła trwale obywatelom brytyjskim, kim byli druidzi. Rzecz jasna Stuckeley miał na myśli dawnych, celtyckich druidów z Brytanii, tych opisanych przez Cezara, a nie Pradawny Zakon Druidów, który powstał dopiero po publikacji inkryminowanej pracy (nią zresztą inspirowany). Zakon ów było to towarzystwo, które prawem kaduka wbiło się w białe szatki i wykorzystując symbolikę

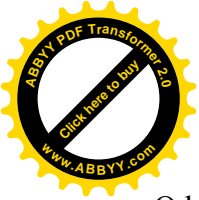


dziewiętnastowiecznej masonerii zaczęło paradować wkoło Stonehenge około letniego przesilenia (który to czas stał się także ulubioną porą obserwacji co bardziej maniakałnych astronomów). Z jakiegoś powodu utrwałała się praktyka, aby dla obśmiania owych fałszywych druidów dyskredytować również tych dawnych, przy czym twierdzi się, że nie mieli oni nigdy nic wspólnego ze Stonehenge. Stuckeley nie miał najmniejszego pojęcia czym naprawdę było Stonehenge, ale starczyło mu wyobraźni, aby stworzyć portret społeczeństwa, w którym kapłani (druidzi) pełnili funkcję służebną wobec kasty wojowników. I chociaż nazwał "świątynią" to, co my określamy raczej jako "forum", rodzaj "parlamentu", to wyraźnie zarysował hierarchię społeczną: kapłanów i wojowników sprawujących władzę nad pospółstwem wykonującym pracę produkcyjną. Wzór ten odnosił się do Celtów i zapewne do Protoceltów. Skoro stwierdzono, że w Stonehenge byli wojownicy w epoce brązu (są pogrzebani wszędzie wkoło), to musieli w tym czasie, żyć tam także druidzi. Podobne uwarstwienie charakteryzowało wszystkie ludy indoeuropejskie od Indii po Irlandię. Druidzi w celtyckiej Europie, bramini w Indiach. Relacja Cezara przypomina żywo sytuację w indyjskim stanie Pendżab w czasie inwazji Ariów. To ostatnie wydarzenie znajduje zresztą odzwierciedlenie w hymnach z Rigwedy, która wychwala dokonania Ariów żyjących w tym samym czasie, gdy kończono budować Stonehenge.

Co więcej, słowo oznaczające wiedzę i mądrość druidów znajdujemy we wszystkich tych trzech językach: sanskrycie, galijskim i staroirlandzkim.

Pochodzące z sanskrytu słowo veda, to, od którego mówimy o wedyjskich hymnach, oznacza "wiedzę" czy raczej, w dosłownym tłumaczeniu, "wizję" lub "wgląd" i odpowiada analogicznym, stosowanym wobec druidów, określeniom z galijskiego i staroirlandzkiego.

Rigweda jest najświętszą księgą hinduizmu, w pełni spisana po raz pierwszy przez brytyjskich kolonizatorów z początkiem dziewiętnastego wieku. Przedtem trwała tysiące lat wyłącznie w tradycji ustnej, powstała podczas najazdu Ariów na północno-zachodnie Indie, kiedy to zniszczona została cywilizacja Harappy. Ułożona została w sanskrycie, języku martwym i zachowanym jedynie przez braminów, którzy dopiero niedawno zaczęli stosować go w piśmie. Bramini to prawdziwi poeci, to druidzi tradycji Ariów, opiewający czyny bohaterskich wojowników, którzy niegdyś najechali Pendżab, a obecnie uznawani są za bogów. Rigweda składa się z 1028 wierszy chwalcących różne bóstwa, z których najważniejszym jest Indra, walczący na rydwaniu i odpowiadający dokładnie gromowładnemu Jowiszowi z tradycji rzymskiej, greckiemu Zeusowi i skandynawskiemu Thorowi. Postać Indry to apoteoza indoeuropejskiego wodza-wojownika: "Jak ptaki zmiatał majątności wroga". To jemu "podlegały wszystkie konie, wszystkie rydwany, wszystkie wioski i całe bydło". Co najważniejsze, był "burzycielem miast", tak jak



Odyseusz, który nosił specjalne, zaszczytne miano ptoliporthosa, "łupieżcy miast". W przełomowych chwilach Indra zwykł ciskać gromy, poza tym walczył strzelając z łuku z wysokości rydwanu.

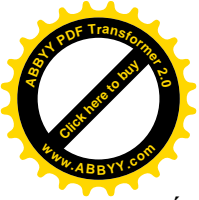
*Na bardziej chyżym od wszystkich rydwanie,
O Indro, osławiony, obaliłeś
dwakroć po dziesięć królów ludzi
podwładnych mając sześćdziesiąt tysięcy i dziewięciuset
dziewięćdziesięciu. Od walki do walki zmierzasz nieustraszenie,
fortecę burzysz mocą za fortecą.*

Rig znaczy w sanskrycie "strofy pochwalne", ueda oznacza "wiedzę" i słowo to zbliżone jest do angielskiego wit. Wyrazy te wywodzą się z korzenia tego samego indo-europejskiego czasownika "widzieć". Jego ślad odnajdujemy również w łacińskim video. Można powiedzieć, że oglądanie telewizji ma w warstwie nazewnictwa wiele wspólnego ze świętą wiedzą hinduskich braminów i celtyckich druidów.

Obecna nazwa celtyckich mędrców została utworzona przez Cezara od formy liczby mnogiej ich galijskiego miana druides, czyli ci, co "widzą po trzykroć". Wyrazem pochodnym jest id albo wid (vision - "wizja" albo wise - "mądry") i intensyfikującym cechą przedrostkiem dri albo tri ("trzy"), skąd i właściwe znaczenie "po trzykroć mądry", takie samo jak w przypadku galijskiego drui. Liczba trzy jest stosowana w podobnym celu we wszystkich językach indoeuropejskich, jak na przykład we francuskim tres czy angielskim terrific ("straszliwy").

Specyficzna siła przypisywana liczbie trzy znajduje odbicie również w podziałach kompetencji indoeuropejskich bóstw: Brahma, Siwa i Wisznu w tradycji hinduskiej; Zeus, Posejdon i Pluton (albo Hades) w greckiej. Bóstwa te symbolizowały trzy najważniejsze pierwiastki: niebo, ziemię i podziemie, czyli kreację, zniszczenie i trwanie. Możliwe że trylitry w Stonehenge odnoszą się do tych samych symboli (po jednym na każdy tworzący łuk kamień). Takie znaczenie przynajmniej mogli nadawać im związani z wojownikami ludu kultury Wessex druidzi pragnący związać jakoś twór polityczny z religią. Ostatecznie monument stanowił centrum rozległej nekropolii.

Działania naszego powieściowego druida, Nameda, odpowiadają klasycznym funkcjom jemu podobnych, czy to druidów, czy braminów. W społeczeństwie heroicznym zadaniem kapłanów było "legitymizować" autorytet władzy wojowników nad produkującym dobra pospółstwem. Ponadto mieli zapamiętywać genealogie wodzów, a może i śpiewać na ich chwałę,



uświęcać plemienne miejsca zebrań, pilnować rytualnego kalendarza, składać ofiary i odczytywać znaki. Obecni, farbowani druidzi starannie przemilczają, jakie to krwawe ofiary składali ich prawdziwi protoplasci.

Powieściowi wojownicy, Yerni, są nie mniej autentyczni. Bardziej przypominają herosów niż żołnierzy. W literaturze epickiej porównywani bywają do krwawych bestii.

Cuchulainn to "pies na posokę". Wojownicy Homera to "głodne lwy" albo "szakale". W rzeczy samej, wojownicy sami przypisywali sobie cechy dzikich zwierząt. Wiele mówi opis spisany przez Posejdoniosa:

Galowie są wysocy, a ich ciała pełne i białe, zaś włosy są nie tylko naturalnie jasne, ale jeszcze sztucznymi środkami dobielane. Nieustannie zlewają włosy wapiennym roztworem i zaczesują do tyłu tworząc koronę na karku, przez co wyglądem przypominają satyrów, włosy ich bowiem grube się robią od tych zabiegów niczym końska grzywa. Niektórzy golą brody, inni strzygą na krótko; szlachetnie urodzeni golą policzki, ale wąsom pozwalają rosnać swobodnie, aż te zakrywają im usta. Tak i gdy jedzą, to nurzają wąsy w jedzeniu, a gdy piją, cedzą napój przez zarost.

W sztuce lateńskiej podkreślone celtyckie wąsy i zaczesane do tyłu i usztywnione niewątpliwie włosy stanowią istotny motyw. Włosy Cuchulainna miały być w trzech kolorach i sterczeć wkoło tak ostrymi końcami, że nadziewały się na nie spadające z drzew jabłka. Celtyccy wojownicy musieli wyglądać podobnie. Warto zauważyć, że na rzeźbach i portretach przedstawiano ich z wielkimi, wyłupiastymi oczami. Zapewne miało to oddawać ich gotowość do spoglądania w najdalszą dal (na pastwiskach rzecz bardzo przydatna), jak czynił to "daleko widzący" Zeus.

Celtyckie wąsy modelowane były na wzór szabli dzika. Nie była to pierwsza kultura, która sięgnęła do tego symbolu jako oznaki waleczności. Lew, dzik i orzeł do dzisiaj nie znikają z heraldyki wszystkich zachodnich (i nie tylko) narodów. Polowanie - zabawa królów - obejmowało tylko zwierzęta stosunkowo niegroźne. Odyseusz został na górze Parnas zraniony w udo przez dzika, a hełmy z szablami opisane są w Odysei, zaś fragmenty takowych znaleziono w kilku mykeńskich grobach. Rzymscy legionści nosili hełmy zwieńczone końskim włosiem, ale jedynym zwierzęciem, którego symboliczny portret mógł pojawić się na takim hełmie, nie był wcale koń, ale dzik. Dwie charakterystyczne cechy owego stwora podkreślane w kulturze Celtów to długie, zakrzywione kły i wysoka grzywa. Długie, białe wąsy i zaczesane specjalnie włosy wyraźnie nawiązywały do tej samej tradycji.



Różnica między Celtami a Rzymianami była taka jedynie, że ci pierwsi sami się starali upodobnić do zwierza, ci drudzy nosili tylko związane z nim symbole. Pierwsza metoda odpowiada tradycji ustnej, druga tradycji przekazów pisanych. Tam, gdzie brakuje pisma, tam obowiązuje dosłowność interpretacji. Wszystko istnieje tylko w pamięci, zaś obraz musi przemawiać sam za siebie. Podobnie było z ciałem wojownika, który nie upodabniał się symbolicznie do dzika, ale starał się być dzikiem. Zdobione hełmy rzymskich żołnierzy nosiły symbol dzika na mocy decyzji rządu. Był to niejako symbol urzędowy. Od tych wojaków nikt nie oczekiwał heroizmu, ale sprawnego wyrzynania jak największej liczby przeciwników. Gdy rzymski hełm napotkał maskę celtyckiego wojownika, starły się dwa krańcowo różne sposoby myślenia. Wojownicy walczyli "dla siebie": marzyli o chwale, sławie, wysokiej pozycji i bogactwie; to właśnie mogli zyskać zabijając wroga. Legiony Cezara walczyły na rozkaz, a celem ich dowódcy były wyłącznie zdobycze terytorialne. Dwa światy.

Tak czy inaczej, w społeczności Celtów tylko wojownicy mogli nosić takie wąsy. Druidzi musieli je golić, hodowali za to brody. Dzisiejsi ich naśladowcy noszą zwykle jedno i drugie (często przyklejone) i zaprzeczają w ten sposób prawdzie historycznej. Mylą się też nie wiążąc druidów ze Stonehenge. Byli oni nieodłącznym elementem społeczności Protoceltów.

Odwiedzający Stonehenge turyści widzą tylko to, co wzniosł powieściowy Inteb, czyli trylity i krąg głazów, jednak te kamienie to tylko ostatnia postać monumentu znana pod nazwą Stonehenge III i datowana (ponownie) na rok 1500 p.n.e. Budować zaczęto tu 900 lat wcześniej. Trudno nie wspomnieć ani słowem o tych stuleciach.

Pierwotni mieszkańcy Brytanii należeli do kultury zbierackiej, czyli zyskującej żywność przez polowania i wyszukiwanie tego, co dziko wyrosło. Mieszkali w lasach, które pokrywały całą wyspę. Około czwartego tysiąclecia napłynęli przez Kanał nowi osiedleńcy, a wraz z nimi rewolucyjne odkrycie, że żywność można wytwarzać. Zaczęli wyrąbywać w lasach polany, a ich bydło przyspieszyło jeszcze erozję poszycia, czego skutki oglądamy do dzisiaj pod postacią rozległych, pustych dolin. Ekonomia pasterska zaczęła rychło dominować i żyjący ze zbieractwa autochtoni mieli coraz mniej miejsca, przetrwali jednak jeszcze do okresu Stonehenge III, to oni właśnie opisani zostali w tej powieści jako Myśliwi. Znali dobrze las, potrafili wędrować i z czasem zaadaptowali te talenty do nowego fachu i zajęli się kupiectwem. Handlowali nie tylko owocami lasu, ale także jadeitem na głowice toporów oraz irlandzkim złotem i brązem.



Tymczasem okrzepli niedawno pasterze znani jako Windmill Hill folk ("lud Wzgórza Wiatracznego") zaczęli budować grodziska określane jako "obozы otoczone groblą". Umieszczali je na szczytach niewysokich wzgórz (typowym przykładem jest właśnie to znalezione na Windmill Hill) i otaczali dwoma lub trzema koncentrycznymi rowami przedzielonymi szeregiem grobli. Były to zapewne miejsca zebrania, żyjących zwykle w rozproszeniu właścicieli gospodarstw, wykorzystywane podczas jesiennego spędu bydła, co świadczyłoby, że Samhain jest świętem starszym i nie wywodzi się wyłącznie z celtyckiej czy protoceltyckiej tradycji. To tłumaczyłoby także, czemu wojownicy należący do kultury ceramiki sznurowej tak łatwo wpisali się w tutejszy krajobraz. Zanim jednak do tego doszło, lud Wzgórza Wiatracznego zaczął wznosić swe grodziska na równinach, gdzie kopał tylko jeden rów, miał wielu, powyżej sypał jeden wał, w którym zostawiał tylko jedno przejście. Określano taki twór jako henge i Stonehenge było najokazalszym z nich.

Stonehenge I to tylko nasyp ziemny, który lud Wzgórza Wiatracznego wzbogacił o grzebalne doły popielne (Aubrey Holes) i kamień narad. Wtedy też zaczęto chować zmarłych w jamach pod kurhanami. Jam tych były dwa typy: podłużne dla całych rodzin lub klanów i okrągłe dla samotnie poległych herosów.

Pierwsi bohaterowie wywodzili się z ludu zwanego obecnie ludem pucharów lejkowatych, a to od charakterystycznych lejkowatych dzbanów na piwo, które znajdują się w ich grobach. Oni to byli autorami modyfikacji, które określamy mianem Stonehenge II. Byli przedstawicielami zachodnioeuropejskiego ludu topora bojowego, który wcześniej przejął od mieszkańców Chorwacji znajomość sztuki obróbki metali. Tak zatem przedstawiciele ludu pucharów lejkowatych ruszyli na Zachód z własnymi kowalami i rzemieślnikami. Dotarli nie tylko do Brytanii, ale i na atlantyckie wybrzeża Półwyspu Iberyjskiego, po czym zawrócili, jakby odbitą falą. W Iberii zderzyli się zapewne z inną grupą metalurgów, w każdym razie tak utrzymuje jedna z teorii. Przyjęliśmy ją, tylko bowiem ona pozwala wytłumaczyć, skąd wzięły się w Irlandii przedmioty z brązu, te same, które Myśliwi sprzedawali potem Yernim. Ci ostatni mieli zresztą dwa źródła zaopatrzenia w brąz, bo handlowali także z ludnością kultury unietyckiej. Ten nie znany bliżej, obrabiający miedź lud opanował z wolna atlantyckie wybrzeże Europy, ostatecznie zaś dotarł do Irlandii. Byli to kupcy i poszukiwacze wywodzący się zapewne gdzieś z obszaru śródziemnomorskiego, spokrewnieni dalekimi więzami z późniejszymi mieszkańcami Myken, jednak osiadłymi w innych zupełnie stronach. Ich groby, masywne głazy wzniesione na kamiennych, nie obrobionych podporach, zwą się dolmenami. To jedyny ślad ich istnienia. Poza tym, że w Irlandii po raz drugi w dziejach ludzkości odkryli brąz.

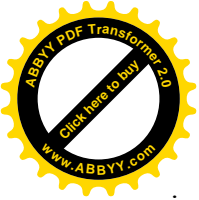


Wyspa, na której rozbił się Ason, pokryta była właśnie dolmenami. Znana jest obecnie jako wyspy Scilly. Wyspy, poziom wody bowiem podniósł się przez wieki i z jednego wzniesienia powstał mały archipelag. Budowniczość grobów, w naszej powieści Albi, mieszkali wówczas w Kornwalii i w Devon, dokładnie tam, gdzie spotykały się płytko występujące żyły cyny i gdzie król Perimedes musiał szukać surowców, by przeciwstawić się uzbrojonym w brązowe miecze wojownikom z Atlantydy. Badający teren stryj Lycos zapewne nie napracował się zbytnio, wystarczy, że sprawdził, gdzie Albi dobywają miedź: oba te metale występują niekiedy razem.

Przedstawiciele kultury ludu pucharów lejkowatych wzniesli w Stonehenge prawie kompletny podwójny krąg błękitnych kamieni (które mogły pochodzić z góry Prescelly w Walii, ale nie musiały, geologowie wciąż jeszcze spierają się na ten temat). Zdominowali przedstawiciele wcześniejszej kultury tj. lud Wzgórza Wiatracznego, który pozostał wszakże gdzieś, to powieściowi Donbaksho. Jakies to lat po tych wypadkach przybywa na wyspę Ason. Nowa kultura kwitnie już i z wolna przeradza się w kulturę Wessex, która z kolei odpowiedzialna jest za rozbiórkę Stonehenge II i wzniesienie Stonehenge III z kręgiem głazów niewątpliwie miejscowego pochodzenia). I to widzimy dzisiaj. W okolicznych kurhanach spoczywają wojownicy obu wspomnianych kultur. Cmentarzysko jest nieodłączną częścią Stonehenge.

Same kamienie i sposób ich ustawienia są silnie związane z okolicznym cmentarzyskiem, jednak nie oznacza to jeszcze, aby Stonehenge było tylko czymś na kształt "kaplicy cmentarnej". Trylity kojarzą się z wewnętrzną budową grobów, ale mogły równie dobrze służyć plemiennym politykom. Wystarczy przypomnieć sobie chrześcijańskie kościoły, w których koronowano królów. Biskupi i królowie są wiernym odbiciem dawnych druidów i wodzów, ostatecznie kultura Zachodu wykorzystuje wciąż jeden i ten sam wzór. Pomniki pogrzebowe (w kategoriach architektonicznych) mogły być równocześnie symbolami władzy i potęgi wodzów, świadectwem ich nadnaturalnej mocy, którą ich eksperci od spraw religijnych, druidzi, wiązali zawsze z duchami przodków.

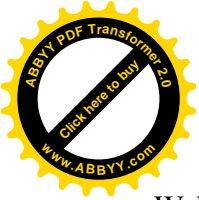
Trylit - kamienna struktura składająca się z dwóch filarów i łączącej je belki poprzecznej - nazwę swą zawdzięcza Williamowi Stuckeleyowi. Pięć takich wielkich konstrukcji stoi pośrodku kamiennego kręgu Stonehenge. Możliwe że reprezentują one trójcę indoeuropejskich bogów: kreacji, zniszczenia i posiadania. Jak wspomniałem, społeczeństwa owe dzieliły się na kapłanów, wojowników i producentów rolnych, a mędrcy od Irlandii po Indie przypisywali każdej z tych warstw stosownego boga, by w ten sposób dodać istniejącemu społeczeństwu nadprzyrodzoną sankcję i ułatwić rządzenie takim tworem. U Ariów bogiem tamtejszych kapłanów (którzy zresztą



pierwsi rzecz sformułowali, głosili i objaśniali) był Brahma. Wojownikom odpowiadał Siwa, wieśniakom Wisznu. Brahma to kreator, twórca, Siwa to niszczyciel, a Wisznu, jedyne w tej trójcy bóstwo żeńskie, symbolizowało pierwiastek życia i erotyzmu. W północnej Europie także role odgrywali Odyn, Thor i Freja. Symbolika ta powtarza się zawsze w podobnym kontekście: mądrość, siła i bogactwo. Użyteczna wiedza kapłanów (braminów lub druidów), destrukcyjna siła wojowników i płodność tego, co było w posiadaniu neolitycznych rolników, czyli zwierząt i roślin. Wodzowie tamtej epoki zniknęli wraz ze swymi społeczeństwami, ich bogowie przetrwali tylko jako mityczne twory, ale porządek symboli pozostał. Odnajdujemy go w średniowiecznym podziale na stany: kapłański, rycerski i chłopski.

Mitologia zawsze pełniła funkcję "protezy ontologicznej", zatem Stonehenge służyło zapewne i temu celowi. Tutaj, w jednym z okrągłych dołów grzebalnych znaleziono buławę wodzowską stylizowaną na topór bojowy z głowicą ze szlachetnego kamienia i drewnianym, (obecnie już kompletnie przegniłym) styliskiem. Uchwyt ten obejmowały kościane pierścienie tak wycięte, by przypominały błyskawice. Młot Thora! W całej indoeuropejskiej mitologii gromowładny bóg sam był wojownikiem znanym pod wieloma imionami: Thor, Donar, Jowisz, Tauranos (celtycki Zeus), Teshub (bóg pogody Hittów), Indra. Sławny młot Thora, Mjöllnir, był symbolem niszczącej siły niebios, czyli gromów i błyskawic i mitycznym przetworzeniem topora bojowego. Oto jak druidzi podsuwali wojownikom kultury Wessex symbole z ogólnej kosmogonii.

Poza niebem druidzi interesowali się też światem podziemi. Struktury podobne jak trylity, ale niższe i z szerszym przejściem, znajdujemy w Stonehenge wewnątrz długich kurhanów, gdzie służyły za transepty, czyli wejścia do zbiorowych komór pogrzebowych przyległych do głównego korytarza. Najciekawsza taka konstrukcja znajduje się w West Kennet, gdzie mamy pięć komór z takimi właśnie wejściami; każda komora służyła osobnej rodzinie czy klanowi. Jest to grób z okresu neolitycznego i leży w okolicy, która przed powstaniem Stonehenge III była centrum kultury Wessex. Megalityczne grobowce rozrzucone po całych Wyspach Brytyjskich wyznaczają terytoria naszych przodków. Trylity wiązały się z centrami władzy, która za ich pomocą chciała uzyskać nadprzyrodzoną "legitymizację". Kurhany to coś więcej niż tylko groby, to przewodniki po ówczesnym życiu. Ich przedsionki stawały się śmietnikami, gdzie wyrzucano resztki po dorocznej uczcie z okazji święta Samhain i nie tylko. Chociaż wedle irlandzkich podań kurhany miały być siedzibami złych duchów, ślady wskazują jednoznacznie, że było to miejsce radosnych pikników oraz swoisty znak informujący wszystkich wkoło, że tutaj rozciąga się święta ziemia takiego czy innego plemienia. Wielkie cmentarzysko Stonehenge znaczyło jednak o wiele więcej. Bez wątplenia było ono ośrodkiem ważnym dla wielu szczepów żyjących na całkiem sporym obszarze, poza lokalnymi dygnitarzami bowiem pochowani są tutaj członkowie pięciu różnych szczepów.



Wskazują na to odmienne rodzaje nagrobnych inskrypcji charakterystycznych dla pięciu różnych okolic.

Tym samym pięć łuków staje się znakiem geopolitycznym. Trylity mogą symbolizować, w powiększonej postaci, wejścia do pięciu komór należących do pięciu dynastii pięciu wodzów, którzy spotykali się tam rozważając sprawy międzyplemiennej polityki. Stonehenge było swoistym forum bohaterów. Każdy wódz stawał przed swoim łukiem, przedstawiał swoją genealogię, a za plecami miał pomnik wystawiony ku czci opisywanych przodków. Pomnik równie wyraźny jak recytacja druida, a bardziej majestatyczny.

Ten obraz przemawia do wyobraźni tym skuteczniej, jeśli spojrzy się na mapę. Wokół Stonehenge znajdują się w Wessex jeszcze cztery większe cmentarzyska, wszystkie związane z symboliką megalityczną. Patrząc od północy na południe leżą one kolejno w Lambourn (Berkshire Downs), w Avebury (Marlborough Downs), w Stonehenge (Salisbury Plain; to jest największe), w Cranborne Chase (Oakley Downs w Dorset) i w Dorchester (też Dorset). Miejsca te odpowiadają pięciu opisanym w powieści grodziskom Yernich, odpowiednio: Dun Maklorbi, Dun Finmog, Dun Uala (potem Dun Ason), Dun Moweg i Dun Der Dak.

Pięć trylitów, pięć cmentarzysk. Jeden trylit pośrodku ustawionych w podkowę konstrukcji jest trochę wyższy od pozostałych; cmentarzysko w Stonehenge jest rozleglejsze od innych. Kamienne łuki wiodą nie do komór grzebalnych, lecz prowadzą na zewnątrz, do miejsc pochówku największych rodów, które prawdopodobnie zjednoczyły się w wyniku porozumienia międzyplemiennego na terenie najsilniejszego z partnerów. Grobowce z przedmiotami charakterystycznymi dla pięciu różnych grup są tego oczywistym dowodem.

Można dalej przypuszczać, że pięć łuków symbolizuje pięć obszarów pasterskich południowej Brytanii, które połączyły się na mocy "paktu miecza" (to określenie pojawia się w irlandzkich eposach) pod przywództwem jednego wodza. W powieści tą postacią jest Ason pomagający ojcu uporać się z Atlantydą. Porywa się na wielkie zadanie, ale wykorzystuje lokalne zwyczaje i religie, aby zjednoczyć wojownicze plemiona. Jego architekt, Inteb, pojmuje, jak wielkie znaczenie mają dla Yernich drewniane łuki. Można przyjąć takie rozumowanie, ponieważ późniejsze, kamienne konstrukcje były wyraźnie wzorowane na drewnianych, metody dopasowywania ich elementów zapożyczono z ciesielstwa. Wynikałoby z tego, że również i grobowce budowano pierwotnie z drewna.

Używając terminologii irlandzkiej, można mówić o "nad-królu", który podporządkował sobie "podkrólów". W mitologii irlandzkiej liczba pięć miała znaczenie tak religijne, jak i polityczne. Wiązała się z pięcioma "ćwiartkami" Irlandii. Pięcioma, były to bowiem cztery części wyspy plus *ixis mundi*, czyli siedziba władzy centralnej. Możliwe że mniejsze przejścia w



zewnątrznym kamiennym kręgu reprezentowały pomniejszych sojuszników, którzy przyłączali się do grupy w trakcie trwającej niewątpliwie długi czas budowy Stonehenge.

Polityczne funkcje Stonehenge pozostaną zapewne przedmiotem spekulacji, jednak dalsze związane z nim symbole odgadnąć jest dość łatwo. Pięć łuków stoi w półkołu przypominającym kształtem podkowę, która wedle popularnego przesądu - przybita nad drzwiami stajni - miała przynosić szczęście. Symbol ten jest wspólny dla wszystkich pasterskich społeczności indoeuropejskich i wynika w prostej linii z podobieństwa podkowy do byczych rogów. Podkowę wieszano się miast poroża wołu, czasem zresztą, tam gdzie jest to jeszcze możliwe, wykorzystuje się prawdziwe rogi. Celtowie nosili na szyi złote wyobrażenie rogów, które nam skojarzyłyby się ze złotą podkową. Tak zatem ustawienie trylitów nawiązuje do krzywizny rogów.

W niektórych długich grobach wkoło Stonehenge znaleziono pozostałości tak rogów, jak i kopyt. Możliwe że kiedyś wieńczyły je głowy bydła albo i całe wypchane sztuki. Wedle Herodota na kopcach scytyjskich królów stawiano wypchane konie. To właśnie w ojczyźnie ludów indoeuropejskich po raz pierwszy udomowiono konia, chociaż stało się to dużo później niż w przypadku owiec, kóz, świń czy wołów, które udomawiano w innych częściach neolitycznego świata.

W plejstocenie koń był powszechną zwierzyzną łowną w okresie polodowcowym było ich wiele na stepach Eurazji. Lud topora bojowego wykorzystywał je nie do jazdy, ale jako zwierzęta pociągowe do wozów i rydwanów. Konni wojownicy pojawili się dopiero wtedy, gdy w rzymskich czasach wyhodowano konie tak silne, że mogły dźwigać jeźdźca w pełnym rynsztunku. Do prac rolnych zaczęto wykorzystywać je jeszcze później. W tej powieści Yerni wciąż polują na konie, zwyczaj udomawiania ich nie dotarł jeszcze do Brytanii.

Z czasem podziw dla konia przewyższył w Europie zainteresowanie okazywane bydłu. Wódz-byk ustąpił miejsca jeźdźcowi, w różnych językach zwanemu cavalier, chevalier, ritter, caballero, z czego wynikła kawaleria i tym podobne szlachtetne określenia. Oczywiście w naszej epoce miejsce konia zajęły, nie tylko w praktyce ale przede wszystkim w naszej świadomości, różne wehikuły. Jednak wszystko zaczęło się od krowy. Dawna artystokracja indoeuropejskich plemion budowała swoją potęgę na stadach bydła, co wiemy także od Homera. W dawnej mowie ludu topora bojowego, w czasach zanim zaczął on migrować, słowo pecunius znaczyło majątek w krowach. Wojownikiem był ktoś, kto szukał krów, słowo "protekcja", czyli pierwotnie "ochrona" wywodzi się z określenia związanego ze strzeżeniem stada krów. Wódz-byk był pierwotnie "krowim wodzem"; stąd właśnie pojawiła się obiegowa miara gościnności wyrażana liczbą zabitych na cześć gości krów.



Nie ma co uśmiechać się na widok krowich głów zatkniętych na szczytach łuków Stonehenge. Yerni nie byli głupcami. Historycznie wszystko to miało sens. Wspomniałem już o krowich szczątkach w przedsionkach grobów. Mnogość kości sugeruje, że ubój praktykowano nie tylko dla samego przeżycia, ale i dla obżarstwa podczas świąt. Celtyckie zaświaty to Ziemia Obiecana, Moi Mell, gdzie martwi wojownicy będą bez ograniczeń ucztować i delektować się wołowiną i gdzie nigdy nie zabraknie im piwa. Gdyby Stonehenge było symbolicznym grobowcem, moglibyśmy oczekiwać tu wszelkich bydlęcych symboli, może całych wypchanych sztuk, może tylko rogów. Te ostatnie mogłyby stać na kołkach osadzonych w trzycalowych zagłębieniach znalezionych w kamieniach wieńczących zewnętrzny kamienny krąg (choć astronomowie wolą uznać te otwory za stanowiska do osadzania miarek służących do pomiaru położenia ciał niebieskich). My akurat widzimy w nich coś bardziej przyziemnego, chociaż rogi mogły być polerowane lub nawet zastępowane miedzianymi replikami.

Symbol bydlęcych rogów występował też wcześniej, w neolicie. Najbardziej znanym przykładem jest motyw dekoracyjny umieszczony na pałacu na Krecie, gdzie powtarzano go tyle razy, aż cały dach robił się rogaty. Pałacowa kultura Krety nie jest kulturą indoeuropejską, jednak wywodzi się z tych samych neolitycznych jeszcze korzeni. Tak zatem i obraz architektury Atlantydy nie został nijak ubarwiony.

Można jednak spytać, co jeszcze kryje się pod tymi "wołowymi" symbolami? Odpowiedzi dostarcza nam Demokryt wyjaśniając, jakim to sposobem zwierzętom rosną rogi. Rogi, jak stwierdza Demokryt, rosną na głowie, substancja życiowa bowiem ściąga do głowy i do mózgu, a co wyrasta na głowie, to odzwierciedla zawsze jej zawartość i jest manifestacją substancji życiowej. Rogi rosną żywione tą samą wilgocią ciała (energiją), którą tracimy w chwili śmierci i którą można dostarczyć "wysuszonym" (jak Homer określa umarłych) poprzez libacje na ich cześć. Rogi zatem są odzwierciedleniem tej siły życiowej, co mieści się w mózgu. W indoeuropejskich językach słowa oznaczające mózg i rogi są nader podobne (na przykład cerebrum i cornu). Róg obfitości (dostarczający jadła i napitku w celtyckich zaświatach) to jeszcze jeden symbol ucieleśniający tę siłę, dzięki której następuje prokreacja i rozrost, w pierwszym rzędzie rogów, rzecz jasna.

Ustawienie trylitów w kształt podkowy (czyli rogów) zdaje się być idealnym urządzeniem miejsca spotkań krowich wodzów różnych plemion, miejscem zawierania sojuszy. Krowy to miara bogactwa, obiekt pożądania, można powiedzieć, i nic nie mogło być ważniejszego dla tych pasterskich szczepów, jaka stada ich krów. Wojownicy pragnęli łupów i oczekiwali, że wodzowie pokażą im, jak je zdobyć. Rigweda pełna jest okrzyków wzywających do zdobywania cudzych krów, bo to łup był największy. A co mieli robić owi wojownicy, gdy ich przywódca miał wypraw



na pastwiska sąsiada zamyślał zawrzeć z nim przymierze? Tracili i rozrywkę, i zdobycz. Z tym to problemem musiał uporać się Ason przejmując Dun Uala. Tak zatem jego architekt zbudował trylity, symboliczne bramy do Moi Mell. Każdy stający przed swoją bramą wódz zyskiwał nadnaturalne siły, dzięki którym mógł obiecać lepsze życie na tym świecie i utrzymać swoich wojowników w ryzach. I oto wodzowie sami podążyli za Asonem, któremu naprawdę zależało tylko na podporządkowaniu Mykenom ludów zamieszkujących tereny południowej Brytanii. Wykorzystał on zrecznie lokalne zwyczaje autochtonów i ich rękami wznosił Stonehenge - dziś wielką atrakcję turystyczną. Fakt, że konstrukcja nie została nigdy ukończona zdaje się wskazywać na siłę systemu wodzowskiego i na to, że na obrzeżach homeryckiego świata sojusze plemion wojowników nie miały wówczas wielkiej szansy na przetrwanie.

Tak jak nie można było nijak uciec przed brutalnością tamtego świata, tak nie ma najmniejszego sensu mieszać do historii Stonehenge astronomii. Pierwsze było nieuniknione, drugie jest całkiem zbyteczne. Próba sięgania do astronomicznych uzasadnień wzniesienia tej konstrukcji zaprzecza wiedzy archeologicznej, zaprzecza informacjom przekazanych w tradycji literackiej. Społeczność antycznej Brytanii w okresie Stonehenge III nie należała do ludów cywilizowanych. To nie były społeczeństwa obywatelskie, brakowało tu miast, a nawet rolnictwa dość rozwiniętego, by mogło te miasta utrzymać. Tym bardziej nie znajdziemy w tamtych realiach miejsca dla ludzi tak wysoko wykształconych, jak astronomowie i matematycy, którzy przecież zawsze uzależnieni byli od kultury pisanej. Brytowie, którzy zbudowali ostatnią postać Stonehenge, byli ludem pasterskim znanym archeologii jako lud kultury Wessex, protoceltyckim odłamem ludu topora bojowego, który ogarnął pas od Indii po Irlandię, od Skandynawii po basen Morza Śródziemnego. Ich topory odnajdujemy dziś w grobowcach wojowników, ich czyny opiewa przekazywana niegdyś w tradycji ustnej literatura różnych stron świata, jak Iliada, Rigweda czy Tain Bo Cualnge. Iliada Homera została ostatecznie spisana w ósmym wieku p.n.e. na podstawie przekazu ustnego wspominającego mykeńskich herosów z Grecji epoki brązu około 1500 roku p.n.e. Rigweda opisuje, jak to barbarzyńscy Ariowie ze stadami krów najechali cywilizowane Indie, a działo się to mniej więcej w tym samym czasie. Relacja została spisana dopiero przez Brytyjczyków (a wcześniej była przez trzydzieści pięć stuleci przekazywana wyłącznie ustnie i, zgodnie z naszą wiedzą, nikt nie przekreślił nawet sylaby!). Tain... wspomina bohaterskich wodzów Irlandii, którzy przetrwali nawet rzymskie podboje i ulegli dopiero rzymskim misjonarzom. Wiele zawdzięczamy tym mnichom, którzy około siódmego wieku spisali Tdin..., dzięki nim bowiem



mamy dziś dokładny obraz Protoceltów i możemy tchnąć życie w kości wojowników kultury Wessex, chociaż zmarli oni prawie trzy i pół tysiąca lat temu i byli współcześni homeryckim Mykenom. Jeśli zaś w Mykenach, które stanowiły wówczas niechybnie wyspę cywilizacji w morzu europejskiego barbarzyństwa, nie prowadzono raczej obserwacji słońca czy księżyca i nie obliczano dat zaćmień, to czy można oczekiwać tego po Brytanii, która stała wtedy nieporównywalnie niżej?

Stonehenge astroarcheologów (albo archeoastronomów, sami jeszcze nie zdecydowali, kim właściwie są) to czysta fikcja. Uznanie jej za prawdę wymagałoby manipulacji datami historycznymi, trzeba by bowiem przyjąć że cała konstrukcja powstała w tym samym czasie, zbudowana od początku do końca przez jeden lud i w jednym z góry określonym celu. Wiemy zaś, że zaangażowane w dzieło były różne kultury, co wyklucza zastosowanie astronomiczne. Owszem, cztery stacje Stonehenge II (prostokątnie ustawione kamienie i kopce) pokrywają się z niektórymi dołami grzebalnymi Stonehenge I, ale nijak nie zdają się służyć temu samemu. Co więcej, statystyka też zdaje się zaprzeczać astronomicznym podtekstom. Douglass Hettie, który wykłada na uniwersytecie w Edynburgu matematykę i astronomię teoretyczną, opisał rzecz w swojej książce *Nauka megalityczna* (1982). Spośród 240 linii odkrytych przez Hawkinsa w Stonehenge, możliwych do przeprowadzenia między charakterystycznymi punktami, tylko 48 wskazuje cokolwiek na niebie (mowa o słońcu i księżycu), zaś zaledwie 32 mogłyby mieć jakieś znaczenie praktyczne. Po ponownym przeliczeniu liczba tych ostatnich spadła zresztą do 25, bo tyle tylko wykazuje odchył mniejszy, niż dwa stopnie łuku, którą to wielkość Hawkins uznał za graniczny margines błędu. Trzeba przyznać, że szczodry to margines.

My zaś mamy nadzieję, że nasza proza przybliżyła nieco czytelnikom prawdziwy obraz historycznego Stonehenge, chociaż pokazała również, jak wiele miało to miejsce wspólnego ze zwykłą zagrodą dla bydła.

Leon Stover

doktor filozofii i literatury,

profesor antropologii

w Illinois Institute of Technology